

SYGNAŁY



MORDERSTWO,
ZDRADA I... protest kobiet.
Takiego śledztwa jeszcze nie było!

KRZYSZTOF
BEŚKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO



SYGNAŁY

KRZYSZTOF
BEŚKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Copyright © Oficynka & Krzysztof Beśka, Gdańsk 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2022

Opracowanie redakcyjne: zespół

Skład: Dariusz Piskulak

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Paradise studio/shutterstock

© josuedersoir/pixabay

ISBN 978-83-67204-79-8



www.oficynka.pl

[e-mail:oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

Podszedł do okna i przekręcił aluminiową klamkę, pociemniała od starości, a może od brudu. Zapieczone, stare drewno jęknęło, a na parapet posypały się drobiny białej farby.

– Co za syf... – mruknął pod nosem.

Wychylił się i spojrział w dół. Po raz pierwszy zrobił to inaczej niż przez całe swoje dotychczasowe, ponad czterdziestoletnie życie. I marne, to już też wiedział. Zanim wszedł do pomieszczenia, w którym nigdy wcześniej nie był, podziwiał widok z okna. Czy z hotelowego numeru widać ocean, jak zapewniali w folderze biura podróży? Przy innej okazji sprawdzał, czy samochód, który przed chwilą zaparkował przed budynkiem, stoi prawidłowo, nie wadzi nikomu. Albo czy w ogóle jeszcze stoi, bo i tak przecież kiedyś bywało.

Teraz nie interesowało go ani jedno, ani drugie. Chciał tylko wiedzieć, jak daleko stąd do ziemi. Do twardego asfaltu albo chodnika. Owszem, odebrawszy na portierni klucz z drewnianym, klejącym się brelokiem w formie walca, usłyszał, na którym piętrze znajduje się pokój. Nawet w odpowiedni guzik trafił palcem w windzie, która, choć stara, szybko dowiozła go na miejsce. Tyle że zaraz wyparł tę wiedzę z pamięci.

Zresztą nie mogło być inaczej: w głowie aż mu się gotowało od myśli. Jedna gonila drugą niczym pęcherzyk powietrza w drodze ku powierzchni wody. Wiedział, że doszedł do ściany. Albo znalazł się na dnie i nie ma szans, by ktoś od spodu zapukał. I że to nie senny koszmar, choćbyś się, człowieku, szczypał do krwi, głowę pięściami okładał. Teraz marzył tylko o tym, żeby zakończyć tę udrękę. Pamiętał ze szkoły, że jeden poeta, Jan Lechoń, skoczył z dwunastego piętra hotelu w Nowym Jorku. Tutaj chyba tyle nawet nie ma. No i przynajmniej Nowy Jork zobaczył, a nie to zapyziałe miasto...

– Spokojnie, tylko spokojnie... – Powoli zamknął okno, za którym coraz mocniej padał wrześnieowy deszcz.

Usiadł na starym fotelu. Pokoik miał na stanie dwa takie zabytki. Podobnych elementów wystroju i wyposażenia było zresztą dużo więcej. Miejsce, w którym zakwaterowali go organizatorzy szkolenia, nosiło dumną nazwę centrum szkoleniowo-konferencyjnego miejscowego uniwersytetu. I może kiedyś rzeczywiście był to luksus...

Czuł, jak zapada się coraz głębiej w fotel, a mięśnie wiotczeją. Za oknem deszcz stukał o parapet. Bezsenna praktycznie noc zaczynała przynosić żniwo. Wypił wieczorem dwa piwa, mimo że rano musiał usiąść za kółkiem i pokonać ponad sto kilometrów, aby dotrzeć na miejsce. To jednak nie był problem, znał swój organizm i chodziło o to, by po tym wszystkim, czego się dowiedział, jednak zasnąć. Tyle że obudził się o drugiej w nocy, a potem robiło się coraz jaśniej i jaśniej. Było tak jak w latach dzieciństwa, kiedy miał jakieś zmartwienie. Noc przynosiła ukojenie, za to poranek rzucał się do gardła i wydawało się, że problemy są jeszcze większe.

Ech, gdyby tak znów być dzieckiem i mieć tylko takie – pomyślał.

Zaraz się wzdrygnął, przypomniał sobie bowiem o swoim dziesięcioletnim synku. Co teraz robi, gdzie jest, o czym myśli? Czy już jest z matką w nowym mieszkaniu? On zaś powinien być teraz z nim, a nie tutaj, cholera! Uciekł, to jasne. Znów ogon pod siebie.

Chyba właściwie dopiero teraz dotarła do niego groza i beznadzieja sytuacji. Długo żyli z żoną nie ze sobą, ale obok siebie, w dwóch pokojach. Sypiali oddzielnie. Ale zawsze to było pod jednym dachem. Tak naprawdę wciąż miał nadzieję, że któregoś dnia wszystko wróci do normy, że porozmawiają. Jeśli nie tak, jak kiedyś, na początku, to przynajmniej bez złości.

Przecież, do kurwy nędzy, w jego rodzinie nigdy nie było rozwodów!

– Idziemy na obiad – świadomość przywrócił mu męski głos.

W otwartych drzwiach stał kolega z firmy, którego również wysłali na szkolenie. Czy wcześniej zapukał? Trudno powiedzieć. „Nie zapukał nikt na czas...”, jak śpiewał Markowski w *Autobiografii*. Tamtej dziewczyny z piosenki, co miała twarz Poli Raksy, nie odratowali. Swoją drogą, żeby zabijać się z powodu przypadkowej ciąży? Bo co ludzie powiedzą? On miał przynajmniej powód. Kobieta, której kiedyś zaufał, właśnie w tej chwili zabierała mu dziecko. Kobieta, której kiedyś przysięgał, żądała orzeczenia rozwodu z jego winy. Choć przecież nic złego nie zrobił. Tylko nie chciał się zgodzić na rozwód! Wreszcie kobieta, z którą dzielił się wszystkim, co miał, chciała od niego pieniędzy, których on nigdy na oczy nie widział.

– Idziemy na obiad – powtórzył przybysz.

– Tak? – Wyprostował się w fotelu, pomagając sobie łokciami. – Już pora?

– Lepiej szybciej, bo się potem nie dopchamy. Znasz ludzi.

– Zaraz zejdę.

Tamten zniknął za drzwiami. To był wyjątkowy lewus i kombinator, a przyjechał tutaj tylko po to, aby nie siedzieć w domu z rodziną w weekend, a wieczorem nawalić się do nieprzytomności. Pewnie mu jeszcze stara kanapki na drogę zrobiła. Że też zawsze wszystko udaje się tym, którym najmniej zależy.

– Zaraz zejdę – powiedział jeszcze raz, choć już nie było komu słuchać, by po chwili uświadomić sobie podwójne znaczenie tych dwóch prostych słów.

Nagle zerwał się z fotela, jakby stara sprężyna wbiła mu się w pośladek. W dwóch susach dopadł okna i gwałtownie otworzył je na oścież. Oddychał coraz szybciej. Zacisnął palce na krawędzi skrzydeł okna, za którym nie było Nowego Jorku.

Powoli unióśł nogę i postawił stopę na parapecie...

– Morda! – w ciemności rozległ się męski, nieprzyjemny głos.

Osiągnął cel, bo w jednej chwili ucichło. Słyszał było tylko przyspieszone oddechy, a nawet burczenie w czymś brzuchu. A przecież jeszcze przed chwilą ktoś próbował szeptać, kawałek dalej dało się słyszeć urywany dialog prowadzony półgłosem, a po drugiej stronie rozległ się nawet chichot. Mimo wszystko, mimo grozy sytuacji, ktoś miał odwagę się zaśmiać. Może wiedział więcej, a może była to reakcja obronna na to,

co się działo, wreszcie próba wyparcia ze świadomości tego, co wydarzyło się wcześniej. Zanim ich tu zamknęto.

Ona nie miała zamiaru się odzywać nie dlatego, że jakiś nieuk, co cały rozum miał w pięści, tak sobie życzył, ale dlatego, że po prostu nie miała do kogo ust otworzyć. Nikogo tutaj nie znała. Gdy zaczęło się najgorsze, kordon rozdzielił ją od znajomych, z którymi dotarła na miejsce. Ale pewnie szybko się to zmieni i zawrze tu nowe znajomości. Przecież w końcu kiedyś zapalą światło, nie?

Ledwo o tym pomyślała, aż się zaśmiała w duchu. Zabrzmiało to bowiem, jakby byli na letnich koloniach, a ona znów miała naście lat, stupy na kolanach i drżała przed miesiączką.

Ale przecież niedola zawsze zbliża, prawda? Pamiętała opowieści starszych ludzi z czasu okupacji, jak wyglądało życie na Pawiaku czy w Serbii, czyli warszawskich więzieniach. Ludzie wspierali się, starali przetrwać. Nikt nie próbował przepiłowywać krat czy atakować strażnika ani tym bardziej esesmana. Można było liczyć tylko na najbliższych, którzy, jeśli się dowiedzieli, zbierali pieniądze, aby wykupić uwięzionego lub uwięzioną. I czasami się udawało.

– „Orędowniczko nasza, pośredniczko nasza...” – zaszeptała blisko jakaś dziewczyna.

Dziwnie zabrzmiały słowa modlitwy. I nie chodziło o miejsce i okoliczności, bo może to komuś pomagało na strach i niepewność, ale o powód, dla którego wszyscy ci, którzy tu siedzieli, znaleźli się tam, skąd ich przywieziono. Przecież to właśnie przez tych, co zawsze mieli i mają gęby pełne Boga i Wszystkich Świętych, przez nich to wszystko!

– Zamknąć mordy, powiedziałem! – krzyknął cerber. – Nie rozumieją po polsku?!

– Sam się zamknij, faszysto! – nie wytrzymała któraś i zaraz wspomogły ją gniewne pomruki, a nawet okrzyki.

– A o Polsce lepiej nie wspominać... – dodała inna.

Wtedy rozbłysło ostre światło.

POGODNIE I SŁONECZNIE

1

– Pociąg TLK Kormoran ze stacji Polanica-Zdrój do stacji Olsztyn Główny przez Ciechanów, Działdowo, Nidzicę przybędzie z opóźnieniem około dwudziestu minut. Za opóźnienie przepraszamy – z megafonów na dworcu Warszawa Wschodnia rozległ się metaliczny kobiecy głos.

W hali panowała gorączka typowa dla piątkowych wieczorów. Warszawa kończyła kolejny tydzień pracy, szkolnej nauki, a od kilku dni – w kalendarzu był już wszak październik – także i studiów. Pięć dni znaczone sukcesami i porażkami, wzlotami i upadkami. A teraz wypluwała tysiące ludzi, którzy na dwa pozostałe dni wracali do swoich miast, miasteczek i wsi.

Zanim jednak wyjadą, jeszcze, może tytułem zaległego obiadu, pochłoną burgera z mąka, wypiją kawę z papierowego kubeczka, wykonają zbyt głośną rozmowę przez komórkę. Jeszcze raz dokonają w duchu bilansu zysków i strat.

Napięcie dawało się wyczuć również w nowoczesnej strefie obsługi pasażera, oddzielonej od reszty dworca szklanymi ścianami. Tam znajdowały się kasy biletowe, z których, mimo wszelkich dobrodziejstw, jakie niósł internet, wciąż korzystali ludzie, nie tylko ci starsi. Teraz, jak to w kraju nad Wisłą często bywa, otwarta była tylko połowa okienek.

– Nie zdążę! No nie zdążę... – rzuciła płaczącym głosem jakaś pani z ogromną plastikową walizką. – Czy mogliby mnie państwo przepuścić? Mam zaraz pociąg... – zwróciła się do pozostałych oczekujących w kolejce przed kasami, jednej do wszystkich.

– Proszę – bąknął młody człowiek, który stał jako pierwszy.

Oj, były czasy, kiedy za coś takiego bez skrupułów wyrzucano delikwenta z kolejki albo, dla porządku i równego rachunku, kazano mu stanąć na jej końcu, co ten pokornie robił. Teraz jednak nikt nie zareagował.

– Do Olsztyna, złociutka.

Uwinęła się szybko. Już po chwili z biletem na pociąg, mimo że opóźniony, pędziła przez środek strefy obsługi pasażera. Była już przy drzwiach, gdy drogę zastąpił jej osobnik ubrany w wyświechtany płaszcz. Na głowie miał czystą, najpewniej nową czapkę baseballową w narodowych barwach i z napisem POLSKA.

– Może pomóc, kierowniczo? – zapytał na cwaniacką modłę.

– Spieprzaj, dziadu! – fuknęła, na wszelki wypadek zasłoniwszy ciałem swoją własność, choć tak naprawdę to właśnie bagaż świetnie sprawdziłby się jako tarcza.

Kilkoro pasażerów zajmujących najbliższe ławki oderwało się od swoich smartfonów. Jeden facet w średnim wieku podniósł nawet wzrok znad czytanej książki. Sekundę później przy wejściu pojawiło się dwóch roślących osobników w czarnych uniformach z naszywkami OCHRONA DWORCA. Kto wie, może nawet mieli tamtego na oku i tylko czekali na pretekst, by wkroczyć do akcji. Dzień bez łomotu to dzień stracony.

– Jakiś problem? – zapytał jeden z nich, drugi zaś rzucił do nagabywacza:

– Spierdalaj.

– Po co te nerwy, panowie? – Żulik dworcowy uniósł w górę obie ręce na znak, że ma czyste przynajmniej intencje i nie chce kłopotów. – Już sobie idę. Więcej mnie nie zobaczycie...

– Mam nadzieję – odrzekł ten pierwszy, co dopytywał o problem, założywszy kciuki za szeroki skórzany pas. – Trzeci raz nie poproszę.

Sądząc po tym dialogu, tamten musiał być znany ochronie, a ta dobrze wykonywała swą robotę. Jeszcze kilka lat temu, przed remontem, Wschodnia nie była miejscem bezpiecznym, czystym i miło pachnącym. Teraz to się zmieniło, ale wciąż spotykało się podobne indywidua.

Koła walizy pańci potoczyły się dalej, po chwili zachrobotały krótko na metalowych bąblach, ułatwiających ponoć życie osobom niewidomym, choć całej reszcie to już niekoniecznie. Żulik zaś, który chciał pomóc jej w transporcie bagażu na peron, by zarobić parę groszy na alpagę, a może tylko na kanapkę z szynką, rozplynął się w powietrzu.

– Pociąg TLK Kormoran ze stacji Polanica-Zdrój do stacji Olsztyn Główny przez Ciechanów, Działdowo, Nidzicę wjedzie na tor pierwszy przy peronie czwartym – poinformował głos w megafonach, by na tym samym wydechu ostrzec: – Proszę zachować ostrożność i odsunąć się od krawędzi peronu.

Na ten sygnał kilka osób w strefie obsługi pasażera zaczęło podnosić się z ławeczek. Ktoś szarpał się z szelkami plecaka, ktoś przy tym wszystkim nie potrafił oderwać wzroku od kolorowego ekranu. Jakiś spóźnialski, jeszcze większy niż pociąg, którego przyjazd przed chwilą zapowiedziano, kupował w kasie bilet do Nidzicy.

Czytaną książkę zamknął i schował do kieszeni turystycznej torby także mężczyzna w średnim wieku, który kilka chwil wcześniej zwrócił uwagę na scysję przy wejściu. Zanim chwycił za uszy torby, potarł jeszcze zmęczone oczy. Najpewniej on także miał ciężki tydzień pracy, a przed sobą kilka godzin podróży. Ostatnią prostą przed weekendem i zasłużonym odpoczynkiem. Oby prostą była do końca...

Po chwili siedł korytarzem.

– No jadę już! Tak, jest spóźniony, skurwiel... – nadawał przez komórkę idący przed nim grubas w bordowym, dawno niemodnym już płaszczu.

Nie daj Boże trafić miejsce obok takiego – pomyślał. – Raz, że ktoś taki, skoro teraz tak nawija, będzie to robił całą drogę. Dwa: spaślak zajmie półtora fotela, do tego się rozkraczy z baleronami! To zawsze była, jest i będzie loteria.

Nagle mężczyzna z książką, która teraz spoczywała w jego bagażu, poczuł wibrację telefonu. Próbował sięgnąć w zanadrze, ale wtedy pasek torby zsunął mu się z ramienia. Musiał się zatrzymać, a potem nieco przemieścić. Wreszcie wyciągnął

aparat. Numer nic mu nie mówił. To już dobrze, bo bał się, że dzwonią z pracy. Coś się wydarzyło i nici z wyjazdu.

– Słucham.

– Dzień dobry – odezwał się kobiecy głos. – Czy dodzwoniłam się do mieszkańca powiatu sierpeckiego?

– Nie! – fuknął ze złością, nie była to już bowiem pierwsza tego typu pomyłka, po czym rozłączył się i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Gdy dotarł na peron, pociąg już stał. Trasę tę od zawsze obsługiwała lokomotywa elektryczna i kilka pullmanowskich wagonów. Głos w megafonach zapowiedział odjazd opóźnionego pociągu. Mężczyzna nie szukał swojego wagonu, tylko skierował kroki ku drzwiom ostatniego. Zanim wszedł do środka, ujrzał jeszcze pańczę szarpiającą się w pojedynkę z wielką walizą. Tym razem nie było przy niej nikogo uprzejmego, jakby limit szczęścia już tego dnia wyczerpała, kupując bilet w ostatniej chwili.

Trzaskały ostatnie zamykane drzwi. Dwie, może trzy sekundy później jesienne powietrze przeciął przejmujący gwizd, a po nim krzyk kierownika pociągu:

– Odjazd!

Mężczyzna także zatrzasnął za sobą drzwi. Minął uchylone drzwi ubikacji i już miał skręcić w korytarz (pusty, co było dobrą wróżbą), gdy coś kazało mu się zatrzymać. Coś, co ujrzał w wychodku. Dziwną kombinację, którą już dzisiaj oglądał: brudny płaszcz i nowa czapeczka baseballowa w narodowych barwach.

– Taki z ciebie pomocnik?! – fuknął.

W pierwszym odruchu, tak jak huknął drzwiami wagonu, tak miał zamiar to samo zrobić z drzwiami wychodka. Pasażer na gapę to nie był jego problem, ale srający na widoku to już trochę tak. Ale tego nie zrobił, przeciwnie: krawędzią dłoni uderzył lekko w dyktę.

– Kurwa...

Szybko wyciągnął rękę, coś sprawdził. Sekundę później cofnął się na korytarz i znalazł hamulec awaryjny. Pociągnął z całej siły, pierwszy raz z życia, choć go zawsze kusiło. W efekcie huknęło, szarpnęło, a potem rozległ się przeraźliwy pisk. Gdzieś trzasnęło rozbijane szkło.

– Co pan wyprawia?! – wrzasnął konduktor, który pojawił się nie wiadomo skąd; konduktorzy zawsze mieli coś z duchów.

– Ten pociąg nie dotrze o czasie do Olsztyna, przykro mi – powiedział winowajca, sięgając po coś w zanadrze. – Nadkomisarz Konstanty Podbiał, Komenda Stołeczna Policji. Ma pan trupa na pokładzie.

– Trupa? – powtórzył kolejarz, jakby nie dosłyszał.

– I to całkiem świeżego.

Co się mogło zdarzyć, właśnie się zdarzyło. W Warszawie. Kormoran do Olsztyna znów stał na peronie. Podczas gdy weekend coraz bardziej się oddalał.

Wybijała północ, gdy spod dworca Warszawa Wschodnia odjechały dwa samochody. W pierwszym, osobowym, siedział prokurator, który kilka chwil wcześniej zakończył czynności służbowe przy zdarzeniu. W drugiej, ciemnej furgonetce, odjechał w swoją przedostatnią ziemską podróż bohater wieczoru i przyczyna oderwania pana prokuratora od kolacji.

Kostek odprowadził wzrokiem oba pojazdy, póki nie zniknęły na łuku Kijowskiej.

– A pan nie wraca do domu? – zapytał go szef miejscowej Straży Ochrony Kolei.

Policjant odwrócił się i jeszcze raz ogarnął spojrzeniem rozmówcę. Człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo w tym miejscu wyglądem przypominał raczej księgowego, w dodatku niewielkiej rodzinnej firmy, prowadzonej w powiatowym mieście. Nie wzbudzał respektu, szczególnie gdyby obok stały zuchy z dworcowej ochrony. A jednak to właśnie on niezwykle sprawnie pokierował całą akcją, która kilka chwil wcześniej dobiegła końca.

– Wie pan, jakoś mi się przestało spieszyć – odpowiedział oficer.

Kiedy parę godzin temu zamykał drzwi swojego mieszkania, znajdującego się na ostatnim piętrze bloku na rogu ulic Rudnickiego i Kochanowskiego na warszawskich Bielanach, nie przypuszczał, że los tak szybko da mu okazję, aby do niego wrócić. Miał zamiar spędzić weekend, a do tego jeszcze poniedziałek ekstra, w rodzinnych stronach. Dawno tam nie był, bo od lata, i potrzebował tego jak tlenu.

Ale nie pierwszy raz się okazało, że jak się za bardzo czegoś chce, to zwykle gówno z tego wychodzi. Najlepszym przykładem było jego pierwsze i jak na razie jedyne małżeństwo z aktorką, Katarzyną Rawską. Ostatnio złapał się na tym, że im więcej lat mijało od katastrofy, z tym większym sentymentem je wspominał. To Kaśce zawdzięczał przeniesienie z Olsztyna do stolicy, a także wspomniane lokum, skąd roztaczał się widok na północne dzielnice miasta.

Ale od tego wszystkiego chciał właśnie uciec owego piątkowego, październikowego wieczora. Tyle że się nie udało.

– Wie pan – podjął po chwili szef SOK. – Niedawno oglądałem film. Polski i naprawdę całkiem niezły...

Kostek spojrzał na niego spod oka. Czyżby facet pamiętał go z dawnych lat, kiedy jeszcze chodził na premiery i rauty, a w efekcie jego gęba migłała w kolorowych plotkarskich pisemkach i internetowych portalach? Największą pożywkę mieli oczywiście z rozwodu.

Po chwili sokista ciągnął dalej:

– Ten film to są przeplatające się historie wielu ludzi, współczesnych Polaków, ale pomyślałem o jednej z nich. Mąż i żona wraz z parą przyjaciół, choć to właściwie jest szef tego faceta z żoną. No w każdym razie towarzystwo wraca samolotem z wakacji, chyba w Egipcie, bo wszyscy ociekają potem. W pewnej chwili miejsce obok tej pary zajmuje namolny, a do tego gruby i jeszcze bardziej spocony Anglik.

Podbiał pomyślał zaraz o tamtym gadatliwym grubasie na peronie i gehennie kogoś, kogo bezduszny system skazał na wielogodzinną podróż w jego towarzystwie.

– Z początku jest nerwowo – perorował gospodarz pomieszczenia, które można chyba nazwać z dawną wartownią – choć z punktu widzenia grubasa całkiem fajnie. Aż do chwili, gdy dochodzi do turbulencji. Samolotem nieźle rzuca. W pewnym momencie

facet dostaje zawału serca i umiera. I co robią nasi bohaterowie, kiedy się orientują, co się stało?

– Nie wiem. – Kostek podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

– Są przerażeni. Potem jednak zaczynają kalkulować na zimno. Jeśli o zgonie na pokładzie dowie się załoga samolotu, na pewno będzie to oznaczało awaryjne lądowanie gdzieś w Rumunii czy Bułgarii. I kilka, a może kilkanaście godzin w plec. A przecież wszystkim się spieszy, każdy chce się jak najszybciej znaleźć w Polsce, w swoim domu i swoim łóżku. W efekcie udają, że nic się nie stało, a mąż nakłada nawet trupowi swoje okulary przeciwsłoneczne. Dopiero na Okęciu zmarłego pasażera znajduje stewardesa, ale to już nikogo nie obchodzi...

– Jeśli dobrze rozumiem pańską opowieść, dzisiaj... przepraszam, ale już wczoraj, takim samolotem z Egiptu był Kormoran, a ja skomplikowałem wieczór wielu osobom?

Nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie, bo do siedziby SOK-u weszło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy.

– Spokój? – zapytał ich szef.

– W miarę. Tylko na podmiejskim trochę gówniarzy, co wracają z dyskoteki – odpowiedział jeden z nich.

Kostek nie przypuszczał, żeby ten człowiek miał zamiar robić mu jakieś wymówki. Chyba wręcz przeciwnie: najprawdopodobniej dziewięciu na dziesięciu pasażerów, dokonawszy w pociągu makabrycznego odkrycia, zamknęłyby czym prędzej drzwi i wróciło na swoje miejsce. Może nawet modliło się, żeby nie znalazł się ktoś nadgorliwy, nie powiadomił drużyny konduktorskiej, a potem to już wiadomo, co by było: bal w lesie pod Pomiechówkiem.

Nadkomisarz Konstanty Podbiał wyręczył wszystkich. Mimo że był po służbie, nie potrafił inaczej i wziął temat na klatę. Swoje też z pewnością zrobił fakt, że skojarzył ciuchy tego człowieka, bo widział je chwilę wcześniej. Gdyby nie to, pewnie nie zajrzały nawet do kibla i pomyślał, że komuś się nie chciało za sobą drzwi zamknąć. Jego sprawa.

Zresztą chyba nawet nie zasłużył na lincz. Pasażerom siedzącym w ostatnim wagonie kazano się przesiąść, tłumacząc, że są kłopoty techniczne. Kostek przez cały czas warował przy wychodku, niczym drapieźnik strzegący upolowanej właśnie zdobyczy. Mimo że tak naprawdę była to padlina. Usłyszał słowo „bomba”. A także „zakazony”. Nie wiadomo już, co gorsze. A potem wagon z nieboszczykiem po prostu odczepiono. Szczęście w nieszczęściu, był ostatni.

– Godzina opóźnienia to chyba nie tak źle, co? – zapytał szef miejscowej SOK, jakby jakimś cudem zajrzał do biednej Kostkowej głowy i poznał jego myśli. – Bywało gorzej.

Rozległo się pukanie i do pomieszczenia wszedł komisarz Andrzej Rudzki, współpracownik Kostka ze stołecznej.

– Mamy wszystko? – Podbiał odezwał się pierwszy.

– Tak jest.

– Ja się już pożegnam. – Wyciągnął rękę do szefa SOK-u. – Pewnie się jeszcze zobaczymy.

– Nie wyjechał pan na weekend... – tamten ni to stwierdził, ni to zapytał.

– Czasem i tak bywa.

Podbiał wrzucił podrózną torbę z dopiero co zaczęłą książką na tylne siedzenie służbowego volkswagena, którym przyjechał Rudzki, i po chwili usiadł obok niego, na miejscu pasażera. Ukrył twarz w dłoniach, następnie potarł ją energicznie.

– Przepraszam, że zepsułem ci piątkowy wieczór – powiedział.

– I tak nie miałem co robić – odrzekł młody. – Rodzina wyjechała do dziadków na wieś. Podobno ma być ładna pogoda przez weekend, więc jeśli trzeba współczuć, to chyba tylko tobie.

– Nie ma problemu. Kiedyś to sobie wynagrodzę. Zresztą czułem przez skórę, że to się nie może udać.

Ruszyli. Siedzący za kółkiem Rudzki referował:

– Wojciech Ożóg, lat pięćdziesiąt cztery, ostatnio zamieszkały Warszawa ulica Brzeska, ale czy jeszcze tam jest jego szczoteczka do zębów, należałoby sprawdzić. Patologia, alko, znany miejscowym organom. Częsty bywalec Wschodniej. Przed laty karany za drobne kradzieże, których dokonywał na dworcu, ostatnio się uspokoił...

– Tak, byłem nawet świadkiem próby podjęcia pracy przez obywatela Ożóg Wojciecha – zaśmiał się Kostek. – Gdyby nie to, gdybym sobie typa nie zarejestrował w prywatnej kartotece w głowie, pewnie byłby teraz pod opieką moich dawnych kolegów w Olsztynie...

Kilka godzin wcześniej Kostek był pewien, że cwaniaczek wszedł do pociągu, żeby po prostu się odlać. Albo to drugie. Zwykła ludzka potrzeba, a gdy przypili, to stajesz się nagle taki mały. W grę wchodziła też jazda na gapę, a ubicacja była najlepszym miejscem, żeby się ukryć, przynajmniej na jakiś czas. Problem w tym, że przy Wojciechu Ożogu, którego na miejscu zgonu poddano wstępny oględzinom, w wewnętrznej kieszeni wyświechtanej jesionki znaleziono ważny bilet na przejazd. Do Ciechanowa. Kostek obracał właśnie w rękę ów dokument zapakowany w folię na dowody rzeczowe.

– Przy kimś takim trafić miejsce to dopiero ból i niefart – powiedział do siebie, do Andrzeja zaś rzekł: – Na szczęście nasz denat był człowiekiem starej daty i kupił bilet po bożemu, czyli w kasie. Mamy tutaj nie tylko jej numer, ale też dokładną datę i godzinę.

– Gdyby bilet kupił ktoś przez internet, to nawet łatwiej by było go namierzyć, bo przy transakcji musisz podać nazwisko – zauważył Andrzej.

– Jan Kowalski na przykład. Albo Nowak. Można mu nawet dać jakieś nowoczesne imię, choćby Allan. Albo, kurwa, Brajan!

– A IP komputera?

– Kawiarenka internetowa. Chyba jeszcze jakieś działają w tym mieście, co? W przeciwieństwie do budek telefonicznych...

Kostek, mimo że nie zawsze było mu po drodze z technicznymi nowinkami, tym razem nie dał się zagiąć młodszemu koledze.

– Ale co? Myślisz, że ktoś taki ot, tak poszedł i kupił sobie bilet? A może komuś buchnął? – spekulował po krótkiej chwili milczenia komisarz Rudzki.

– Trochę więcej szacunku dla zmarłego, komisarzu – rzekł Podbiał z udawaną przyganą. – Sam przed chwilą powiedziałeś, że pan Ożóg przeszedł na dobrą stronę

mocy. Może ktoś w Ciechanowie naprawdę rwie sobie teraz włosy z głowy, bo ten, na którego czekał, nie wyszedł z pociągu. Tak czy siak, trzeba będzie sprawdzić. No i nie oddalajmy się za bardzo od istoty rzeczy.

Miał rację, nie był to wszak jeszcze koniec niespodzianek. Znalezione w ubikacji trup miał bowiem przy sobie coś ciekawego. I to nie nowiutka czapeczka kibica wyróżniała tego osobnika, a jednocześnie nie pasowała do reszty garderoby i ogólnie anturażu, ale dowód numer dwa, który w tej chwili Kostek Podbiał ważył w rękę. Był to zegarek i już na pierwszy rzut oka można było ocenić, że nie kosztował kilkudziesięciu złotych w hipermarkecie.

– Ile to może być warte? – chciał wiedzieć Rudzki.

– Ostatnio w mojej Arkadii widziałem omegę za pięćdziesiąt koła. Widziałeś kiedyś pięćdziesiąt koła?

– W telewizji. Ale to jest omega.

– Nie. To Festina, hiszpańska marka, ale korzenie ma szwajcarskie. Myślę, że ten zegarek mógł kosztować do tysiąca złotych. Do tego jest mało używany, zauważ, szkiełko bez jednej ryski. – Napiął folię, a potem podniósł zegarek, jakby chciał jeszcze powąchać skórzany pasek, co potwierdziłoby jego domysły, ale zrezygnował.

– No to już na bank musiał komuś go skroić! – zachnął się komisarz Rudzki. – A na szkiełku może się jeszcze zachowały linie papilarne...

– Sprawdzimy – sapnął Podbiał. – Bo w tym przypadku raczej się nie dowiemy z monitoringu, kto i kiedy go kupił. Mam zegarmistrza, który na każdej wymienianej baterii w zegarku wpisuje datę, ale to pewnie też niewiele by pomogło.

Pozostała ostatnia rzecz, właściwie najważniejsza: zbrodnia. Wyglądało to trochę tak, jakby stołeczni stróże prawa oddalali od siebie ten temat, zajmując się drobiazgami.

– Cios nożem w serce – zaczął Kostek. – W plecy. Precyzyjna robota, jak powiedział doktor. Sprawca wiedział, jak i gdzie celować. Hitlerowski komandos tam samo załatwił starego leśniczego w jednym z odcinków *Czterech pancernych*. Narzędzia brak.

– A to oznacza, że mogłeś widzieć zabójcę, a nawet otrzeć się o niego...

Kostek zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Od pierwszej chwili. Wiedział też, że najlepiej dla sprawy, która się właśnie zaczęła, byłoby, gdyby zatrzymać wszystkich pasażerów do wyjaśnienia. Albo jechać razem z nimi i zabawić się w pieprzonego Hercule'a Poirota z *Morderstwa w Orient Expressie*. To pierwsze było oczywiście niewykonalne, a drugie prawie niewykonalne. Chyba że pociąg jechałby nie do Olsztyna, ale do Świnoujścia, i nigdzie po drodze się nie zatrzymywał. Wreszcie zabójca mógł zabić Wojciecha Ożoga i po prostu wyjść z wagonu. Tutaj pomoc mógł tylko zapis monitoringu, ów Wielki Brat, którego wszyscy tak bardzo się kiedyś bali. Tylko czy w starych pullmanach jest w ogóle monitoring? W składach zespolonych, takich jak flirt czy pendolino, to tak, na pewno...

– Może to porachunki między miejscowymi żulami, co? – zastanawiał się głośno Rudzki, ruszając spod świateł na placu Bankowym.

– Wtedy zabójca zabrałby fant – zauważył Kostek.

– Mógł nie zauważyć zegarka.

– Wątpliwe. Na pewno przetrzepał denata, choć ktoś mógł go spłoszyć. To było naprawdę niewiele czasu. Ile pociąg stał na peronie, zanim doszedłem na miejsce? Minutę? Zresztą może to nie porachunki, ale zwykła grabież. Ożóg mógł się za bardzo chwalić nowym nabytkiem. Trzeba będzie jeszcze raz pogadać z sokistami. Ich szef wydaje się kumaty, mimo że nie wygląda.

– A potem jeszcze samemu przyjrzyć się miejscowej żulii?

– Nie inaczej. Jestem też ciekaw, jak wyglądała droga Ożoga z hali dworcowej, gdzie go widziałem po raz pierwszy, na peron czwarty. Jego ostatnia droga. Czy z kimś gadał, kogoś nagabywał jak tę babkę z ogromną walizką? Zresztą nie wiem, po co to robił, skoro zaraz wybierał się w tak daleką podróż.

– A może to jakiś nagabywany się wkurwił i sprzedał mu kosę? – ożywił się Rudzki. – Różni zawodnicy chodzą po ziemi.

Gdy TKL Kormoran, krótszy o jeden wagon, odjechał do Olsztyna z niemal godzinnym opóźnieniem, Podbiał poczuł się dziwnie, patrząc na czerwone sygnały końca pociągu, znikające w październikowej mgle. Zupełnie jakby spóźnił się na ten pociąg, a przecież nigdy w życiu mu się to nie zdarzyło... Po chwili na szczycie schodów prowadzących do przejścia podziemnego pokazali się ci, na których Podbiał czekał. Przywitał się z prokuratorem i lekarzem sądowym. Zaraz po nich na miejsce dotarła ekipa dochodzeniowa: panowie z walizkami prawie nie różnili się od innych podróżnych, zdążających na swoje pociągi.

Podbiał w kilku krótkich żołnierskich zdaniach przedstawił istotę problemu. Policjanci i sokiści odpędzali gapiów, ruch na Wschodnim, z wyłączeniem jednego toru, odbywał się przecież normalnie. Jeden kmiotek to miał nawet pretensje i zaczął wykrzykiwać, że nawet nie dadzą popatrzeć, jak... ten film kręć. I że pewnie kolejny serialowy gniot.

– Wyniki sekcji zwłok i daktyloskopia będą pewnie na poniedziałek – powiedział Kostek, spoglądając w zamyśleniu w przednią szybę, za którą było już widać mur Powązek. – Trzeba będzie też przejrzyć monitoring.

– Rozrywka akurat na sobotę.

– Dokładnie. Kino Konesera i Warszawski Festiwal Filmowy. Zresztą chyba nawet zaraz startuje. I jeszcze przypomnieć sobie podobne sprawy, czyli żuli i kolej.

– Zrobi się – mruknął Rudzki, bo, jak rozumiał, urlop Kostka Podbiała miał trwać nadal.

Minutę później zatrzymali się pod domem nadkomisarza na Bielanych.

4

Wyrzał przez okno swojego bielańskiego mieszkania. Widok podobał mu się niezmiennie, ale poza tym było do dupy. Szara i nieprzyjemna sobota. Wczoraj Rudzki wspominał coś o ładnej pogodzie w pierwszy październikowy weekend, z której zamierzali skorzystać jego najbliżsi, ale to nie w Warszawie. Może tam, dokąd pojechali, świeciło słońce? Podbiał nawet nie zapytał kolegi o kierunek eskapady. Nadrobi w przyszłym tygodniu.

A ciekawe, jak jest nad jeziorami. Może nie mam czego żałować – zastanawiał się, popijając kawę, do której wlał resztę śmietanki z kartonowego pudełka, a właściwie to je wyżymał.

Był ciągle w domu, w Warszawie. I za bardzo nie wiedział, co ma z tym fantem zrobić.

– Zamawiał pan ciepłe bułeczki? – dobiegło z przedpokoju, chwilę po tym, jak znajomo trzasnęły zamykane drzwi wejściowe.

Po chwili na progu kuchni stanęła ładna dziewczyna. Była to naturalna blondynka średniego wzrostu, o długich, prostych włosach i niebieskich oczach. Aniołek po prostu! Gdyby ją tak ustawić przy naszych sprinterkach-medalistkach, które nazywano aniołkami, na pierwszy rzut oka trudno by było je odróżnić.

Kilka godzin wcześniej, około drugiej w nocy, Kostek przekręcił klucz w zamku i wszedł do mieszkania. Nie zapaliwszy światła, położył torbę na podłodze, odwiesił kurtkę i zszuł buty. Poczul znajomy, miły zapach. Wszystko było tak, jak być powinno w chwili powrotu z podróży. Tylko że żadnej podróży nie było.

Wszystkie te czynności wykonywał jednak najciszej, jak potrafił. Ale Kornelia Banaś, bo tak się właśnie nazywała ta dwudziestoczteroletnia kobieta, była czujna. Już miał iść do swojego pokoju, kiedy jednak górne światło nagle zabłysło, a potem ujrzał dziewczynę z kijem baseballowym w rękach.

Kornelia była jego koleżanką z pracy, którą wspañiałomyślnie przygarnął pod swój dach, bowiem w jej mieszkaniu właśnie rozpoczął się remont. Oczywiście wszystko musiało się odbyć w zupełnej tajemnicy, żeby nie było gadania. I pytań kumpli, z „bzyknałeś ją wreszcie?” na czele. Właściwie to nawet zdążył o tym zapomnieć, co zrobił (starość nie radość), i że podkomisarz Banaś u niego pomieszkuje. Uświadomił to sobie dopiero, gdy zamykał za sobą drzwi. Kogoś mogła sobie przecież na noc przygruchać, wykorzystać wolną chatę.

– Wręcz marzę o ciepłych bułeczkach – powiedział, by dodać z powagą: – Dobra żona by z ciebie była, Kornelia.

– Jeśli tylko znalazłby się taki naiwny. – Położyła na stole reklamówkę z zakupami.

– Na pewno się znajdzie.

– Na emeryturze pewnie. Mojej oczywiście.

A to jeszcze dość długo, bo niedawno minął rok, odkąd razem pracowali. Stołeczna to był jej pierwszy przydział służbowy po Szczytnie. Świetny strzał, właściwie trudno o lepszy, ale Kostek wciąż nie wiedział, czy to aby nie za sprawą jakichś koneksji.

Kiedy dołączyła do ich sekcji, a było to w czasie prowadzonej przez Konstantego Podbiała akcji pod kryptonimem „Syreny”, od razu wiedział, że się dogadają. Oczywiście było trochę tarć, normalnych na styku młodego ze starym, było trochę fochów i cichych kwadransów (bo przecież nie dni!), jak to między kobietą a mężczyzną. Choć babki w policji nigdy taryfy ulgowej nie miały, a nawet jej nie chciały mieć, bywało, że dawał jej fory. Kiedy więc poprosiła o pomoc w sprawie kwatery, nie wahał się ani chwili.

– Mam tylko nadzieję, że mocno ci nie skomplikowałem życia, co? – zapytał Kostek, kiedy już jedli jajecznicę ze świeżymi bułeczkami z masłem i żółtym serem, co było ulubionym weekendowym śniadaniem Kostka.

– Rozumiem, że próbujesz w ten sposób zapytać, czy nie planowałam schadzki w twoim gniazdku? Albo imprezki do rana? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Pyszna jajecznica – oceniał. – Cieszymy się tym smakiem, bo w najbliższym czasie nie będzie świeżych jaj ze sprawdzonego źródła. Zawsze kupuję u tego samego chłopca na targowisku, wiesz? I zawsze najwięksi, jakie ma.

– Właściwie to czemu nie pojechałeś do siebie porannym pociągami? – chciała wiedzieć Kornelia, przechodząc nad tematem jaj do porządku dziennego.

– Czyli jednak coś planowałaś? – tym razem to on odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie odpowiem na żadne pytanie bez obecności mojego adwokata...

– ...ty siepaczu katonarodowego reżimu – dokończył Kostek.

Zaśmiali się, choć pewnie niejedyn, który usłyszałby ten dialog, zdziwiłby się, a może i przeraził. Ale oni byli w takiej komitywie, że mogli sobie w ten sposób żartować. Podbiał pamiętał jedną z pierwszych rozmów z młodą, kiedy zwróciła uwagę na nieregulaminowe działania policji, o których było swego czasu głośno. Parę głów nawet za to poleciało. Pomyślał wtedy, że mogą być z nią kłopoty. Ale szybko się od tej obawy uwolnił i zaczął traktować jak równą sobie.

– Pewnie, że mógłbym jechać porannym pociągami – podjął po chwili. – Proponowali mi nawet, że przebukują w kasie bilet. Bez problemu. Ale straciłem ochotę na wyjazd. Czasami po prostu tak mam. – Wzruszył ramionami.

– I co masz zamiar robić?

– Właśnie się nad tym zastanawiam – przyznał Kostek. – A może mi w tym pomożesz, co? Jakie masz plany na resztę weekendu?

– Przede wszystkim pojechać do swojego mieszkania i sprawdzić, jak postępują prace. Odczuwam niepokój.

Podbiał pokiwał głową z powagą, a nawet ze smutkiem, jakby i jemu udzielił się nastrój koleżanki. Potem powiedział, choć może powinno być to pytanie:

– Potrzebne będzie wsparcie.

– Nie rozumiem.

– Najlepszy byłby oddział „czarnych”, ale myślę, że we dwoje sobie poradzimy. Wiem co nieco o remontach i ekipach remontowych...

Banaś patrzyła na niego bez słowa, jakby nie rozumiała języka, w którym do niej mówi. Albo na coś czekała. Na przykład na wytłumaczenie dowcipu, bo różni ludzie chodzą po tym łez padole i czasem jest to po prostu konieczne. A wcześniej na wybuch śmiechu. Ale Kostek był wciąż poważny. Potem uśmiechnął się do niej, co miało najpewniej zadziałać pokrzepiająco. Ale kiedy nic się u Kornelii nie zmieniło, zaczął tłumaczyć:

– Jak powiedziałaś, ruszyli z remontem w czwartek, tak? – zapytał, a kiedy potwierdziła niemo, perorował dalej: – I od tego czasu nie byłaś w domu i nie wiesz, na jakim etapie są prace. A nawet czy w ogóle ruszyły i panowie majsterkowie są na miejscu?

– No.

– Czy aby wszystkiego nie rozgrzebali, bo przez ten czas spokojnie można to zrobić, i nie poszli pracować w inne miejsce? No bo jaki respekt, z całym szacunkiem, mogą

czuć przed młodą, w dodatku ładną dziewczyną? Jak cię znam, to nie pochwaliała się, gdzie pracujesz.

– No skąd! – zachnęła się.

– Dlatego uważam, że będzie ci potrzebne wsparcie.

Wreszcie skończył litanię, której nie powstydziliby się ich naczelnik z KSP, podinspektor Krzysztof Kontra. Ale Kornelia nic na to nie powiedziała. Wstała po prostu od stołu, pozbierała talerze i sztuce, by umieścić to wszystko w zmywarce. Był to jeden z nowych nabytków w Kostkowej kuchni, właściwie prawie nieużywany. Ten stan rzeczy zmieniło dopiero pojawienie się w tym domu nowej kobiety.

– I co ty na to? – Konstanty Podbiał chyba się nie spodziewał, że jego pomysł i szczerze oddanie zostaną w ten sposób przyjęte.

– Jeżeli chcesz się mnie pozbyć, bo masz konkretne plany na sobotę i niedzielę, wystarczyło powiedzieć. Coś sobie znajdę, choćby u siostry...

Aż wstał z taboretu. Gdyby to był ktoś bliski, na pewno objąłby ją teraz w pól. Tak jak przed laty Kaśkę, bo często przesiadywali w tej kuchni i czasem właśnie tutaj się kochali, jak nie chciało im się iść do sypialni czy salonu. Choć też dochodziło między nimi do scysji. Oczywiście nie jednocześnie z bzykankiem ani nawet po.

A więc nie objął Kornelii. Tylko rękami w powietrzu zamachał.

– O czym ty gadasz, kobieto?! – prawie krzyknął. – Przecież nie to miałem na myśli! Nikt cię nie wygania. Siedź u mnie, ile chcesz...

Po chwili Kornelia zrobiła, co kazał: usiadła przy stole. Ale Kostek nie. Wsparł się rękami o blat niczym dowódca armii nad planem miejsca, gdzie za chwilę rozegra się bitwa, być może decydująca o losach całego konfliktu. Ta dziewczyna była jedną z nielicznych istot na tym świecie, z którymi jako tako się dogadywał. Jeszcze niedawno nie wierzył w przyjaźń między kobietą a mężczyzną, dziś szczęśliwie jej doświadczał.

– Tak, to dobry pomysł – powiedziała Kornelia po chwili. – Pojedziemy razem zobaczyć, czy wszystko w porządku z remontem.

Kostek z ulgą wypuścił z ust powietrze. A potem nawet się uśmiechnął. Sobota już go nie przerażała. Nie musiał szukać sobie na siłę zajęcia ani do czegokolwiek się zmuszać, a na dodatek czuł, że jest potrzebny. Poza tym chyba jeszcze nigdy nie występowali razem w takich okolicznościach. Czasami udawali parę zakochanych, ale żeby robić coś tak poważnego, jak kontrola postępu prac remontowych, to nie.

– O której chcesz ruszyć? – zapytał.

– Może gdzieś za godzinę co? Dajmy ludziom pospać. Jest sobota.

– Jasne.

– I jeszcze musisz mi obiecać, że będziesz spokojny. Nie gniewaj się, ale słyszałam o wypadku, kiedy jeden gliniarz wyciągnął przy robotnikach „klamkę”, odbezpieczył i radził im, aby się lepiej pospieszyli z robotą.

– Przynajmniej posłuchali?

– Nieważne. Obiecujesz?

– Obiecuję! – Podbiał uniósł prawą rękę i dwa złączone palce.

– Dziękuję. A póki co opowiesz mi po kolei i jak na spowiedzi o wszystkim, co się wydarzyło wczoraj na Wschodniej.

Niemal dokładnie w tej samej chwili, gdy Kornelia Banaś wypowiadała nazwę dworca, przed jego gmachem parkował samochód z komisarzem Andrzejem Rudzkim w środku. Akurat szczęśliwie zwolniło się miejsce na parkingu przy Kijowskiej, on zaś wolał na razie nie rzucać się za bardzo w oczy, na przykład parkując przed samymi drzwiami wartowni SOK, czyli od szczytu. Znał takich w Pałacu Mostowskich, którzy by sobie podobnej przyjemności nie odmówili. Jeszcze drzwiami by napierdalali, szeryfowie z taniego westernu.

Nie miał wcale za złe Podbiałowi, że będzie musiał działać dzisiaj w pojedynkę. Wręcz przeciwnie: było mu to na rękę. Przeczytał niedawno kilka nowych francuskich książek z zakresu kryminalistyki i miał zamiar sam sprawdzić, czy dobre rady mają w ogóle jakieś zastosowanie w tym kraju. Poza tym najnormalniej w świecie chciał się pochwalić na poniedziałkowej odprawie czymś, do czego sam, bez niczyjej pomocy, się dokopał. Lata szkolne już dawno minęły, a on wciąż miał w sobie coś z klasowego prymusa. Na szczęście nie był przy tym skarżypytą, a takich w firmie, niestety, wciąż przybywało...

Szeffa SOK, o którym tak pochlebnie wypowiadał się Kostek, nie było. Ale zastępca był. Kawał chłopca, co to z mętami różnej maści z pewnością sobie radził, a jednocześnie uśmiechał się niewinnie. I na szczęście wiedział, o co chodzi, nie trzeba więc było od nowa sprawy naświetlać.

- Pewnie będzie pan chciał zacząć od monitoringu? Dobrze myślę? – zapytał.
- Dokładnie tak – potwierdził Rudzki.

Przeszli do pomieszczenia z ekranami. W podobnych kanciapach, które komisarz odwiedzał podczas swojej pracy, a były to najczęściej pomieszczenia ochrony w centrach handlowych, gdzie dzielni chłopcy zatrzymali sklepowego złodzieja, a zatem w ich królestwach, w których czuli się jak Wielki Brat, zawsze śmierdziało. Była to wyjątkowa mieszanka potu, niepranych skarpet i kiełbasy, najważniejszego składnika kanapek, które pracownik ochrony robił sobie do pracy, by mieć siłę. Albo jego kochająca żona.

Ale tutaj było inaczej: pokój dobrze wywietrzono, a gdyby poszukać, pewnie w kontakcie elektrycznym tkwiłby odświeżacz powietrza. A to wszystko na Wschodniej, niemal na przedmurzu Azji!

- Już szukam wczorajszego wieczoru. – Palce sokisty z zadziwiającą prędkością zastukały na klawiaturze komputera. – Z tego, co mi przekazano, była kłótnia denata z jedną kobietą w punkcie obsługi pasażera.

- Zgadza się. Ale wolałbym zacząć od wejścia do hali – odrzekł Rudzki.

- No tak, historia musi mieć jakiś początek – zgodził się tamten. – Bo koniec już przecież znamy. Staramy się nie wpuszczać tych trolli na teren, ale nie zawsze nam się udaje. Wie pan komisarz, jak jest. Drzwi sporo, mamy braki kadrowe, a i przyjęć byle kogo do służby to też nie jest dobre wyjście...

- Zacznijmy zatem od wejścia – dokończył oficer z rozbrajającym uśmiechem.

Tamten naprawdę znał się na rzeczy, bo minutę później na ekranie, który wskazał Rudzkiemu, pojawiła hala główna. Ruch był spory, jak to w piątek po południu,

i w pierwszej chwili wyłuskanie z tłumu konkretnej osoby wydawało się bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe.

– Jest! – rzekł z triumfem sokista.

Andrzej poczuł się, jakby był na ważnym egzaminie, w dodatku zupełnie nieprzygotowany. Dlatego milczał, bo to była jedyna właściwa taktyka. W teleturnieju Jeden z dziesięciu, który oglądał od czasu do czasu w telewizji, lepiej jest nic nie powiedzieć, niż strzelić jakąś piramidalną bzdurę. Niektórych mądrych inaczej to nawet pokazywali potem na Canal+, żeby jeszcze więcej ludzi mogło mieć zabawę. A tak to zawsze wyjdzie, że wiedziałeś, ale po prostu czasu ci zabrakło, żeby sobie przypomnieć.

W tym przypadku milczenie również okazało się złotem. Po chwili wielki paluch gospodarza dziobnął ekran.

– To ten kutafon – powiedział, zaraz się jednak zmiłogował. – Chociaż podobno o zmarłych to trzeba dobrze albo wcale... Wojciech Ożóg? Dobrze pamiętam?

– Znałście go? – zapytał policjant, mimo iż wiedział, że za chwilę obejrzy także relację z interwencji ochrony dworca.

– Owszem, rzucał się w oczy. I nie tylko w oczy. Podróźni skarżyli się na nieprzyjemne zapachy. Czasem nawet, jak któremuś nie posłużyła kuchnia u karmelitów, puścił pawia, tak jak stał. Ożóg to nawet rządził ferajną, póki nie przyszedł lepszy od niego kozak. Na szczęście przekazanie władzy odbyło się w sposób pokojowy. Odtąd Ożóg jakby przycichł, rzadziej bywał na terenie. Może chory był? Pewnie wasz lekarz coś znajdzie jakiegoś rakowskiego...

– Z pewnością – mruknął Rudzki, po czym wbił spojrzenie w ekran.

Po chwili ujrzał Kostka Podbiała. Rozpoznał go bez trudu, mimo niecodziennej perspektywy. Siedział na ławce i czytał książkę. Wyglądał, jakby nic poza lekturą go nie obchodziło. Chociaż nie: zareagował, kiedy babka z dużą walizką prosiła o to, aby ją przepuścić. Film był niemy, ale przecież wczoraj się dowiedział, o co chodziło. I jaki był tego finał. O, właśnie na planie pojawił się Ożóg. Krótka wymiana zdań. Pewnie każdy na miejscu tej babki zachowałby się tak samo. To nie był czas na macanie rączek walizek.

– Gdzie mam szukać korytarza głównego? – Andrzej przez chwilę był zdezorientowany.

– A tutaj. – Mężczyzna wskazał inny monitor, a po chwili pod jego wielkimi paluchami znów zastukały klawisze komputera.

Rudzki rozpoznał Ożoga. Kloszard szedł powoli, jakby mu się nie spieszyło. Nawet jeśli zamierzał jechać tym pociągiem, a bilet w jego kieszeni nie znalazł się przypadkiem i miał zostać wykorzystany, to jako dworcowy łazik dobrze wiedział, że zdąży dotrzeć na peron. Jeszcze w ustronnym kącie zapalił przed podróżą „cudzesa”. I się odlać. Chociaż nie, to ostatnie to już by była przesada na takich salonach. A załatwić mógł się w pociągu. Tylko że to jego ktoś załatwił.

Nic – pomyślał z rezygnacją komisarz.

I już miał poprosić „telekino” o obraz z peronu czwartego, gdy na ekranie dostrzegł jakiś ruch. Zbliżył twarz do szkła.

– Można zrobić zbliżenie? – zapytał. – A przede wszystkim zatrzymać, a potem cofnąć. Bo chyba coś mam...

– Wszystko można, tylko z wolna i ostrożna – odpowiedział ze swadą sokista.

Tym razem klawisze pod jego palcami już nie stuknęły jak sypiące się kamyki na górskim zboczcu. Ale efekt był: Wojciech Ożóg cofnął się kilkanaście kroków, a wraz z nim pozostali ludzie, których złapano wczoraj w podziemnym korytarzu, o czym oczywiście nie wiedzieli, a jak wiedzieli, to nie zaprzęтали sobie tym głowy. Tylko czy wszyscy?

Operacja odbyła się w przyspieszonym tempie jak na starym filmie i wyglądała zabawnie. Ale Rudzki był skupiony.

– Wystarczy – powiedział. – A powiększenie?

– Tylko nieruchomy obraz.

– Niech i tak będzie. Jedziemy!

Ożóg jeszcze raz ruszył w swoją ostatnią drogę na ziemi. Tę świadomą, bo przecież będzie jeszcze podróżował na Wólkę, gdzie czeka na niego dołek w ziemi. Rudzki zamrugał powiekami i jeszcze raz wbił wzrok w monitor.

– Widzi pan?! – zawołał po chwili. – Ktoś nagle wyskoczył z boku i mocno go pchnął!

– Wygląda na to, że tak – zgodził się fachura, splatając ręce na szerokiej kłacie. – Ale może to nie był atak, tylko ktoś, kto się spieszył, przypadkowo na niego wpadł. W tym czasie na dworcu było tłoczno. Zrobić powiększenie?

Policjant potwierdził. Wciąż wpatrywał się w ekran, aż w końcu musiał potrząsnąć głową, bo go szczypały. Tymczasem obrotowy sokista robił swoje. Jakies dwie minuty później, przez które żaden z nich nie odezwał się słowem, pochłonięty pracą i własnymi myślami, były efekty.

– To jakiś gówniarz w bluzie z kapturem – powiedział sokista, jego gość zaś zaczął wyrzucać z siebie kolejne zdania niczym rasowy komentator sportowy:

– Wyskoczył w stronę Ożoga tylko jeden raz i wydaje mi się, że nie tylko napał na niego ramieniem, ale zadał cios drugą ręką. Szybka akcja, o której powodzeniu decyduje zaskoczenie przeciwnika. Ale czy to cios nożem? Da radę coś wyostrzyć? – Ostatnie pytanie wyraźnie różniło się od wcześniejszych zdań.

– Obawiam się, że w naszym Metro-Goldwyn-Mayer jesteśmy w stanie zrobić tylko tyle, panie komisarzu. – Gospodarz rozłożył szeroko ręce. – Ale może wasi specjaliści będą potrafili wycisnąć z tego coś więcej. Płytkę oczywiście dam.

– Zobaczymy – mruknął komisarz.

– Możemy oglądać dalej? Czy już pan wszystko wie?

Andrzej skinął głową, ale zaraz nią pokręcił. Wciąż przecież było tego tyle co nic. Po chwili Wojciech Ożóg zniknął z pola widzenia. Czyli wszedł na schody prowadzące na peron. A co z tamtym w bluzie z kapturem? Chyba dał dyla, ale w drugą stronę.

Rudzki czuł, że to dobry trop i trzeba za nim iść. Spojrzał na zegarek: dochodziła jedenasta. Czas go gonił. Miał zamiar jeszcze wpaść na Brzeską, aby zapytać tam o denata. Wciąż też nie napoczął kwestii podobnych zdarzeń.

– Ma pan zapis monitoringu od strony dworca podmiejskiego? – zapytał.

– Stacja Raclawicka. Drzwi otwierają się z lewej strony – rozległo się w głośnikach wagonu, a pociąg metra zaczął hamować.

– Dla debili ten komunikat chyba – skwitował Podbiał pod nosem. – Przecież nawet dziecko wie, gdzie i jak wysiąść...

Kiedy za bocznymi szybami wagonu pojawiły się światła stacji, nadkomisarz i Kornelia podnieśli się z miejsc i ruszyli ku drzwiom. Parę sekund później stanęli na peronie i Kostek odetchnął z ulgą. Pomógł mu w tym chłodny powiew październikowego powietrza, który czuło się jeszcze na peronie za sprawą przeciągu.

Wyszli ze stacji. W alei Niepodległości, mimo soboty, ruch był spory. To wszak czas sobotnich zakupów, na dodatek przed niedzielą niehandlową, te bowiem są coraz większą rzadkością, należy więc uzupełnić zapasy. I jeszcze więcej zapasów, jeszcze więcej, więcej, bo „parking i ram pam pam pam...”.

Na razie jednak Kostek i Kornelia mieli przed sobą inne zadanie: należało, tak jak ustalili przy śniadaniu, sprawdzić, jak sprawuje się ekipa, którą dziewczyna wynajęła do remontu mieszkania po babci. Nie generalnego, bo na to nie miała ani czasu, ani środków. Coś tam jednak należało poprawić, aby żyło się lepiej.

– Dawno tu nie byłem – powiedział Kostek. – A kiedyś ta część Mokotowa nawet mi się podobała, wiesz?

– Mnie to właściwie obojętne – odrzekła dziewczyna. – Mogę na Moko, mogę na Bielanych.

– Jeśli myślisz o tym, żeby się zamienić, to nic z tego.

– Nie widziałeś jeszcze mojej mety!

– Już się nie mogę doczekać.

Zagłębili się w uliczki dzielnicy. Gdzieś tutaj było kino Iluzjon, w którym Kostek był kiedyś z żoną na jakiejś premierze, a może był to pokaz filmu w ramach jesiennego festiwalu. Już nie pamiętał. W okolicy mieszkali i hasali w czasie okupacji chłopcy z Szarych Szeregów, których czynami, tyleż bohaterскими, co wariackimi, zachwycał się jeszcze w liceum. Tutaj pęd wielkiego miasta nie był tak wyczuwalny. Mimo że trwała już jesień, a w dodatku dzień był ponury, było ciepło. W działających jeszcze kawiarnianych ogródkach siedzieli goście, a przed lodziarnią stała spora kolejka.

Minęli skrzyżowanie z ulicą Kwiatową.

Cała Kwiatowa i pół Mokotowa! – Kostek przypomniał sobie znaną, starą gadkę miejscowej ferajny, być może nawet tej przedwojennej.

Kiedy skręcili w lewo, Kornelia poinformowała go, że już niedaleko. Ulica nazywała się Lewicka. Z jednej strony straszyły stare rudery, w których tu i ówdzie w oknie tkwiła dykta, z drugiej obok lśniły nowością eleganckie, wysokie budynki. Było raczej wątpliwe, by krewna jego koleżanki z pracy zdążyła sobie uwić gniazdko w takim właśnie domu, ale nie mógł to być także bardzo stary dom.

– Jesteśmy. – Kornelia wskazała ruchem głowy kamienicę, nie najgorszą, zdecydowanie powojenną.

Na tabliczce wymalowano cyfry 9/11. Na początku pracy w stolicy Kostek nie wiedział, że w niektórych przypadkach takie oznaczenie to tylko numer domu, a nie

budynku i mieszkania. Raz nawet miała miejsce pozałowania godna pomyłka; na szczęście nikt wtedy nie zginął ani nikomu „czarni” nie połamali kręgosłupa, a różnie bywało.

Zanim weszli do bramy, Banaś zatrzymała się i nasłuchiwała. Po chwili uśmiechnęła się.

– Chyba kują – brzmiała diagnoza.

Podbiął skinął głową, mimo że on z kolei nic nie słyszał. Ale był starszy i czasami zmysły go zawodziły, do czego oczywiście nikomu by się nie przyznał. A na przechytrzenie komisji lekarskiej też było wiele sprawdzonych sposobów.

– Myślę, że nie zajmie nam to więcej niż pięć minut – powiedziała Kornelia, kiedy już wspinali się po schodach na drugie piętro.

Kostek dałby głowę, że warkot jakiejś maszyny, owszem, było słyhać, ale gdy mijali drzwi mieszkania na parterze. Ale nic nie powiedział.

– Dzień dobry! – zawołała wesoło dziewczyna, przekraczając próg swojego mieszkania, rada, że nie musi przekrzykiwać hałasu.

Ale zaraz sama go spowodowała, bo kopnęła w blaszane wiadro, które stało zaraz za drzwiami, na szczęście puste.

– Co się tam dzieje, kurwa?! – dobiegło z głębi mieszkania.

Rzeczywiście niezła meta – ocenił Kostek, wchodząc po chwili do mieszkania, w którym czuć było zapach farby, ale nie tylko.

– To ja się pytam, co się tu dzieje, kurwa! – Banaś wydała z siebie głos, jakiego jeszcze u niej nie słyszał.

W odpowiedzi zadzwoniło szkło, stuknęło coś, może drzwiczki kuchennej szafki, w której winni próbowali ukryć obciążające dowody. Ale dziewczyna już była tam, skąd doszły podejrzone dźwięki. Mogło się wydawać, że los robociarzy, złapanych na gorącym uczynku, będzie marny. Kornelia miała rację, kiedy kilka godzin temu mówiła, że odczuwa niepokój.

– Właśnie zabieraliśmy się do roboty, kierowniczo! – zawołał jeden z nich. – Tylko po jednym prostowniczym musielim, żeby farba dobrze trzymała.

– Ale panowie, tak nie można... – W jej głosie wyraźnie zagrała rozpacz, a może bezradność pomieszana z niedowierzaniem, zupełnie jakby powietrze, jeszcze przed chwilą grożące wybuchem, już z niej zeszło.

– Dzień dobry. – Konstanty Podbiął wychylił się zza framugi drzwi, dzięki czemu tamci dwaj mogli go zobaczyć i utwierdzić się w przekonaniu, że żarty się skończyły.

Ale na razie to on się przeraził. Dawno nie widział takiego syfu: uwalanego farbą i błotem zlewu, podłogi całej w śladach buciorów. No i wreszcie alkohol, bo majsterkowie nie wszystko zdążyli w porę skitrać do szafki czy pod grzejnik. Była to najtańsza, prymitywna gorzała. Na zagrychę mieli wędzoną makrełę, sądząc po resztkach, które leżały na gazecie, a ta z kolei na szafce, gdzie Kornelia na co dzień wykladała pewnie zakupy.

Tylko że i on jakby nagle języka w gębie zapomniał. Wiedział, że nie może po prostu powiedzieć „Panowie, tak nie można”. Stanowczo nie. A nic innego jakoś nie przychodziło mu w tej chwili do głowy. Nie tak, zupełnie nie tak wyobrażał sobie tę scenę, kiedy rano oferował Kornelii pomoc. Miał być jak ten wspomniany przez nią

gliniarz, z tą jednak różnicą, że spokojnie poradziłby sobie bez wyciągania żelastwa zza paska.

Co się zatem stało?

– Przepraszamy... przepraszamy państwa... – wydukał jeden z robotniczy.

Ale to nie to, że się zaczął kajać i jękać, nie. Zaczął zresztą dopiero teraz, a Kostek i Kornelia zbaranieli do reszty już wcześniej. Co się zatem, do kurwy nędzy, wydarzyło takiego, że ich zatkało? Rzecz cała w tym, że fachowcy, którzy mieli się zająć remontem mieszkania przy ulicy Lewickiej, mogli być pijani, a nawet naćpani, ale mogli być też trzeźwi jak ryby. I tak nic by to nie zmieniło. Z prostego powodu: jeden nie miał lewej ręki, a drugi prawej nogi.

O kuchenny parapet stały oparte kule. Tak, byli z niepełnosprawnościami. Tu nie można było mieć wątpliwości. Pytanie tylko, co tutaj robili. A jeśli pracowali, o czym świadczyły ich drelichowe, upstrzone farbą stroje, to jak? Jak sobie ktoś taki radził chociażby z wejściem na drabinę?!

– Przepraszamy na chwilę. – Podbiał pociągnął dziewczynę za łokieć i wyciągnął z kuchni, a kiedy już znaleźli się w pokoju, który wyglądał na salon, zapytał: – Zatrudniłaś takich fachowców? Oczywiście to bardzo szlachetne z twojej strony, Kornelia, i tak dalej. Ale...

– Nie, nie! – wykrztusiła wreszcie z siebie. – Pierwszy raz ich na oczy widzę. To są chyba jakieś żarty!

Ledwo wypowiedziała te słowa, ktoś wszedł do mieszkania. Zrobił to oczywiście bez pukania. I jeszcze drzwiami trzasnęła, choć mogła to być także wina przeciągu, bo pijackowie otworzyli okno w kuchni, aby szybciej pozbyć się kompromitujących woni. Po chwili policjanci (cały czas incognito, choć może ręka świerzbiła) stanęli twarzą w twarz z jakimś facetem. Ten już miał wszystkie kończyny na miejscu.

– To z nim wszystko załatwiałam... – zdążyła jeszcze powiedzieć Kornelia Banaś.

– Dzień dobry państwu – szef ekipy remontowej, która opanowała jej mieszkanie, przywitał się z galanterią i uśmiechem. – Jak pani widzi, prace idą pełną parą. – Gestem godnym cyrkowego konferansjera wskazał na kuchnię.

Dziewczyna szybko odzyskała pewność siebie.

– Właśnie o tej parze chciałabym porozmawiać, a dokładnie o wyziewach, bynajmniej nie z mojego zlewu – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Wytłumaczy nam pan, co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego w kuchni jest taki burdel, a pana ludzie piją alkohol w miejscu pracy?! – ostatnie zdanie to już wykrzyzczała.

Ale nie była w stanie zetrzeć uśmiechu z twarzy tamtego mężczyzny.

– Jest takie stare przysłowie: gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, droga pani – powiedział. – Moi pracownicy są naprawdę mistrzami w swoim fachu, a sama pani widzi, że nie jest im łatwo. Owszem, drobnych opóźnień nie będziemy w stanie uniknąć, za co z góry przepraszam. Ale praca będzie wykonana. I to solidnie. Jestem pewien, że pani koleżanki zaniemowią z zachwyty.

Podbiał chrząknął znacząco, miał bowiem wrażenie, że jego obecność w ogóle nie została dostrzeżona. A przecież nie tak miało być.

– Proszę pana... – zaczął, ale tamten zaraz mu przerwał:

– I rodzina także będzie zadowolona! – zawołał i do tego klasnął w dłonie, co wypadło nawet przekonująco. – Pańska... córka jest w naprawdę dobrych rękach, szanowny panie. Uwiniemy się z robotą w trymiga.

– Tak? – bąknął Kostek.

– Obiecuję, jak tu stoję. A z pracownikami zaraz porozmawiam. Możecie być państwo pewni, że płazem im tego nie puszcze.

7

Mimo że Wojciech Ożóg nie żył od jakichś osiemnastu godzin, jego obraz, który prezentował się w głowie komisarza Andrzeja Rudzkiego, stawał się coraz żywszy. Nabierał kolorów. A wszystko za sprawą kolejnych czynności śledczych, którego to sformułowania policjant użyje z lubością w poniedziałkowy poranek, podczas odprawy. O, na pewno będzie miał się czym pochwalić.

Ale zacząć należy od końca, a dokładnie od końca pana Ożoga. Do owego końca z dużym prawdopodobieństwem przyczynił się tajemniczy osobnik w bluzie z kapturem i z jakimiś na razie trudnymi do odczytania napisami, którego komisarz dostrzegł na nagraniu z dworcowego monitoringu. To, co się wydarzyło w głównym przejściu podziemnym Wschodniej, było jeszcze lepiej widoczne od strony dworca podmiejskiego, czyli od Lubelskiej.

Młody, sądząc po ruchach i agresywności, człowiek zaatakował kloszarda. Co do tego nie można było mieć wątpliwości. Dostarczył do niego i zadał kilka szybkich ciosów. Ożóg był zaskoczony, nic nie zwiastowało ataku, żadna wymiana zdań, słowna utarczka, która rozsierzdziłaby młodego. Wyglądało na to, że czekał na swoją ofiarę. Mimo to kloszard nie przewrócił się, a jedynie zachwiał. Nie próbował się również bronić, albowiem napastnik zaraz się oddalił. Być może na tym polegała jego taktyka: drapieźnik kontra stare, duże zwierzę, od którego stroni reszta stada.

Potem w raporcie będzie o tym stadzie właśnie. Po wyjściu z wartowni SOK komisarz przeszedł się po dworcu. W sobotnie przedpołudnie nie było tu już takiej gorączki, jak w piątkowy wieczór. Jakaś grupka wesołych globtroterów przemieszczała się właśnie w stronę dworca podmiejskiego, skąd pewnie ruszy kolejką na krajoznawczą wyprawę. Oni mieli jeszcze siłę i ochotę. Ale generalnie, kto z warszawskich wyrobników, codziennych bywalców Mordoru, miał opuścić stolicę, zrobił to już wczoraj. Weekend jest stanowczo zbyt krótki, żeby tracić choćby kilka godzin. W piątek wieczorem, zaraz po powrocie w domowe pielesze, można jeszcze sporo zdziałać, jeśli chodzi o życie towarzyskie.

Kostek zgrywał twardziela, ale na pewno pluje sobie w brodę, że znalazł tego sztywnego i nie pojechał w swoje strony – pomyślał Rudzki.

Mimo że czas go gonił, bo chciał dobrze wykorzystać tę sobotę i przygotować się do odprawy, po dworcu przemieszczał się niespiesznym krokiem. Nie miał bagażu, więc wyglądał na człowieka czekającego na kogoś, kto ma przyjechać do Warszawy, ale pociąg jest opóźniony.

W pewnym momencie Andrzej pomyślał sobie nawet o innym policjancie, który czekał na opóźniony pociąg, tyle że to było na Centralnej. Tamten człowiek wołał wrócić do domu. Nazywał się Marek Papala i kto wie, jak by się wszystko potoczyło, gdyby został i poczekał na ten cholerny pociąg, którym miała przyjechać jego matka...

Choć Rudzki przyglądał się wszystkiemu na pozór obojętnym wzrokiem, jego wprawne oko szybko złowiło tych, których trzeba. Miał zamiar nie tylko przyjrzeć im się bliżej, ale też zasięgnąć języka. Siedzieli we trzech w środku wiaty przystankowej, jakieś pięćdziesiąt metrów od budynku dworca. Andrzej udawał, że studiuje rozkład jazdy autobusów. I w pewnym momencie naprawdę zaczął czytać.

Autobus linii 120, przystanek końcowy: Olesin. Nigdy tam nie byłem. Czy to w ogóle jeszcze Warszawa? – zastanawiał się.

– Mam osiem czterdzieści. – Kosmaty osobnik w rudej jesionce zakończył odliczanie bilonu i zaraz zacisnął monety w brudnej dłoni. – Będzie akurat na jednego byka i coś na ząb.

Dwóch pozostałych nie skomentowało tych rewelacji. Jedno wino marki Byk, bo chyba o to chodziło, to było przecież tyle co nic. Może oni też planowali uczcić jakoś sobotni wieczór.

– Odrażające! – fuknęła starsza kobieta z charakterystyczną dla emerytów torbą zakupową na kółkach; zapewne chciała usiąść sobie na ławeczce, aby poczekać na autobus.

– Ależ zapraszamy szanowną panią! – Ten w jesionce i przy kasie przesunął się na siedzisku. – Miejsce zawsze się znajdzie.

– Szczególnie dla pięknych kobiet – dorzucił drugi, jeszcze niestary, którego charakteryzował zez.

Kiedy Rudzki poczuł dym papierosowy, oderwał wzrok od rozkładu jazdy i wychynął zza ścianki, na której go umieszczono.

– Tu chyba nie wolno palić – rzucił trochę groźnie, trochę pouczająco.

Teraz dodatkowo poczuł na sobie trzy spojrzenia. Nie, nie było w nich nienawiści ani wrogości. Raczej obojętność i zmęczenie. Ten, który palił podłego papierosa, zaraz zgasił go o chodnikową płytę, choć nie zdusił. Żeby było na zaś.

– O co panu chodzi? – burknął trzeci, chudy, z czerwoną gębą. – My tu tylko czekamy na autobus. Każdemu wolno.

– Autobus do Olesina? – Rudzki przypomniał sobie końcowy przystanek linii i omal nie wybuchnął śmiechem.

– Do Olesina – potwierdzili jednocześnie i z powagą wszyscy trzej rezydenci wiaty.

Andrzej wszedł nieco głębiej i zatarł dłonie. Rozejrzał się na boki, jakby w obawie, że ktoś może podsłuchiwać, i pochylił się. Wiedział już, w jakim iść kierunku. I że nie powinna to być litania dzielnicowego, który ostrzega przed niebezpieczeństwem w postaci typka w bluzie z kapturem.

Z kolei ci trzej już się chyba domyślali, że tak jak oni nie wybierali się na północno-wschodnie peryferia miasta, tak temu facetowi tak naprawdę wisiało, co tutaj robią. Mogli nawet nasrać. I najpewniej to w ogóle na co dzień autobusami nie jeździł. I gdyby postawili na to całe osiem czterdzieści, które miał przy sobie jeden z nich, trafiliby bez pudła!

– Sprawa jest, nie? – zaczął Rudzki ściszym głosem i na cwaniacką modłę. – Szukam jednego takiego. Mówili, że go znajdę na Wschodniej. Robotę dla niego mam.

Chyba wystarczy tych bzdur na jeden niezbyt już świeży wydech – pomyślał, po czym wyprostował się i znów rozejrzał na boki.

– Informacja kolejowa to tam. – Chudy wskazał ruchem głowy budynek dworca i zachichotał, ale zaraz dostał łokciem w bok od kamrata, tego, który miał na Byka i który po chwili, patrząc śmiało w wymuskaną twarz natręta, burknął:

– Nie znam człowieka.

Komisarz Rudzki się tym nie przejął. Właściwie to nawet spodziewał się takiej albo podobnej śpiewki.

– A może któryś z kolegów zna tego, którego szukam, choć jeszcze nie zdążyłem powiedzieć, jak się nazywa? – zapytał, po czym wyciągnął z kieszeni przygotowaną dychę, zaszeleścił nią w palcach. – Jest bardzo podobny do tego pana na obrazku. To co? Myślę, że w tej biedrze na dworcu można za to kupić całkiem niezłe portugalskie wino. Na pewno lepsze od tego mózgojeba, którego zamierza nabyć kolega. I pewnie samemu opierdolić.

Widział, jak poruszają się grdyki zezowatego i chudzielca. Zupełnie jakby pod skórą obudziły się małe zwierzęta. Jeszcze głośniejsze zaszeleścił.

– To co? Gdzie znajdę Ożóg Wojciecha? – zapytał.

I wstrzymał oddech w oczekiwaniu na reakcję kloszardów. Czy usłyszawszy, że chodzi o nieboszczyka, będą próbowali wcisnąć mu każdy kit i będzie mógł potem pisać na Berdyczów? A może zwałą na niego wszystkie winy, oczernią jak tylko można, by dostać robotę zamiast niego? Chociaż chuj wie, co to za robota, a ten koleś, co płaci, to może zbok jakiś? Zresztą gdyby chcieli, to wystarczy powiedzieć, że Ożóg dostał wczoraj kosę i już go nie ma. Przecież nie mogli nie słyszeć o tym, co się wydarzyło w wieczornym TLK do Olsztyna.

– Powiem, jak jest z Ożogiem, i nie chcę za to pańskiej dyszki, do tego pewnie fałszywki – odezwał się po chwili ten kosmaty w rudej jesionce, czemu towarzyszył zbiorowy jęk towarzyszy, którym marzyła się łatwa kasa, niechby i trefna, i trochę lepszy napitek.

– Słucham.

– Otóż, miły panie, nie wydaje mi się, żeby ten człowiek wziął pańską robotę, jeśli to rzeczywiście o to chodzi. Może jeszcze niedawno tak, pobiegłby w podskokach i po rękach całował, bo czasem bywało, że trzeźwiał i inaczej patrzył na świat. A wtedy jakby próbował wszystko naprawić, lata stracone nadrobić. Mówił, że to anioł tak mu kazał. Ale jakiś czas temu chyba naprawdę jakiegoś spotkał, bo przestał się tutaj pokazywać.

– I kolegów poznawać – wtrącił zezowaty.

Rudzki przypomniał sobie o kozaku lepszym od Ożoga, który się na Wschodniej zjawiał. Że niby to któryś z tych? No chyba nie. Ale na razie trzymał to dla siebie.

– Anioł?! – prychnął tylko z pogardą. – Jaki anioł, kurwa?

Tamten, którego za sprawą wyglądu i całkiem mądrej mowy Andrzej nazwał właśnie w duchu Prorokiem, tylko wzruszył ramionami. Po czym zaczął jeszcze raz przekładać drobne monety z jednej reki do drugiej.

Rudzki mógł oczywiście w każdej chwili wyciągnąć policyjną blachę i zacząć rozmowę od nowa, tym razem trochę innym, na pewno mniej przyjemnym tonem. Ale to, co powiedzieli, właściwie nie przeczyło temu, co już o denacie wiedział. Pojawił się jakiś anioł i dał degeneratowi nie najgorszy hiszpański zegarek, a potem ufundował przejażdżkę pociągiem. Czyżby z Ciechanowa ten anioł?

Co dalej? Przyszedł szatan w czarnym kapturze i wszystko zepsuł? A może tym szatanem by trzeba było postraszyć? Może ktoś postanowił oczyścić świat z takich jak oni, a zakaz wstępu na dworzec Warszawa Wschodnia to nie jest najgorsze, co może ich spotkać...

– Mam jego adres, ale najpierw wolałem zasięgnąć języka. Mieszka na Brzeskiej, nie? A przynajmniej tam zameldowany. No nic. Zapytam szefa, bo może dla was coś by się znalazło, jakaś fucha. Dostaliśmy na ten cel specjalną dotację z Unii Europejskiej. Czasem się na coś przydają, biurokraci jebani... – ten monolog stawał się coraz bardziej drewniany, a aktor zdawał sobie z tego doskonale sprawę.

Wybawieniem okazał się radiowóz straży miejskiej, który zatrzymał się przy przystanku.

8

Konstanty Podbiał, zbaraniały jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zobaczył nietrzeźwych pracowników bez nogi i bez ręki, stał na korytarzu kamienicy przy Lewickiej. Z któregoś z mieszkań dobiegł strzęp melodii hejnału z Krakowa. A zatem połowę soboty miał już z głowy.

Kornelia jeszcze po coś poszła do sypialni. Nie mógł odpędzić od siebie wizji, w której pijani majsterkowie zwalają się do jej łóżka, żeby uciąć sobie drzemkę. Nie widział jej łóżka, ale wyobrażał sobie, że takie właśnie jest: delikatne jak ona sama, pachnące, starannie zasłane. A teraz zostanie skalane...

– Już jestem. – Banaś zamknęła za sobą drzwi mieszkania i zarzuciła na ramię gustowny, niewielki, wypchany czymś plecaczek.

Zaczęli schodzić na dół. Można było się śmiać, choćby z tego, że Kostek został wzięty za jej ojca. No bo chyba nie z tamtych kalek, mimo że ochlapłusy. Można było psioczyć na ekipę i jej szefa z doklejonym uśmieszkiem. I pewnie prędzej czy później wyleją żale. Teraz jednak cisza nad tą trumną. Tylko warkot maszyny na parterze, o którym jeszcze kwadrans temu Kornelia naiwnie myślała, że to z jej mieszkania dochodzi taka piękna i dająca nadzieję muzyka.

Byli już na ostatnim, czy raczej pierwszym półpiętrze, gdy ktoś otworzył drzwi mieszkania na parterze po prawej stronie (wtedy huk stał się głośniejszy), a po chwili wyszedł stamtąd jakiś młody mężczyzna. W rękach trzymał płaski telewizor, a może to był spory monitor od komputera? Tyłkiem przytrzymał drzwi, aby cicho się zamknęły.

Spojrzenia policjantów i jego spotkały się na chwilę, ale tamten zaraz uciekł wzrokiem. Ruszył ku drzwiom klatki schodowej. Chciał je otworzyć nogą. Gdy to się nie udało, próbował nacisnąć klamkę łokciem, ale wtedy sprzęt niebezpiecznie zatańczył mu w rękach.

– Może pomogę. – Kostek, który nie wiadomo kiedy znalazł się przy chłopaku z parteru, usłużnie nacisnął klamkę, ale drzwi tylko uchylił. – Szkoda by było, żeby upadło, nie?

– Kto by to wtedy na giełdzie kupił? – dodała Kornelia. – Szmelc.

Monitor znów niebezpiecznie zakołysał mu się w rękach, bo osobnik zaczął się szarpać. Ale już go mieli.

– Nie wiem, o czym pani mówi – warknął.

– A ja myślę, że dobrze wiesz. – W jednym ręku Kornelii zabrzęczała srebrna biżuteria w postaci kajdanek, a w drugiej błysnęła policyjna blacha; a jednak wzięła ze sobą swoje zabawki.

– Ale jak chcesz – wtrącił Kostek – to możemy teraz wrócić do mieszkania, z którego właśnie wyszedłeś, i wszystko na spokojnie wyjaśnić. Jeśli kupiłeś ten fajny sprzęt na oeliksie i właśnie odebrałeś od pana Waldka z Mokotowa, to cię zaraz przeproszę przy świadkach i posypię głowę popiołem, a może nawet wypowiadam się na łamach „Faktu”. To jak?

Złodziej nie szedł w zaparte. Zagryzł wargi, milczał. Po chwili zaczęła mu drżeć broda.

– To jak? – powtórzył policjant.

Kiedy tamten jeszcze raz się szarpnął, Kornelia zdecydowanym ruchem uderzyła w jego nadgarstek ruchomą częścią jednej z metalowych obręczy, a potem rozległ się charakterystyczny i krótki zgrzyt.

– I po krzyku – mruknęła niczym pielęgniarzka wstrzykująca szczepionkę komuś, kto bał się zastrzyków.

Mieli go, w dodatku zupełnie przypadkowo i przy sobocie. Wystarczyło, że na siebie spojrzeli. Skinienie głową i decyzja. Wszystko trwało może ze dwie sekundy. Jedyny minus, że w kamienicy dziewczyny. Co prawda nie wysypała się, że mieszka wyżej, zna wszystkich sąsiadów i dlatego wydał jej się podejrzany, a dotąd wydawało jej się, że to w miarę spokojna okolica. Poza tym mógł ją zapamiętać, bo pewnie wcześniej filował.

Wyszli na podwórko. Nadkomisarz Podbiał odebrał kosztowny fant, zupełnie jakby to on właśnie dokonał sąsiedzkiego zakupu, postawił ostrożnie na chodniku, podczas gdy jego partnerka przyczepiła drugą część kajdanek do metalowego i zamkniętego elementu najbliższej ławeczki. Na szczęście nie siedziały jeszcze na niej tutejsze kumy; Mokotów był w tej chwili chyba jedną z najstarszych dzielnic Warszawy.

Jedynym problemem był teraz transport zatrzymanego. Kostek znał osobiście kilku takich, co by się tym nie przejmowali, tylko obili delikwentowi mordę w jakimś dyskretnym miejscu. I kto wie, czy skutek dla społeczeństwa nie byłby nawet lepszy niż niekończące się pielgrzymki do sądów, słuchanie wywodów cwane papugi czy wymachiwanie zwolnieniami lekarskimi. Metrem też się przewoziło, jak w westernie 3:10 do Yumy.

Odszedł na bok, wyjął telefon i szybko połączył się z kim trzeba.

– Dajcie mi tu kogoś z Malczewskiego – powiedział niezbyt głośno. – Trzeba odebrać domokrążcę. Tak, zgubił się w wielkim mieście. Ulica Lewicka... – Spojrzał wyczekująco na Kornelię.

– Dziewięć na jedenaście – podpowiedziała i nawet nie przewróciła przy tym oczami, bo jak można nie zapamiętać.

– Dziewięć na jedenaście – powtórzył i w porę ugryzł się w język, bo już chciał dorzucić, że jedenaście to nie jest numer mieszkania.

Podszedł do ławeczki, na której z opuszczoną głową siedział chłopak. Nie miał więcej niż dwadzieścia dwa, góra cztery lata. Kto wie, może to, jak w przysłowiu, okazała uczyniła złodzieja? Tak jak Kornelia zasluchał się w wibrujący dźwięk maszyny i postanowił spróbować szczęścia. Niestety, tej soboty nie będzie mógł zaliczyć do udanych...

– Zaraz będzie podwózka – ogłosił Kostek.

– Super, bo zaczynam się robić głodna – powiedziała Banaś.

Z klatki schodowej wyszedł starszy mężczyzna z psem na smyczy. Ujrawszy Kornelię, ukłonił się, ale wypadło tak, że pozdrowienie było skierowane do wszystkich obecnych. Nie wiadomo, czy dostrzegł kajdanki. Kornelia pomyślała wtedy, że chyba trzeba będzie potem obejść wszystkie mieszkania i zafundować sąsiadom pogadankę na temat zagrożeń. Że nie tylko metoda na wnuczka i na policjanta. Albo lepiej zleci to dzielnicowemu. Piesek, a był to długowłosej jamnik z tęczową obróżką, na koniec sprawiedliwie wszystkich obszczekał, co na takim podwórku było odczuwalne szczególnie mocno.

– Lepiej chodźmy na ulicę – powiedział Kostek.

Tak zrobili. Nadkomisarz pochylał się, aby podnieść z chodnika skradziony monitor. Zaraz pomyślał, że jeśli minęliby się teraz z właścicielem remontowanego mieszkania albo ktoś by z niego wyskoczył, to pewnie chwilę by potrwało, zanim wyjaśniliby sytuację.

Dlatego zrobił to, czego za bardzo nie lubił: powiesił sobie policyjną blachę na szyi. Ledwo to zrobił, zza chmury wyszło słońce. A potem ujrzał wycelowany w siebie palec nastolatka jadącego na hulajnodze, byli już bowiem na ulicy. Sekundę później zamiast wskazującego środkowy, w nieco innej pozycji. Nie przejął się tym zbyt, bo był przyzwyczajony. Czasem rozdawał autografy, czasem oglądał fakulce.

Złodziej został skuty z przodu, ale kajdanek mu nie przykryli, bo nie było czym. Zresztą to nie było centrum handlowe, gdzie taki widok mógłby popsuć atmosferę zakupów. Poza tym lada chwila mogli się spodziewać samochodu z komendy przy Malczewskiego.

– Ja też już bym coś zjadł – mruknął Kostek, spojrzawszy na zegarek.

Nagle po drugiej stronie ulicy, pod rozpadającą się ruderą ze starymi szyldami i zabitymi dyktą oknami, ujrzał jakiegoś chłopaka. Stał z rękami w kieszeniach, a kiedy poczuł na sobie wzrok policjanta, nagle odwrócił się i zrobił kilka nerwowych kroków w stronę Madalińskiego.

– To twój kamrat? – Podbił szarpnął ramieniem złodzieja, ruchem głowy wskazując tamtego.

– Kto? – prychnął chłopak i mimo wszystko się zaśmiał. – Mów po ludzku, dziadek!

Kostek odchrząknął, żeby zamaskować zakłopotanie. Było nawet silniejsze niż złość, że tamten nazwał go w ten sposób.

– Wspólnik, kurwa! – zachnął się. – Taki, co stoi na czatach, czeka na fanty. Mam ci tłumaczyć złodziejski elementarz? Kiwnij łbem, a może kara będzie łagodniejsza. Dwie rybki w sieci zawsze inaczej wyglądają niż jedna. I we dwóch na dołku różniej. Nie powiem, że go podpierdoliłeś...

Kiwnął głową. Na to Kornelia swoją pokręciła. Jej partner dopiero chwilę później się zorientował, że to miało oznaczać dezaprobatę. Bez słowa ruszyła przed siebie, przecięła ulicę tuż przed nadjeżdżającym radiowozem. Machnięciem ręki zdążyła jeszcze przeprosić kierowcę.

Kostek był kompletnie zbity z tropu, miał dylemat, co powinien teraz zrobić. Na szczęście z suki szybko wyskoczył krzepki sierżant, któremu przekazał zatrzymanego, a gdy ten znalazł się w gościnnym, ciepłym wnętrzu, także dowód rzeczowy numer jeden. Ale przez cały czas, przez boczne szyby samochodu, obserwował, co dzieje się z dziewczyną, gotów w każdej chwili biec jej na ratunek.

Ale to chyba nie było potrzebne. Podkomisarz Banaś stała przed tamtym młodym mężczyzną, coś do niego mówiła, a nawet gestykulowała. Nie, to stanowczo nie były negocjacje, czy pan ma w tej chwili dołączyć do wspólnika i wsiąść do radiowozu, który właśnie nadjechał, czy może sobie pójść wolno.

– Cześć, opiekujcie się nim dobrze! – Kostek zawałał jeszcze do mundurowych.

– Nie ma sprawy – dobiegło z budy. – Będzie miał miłe i kulturalne towarzystwo. Akurat zapełniamy cele tymi, którzy nie chcieli wziąć udziału w spisie powszechnym.

Zarechotali. Ale kiedy radiowóz odjechał w stronę Różanej, uśmiech zniknął z twarzy Podbiała. Podążył śladem Kornelii. Wciąż tam stała i rozmawiała.

– ...ile razy mam ci to jeszcze powtarzać?! – usłyszał jej drżący, podniesiony głos; sprawiała wrażenie zdenerwowanej, a jednocześnie zawstydzonej.

– Jakiś problem, pani komisarz? – zapytał po chwili, oficjalnym tonem.

– Nie. Właśnie zakończyliśmy rozmowę – odpowiedziała.

– Poczekaj, Kornelia! – Chłopak zdołał złapać ją za łokieć. Nie wyglądał wcale na zakapiora i miał nawet miły głos, choć wyraźnie grała w nim rozpacz.

– Nie wrywała mu się. Spuściła głowę.

Wyczuwam silne emocje – pomyślał Kostek, który nie miał się co prawda za wybitnego znawcę kobiet, ale w tym przypadku sprawa wydawała się jasna. Tym bardziej że chłopak nie trzymał już jej łokcia, ale dłoń. W takim przypadku Podbiał powinien powiedzieć, że poczeka w samochodzie. Tylko że przyjechali metrem.

Ale Kornelia rozwiązała ten problem.

– Spotkamy się na Bielanych, dobrze? – rzekła do niego normalnym głosem i z przepaszającym uśmiechem. – Mam jeszcze coś do załatwienia.

Poczuł lekkie ukłucie w sercu. Złowił spojrzenie chłopaka. Tak, była w nim duma. Dopiął swego, a Kostek chyba się domyślał, kim jest.

– Jasne – odpowiedział. – Do zobaczenia na Bielanych.

Ulica Brzeska często pojawiała się w policyjnych raportach, szczególnie tych, które pisano w pobliskiej komendzie przy Cyryla i Metodogo. Ale jakiś czas temu sytuacja zaczęła się polepszać. Pomiędzy starymi kamienicami, gdzie strach było przechodzić nie tylko po zmroku, wyrosły apartamentowce. Oczywiście nie oznaczało to, że starzy mieszkańcy nagle zniknęli albo zaczęli się nosić i żyć jak ci nowi. Ale część powymierała, inni wyemigrowali, a dzieci już nie przechodziły przyspieszonego kursu życia na podwórkach, tylko, jak cała reszta, w internecie.

Rudzki nie miał problemu ze znalezieniem domu, w którym był zameldowany zmarły tragicznie Wojciech Ożóg. Brzeska 11. Na lewo od bramy niewielki sklepik spożywczo-monopolowy. Akurat jakiś facet wychodził z niego bynajmniej nie z flaszką w rękę, ale z hot-dogiem, na którego widok Rudzki od razu poczuł się głodny. Po prawej zaś ustawiono na jezdni kontener na gruz, wypełniony prawie po brzegi. Czyli działa się. Budynek trzypiętrowy, stary, od parteru w górę nieotynkowany. Piękne, metalowe balkony trzymające się ściany na słowo honoru, rdzę i wodę święconą sprzed wielu dekad...

Volkswagena komisarz zostawił przy dworcu, a kilkuminutowy marsz przeznaczył na zebranie myśli. Zresztą dobrze się stało, bo i tak nie byłoby gdzie zaparkować. Nawet taka Brzeska nie uchroniła się przed ekspansją wszechobecnych, metalowych słupków w barwach narodowych. Przywileje stróża prawa miały jednak swoje granice, wreszcie: nadal nie miał zamiaru rzucać się w oczy.

– Mieszkania osiem – mruknął pod nosem, wchodząc do bramy.

Na podwórku również było, delikatnie mówiąc, wiele do poprawienia. Kto wie, może i tutaj kiedyś zajrzy wspomniana przez niego kilka chwil wcześniej Unia Europejska.

Rudzki skierował kroki w stronę drzwi klatki schodowej. Nie strzegł ich żaden domofon, na dodatek były otwarte. I pomyśleć, że tak kiedyś było wszędzie, na wszystkich osiedlach, w całym kraju. A potem przyszła nowa Polska i Polacy zaczęli się coraz bardziej zamykać w domach, bo wszystkim się wydawało, że teraz będą bogaci.

Wdrapał się na drugie piętro. Czuć było starym drewnem i gotującym się rosołem. Ósemka na drzwiach była wykonana z miedzi i mogła stanowić kąsek dla złomiarzy, którzy nie gardzili nawet literami i cyframi na Starych Powązkach. Im też ktoś w końcu powinien się dobrać do dupy. Ale ta cyferka wciąż tu była, tyle że przekreślona o 90 stopni, dzięki czemu tworzyła symbol nieskończoności. Jakby ten, który zmienił jej położenie, coś wiedział o losie lokatora.

To, że dzwonek działa, Andrzej jakoś z góry wykluczył, więc tylko zapukał. Ale potem i tak nacisnął przycisk i zaraz prawie podskoczył, rozległ się bowiem dźwięk tak nieprzyjemny i tak głośny, że umarłego by obudził. Ale Ożóg chyba już się nie łąpał.

– Kto tam? – zza drzwi dobiegł głos, ale nie sposób było ocenić, czy należy do kobiety, czy do mężczyzny.

– Proszę otworzyć. – Rudzki, mimo wielu lat przepracowanych w resorcie, wciąż nie czuł się zbyt komfortowo w pewnych sytuacjach. – W sprawie urzędowej.

– Przy sobocie? – Osoba po drugiej stronie była zadziwiająco czujna; oby takich więcej, a oszuści różnej maści nie będą mieli łatwego chleba.

– Tak się składa. Proszę uchylić drzwi, pokażę legitymację.

– Ale że przy sobocie...

Wreszcie zazgrzytał zamek, ale nie dołączył do niego zwalniany łańcuch. Ten jeszcze miał pełnić swoją rolę. Już się naprężył, a kilkanaście centymetrów nad nim Andrzej ujrzał zniszczoną twarz jeszcze nie starej kobiety. Właściwie to dopiero teraz doszło do niego, co za chwilę będzie musiał powiedzieć. Nigdy wcześniej nie był aniołem śmierci i zawsze współczuł kolegom, którzy musieli powiadamiać rodziny ofiar wypadków o zdarzeniu i jego skutkach.

Uniósł rękę z blachą i szybko wyrzucił z siebie pytanie:

– Czy tutaj mieszka Ożóg Wojciech?

Na szczęście kobieta za progiem miała dobry słuch, a do tego była przytomna.

– A prawdziwa ta pańska legitymacja? – zapytała.

– Prawdziwa, proszę pani, ale bardzo dobrze, że pani pyta. Nie chodzi o żadne pieniądze dla ofiary wypadku, a na pani konto w banku nikt się nie włamał.

– Nie mam konta w banku.

Słuszną linię ma nasza władza – pomyślał, a po chwili rzekł na głos:

– Mam tylko pytanie.

– Słucham.

– Czy tutaj mieszka Wojciech Ożóg?

Chwila milczenia.

– Nie. Już tutaj nie mieszka i to od dawna. Ile jeszcze będziecie nam zawracać głowę jakimś śmieciem?! – wyrzuciła z siebie ze złością, po czym, zanim przybysz zdążył cokolwiek powiedzieć, zatrasnęła drzwi.

Rudzki bardzo powoli schował odznakę do kieszeni. Z jednej strony było mu to nawet na rękę, z drugiej ucierpiała powaga urzędu, który reprezentował. Oczywiście wzywać „czarnych”, żeby drzwi otworzyli, to byłaby przesada. Uniósł rękę, aby jeszcze raz zadzwonić pod ósemkę, ale w końcu nie dotknął przycisku, a ręką machnął z rezygnacją.

Dopiero po chwili doszło do nieco, co powiedziała lokatorka. Ktoś już tu był, ktoś pytał o pana Wojciecha, którego nazwała śmieciem?

Na podwórku ujrzał człowieka w kufajce, co było przyodziewkiem coraz rzadziej spotykanym, przynajmniej w tym mieście. W dodatku człowiek ten przesuwiał kolorowe kubły na śmieci. A skoro to robił, to mógł to robić.

– Dzień dobry – rzucił Andrzej lekkim tonem akwizytora (różne rzeczy się w życiu robiło), zbliżywszy się do mężczyzny.

Ten otaksował go badawczym spojrzeniem.

– A dzień dobry – odpowiedział pod nosem. – Jak z dzielnicy, to od razu mówię: są tacy, co śmieci segregować nie będą i w dupie mają przepisy. Ale reszta mieszkańców nie ma zamiaru za to płacić. Jak coś, podam numery mieszkań. Może was posłuchają.

– Ożóg Wojciech też wrzuca szkło do obierków? – Rudzki chwycił za niewidoczny koniec sznurka.

– Ożóg – powtórzył facet w kufajce, jakby nie dosłyszał, a następnie zmarszczył brwi. – A dlaczego pan akurat o niego pyta, co?

– Mam swoje powody.

Miejscowy pan cieć, bo to bez wątpienia z nim miał honor rozmawiać Andrzej Rudzki, sugestywnie i głośno otrząpał dłonie. Nie spuszczał przy tym spojrzenia

z rozmówcy. Oderwał je dopiero po chwili i tylko po to, by zamknąć klapę zielonego pojemnika na butelki i słoiki. Huknęło na całe podwórko, a w środku zadzwoniło szkło.

– Proszę pana referenta, mecenasa czy kim tam pan jesteś – podjął po chwili – Ożóga nie ma i oby jego nazwisko więcej w tych murach nie padło, bo wielu ludziom krwi napsuł. I to, czy segregował śmieci, to przy tym mały pikus. A że nie płacił komornego, więc pewnego pięknego dnia przyszli z kwaterunku, wzięli za dupę i na zбитy pysk wywalili. Tym razem nie pomogły ani lamenty Ożóga, ani groźby. Tyle w temacie, panie szanowny.

Andrzej pokiwał w milczeniu głową.

– Na Wschodniej pan o niego pytaj, jeśli sprawa rzeczywiście taka ważna – dodał dozorca. – Pewnie wybiera się w daleką podróż, ale wybrać się nie może. Nie dalej jak miesiąc temu też tam ludzi wysłałem, ale czy go złapali, to już nie moja brocha.

– Jakich ludzi? – zapytał komisarz, siląc się na obojętny ton. – Pewnie coś komuś wisiał i nie chciał oddać, co?

Odpowiedzią miały być rozłożone ręce.

Rudzkim zatrzęsło. Zawsze tak miał, kiedy czuł, że jest blisko złapania tropu. Wiedział jednak, że tak jak nie uległ pokusie machania legitymacją służbową (poza tą babką na górze, ale może się nawet dokładnie nie wczytała), tak i teraz musi udać obojętność. Pies tańczył z Ożógiem Wojciechem. Z Ożógiem też. Przyszli po dłużnika, to pewne. I dorwali go, to coraz bardziej prawdopodobne. Doigrał się. Długi trzeba spłacać. Sam coś o tym wiedział, bo dopiero niedawno z tego wyszedł.

Dlatego zajął jeszcze do pojemnika, gdzie powinien być składowany papier, bo wydał mu się najczystszy, skinął głową cieciewi, co mogło oznaczać zarówno pochwałę dla ekologicznych działań mieszkańców, jak i samego ciecia i jego zaangażowania w sprawę.

Minutę później maszerował ulicą Brzeską w kierunku dworca. Szybciej niż w przeciwną stronę. Nie to, że chciał jak najszybciej znaleźć się z aucie i jechać do firmy. To też. A może nawet Podbiała wydzwonić, mimo soboty. W sumie to przecież nie powiedział, żeby mu dupy nie zawracać, tym bardziej że trop wydaje się właściwy.

Powód pośpiechu był raczej prozaiczny: pan komisarz poczuł silne parcie na pęcherz. Miejsc, gdzie mógłby oddać dług naturze, co prawda tutaj nie brakowało, ale... Może po ciemku prędzej, bo przecież człowiek jest tylko człowiekiem.

– Dacie radę, poruczniku! – mruknął do siebie.

Czasami z Kostkiem lubili używać dawnej nomenklatury, ale starali się tego nie robić przy młodej, czyli Kornelii, bo nie zawsze łąpała. Było już odrobinę lepiej, ale jeszcze sporo wody w Wiśle upłynie, zanim podkomisarz Banaś zacznie nadawać na tych samych falach i obrośnie w piórka.

Na szczęście już było widać budynek dworca. Zapaliło się czerwone światło na przejściu dla pieszych, więc Rudzki się zatrzymał. Dawno tak nie miał, to chyba od zimna. Przejechały dwa tramwaje i autobus. Wreszcie pokazał się zielony ludek i można było iść dalej. Andrzej wpadł do hali głównej z takim impetem, jakby w jego pociągu już kazali drzwi zamykać. Nie bardzo wiedział, gdzie tu są teraz toalety, czyli pożytek z porannych czynności operacyjnych żaden. Ale już jest piktogram: dwa ludziki, w tym jeden w sukience czy może spódnicy.

Pół minuty później Andrzej Rudzki stał przed pisuarem i szarpał się z rozporkiem. Wreszcie poczuł ulgę. Podwójną, bo obok akurat nikt nie stał, a to zawsze był pewien problem. Dopiero niedawno zaczęli stawiać przegrody między pisuarami w męskich ubikacjach, choć też nie wszędzie. Tutaj przed remontem na pewno nie było tak luksusowo.

– Już ja go przypilnuję, jak będzie wychodził! – usłyszał gniewny głos babci klozetowej, a po chwili do pomieszczenia ktoś wszedł.

– Oddychaj nosem, matka – padła odpowiedź.

Na szczęście Rudzki już kończył. Może dlatego spojrzął w bok, by zobaczyć klienta, co to się migał od płacenia. Dwa stanowiska obok rozpiął rozporek osobnik w czarnej bluzie z kapturem. Bluza miała napisy. Teraz można je było odczytać z łatwością.

10

Z Malczewskiego na Mokotowie w okolicy placu Zbawiciela był spory kawałek, ale Kostek postanowił go pokonać piechotą. A przynajmniej zacząć. Gdyby ktoś go o to zapytał, wytłumaczyłby to sobie w prosty sposób: powinien być w tej chwili w zupełnie innym miejscu, a tam na pewno prędzej czy później znudziłoby mu się siedzenie w domu i wyszedłby na długi spacer. Nad jezioro albo do lasu. W ostateczności pokręciłby się po mieście, w poszukiwaniu znajomych twarzy. Dlaczego więc tego wszystkiego nie miałyby zrobić teraz i tutaj?

Wciąż myślał o Kornelii i tamtym fagasie. Czuł się wystawiony do wiatru, mimo że przecież nic go z tą dziewczyną nie łączyło prócz pracy i tego, że ją teraz przygarnął, bo była w potrzebie. O postępie prac w jej mieszkaniu też już wiedział. A jednak coś było nie tak. Czy tamten to był, nie daj Boże, jakiś jej absztyfikant?

A co to mnie obchodzi? Nie jestem jej facetem ani tym bardziej ojcem – pomyślał.

Pomogło. Żwawym krokiem dotarł do Puławskiej i tam wszedł do tramwaju, którym podjechał kilka przystanków w kierunku centrum. Wsiadł na wspomnianym Zbawiksie, ale jego celem nie była żadna z mieszczących się tutaj modnych knajpek. Te co prawda działały, można było wpaść nawet na późniejsze śniadanie, ale była już jesień i to były naprawdę ostatnie chwile sezonu lancerskiego.

W pobliżu mieszkała Agnieszka. Poznali się jakieś pół roku temu dzięki randkowej aplikacji. Agnieszka pracowała w jednej z agencji fotograficznych. Ona miała za sobą nieudane małżeństwo, on również. I co ważne, a może najważniejsze: żadne nie miało ochoty na następne mariaże i kłopoty. Od początku było wiadomo, że chodzi tylko o jedno. Ostatni raz Kostek odwiedził ją kilka miesięcy temu. Spotkał się wtedy w jednym z lokali na placu z byłą żoną, która tego wieczoru nie zamierzała za kołnierz wylewać. W efekcie wpełchnął ją do taksówki, a że nie chciało mu się wracać na Bielany, skontaktował się z Agą. I został w Śródmieściu na noc.

Właściwie to powinienem pomyśleć o niej dużo wcześniej, bo jeszcze rano – wyrzucał sobie w duchu, zbliżając się do kamienicy, w której mieszkała.

Sprawdził w komórce adres, a dokładnie numer mieszkania. Nacisnął guzik domofonu. Po trzech sygnałach rozległo się bzyczenie elektromagnesu. Został

wpuszczony w ciemno, a że równie dobrze, co znajomym, mógł być złodziejem albo, co gorsza, mordercą, miał już gotowe pierwsze słowa powitania. Coś z humorem o bezpieczeństwie i ograniczonym zaufaniu, co niejako usprawiedliwi jego wizytę bez zapowiedzi. Może nawet na początek blachą zaświeci jej przed oczami? A potem, jak już wcześniej kilka razy bywało, powiesi ją sobie na szyję i to będzie wszystko, co na siebie założy. Może ta sobota okaże się jednak udana?

– Dzień dobry – ukloniło mu się jakieś dziecko, ledwo wszedł po schodach prowadzących na parter; no właśnie, kiedyś zdarzało mu się występować w telewizji, najczęściej po to, by przestrzegać młodych ludzi przed niebezpieczeństwami, które czyhają w czasie ferii i wakacji, więc się pewnie temu tutaj skojarzył.

– Dzień dobry – odpowiedział i jakoś humor jeszcze bardziej mu się poprawił.

Na trzecie piętro dostał się, pokonując schody po dwa stopnie naraz, a mimo to, kiedy dotarł na miejsce, nie miał zadyszki. Nacisnął dzwonek i oddalił się dwa kroki, żeby gospodyni mogła go sobie obejrzeć przez judasza. Czy tak się stało, tego nie wiedział, bo drzwi zostały szybko otwarte. Stał w nich jakiś nieznajomy facet z brodą i długimi włosami.

– Słucham? – zapytał.

Podbił już wiedział, że wybierając się tutaj w ciemno, popełnił błąd. Przesząpił z nogi na nogę, za to mentalnie jakby się zawiesił. W tej samej sekundzie z głębi mieszkania dobiegł głos:

– Kto przyszedł, kotku?

Tyle wystarczyło, żeby się odblokował. Drgnął, zmusił się do uśmiechu. Wiedział, że musi działać szybko i że ani fotografka nie może go zobaczyć, ani ten facet wyczerpująco jej go opisać. Dlatego wybrał najprostsze rozwiązanie:

– Przepraszam, ale chyba się pomyliłem... – Wykonał regulaminowe w tył zwrot i zaczął szybko zbiegać po schodach.

– Ale o co chodzi? – chciał wiedzieć facet nazwany kotkiem.

Jednak Podbił był już daleko. Dopiero gdy usłyszał za sobą zamykane drzwi, zwolnił. Na szczęście okna mieszkania Agnieszki nie wychodziły na tę stronę, gdzie były drzwi klatki schodowej. A kiedy się przed nią znalazł, opadł plecami na szorstką ścianę budynku i zaczął się śmiać. Nie, wcale nie było mu żal tej znajomości. No, może trochę. Rozbawiła go po prostu cała ta sytuacja.

Zasunął zamek kurtki, rozejrzął się na boki, pociągnął nosem. Znów poczuł ssanie w żołądku. Przecież mieli z Kornelią coś zjeść, a to już zaraz godzina minie i nic. Planował wyskoczyć gdzieś z tą z góry albo coś zamówić, a potem poczekać na miłego Hindusa czy innego „Pakiego” z wielkim sześcianem na plecach. Teraz znów musiał coś postanowić, choć wiedział jedno: nie chce mu się dzisiaj jeść samemu.

Ruszył w stronę Alej Ujazdowskich. Wtedy usłyszał syrenę. Nie był w stanie ocenić, czy to była syrena policyjnego radiowozu czy karetki pogotowia, a może straży pożarnej. Ale właśnie ten dźwięk sprawił, że sobie o kimś przypomniał. O kimś miłym i, oby, wolnym, przy sobocie. A do tego koniecznie głodnym.

Szybko wyciągnął telefon i wybrał numer, który miał zapisany dopiero od niedawna. Teresa Mokrzyńska, lekarka sądowa.

– Dzień dobry, pani doktor – przywitał się, usłyszawszy w słuchawce jej miły alt.

– Cześć, Kostek – odpowiedziała, by dodać: – Już do was jadę.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Nie rozumiem...

– No przecież pięć minut temu dzwoniли, że znów jest nieboszczyk w pociągu. Na Centralnej. To nie od ciebie? Coś pokręciłam?

Nadkomisarz wiedział już, że tego dnia nie zje spokojnie obiadu. Jeśli chodzi o kolację, miał jeszcze nadzieję. Także dotyczącą tego, że nie będzie jej musiał jeść w pojedynkę.

– Nie, nic nie pokręciłaś – powiedział spokojnym głosem. – Zaraz się widzimy.

11

Kornelia Banaś była w rozterce. I nie chodziło wcale o to, co działo się w jej nieszczęsnym mieszkaniu. O tym zdążyła już zapomnieć. Zatrzymany przy okazji złodziej, którego zabrano do mokotowskiej komendy, też jakoś nie zaprzętał jej myśli. Na pewno się nim tam właściwie zaopiekują, choć pewnie nie obejdzie się bez wizyty Kostka i jej na Malczewskiego. Chyba że da się przez telefon. Albo internet.

Problemem ślicznej pani podkomisarz nie był też, jak sądził jej starszy kolega i mentor, młody mężczyzna, który czekał na nią na ulicy. Zresztą, jak się okazało, od dłuższego czasu. Mogłoby się wydawać, że taki zakochany, a przy okazji desperat, bo faceci stają coraz bardziej miękcy. Ale nic z tych rzeczy! On po prostu miał sprawę, a do tego nie miał innego wyjścia.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, czego ode mnie wymagasz – prychnęła Kornelia.

Siedzieli w niewielkim lokalu o nazwie Kubek w Kubek, mieszczącym się przy ulicy Grażyny. Kornelia zawsze się zastanawiała, czy to chodzi o tę Grażynę Mickiewicza, którą знаła ze szkoły, czy może jakąś inną. Nigdy nie miała czasu, żeby to sprawdzić. Ale często dałaby wiele, żeby jakimś cudownym sposobem znów się tam znaleźć, w szkole właśnie. Patryk, bo tak miał na imię chłopak, siedział zawsze w tym samym rzędzie ławek co ona. Teraz był inżynierem informatykiem, siedział naprzeciwko i, powtórzmy, miał sprawę.

– Przepraszam, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. – Rozłożył szeroko ręce. – Nie znamy nikogo innego w policji. Tylko ciebie.

Kornelia wypila kilka łyków herbaty. Jakoś udało jej się nawet zapomnieć o głodzie. Było jej tylko trochę głupio, że pozbyła się Kostka. Wieczorem trzeba to będzie koniecznie wyjaśnić.

– Jeszcze można iść do prasy – powiedziała po dłuższej chwili, cicho, jakby do siebie.

– Zawsze można, pewnie! I do telewizji, choć wiadomo, że nie każdej, i do sądu. Ale jest takie stare powiedzenie, że lekarz zaczyna od siebie...

Na to jeszcze nie wynaleźli lekarstwa – przeszło jej przed myśl, na głos zaś zadała staremu szkolnemu koledze pytanie:

– A pamiętasz sprawę rzekomego Kulsona?

– Coś takiego było.

– Ja pamiętam doskonale. Jak mocno przełożeni i koledzy bronili tego, który go niby zwołał podczas akcji na ulicy, chociaż wszyscy słyszeli zupełnie co innego. Że wyzwał kobietę od ostatnich? Kilka materiałów telewizyjnych na ten temat powstało, a nawet sondy uliczne.

Patryk zmarszczył czoło. Kornelia chyba wiedziała, o co chodzi.

– Sondy, a nie sądy. Sondáže, wypytywanie z kamerą! – Uśmiechnęła się nerwowo. – A potem konferencję prasową zrobili, by pokazać tego Kulsona, na którego pewnie jeszcze wczoraj wołali zupełnie inaczej. I tylko czekaliśmy, aż kolejni chłopcy z prewencji przyznają się do swoich pseudonimów, co to dziwnym zbiegiem okoliczności brzmią bardzo podobnie do Dupo czy Suko...

Młody mężczyzna skinął głową i tak mu już zostało. Wyglądał jak odrzucony absztyfikant i gdyby Podbiał go teraz zobaczył, z pewnością byłby spokojniejszy.

Czego się właściwie spodziewał po tej rozmowie? – zastanawiała się Banaś. – Dlatego, że się znają z liceum, ona ma teraz szukać, wyjaśniać? Że wystąpi przeciwko swoim? Będzie, jak to się pięknie mówi, kalać własne gniazdo czy jeszcze lepiej: piłować gałąź, na której siedzi? Nie po to wstępowała do resortu wbrew wszystkim i wszystkiemu, przy okazji tracąc po kolei wielu przyjaciół. A po tym, co działo się ostatnio, to nie wiadomo, czy jeszcze ich w ogóle miała...

Wiedziała doskonale, co się dzieje. Warszawa dawno nie widziała tak wielkich demonstracji. Zresztą nie tylko stolica, ale i wiele miast w Polsce. To, przy czym przez wiele lat tak naprawdę bano się grzebać, a teraz jakiś „mądry” nacisnął zbyt mocno, wybuchło. I to głośno. Marsz czarnych parasolek sprzed paru lat to nic w porównaniu z tym, co działo się teraz. Kotły, aresztowania, gaz, pałowanie, wywózki za Warszawę. Sama słodycz, kurwa! Oczywiście podinspektor Kontra, jej szef, niemal na każdej odprawie apelował do rozsądku podwładnych. Mieli normalnie pracować. Na szczęście nie musieli na co dzień chodzić w mundurach.

– Przepraszam, że ci zwracałem głowę, Kornelia – powiedział Patryk, a do tego nawet się uśmiechnął.

– Nie ma problemu – odrzekła. – Dziękuję za herbatę. A poza tym co u ciebie dobrego?

12

– Nadkomisarz Podbiał ze Stołecznej. – Rzucił do młodzieńczego posterunkowego, pewnie z placówki dworcowej, który pełnił straż przy plastikowej taśmie z napisem POLICJA.

Chłopak zasalutował i podniósł taśmę. W chwili gdy głos w megafonach na Centralnej zapowiadał przyjazd opóźnionego TLK z Krakowa, Kostek zobaczył doktor Mokrzyńską. Właśnie wychodziła z wagonu. To był znów pullman, który, tak jak wczoraj, ze względu na niecodzienne znalezisko odłączyli od reszty pociągu. Oczywiście wcześniej wszystkim tym, co nim podróżowali, konduktorzy kazali się przesiąść. Że niby hamulce się zepsuły albo w ubikacji wylało, chociaż tym ostatnim to chyba nikt by

sobie głowy specjalnie nie zawracał. W efekcie wagon stał teraz smutno przy końcu peronu drugiego. Czy też był ostatni w składzie?

– Cześć, Teresa – przywitał się.

Skinęła mu głową. Była poważna i skupiona, czytając: zajęta. Podbiał dostrzegł znajomego prokuratora, który właśnie rozmawiał z grubym sierżantem, chyba też z kolejowego.

– Dzień dobry. Czyżbyśmy mieli seryjniaka? – Wyciągnął rękę do powitania.

Spojrzeni na niego jednocześnie i bynajmniej nie jak na kogoś, kto ma prawo zadawać takie lub podobne pytanie, a nawet znajdować się w tym miejscu. Czyżby znajomy go nie skojarzył? Podbiał poczuł się co najmniej niezręcznie.

Na szczęście po krótkiej chwili prokurator inaczej spojrział na przybysza.

– Przepraszam, nie poznałem pana. – Uściśniętą z uśmiechem rękę policjanta, a potem ruchem głowy wskazał na pechowy wagon. – Ma pan na myśli tę sprawę?

– No tak. Wczoraj wieczorem na Wschodniej znalazłem trupa w łazience. Rana kłuta serca. Dlatego jestem ciekaw, czy to może seria, a wtedy powinienem się przydać...

– Tutaj też mamy serce – usłyszał za plecami głos lekarki. – Tyle że... rozległy zawał. Wykluczam udział osób trzecich.

Kostek odwrócił się bardzo powoli. Pewnie w każdej innej sytuacji zrobiłby inaczej, aby jak najszybciej zobaczyć kobietę, która mu się coraz bardziej podobała. Ale nie teraz. Prawdę mówiąc, wolałby usłyszeć co innego.

– Tak, słyszałem o tym wypadku – potwierdził prokurator. – Tego też znaleziono w łazience, więc pewnie dlatego nas tutaj ściągnęli – spojrział na lekarzkę – i zrobili cały cyrk.

– A mogę go zobaczyć? – zapytał Podbiał, jakby miał jeszcze nadzieję, że znajdzie coś, co pozwoli mu połączyć te dwie sprawy.

Kiedy wchodzili z Teresą do wagonu, kątem oka ujrzał zbliżających się już po peronie pracowników zakładu medycyny sądowej z noszami. Miał więc niewiele czasu. Chwilę później ujrzał nieboszczyka: był to starszy mężczyzna ubrany schludnie i staromodnie. Siedział na zamkniętym sedesie, oparty bokiem o ścianę. Wyglądał, jakby spał, ale są różne sny. W tym przypadku na jego twarzy malował się spokój. Tylko może trochę głupio, że kres życia nastąpił w takim miejscu, a nie we własnym łóżku. Jednak dobrze, że nie w szpitalu.

Kostek wyciągnął rękę w stronę martwego mężczyzny, ale w połowie drogi ją cofnął. Spojrzął spod oka na lekarzkę.

– Żadnej krwi? – zapytał.

– Nie ufasz mi? – Na szczęście w jej głosie nie usłyszał złości ani nawet nutki pretensji.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo za panią doktor tarabanił się ten gruby sierżant.

– Przeszukaliśmy już tego człowieka – zameldował. – Mamy jego dokumenty i bilet. Jechał z Bydgoszczy na Zachodnią, ale nie wysiadł. Pociąg był do Lublina. Na szczęście nikt z podróżnych, którzy musieli się przesiąść do innego wagonu, nie połąkomił się na jego walizkę i płaszcz zostawione w przedziale...

– Z jednej strony dobrze, z drugiej nie za bardzo – zauważył Kostek. – W walizce mogła być przecież bomba, nie?

Sierżant nic nie powiedział.

– Oczywiście wszyscy wiemy, że taki przypadek zdarza się raz na milion albo i rzadziej – rzekł pojednawczo nadkomisarz. – Zresztą kogo obchodzą cudze rzeczy, kiedy nagle trzeba się ewakuować? Zabezpieczcie to wszystko, sierżancie, powiadomcie rodzinę, jeśli ją miał. Mam tylko nadzieję, że polskie koleje nie wystawią mu mandatu za jazdę na gapę. Dojechał przecież na Centralną, a bilet miał tylko do Zachodniej...

W wagonie już byli pracownicy z Oczki.

– Cześć pracy – rzucił jeden z nich, na oko starszy.

– Cześć – odpowiedział Kostek.

Po chwili stali z Teresą sami w przedsiönku wagonu i była to doskonała okazja, aby wreszcie zamienić kilka słów na nieco inny i na pewno dużo przyjemniejszy temat. Czy nie o tym myślał Kostek, gdy kilkanaście minut temu wybierał numer doktor Mokrzyńskiej? I chyba jej to nawet zaraz powie. Że wcale go tutaj nie wzywali, a dzwonił w zupełnie innej sprawie. Czyż to nie cudowne zrządzenie losu, które koniecznie trzeba teraz uczcić w jakiejś przytulnej restauracyjce? A potem robić wszystko, żeby wieczór trwał i trwał...

– Będę lecieć – powiedziała, nim zdążył otworzyć usta. – Mam dzisiaj dyżur w szpitalu.

Najlepsza byłaby w tej chwili deklaracja, że ją odwiezie do tego szpitala, ale z tym był przecież drobny kłopot. Zresztą Teresa pewnie dotarła na Centralną swoim autem. Można ją było jedyne do niego odprowadzić.

– Ja też – odrzekł głucho.

– Też masz dyżur w szpitalu?

Kostek spojrział na nią z ukosa. Coraz bardziej mu się podobała ta kobieta.

13

Naciągnęła kołdrę na głowę, przyciskając ją mocno do ucha, aby nie słyszeć hałasów dochodzących z podwórka ani sąsiadów z góry. Podkurczyła nogi. Owinięta w kołdrę, musiała przypominać w tej chwili kokon, z którego lada dzień wylęgnie się piękny motyl. Kiedy o tym pomyślała, nawet się zaśmiała. Mimo wszystko. Bo chyba już zaczęło się przepoczwarzanie i widać było głowę, ta zaś miała nietypowy dla istoty ludzkiej kolor włosów: fioletowy. Pamiętała z lekcji biologii w szkole, że larwa była, co tu kryć, ohydna, za to istota, która z niej powstawała, przepiękna.

Dzień mieszał jej się z nocą. Ale wiedziała, że dzisiaj jest sobota. Większość dnia przeleżała właśnie w takiej pozycji. Niczym larwa. Nie spała. Nie mogła, mimo praktycznie zarwanej nocy. Do tego była zupełnie świadoma, ale jej ciało jakby zupełnie znieruchomiało. Podobno są środki farmakologiczne, po których tak się właśnie dzieje: nie możesz ruszyć ręką ani nogą, a najgorsze jest to, że zdajesz sobie z tego sprawę. Pytanie, czy ten paraliż kiedykolwiek ustąpi, czy kiedyś jeszcze staniesz na nogach.

A może coś takiego mi zaaplikowali? – przeszło jej przez myśl. – I dopiero teraz to gównu zaczęło działać.

Gdy to się zaczęło, cały czas starała się być czujna. Chodziło o to, żeby wszystko zapamiętać, dokładnie i ze szczegółami. I nie tylko ona, ale wszystkie, z którymi się tam znalazła. Tym bardziej że pierwsze, co zrobili, to zabrali im komórki.

Ale potem stało się coś, czego nikt nie przewidywał. I chyba nie tylko nie przewidywał, co nawet sobie nie wyobrażał w cywilizowanym, europejskim kraju, na początku lat dwudziestych XXI wieku. Teraz, jak tu leżała, czasami jej się wydawało, że to był sen. Koszmarny, niedorzeczny, ale nadal tylko sen. Niestety, tak nie było...

Coś stuknęło. Chyba drzwi. Kroki na skrzypiącej podłodze.

– Przyszli po mnie – powiedziała do siebie, a jej serce gwałtownie przyspieszyło bieg, ale też siłę uderzeń, które czuła teraz pod brodą.

Nadal jednak nie była się w stanie ruszyć. Jak już, to będą ją nieśli zawiniętą w tę koldrę. Poszwa czysta, więc obciachu nie będzie. W powieściach kryminalnych trupy wynosiło się w zrolowanym dywanie. Ale prawdziwy kryminal właśnie się zaczął, a ona w nim grała. Niestety, jedną z głównych ról.

– Śpisz? – usłyszała głos, który chciała usłyszeć.

– Jeszcze nie umarłam, choć było blisko – mruknęła w odpowiedzi, by zaraz zapytać przytomnie: – Udało się?

Usiadł na krawędzi wersalki i dopiero teraz zaczął rozpinąć zamek kurtki. Przyniósł ze sobą zapach jesieni i zimno.

– Spotkaliśmy się – odparł po dłuższej chwili milczenia, które właściwie mogło już zastąpić odpowiedź. – Ale to już nie jest ta osoba co kiedyś. Zresztą chyba nie ma się co dziwić.

– Czułam to. – Schowała głowę ponownie pod koldrę.

Z tej larwy nie będzie już kolorowego motyla. Jest martwa.

14

Kiedy wyszli na peron, akurat wjeżdżał kolejny pociąg. Na peronie czekali na niego pasażerowie, na pierwszy rzut oka niewielu. Podbiał i lekarka przeszli pod plastikową taśmą, przy której nie było już policjanta, i skierowali kroki w stronę schodów. Chciał coś powiedzieć, ale akurat mijała ich z hukiem lokomotywa, a do tego zaczęło się hamowanie, więc dał sobie spokój. Czuł się jak sztubak, onieśmielony, bez języka w gębie.

Wreszcie skład stanął w miejscu. Uchyliły się drzwi na końcu pierwszego wagonu. Mogłoby się zdawać, że za chwilę wyjdzie z niego konduktor albo kierownik pociągu. Nagle rozległ się trzask, jakby ktoś w środku postanowił pomóc sobie nogą. To było pierwsze skojarzenie Kostka, bo nieraz bywało, że był to jedyny sposób, aby zawalczyć z cholernymi drzwiami i w porę się wydostać. Chwilę później na peron, ledwo kilka kroków przed idącą parą, wyprysnął ludzki kształt.

– Stój! – dobiegło z wagonu.

Podbiał przezornie stanął w miejscu, ruchem ręki zatrzymał Mokrzyńską. Skoczkowi nie udało się zachować równowagi na posadzce, przewrócił się. Policjant dostrzegł ruch w drzwiach, przez które tamten (złodziej? pasażer na gapę?) wydostał

się z pociągu. Kiedy spojrział wprost, musiał zamrunąć kilka razy, aby poprawić ostrość widzenia.

Ale zmąsły go nie myliły.

– Andrzej?! – zawołał.

Twarz komisarza Rudzkiego wykrzywił gniew, a może ból. Na jego czole było widać krwawą smugę, a palce zacisnęły się na krawędzi drzwi.

– Łap skurwysyna! – ryknął, po czym padł na kolana na krawędzi schodów.

Na szczęście lekarka wykazała się refleksem, w kilku krokach zbliżyła się do rannego.

– Co się panu stało?

Kostek oderwał od nich wzrok. Wciąż stał w miejscu. Widział, jak uciekinier, osobnik w czarnej bluzie z kapturem i jakimiś napisami, podnosi się z posadzki i rusza biegiem w kierunku ruchomych schodów. Lekko kuśtykał. To był jednak młody gnojek i nawet z kontuzją miał przewagę nad policjantem, mógł mu spokojnie umknąć.

Wreszcie po kilku sekundach, które potem wydawały mu się wiecznością, Podbiał ruszył w pogoń.

Co w tym pociągu robił Andrzej? Co się tam wydarzyło? – kolejne pytania zaczęły przelatywać mu przez głowę. – A może to jest...

Ta ostatnia myśl sprawiła, że poczuł nagły przyływ adrenaliny. Przyspieszył, jednak na peronie już zrobiło się ciasno, jak zwykle na odcinku między schodami ruchomymi. Uciekinier najwyraźniej zmierzał do tych dalszych, na które mógł wskoczyć z impetem i pokonać w ciągu kilku sekund. Coraz znikał za innymi, by za chwilę znów się pojawić. Kilka razy obejrzał się przez ramię. Pęd powietrza zdarł mu kaptur, ukazując łąsą głowę.

– Stój! – krzyknął Kostek, a po chwili dodał, bo być może Rudzki, którego nieoczekiwanie zmienił w tej sztafecie, zapomniał: – Policja!

Odruchowo chwycił się za prawy bok, ale był nie tylko bez samochodu, co i bez broni. Poza tym wciąż było za gęsto. Musiał dać z siebie jeszcze więcej albo liczyć na patrol, który stanąłby na drodze uciekinierowi, względnie bohaterką postawę przypadkowego przechodnia i jego podstawioną „przypadkowo” nogę. Wszyscy jednak tylko usuwali mu się z drogi, podczas gdy Podbiał kilka razy na kogoś wpadał.

– Uważaj, kurwa! – rzucił za nim gniewnie jakiś facet.

Nie było jednak czasu na przeprosiny, tłumaczenia ani nawet spojrzenie na tamtego, bowiem uciekinier, tak jak przewidywał Kostek, wskoczył już na schody, podczas gdy jemu pozostało jeszcze trochę. Oddychał z coraz większym trudem i coraz głośniej, a z oczy płynęły mu łzy. Zaraz gnojek znajdzie się na wyższym poziomie, gdzie będzie mógł pobiec albo w lewo, gdzie kilkadziesiąt metrów dalej jest wyjście na Jerozolimskie, albo w prawo, gdzie znajdują się Złote Tarasy. Podbiał nie będzie w stanie ocenić, którą drogę wybrał, zresztą i jedno, i drugie oznaczało szukanie igły w stogu siana.

Uciekinier był już prawie na górze, podczas gdy on dopiero stawiał stopę na pierwszym stopniu, a przed sobą Kostek miał ludzi z walizkami.

Wtedy na galerijce, z której rozciągał się widok na peron, dostrzegł zamieszanie. Ktoś krzyknął. Mimo to nadal pokornie stał na swoim, wciąż tym samym stopniu schodów, zablokowany przez niczego nieświadomych podróżnych. Kiedy jednak

wreszcie dotarł na górę, ujrzał dwóch osobników w polowych mundurach... Marynarki Wojennej.

Skąd w Warszawie marynarze? – przeszło mu przez myśl.

Nieważne! Ważne, że pochylali się nad trzecim, ten z kolei przyciskał do podłogi... No właśnie: kogo? W tym zamieszaniu łatwo przecież o pomyłkę. Jeśli to nie ten w czarnej bluzie, którego Podbiał rozpaczliwie ścigał, to niech przynajmniej nie będzie to jakiś niewinny staruszek. Ledwo o tym pomyślał, w płataninie ciał błysnęła glaca, bynajmniej nie staruszkowa.

Policjant z ulgą stanął na twardej nawierzchni. Ale chyba jeszcze nie wierzył w swoje szczęście. Powolnym ruchem sięgnął po odznakę, jedyny oręż prócz fachowej gadki obfitującej w paragrafy. Ewentualnie pięści, bo na nogi już raczej nie liczył; nie to, co o niemal dekadę starszy od niego aktor Tom Cruise, który w kolejnych filmach pomykał tak samo jak czterdzieści lat temu.

Tym razem zawiesił odznakę na szyi. Dostrzegł to jeden z marynarzy.

– Czy to czasem nie pańska zguba? – Ruchem głowy wskazał chłopaka, szamoczącego się niczym, żeby użyć adekwatnego porównania, wyciągnięta na pokład ryba, po czym przedstawił się, oczywiście jednocześnie salutując sprężyste: – Starszy bosman Ziemgowski, Trzecia Flotylla Okrętów, Gdynia.

– Nadkomisarz Podbiał ze stołecznej – sapnął Kostek. – Tak, to jego ścigamy. Małe nieporozumienie w pociągu.

– Gapowicz?

– Też.

– Żadnego szacunku już nie mają...

Kostek wykrzywił twarz w krótkim uśmiechu. Nie chciał pytać, nawet żartem, czy u nich za coś takiego od razu wrzucają głowę w dół do basenu portowego. I nie chciał też nadużywać uprzejmości dzielnych majtków. Bo i pewnie sami zaraz mieli pociąg nad morze. Albo odwrotnie: właśnie stamtąd przyjechali i chcieliby już iść do hotelu, czy jak to się u nich nazywa.

Na szczęście po chwili nadeszło, być może zaalarmowanych przez krzyki, dwóch dworcowych ochroniarzy.

– Cześć – rzucił do nich Podbiał. – Zabierzcie tego klienta na komisariat, dobrze? Zaraz przyjdę. Tylko ostrożnie, bo cenny. A wam panowie – przeniósł wzrok na bosmana i jego ludzi – bardzo dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy, do usług! – Uśmiechnął się Ziemgowski.

Można było jeszcze pogadać, jak mundurowy z mundurowym, ale Kostek był już myślami przy Rudzkim. Wciąż przecież nie wiedział, co tak naprawdę się wydarzyło. Jednak o wiele ważniejsze było to, czy bandzior nie zrobił Andrzejowi krzywdy. Rudzki raczej nie był zabijaką, a i z użyciem broni, jeśli ją miał przy sobie, w przeciwieństwie do starszego kolegi, mogło być różnie w przestrzeni pociągu. Czy w ogóle były na ten temat jakieś szkolenia?

Pożegnawszy się z marynarzami, zjechał ponownie na dół. Tamten pociąg już odszedł. W miejscu, gdzie skakał osobnik w czarnej bluzie, ujrzał pomarańczowe kombinezony ratowników medycznych. Właśnie podnieśli nosze, na których leżał

komisarz, i ruszyli w stronę zachodniego wyjścia. Kostek przyspieszył kroku, chcąc ich dogonić, ale drogę zagrodziła mu Teresa.

– Co z nim?!

– Przede wszystkim uspokój się – powiedziała, kładąc mu dłoń na klatce piersiowej. Na chwilę przymknęła oczy, bynajmniej nie z rozkoszy.

– Jestem spokojny – powiedział. – Mów!

– Ma kilka ran ciętych. Przeżyje. Za dwa miesiące ślub będzie mógł brać.

– Już jeden wziął. I w tym problem...

Podbiał przez chwilę kręcił się w kółko na peronie jak ten podróżny, któremu uciekł ostatni pociąg, ten najważniejszy w życiu. Albo ktoś, kto w tłumie wysiadających nie spotkał tego, na którego czekał. Coś w tym było, bo nie miał pojęcia, co powie żonie Rudzkiego, która za kilkadziesiąt godzin wróci z dziećmi do Warszawy. Znali się, często widywali. Oby Mokrzyńska miała rację w swojej błyskawicznie postawionej diagnozie.

– Dokąd go zabrali? – chciał jeszcze wiedzieć Podbiał.

– Do was. Na Wołoską.

Na chwilę ukrył twarz w dłoniach, parsknął, dotknął palcami nosa, zupełnie jakby zaraz chciał smarknąć jak ostatni dworcowy ochlapus.

– Normalnie zajebię skurwysyna! – wycharczał, po czym, w jednej chwili zapominając o swoich planach, szybkim krokiem ruszył w kierunku komisariatu policji dworca Warszawa Centralna. – Skurwieli już nie żyje...

– Tylko nie rób nic głupiego, Kostek! – zawołała za nim kobieta, wobec której jeszcze przed paroma chwilami miał konkretne i, co tu kryć, nieczne zamiary.

15

Była czwarta po południu, kiedy Kornelia Banaś znalazła się sama na rozstaju dróg.

Dawno się tak nie czuła, bo przecież zawsze było dokąd pójść. Teraz do własnego domu nawet nie mogła, bo nie za bardzo przypominał on dom; oby ten cwaniaczek mówił prawdę i przypilnował pracowników specjalnej troski. Do siostry też iść nie chciała, bo to była sobota i do Moniki przyjeżdżał na weekend Marek, jej chłopak. Studiował w Krakowie na AGH i tylko w weekendy mogli być razem. Nawet tego pierwszego po rozpoczęciu roku akademickiego, kiedy to można się było spotkać z dawno niewidzianymi kolegami z roku i jak człowiek sponiewierać na Kazimierzu, nie: nawet tego nie odpuścił.

Niech im będzie – pomyślała starsza z sióstr Banaś, wspaniałomyślna jak zawsze. – Za parę lat i tak nie będą mogli na siebie patrzeć.

Tak, umówiła się z Kostkiem, że się spotkają u niego na Bielanych, w tymczasowej mecie i szczęśliwym przytulisku. To były jej ostatnie słowa. Ale nie spieszyła się tam. Było jej po prostu głupio, że go tak zostawiła wtedy na ulicy, by pogadać w Patrykiem. A on specjalnie fatygował się na Mokotów, aby jej było raźniej, choć przecież mógł najzwyczajniej w świecie i jak ośmiu na dziesięciu facetów w jego wieku wrócić do łóżka i odespać miniony tydzień.

Może powinna kupić jakieś dobre wino czy nawet dwa? – rozważała. – A do tego ugotować coś pysznego. I nieważne, co Kostek lubi. Znała go już wystarczająco długo i wiedziała, że niemal bezkrytycznie wciągnie wszystko jak odkurzacz najnowszej generacji. Jak widać, nie zepsuło go małżeństwo z aktorką, kiedy to najpewniej rzadko jadali w domu, byli bowiem stałymi bywalcami rozmaitych rautów i premier. Wystarczyło odstać swoje na ścianie, obejrzeć nudny film, a potem micha.

Z takim postanowieniem zeszła do metra na Polu Mokotowskim. Ludzie na peronie oczekiwali na pociągi w obu kierunkach, ale nietrudno było ocenić, że więcej jest tych, którzy zmierzają do Śródmieścia. Trwała sobota, czas imprez zarówno w starym, sprawdzonym gronie, jak i w zupełnie nowych, bo latem narodzonych towarzyskich konfiguracjach. Jeszcze była szansa, że to coś trwalszego i dłuższego niż chwila potrzebna na umieszczenie stanika na miejscu i podciągnięcie spodni, włącznie z zasunięciem rozporka.

Jeśli chodzi o naszą Kornelię, to ostatnie wakacje spędziła w mieście stołecznym Warszawie, nie licząc wyjazdu do rodzinnego domu w mieście powiatowym, o którego nazwę mniejsza. To było jeszcze w sierpniu, a dopełniło się tylko dzięki Matce Boskiej Zielnej i wydłużonemu weekendowi. Więcej grzechów nie pamiętała.

Zaraz po tym, jak pokonała schody, drogę zastąpił jej mężczyzna ubrany na czarno, z wyjątkiem koszuli, która była biała.

– Bilety do kontroli proszę.

Bez słowa sięgnęła po kartę. Na szczęście nie zaplątał się w nią łańcuszek innego dokumentu, co już raz wpędziło ją w kłopoty. Kontroler wykonał gest ręką, który odczytała jako prośbę, aby przekreśliła kartę i pokazała zdjęcie. Choć była tym, kim była, zawsze czuła niepokój w takich chwilach. Mimo że przed chwilą otworzyła sobie bramkę w metrze, coś się zawsze mogło zepsuć, rozkodować. A potem wstyd.

Po chwili czytnik w rękach kanara zapiszczał krótko.

– Dziękuję.

Poszła dalej. Wyświetlacz na ścianie informował, że metro przyjedzie za dwie i pół minuty. W pewnej chwili usłyszała za plecami podniesione głosy:

– Ale łapy przy sobie, dobrze?!

– Proszę pokazać bilet!

Przed kanarem stał długowłosy chłopak ze starym wojskowym plecakiem. Już zbliżał się do nich drugi ubrany na czarno mężczyzna.

– Dawaj bilet albo wzywam gliny! – gardłował kontroler.

Tego już było stanowczo za wiele. Kornelia ruszyła szybkim krokiem, ale w... przeciwnym kierunku. Jeden zatrzymany przypadkowo złodziej to wystarczająco dużo jak na wolną sobotę. Zresztą głos w megafonach zapowiedział już wjazd pociągu, a po chwili rozległ się znany dobrze dźwięk, od którego nie wiedzieć czemu i odkąd pamiętała, zawsze przechodziły ją dreszcze.

Zdziwiła się liczbą młodych ludzi w wagonach. To było z pewnością coś więcej niż pójście do klubu, względnie łażikowanie po mieście albo, gdy pogoda niełaskawa, okupacja ławek czy kanap w centrach handlowych. Czyżby jakiś koncert, o którym nie wiedziała? Na Stadionie Narodowym albo jeszcze lepiej, pod Pałacem Kultury, bo to zazwyczaj atrakcja za darmo. Kiedy jednak tu i ówdzie dostrzegła karton

z namalowanym kolorowymi farbami hasłem, kilka zwiniętych jeszcze transparentów o wiadomej treści, wreszcie parasolki, już wiedziała, co się szykuje. I może z jakąś muzyką, nawet na żywo, dlaczego nie?

Na stacji Plac Wilsona pociąg niemal opustoszał. Banaś nie miała jasno wyznaczonej marszruty, wiedziała tylko tyle, że musi kupić coś do jedzenia i jakiś alkohol (kolejność przypadkowa) na wieczór. Wysła ze wszystkimi; stąd mogła w miarę szybko dostać się do domu, zahaczając o sklepy. Chwilę później przypomniała sobie, że tuż za rogiem jest mieszczący się w piwniczce skład z dobrymi winami. Jednocześnie bacznie obserwowwała to, co się działo.

A działo się. Na wyrastającym w placu północnym odcinku ulicy Mickiewicza dostrzegła stojącą kolumnę policyjnych radiowozów i przesuwaną się wzdłuż niej ku dołowi tłum młodych ludzi z transparentami. Zrobiła kilka kroków, by zza rogu kamienicy spojrzeć w perspektywę szerokiej arterii. Jeszcze kawałek. Z coraz większym zainteresowaniem rozglądała się dookoła. Dostrzegła szyld sklepu, do którego zamierzała zajrzeć, jednak szła dalej.

Ej, obudź się! – pomyślała, zatrzymawszy się kilka kroków za przystankiem autobusowym; stąd też odjeżdżało 122, ale nie dzisiaj.

To teraz grzecznie w tył na lewo marsz, jak uczyli na szkółce podczas zajęć z musztry. Ważny był tylko sobotni wieczór na Rudnickiego, nic więcej. Wino też kupisz gdzie indziej, ten sklepik to jednak dla ciebie za wysokie progi.

I myślała tak sobie, póki nie zobaczyła, że jej droga, którą miała zamiar dotrzeć na inny przystanek, nagle się zamyka.

– Dokąd?!

– Przed siebie – odpowiedziała rezolutnie.

– Nigdzie nie pójdziesz.

– A od kiedy to jesteśmy na „ty”?

– Zamknij się.

– Czy mógłby pan powtórzyć? – Kornelia Banaś przycisnęła sobie otwartą dłoń do ucha i zmarszczyła czoło.

– Stul pysk, kurwo!

16

– Może pan do niego wejść. – Lekarz, który stanął w drzwiach szpitalnej sali, zdjął okulary i uśmiechnął się, by zaraz asekuracyjnie dodać: – Tylko niech pan go nie męczy, dobrze?

– Obiecuję, doktorze. – Nadkomisarz uniósł dwa palce na wysokości ucha. – Będzie tylko o pogodzie i wędkarstwie.

W odpowiedzi medyk tylko westchnął. Chyba wiedział swoje. Zresztą zaraz go zaczęli wołać, pewnie do innego pacjenta.

Dochodziła dwudziesta. Kostek zamknął za sobą drzwi sali. Złapał się na tym, że maksymalnie odwleka moment, kiedy będzie musiał spojrzeć na szpitalne łóżko i leżącego na nim pacjenta. Nigdy nie lubił szpitali, a jeszcze bardziej sytuacji, kiedy

musiał odwiedzić kogoś bliskiego. Lista powodów była długa, od zapachu po problem, o czym z chorym rozmawiać, o co zapytać, a o co lepiej nie. No i to pocieszanie, że wszystko będzie dobrze. Nie, kurwa, noga nie trawa, już wujkowi nie odrośnie, choćby wypił wszystkie kompociki, jakie są w domu!

– Co się tak czaisz jak pedofil na placu zabaw? – dobiegł spod okna głos Andrzeja Rudzkiego. – Wskakuj na pokoje, bo przeciąg robisz, a ja prawie goły.

– Jak widzę, humorek panu komisarzowi dopisuje. – Podbiał wreszcie odzyskał głos i odrobinę pewności siebie.

Zbliżył się do łóżka. Rudzki nie wyglądał wcale źle. Czasami ktoś po sparingach z kibolami prezentował się o wiele gorzej. Twarz cała, więc w razie czego będzie mógł nawet ślubnej nakłamać, że nic mu nie jest. To oczywiście tylko rozwiązanie na krótką metę. Obawy Kostka nie były bezzasadne, bo choć dostać się do przyjaciela usiłował niemal zaraz po tym, jak go przywieźli, to nie chcieli go wpuścić. Rudzki musiał być operowany. Ran od noża, o których wspomniała na dworcu Mokrzyńska, nie dało się najwyraźniej pozlepić zwykłym plasterkiem.

– Darujmy sobie wstępy i kurtuazyjną gadkę – zaczął komisarz. – Zresztą kompociku i pomarańczy też mi nie przyniosłeś. Ale wybaczam.

– Krew chciałem oddać, ale nie chcieli.

– Za duże stężenie alkoholu?

Do środka zajrzała jakaś kobieta w białym fartuchu. Czyżby za głośno gadali? A może Podbiałowi tylko się wydawało, że z Rudzkim jest dobrze. Ten biedny mały Nemeček w *Chłopcach z Placu Broni* też wykrzykiwał, zanim umarł.

– Boli? – zapytał po chwili przybysz.

– Trochę. Gadaj mi szybko, co z tym bandziorem. Dopadłeś go?

– Tak jest, panie komisarzu! – zameldował Kostek, a potem opowiedział o pościgu i pomocy Marynarki Wojennej; tylko mu jakoś nazwa jednostki bosmana wyleciała z głowy.

– Ale jeszcze nie wziąłeś go w obroty? – zgađł Andrzej.

Podbiał na chwilę spuścił głowę. Gest ten mówił wszystko, a może nawet za wiele, bo ranny aż uniośł głowę z poduszki i zapytał:

– Ale masz go?

– Mam. Nie ciskaj się tak, bo ci zaszkodzi. Po prostu najpierw chciałem przyjechać do ciebie, żeby się dowiedzieć, czy wszystko z tobą dobrze. Inaczej źle by się to mogło dla tego gnoja skończyć. Powinien dziękować tej lekarce, która się tobą wtedy zajęła. Potem poszła za mną i próbowała uspokoić. Jak widać, udało się jej.

– Wycaluj ją przy okazji. Ode mnie oczywiście również.

– Jasne. – Kostek uciekł wzrokiem w bok. – A teraz ty powiedz, co się tam stało.

Wypowiedziawszy te słowa, przypomniał sobie o obietnicy, którą kilka chwil wcześniej złożył lekarzowi. Ale pewnie sam Rudzki nie wypuściłby go bez pochwalenia się swoimi sobotnimi dokonaniem, mimo niezbyt wesołego zakończenia. Przecież mogło być gorzej. Poza tym temat za bardzo nie odbiegał od tego, o czym mówił Kostek, czyli łowienia ryb.

– Najpierw zobaczyłem go na nagraniu z monitoringu w hali i przejścia podziemnego Wschodniej – zaczął Rudzki. – Płytkę mają nam przesłać.

W kilkunastu zdaniach opowiedział o tym, co wydarzyło się w piątkowy wieczór w przejściu podziemnym, czyli o scysji między denatem a podejrzanym, która być może stała się zarzewiem późniejszych tragicznych wypadków w pociągu.

– I co? Poszedł za Ożogiem i sprzedał mu kosę w plecy? – zapytał nadkomisarz.

– Jest taka możliwość. Mamy już coś z pociągu?

– Nie wiem, nie byłem jeszcze w firmie – odparł Kostek zgodnie z prawdą.

Andrzej spojrział w okno, za którym było już ciemno. Może myślał o rodzinie? Pewnie jeszcze nic nie wiedzieli i oby tak zostało jak najdłużej. Przełożeni być może już tak i pewnie byli pośród nich i tacy, co z tego powodu zacierali ręce. Przecież nic tak nie wpływa na polepszenie wizerunku policji, a ten w ostatnich miesiącach stawał się coraz gorszy, a właściwie to pikował, jak funkcjonariusz ranny podczas interwencji. I to innej niż te, które na co dzień pokazywały telewizyjne serwisy informacyjne.

Po chwili Rudzki się „odwiesił”. Opowiedział o wizycie na Brzeskiej i o tym, czego dowiedział się od kobiety, która mieszkała w lokalu denata, jak i spotkanego na podwórku ciecia.

– Ożoga ktoś tam szukał – podsumował ten rozdział opowieści. – Na moje to ktoś, kto zajmuje się odzyskiwaniem długów i którego raczej nie wysłała tam administracja.

– Ten gnojek w kapturze? – podchwycił Kostek. – Raczej nie wygląda na kogoś, kogo wysła się po dług.

– Ale na takiego, kto zamyka sprawę, to już tak – zauważył Andrzej. – Kiedy zobaczyłem go w kiblu, postanowiłem za nim pójść. Klient się odlał, potem zacząć się kręcić po dworcu. Wiedziałem, że muszę być ostrożny, a jednocześnie modliłem się, żeby nie spotkać kogoś z SOK. A przynajmniej nie za wcześnie. Czekałem, czy kogoś może zaczepi, a może zagadnie. Ale nic. W pewnym momencie trochę mi się zaczęła sypać ta koncepcja cyngla, który dokonuje ostatniej transakcji z nieuczciwym dłużnikiem. Wyglądał mi raczej na ćpuna, którego zaczyna nosić. Ale przecież sokiści go nie kojarzyli.

– Może jakiś nowy? – spekulował Kostek. – Jeszcze wczoraj wkładał białą koszulę, brał teczkę, wciągał dwie kreski i wraz z tysiącami podobnych do siebie jechał na Mordor. Ale życie czasem nas przerasta.

– A może też być tak, że jaki dłużnik, taki kat. Ilu to było takich, co za kasę na działkę decydowało się pobić człowieka? Albo jeszcze gorzej.

– Jak znalazł się w pociągu? – Kostek postanowił przyspieszyć, bo robiło się późno i lada chwila mogli go stąd wyprosić.

– W pewnym momencie wszedł na peron i wszedł. Zdziwiłem się nawet, że nie do podmiejskiego, bo po Warszawie jeździ się przecież SKM-ką albo Kolejami Mazowieckimi. Ale nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wsiadłem razem z nim, zresztą w ostatniej chwili, bo już gwizdali. Na chwilę straciłem go z oczu i nawet się przestraszyłem, że wyskoczył innymi drzwiami. Ale zaraz go spostrzegłem, tego w bluzie. Wiesz, jaki miała napis?

– Wiedziałem. Ale wyleciało mi ze łba.

– *WHITE POWER*. Napisane białą szwabachą.

– Sporo mówi o zawodniku, który ją nosi. Chyba że tylko pożyczyl bluzę od kuzyna, ale nie zna jego nazwiska.

Zaśmiali się. Nie wiadomo kiedy śmiech Rudzkiego zamienił się w kaszel. Kostek wstał gwałtownie z taboretu i zaczął wzrokiem szukać jakiegoś przycisku, którym mógłby wezwać pomoc. Na szczęście po chwili kaszel ustąpił.

– Jeszcze żyję – powiedział Rudzki schrypniętym głosem. – W tym pociągu zacząłem od razu wypatrywać konduktora. Bo gdyby szybko złapał gapowicza, a kto wie, może nawet go sprowokował, a ten by się zaczął stawiać, wtedy byłby powód do interwencji. Cap klienta za kołnierz, biżuteria i do hotelu. Ale na razie gnojek usiadł sobie w pustym przedziale. Jakby się nie przejmował tym, że podróżuje na gapę. Stałem na korytarzu, kawałek dalej.

– Byłeś gotów jechać za nim do końca?

– Nie myślałem o tym. Gdy znaleźliśmy się w tunelu średnicowym, okazało się, że w całym wagonie pałą się światła, tylko nie w tym jednym przedziale. Kiedy się odwróciłem i spojrzałem, gwałtownie odsunął drzwi i rzucił się na mnie, wyzywając od pedałów. Trafił mnie tylko w ucho. Zaraz mu oddałem z byka. Poleciał w głąb przedziału. Kiedy sięgałem po kajdanki, w jego rękach też coś błysnęło. Resztę już znasz.

Nadkomisarz Podbiał chciał jeszcze o coś zapytać, ale wtedy weszła pielęgniarka. Miała srogi wyraz twarzy i nie mniej groźnie wyglądający czepek na głowie. Kostek uściskał dłoń przyjaciela, posłał uśmiech siostrze i cichutko, niemal na palcach opuścił szpitalną salę.

Gdy godzinę później stanął przed drzwiami mieszkania, czuł się podobnie jak wtedy, gdy wrócił z dworca po nieudanej próbie wyjazdu z Warszawy na weekend. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to było przecież dzisiaj, bo już po północy, a teraz dochodziła dziesiąta wieczorem. Kiedyś uciekały mu całe dni, czasem nie potrafił odróżnić jednego od drugiego, a miesiąc zdawał się krótki niczym tydzień. A teraz wciąż trwała sobota, choć w ciągu tego dnia wydarzyło się tyle, że wystarczyłoby obdzielić tym cały tydzień. I kilku ludzi.

Cicho przekręcił klucz w zamku. Było mało prawdopodobne, by o tej porze Kornelia już spała. Właściwie to już zdążył zapomnieć o tym, co się wydarzyło na Lewickiej, chwilę po tym, jak przekazali złodzieja kolegom. Za to szykował się na długą opowieść o swoich przygodach.

W drodze z Wołoskiej na Bielany wpadł jeszcze do Pałacu Mostowskich, gdzie przewieziono typa, który poharatał Rudzkiego. Kostek nie miał jednak ochoty ani na nocne badanie, ani nawet na to, żeby go widzieć. Chciał się tylko upewnić, czy przesyłka dotarła na miejsce. Teraz nożownik z pociągu, który być może miał również na sumieniu Wojciecha Ożoga, miał sobie posiedzieć na dołku. Miał skruszeć jak upolowane zające, które Kostek pamiętał z dzieciństwa, kiedy wraz z rodzicami odwiedzał jednego znajomego leśnika pod Ostródą.

Kiedy Podbiał zamknął za sobą drzwi mieszkania, doznał dość nieprzyjemnego uczucia. W środku było ciemno i cicho. Miał jeszcze nadzieję, że koleżanka po prostu śpi. Sama! Ale drzwi pokoju, który jej na te dni udostępnił, były otwarte. Pociągnął kilka razy nosem i mimo że poczuł zapach jej perfum, już znał odpowiedź. Dopiero wtedy zdecydował się zapalić światło.

– Dzwonić czy nie dzwonić? Oto jest pytanie – mruknął pod nosem, wpatrując się w wyświetlacz komórki, by po chwili zdecydować: – Nie dzwonić. Dorosła jesteś, dziewczyno.

Sekundę po tym, jak rzucił telefon na sofę, odezwał się sygnał SMS-a. Tylko spojrzął z daleka na ekran. To musiała być jakaś oferta od operatora, bo do mieszkańca powiatu sierpeckiego tylko dzwoniłi. Może kodowana transmisja kolejnej walki bokserkiej, a może zachęta, by dokupić więcej internetu. Codziennosc. Nie był ciekaw.

Chciał wstawić wodę w czajniku, ale nagle poczuł obezwładniającą senność. Zdjął spodnie i skarpetki, rzucił wszystko koło łóżka, zgasił światło, po czym nakrył głowę koldrą. Niemal od razu zapadł się w miękkie niebyt.

17

Nadkomisarz Konstanty Podbiał nigdy nie lubił niedziel.

„Nigdy” sięgało bardzo daleko, bo aż do czasów liceum. Gdzieś tak w ich połowie zaczęło iść coś nie tak, nie można było już dalej „jechać na geniuszu” z podstawówki. Wszelkie braki zostały obnażone, a nauczyciele skończyli z taryfą ulgową. A w poniedziałki zawsze było najgorzej. Nawet teraz, po tylu latach, miał koszmarnie sny, w których był poniedziałkowy poranek, a w planie lekcji dwie fizyki z rzędu, w dodatku on nie był na tych zajęciach od dłuższego czasu, bo „się nie złożyło”. W niedzielę zawsze czuł zbliżającą się katastrofę.

Ta niedziela miała być inna. Wiedział o tym już w chwili, gdy pogotowie zabierało z Centralnej rannego Rudzkiego. Teraz przyszła pora na dalszy ciąg zabawy.

Kostek zjadł śniadanie i wyszedł z domu. Prawie już nie myślał o Kornelii, przestał sobie wyobrażać ich rozmowę, kiedy znów się spotkają. A do tego nawet się o nią nie martwił. Najwyraźniej tamten koleś, którego widział w pobliżu jej domu na Mokotowie, dopiął swego.

Niedzielne harce Kostek postanowił rozpocząć od zakładu na Oczki, gdzie od piątkowego późnego wieczoru, a może nocy rezydował Wojciech Ożóg. Kostek miał nadzieję, że sekcja zwłok została już przeprowadzona. Zakładał też możliwość, że stanie się to, mimo wszystko, przy dniu świętym, a on będzie miał papier w ręku podczas poniedziałkowej odprawy.

Dochodziła dziesiąta, gdy zatrzymał samochód przed starym gmachem całkiem niedaleko Dworca Centralnego.

– O to pan, komisarzu! – Znajomy lekarz wyraźnie ożywił się na jego widok, odłożył nawet na talerzyk nagryzioną kanapkę, wreszcie dłonie, które czynią cuda, wytarł w ściereczkę. – Właśnie o panu myślałem.

– Naprawdę, doktorze? Dzień dobry. – Podbiał uściśnął wyciągniętą w swoim kierunku prawicę. – Co dobrego?

Medyk wskazał na talerzyk.

– U mnie tylko bułka z szynką – rzekł ze smutkiem, zaraz jednak się znów się ożywił. – Za to pański klient, jak mu tam... – sięgnął do papierów leżących na wysłużonym biurku – Ożóg. Wojciech Ożóg.

- Aaa, ten. – Policjant udął obojętność, ale w tym wypadku była to naprawdę trudna sztuka. – Co z nim?
- Bez zmian, nadal nie daje oznak życia – patolog zachichotał, bo to był znany filut, potem sięgnął po jedzenie, ale nie gryzł. – A tak poważnie, mam już gotowy raporcik.
- Umieram z ciekawości.
- Cios w serce ostrym narzędziem. Ale to pewnie pan wie od piątku. Od siebie dodam, że nie jest to łatwa sprawa. Jak pan się zapewne orientuje, najważniejszy narząd w ciele człowieka jest bowiem chroniony przez klatkę żeber.
- Zawsze myślałem, że to mózg jest najważniejszy... – Podbiał podrapał się po głowie.
- Zdania w tej kwestii są podzielone. Poza tym, jak patrzę na preferencje wyborcze wielu naszych rodaków, to śmiem twierdzić, że bez mózgu jednak da się żyć. Tak czy siak, trzeba wiedzieć, gdzie i jak celować. Jednocześnie cios musi być mocny, by ostrze zdołało przebić ubranie, czasem nawet kilka warstw.
- Zabójca prezydenta Adamowicza, niestety, wiedział jak to zrobić. Ten najwyraźniej też.
- Zgadza się. A wracając do naszego klienta, to jest... to znaczy był bezdomny, prawda?
- Wiele na to wskazuje. A co?
- To jak na bezdomnego całkiem nieźle się odżywał. Przynajmniej w ostatnim czasie.
- Chodzi o treść żołądka?
- Dokładnie. O ile znam się na grzybach, znalazłem tam... trufle. Pan wie, ile potrafi kosztować kilogram trufli?
- Podbiał skinął głową, choć tak naprawdę to się nie orientował w cenie tych wyjątkowych i trudnych do znalezienia grzybów. Nie pamiętał nawet, czy podczas małżeństwa z Katarzyną kiedykolwiek jedli takie specjały. Może tak, ale on nawet nie zapytał, co leży na talerzu, żeby nie przynosić jej wstydu w dobrym towarzystwie. Choć jak się trzyma sztuce, akurat wiedział, bo w domu nauczyli.
- To raczej nie na kieszeń zwykłego Polaka, nie mówiąc już o kimś takim – skomentował jeszcze lekarz.
- Nie musiał chłopina wydawać na czynsz, prąd i kablówkę, a przede wszystkim na kolejną ratę niespłacalnego kredytu, to w końcu wziął i uezbiał na ćwierć kilograma trufli – rzekł Kostek. – Co jeszcze szef kuchni poleca? Bo czuję, że to nie koniec. Może homara z jajami przepiórczymi w algach morskich?
- Tym razem to patolog skinął głową. A skoro już dotknęli tematu, ugryzł w końcu swoją kanapkę i zaczął przeżuwać, jakby nic poza tym go nie obchodziło. Po chwili jednak znów sięgnął do dokumentacji i rzekł:
- Trafił pan. Są też kawałki homara. Do tego owoce morza. Jednym słowem wszystko to, co moja teściowa nazywa robalami i czego by za nic do ust nie wzięła. Oczywiście nieźle podlane. Zresztą stan wątroby wskazuje, że klient się pod tym względem nie oszczędzał, co najprawdopodobniej w konsekwencji sprawiło, że trafił na ulicę. To chyba wszystko. – Wręczył policjantowi dokumenty.
- Dziękuję, doktorze – rzekł Kostek, a po chwili skomentował dwuznacznie: – Swoją drogą to narobił mi pan apetytu.

Z raportem pod pachą, zamysłony, bowiem nowe ustalenia wzbogaciły, ale też zagmatwały obraz zabitego kloszarda, Podbiał ruszył przez jesienną, niedzielną Warszawę. Ruch na ulicach był umiarkowany, bo zakaz handlu robił swoje. Wreszcie było słonecznie, choć rześko. Idealna pogoda na spacer po wiślanych bulwarach, a może nawet dalej.

Wszystko to Kostek miał na wyciągnięcie ręki. Nawet dwa rowery wciąż stały w piwnicy, bo Rawska nie zabrała swojego po rozwodzie. Spięte za sobą metalową linką, gdyż plaga kradzieży dotyczyła nawet piwnic, stanowiły ostatni albo jeden z ostatnich dowodów, że tych dwoje ludzi coś kiedyś łączyło. Prawdopodobnie Podbiał musiałby się mocno natrudzić, żeby odszukać kluczyk od zabezpieczenia. Wiedział jednak, że nie pójdzie ani na spacer, ani pojeździć.

Dochodziła jedenasta, gdy wszedł do swojego pokoju w Pałacu Mostowskich. Uchylił okno, by wpuścić świeże powietrze, spojrzął na rudziejący Ogród Krasińskich pod drugiej stronie ulicy Andersa. Nie zamierzał jednak gapić się w okno. Na to przyjdzie pora w tygodniu.

Na jego biurku leżał raport techników kryminalistyki. Śladów na ciuchach denata znaleźli oczywiście od cholery, więc trzeba było to wszystko uporządkować i ustalić plan dalszych działań. Chyba że za chwilę podejrzany do wszystkiego się ładnie przyzna.

Rzucił okiem także na zdjęcia martwego Ożoga, wykonane w ubikacji pociągu, a także rzeczy znalezione przy nieboszczyku. Wszystko się zgadzało. Prócz jednego: na dwóch fotografiach uwieczniono czapkę kibica, od góry, a także jej wnętrze. I to właśnie to drugie zainteresowało Kostka. Do materiału przypięta była kartka z jakimś napisem. Nie, nie była to metka, napis był odręczny, wręcz nieporadny.

– III.2.C.12/20 – przeczytał na głos.

Że też nie dostrzegli tego na miejscu...

– Cześć, Waldek. Podbiał – rzucił po chwili do słuchawki, po wystukaniu wewnętrznego.

– Szczęść Boże – odpowiedział mu policjant nazwany Waldkiem, który nie miał tak ładnego widoku z okna. – Pewnie chcesz zapytać o nowego klienta?

– A co? Brelok jest?

– Nie. Aż tak to nie, choć powiem ci, że było kilka momentów, że sam bym do niego wszedł i osobiście zawiesił sznurek, a nawet krzesło podstawił. Wszystko dlatego, że w nocy kilka razy gnój się dobijał do drzwi. Normalnie załatwiliby to jego koledzy spod celi, ale problem w tym, że trafiła się chujowi jedynka.

Czyżby to rzeczywiście był ćpun na głodzie? – pomyślał Kostek.

– Czego chciał? – zapytał obojętnym tonem.

– Wykrzykiwał, że idzie nowy porządek. I żebyśmy się zastanowili, komu służymy, bo może być za późno. Jako dobry parafianin nie powtórzę słowo w słowo przy niedzieli, wybac.

– A to taki egzemplarz, że też się nie domyśliłem! – rzekł na to Kostek. – Obawiam się, że ma rację i nasz los jest już przesądzony, sierżancie. Jak znam życie, to mamy niewiele czasu, bo tylko do jedenastego listopada. Wtedy się trzeba będzie zadeklarować, komu się chce służyć.

– Taaa... – zabrzmiało w słuchawce. – Ale może uda ci się go do nas przekonać, co? Spróbujecie, nadkomisarzu Podbiał?

– Za piętnaście minut. Nie ma to jak małe przesłuchanie przy niedzieli po kąpieli. – Kostek odłożył słuchawkę.

Z tego szkolenia, które zorganizowano w niedalekim mieście, wyjechał jeszcze tego samego dnia. Zjadł obiad razem ze wszystkimi i przez chwilę nawet czuł się dobrze. Zakładał, że wieczorem, po zakończeniu prelekcji, wszyscy wyjdą, by się napić w jakimś fajnym lokalu. W końcu sobota, męskie towarzystwo i nawet nie takie stare, no i przede wszystkim obce miasto. Słyszał, że przy jego głównej ulicy znajduje się kilkadziesiąt pubów i można tak spędzić całą noc, przechodząc z jednego do drugiego. Pewnie po kilku głębszych zapomniałby o kłopotach.

Tylko co rano? Kac, a do tego to, co go spotkało. Chyba jeszcze nigdy przez całe swoje dotychczasowe, ponad czterdziestoletnie życie (i marne, tego też już był pewien) nie był w takim dole jak teraz. Miał wrażenie, że boli go całe ciało, a przecież fizycznie nic mu nie dolegało. Zupełnie jakby jednak wyskoczył z tego okna, ale tylko się potłukł. W pewnej chwili jakiś głos w jego głowie kazał mu spakować walizkę, wsiąść do samochodu i wracać do domu.

Posłuchał tego głosu. Może jeszcze nie wszystko stracone?

Udało mu się wymknąć z budynku, w którym ich zakwaterowali. To była jednak ruina. Gdyby dali im jakiś dobry hotel, to pewnie w tym zdołałby znaleźć ukojenie. Teraz nie musiał się nikomu tłumaczyć, dlaczego wyjeżdża, choć ledwo kilka godzin temu przyjechał. Wsiadł do samochodu i ruszył w drogę, mimo że trochę się bał prowadzić. Na szczęście nie padało już tak mocno, a do Warszawy miał autostradę.

Kiedy wrócił do domu, nie zastał już syna. Żony też nie, ale z bałaganu, który panował w mieszkaniu, wywnioskował, że właśnie trwa wyprowadzka. Pojawiła się jakieś pół godziny później, w dodatku nie sama. Pomagały jej dwie starsze siostry.

– Cześć – jedna z nich nawet się z nim przywitała.

– Cześć – odpowiedział, jakby nigdy nic.

Siedział sam w sypialni. Nie miał ochoty na rozmowy. Nie chciał ich nawet widzieć. Ale nie powstrzymał się, żeby nie obserwować przez okno, jak wszystkie trzy dźwigają toboły do samochodu jednej z nich. Chyba wszystkie miały z tego niezłą zabawę. W pewnym momencie zadzwonił do syna. Był już w nowym mieszkaniu, oglądał filmy. Słychać było śmiechy.

– Tatusi cię bardzo kocha – rzekł przez ściśnięte gardło. – Pamiętaj o tym.

– Dobrze – odpowiedział dziesięciolatek.

Na tym rozmowa się skończyła.

Wieczorem, kiedy było już ciemno, pojechał w okolice bloku, do którego się przeprowadzili. Kilkanaście minut krążył wokół niego, próbując ustalić po numerze mieszkania, a chyba tak naprawdę zgadnąć, które to mogą być okna. Nie udało się. Czuł

się jak w czasach liceum, kiedy chodził pod okna dziewczyn, które mu się podobały. Trochę z nudów, trochę po to, żeby serce uspokoić.

Następny dzień to była niedziela i zrobił dokładnie to samo. Ale spędził tam już trochę mniej czasu. Nie chciał, żeby ktoś go zobaczył. Dużo więcej szans upatrywał w poniedziałku. Zanim pojechał do pracy, zaczął się na przystanku tramwajowym. Synek musiał tędy iść do szkoły. I szedł, na dodatek sam.

– Cześć! – zawołał do niego.

Chłopiec odpowiedział na pozdrowienie, ale on czuł, że coś jest nie tak. Oczywiście, że było coś nie tak! Wszystko było nie tak, jak powinno być. Przecież zabrali mu dziecko! Ale wiedział, że nie może przedłużać. Czuł się trochę jak pedofil, a przecież był ojcem. Ojcem, któremu nikt nie odebrał praw rodzicielskich i niech tylko ktoś próbuje.

Spojrzał szybko na zegarek. Za siedem ósma.

– Przyniosłem ci coś do picia. – Sięgnął do teczki, skąd wyciągnął jego ulubiony napój w półlitrowej plastikowej butelce, a kiedy chłopak bez słowa schował ją do kieszeni kurtki, zawołał: – A teraz leć, bo się spóźnisz. Miłego dnia w szkole!

Odprowadził małego wzrokiem, póki nie zniknął za zakrętem. Nawet mocno nie przejął się tym, że się ani razu nie obejrzał. Potem pobiegł do pracy, aby samemu się nie spóźnić.

Nie widzieli się przez kolejne dni, potem tydzień, dwa. W mieszkaniu, w którym został sam, wciąż patrzył na zabawki, których syn ze sobą nie zabrał. Kiedy jechał do pracy, w autobusie, w metrze, w tramwaju czy sklepie, kiedy musiał kupić sobie coś do jedzenia, widział go wszędzie. W każdym napotkanym chłopcu.

Ale powoli przyzwyczajał się do nowej sytuacji. W chwilach, kiedy miał zimną głowę, próbował sobie to wszystko jakoś poukładać, rozważyć wszelkie „za” i „przeciw”. Ale wciąż miał nadzieję, że za kilka tygodni jego ślubnej się odwidzi. Że zmieni zdanie i wróci do domu. Albo że po prostu skończą jej się pieniądze, a przecież wynajęcie mieszkania to nie są żarty. I jakoś nie zakładał opcji, że z nią i z synem mieszka jakiś facet. Czasem potrzebne są takie burze, możliwość osobnego pomieszkania, żeby człowiek potrafił sobie coś przemyśleć, zrozumieć, a przede wszystkim docenić to, co ma.

Któregoś październikowego popołudnia, wróciwszy z pracy, znalazł w skrzynce pocztowej awizo. Od razu poszedł na pocztę, bo nigdy takich rzeczy nie odkładał, nawet gdy wiedział, że to tylko PIT za ubiegły rok. Zresztą przykrych spraw też nie odwlekał, choćby mandatu za przekroczenie prędkości. Oczywiście gdy wiedział, że mu radar strzelił taką pamiątkową fotografię z wycieczki.

Kiedy już odstał swoje, podszedł do okienka i na dość dużej kopercie, którą przyniosła pracownica placówki, dostrzegł pieczętkę sądu, nogi się pod nim ugięły. Musiał potwierdzić odebranie przesyłki podpisem na elektronicznym urządzeniu, zamontowanym przy okienku. Ale nie potrafił. Nie chodziło bynajmniej o ustrojstwo, z którym nie miał wcześniej do czynienia, rysik i gładką szybkę, na której trzeba było zostawić ślad.

On po prostu zapomniał, jak się nazywa...

PRZEWAŻNIE DESZCZOWO

18

Często bywało, że do pokoju, w którym odbywały się odprawy, nadkomisarz Konstanty Podbiał wpadał jako ostatni albo jeden z ostatnich. Może nie z rozwianym włosom czy obłądem w oczach, ale bywało, że nie za bardzo przytomny. Gdy był spóźniony, bo i tak się zdarzało, bąkał niczym uczeń zwyczajowe „przepraszam” i zajmował miejsce.

Ale w ten poniedziałkowy poranek było inaczej. Podbiał pojawił się jako pierwszy, ogolony i świeżutki, jakby za chwilę miał mieć rozmowę kwalifikacyjną w jakiejś korporacji. Albo poprzedniego wieczoru wylał do sedesu cały alkohol i obiecał światu, że zacznie zupełnie nowe życie. Brakowało mu tylko krawata.

Za oknami było szaro i nieprzyjemnie, w każdej chwili można się było spodziewać deszczu, co zapowiadano wczoraj w prognozach pogody. Ci, którzy należycie wykorzystali weekend, mogli mieć satysfakcję. Tym bardziej że zwykle było odwrotnie: sobota i niedziela do niczego, podczas gdy poniedziałek, kiedy zaczynał się kariat, jak złoto!

– O, cześć – przywitał go zdziwiony Kontra, który przyszedł niedługo po nim. – A ty nie miałeś być na urlopie do wtorku?

– Miałem – odrzekł Kostek.

– To co się stało? Wpadłeś w kolejny „holizm”?

– Nie. Tylko mi pociąg uciekł. A potem już się nie za bardzo opłacało.

Krzysztof Kontra, tak jak i on kiedyś, przeniósł się do stolicy z Olsztyna. Jakiś czas później zastąpił w KSP wcześniejszego szefa Kostka, inspektora Musiała. Na początku Podbiał żałował, że stary odszedł, ponieważ znali się dobrze i dogadywali jeszcze lepiej. Ale z Kontrą, jak się okazało, też nie było najgorzej, mimo że służbista i czasami upierdliwy. No i bywało też, że chronił Podbiałowi skórę, gdy sytuacja była poważna, a w jego gabinecie pojawiali się smutni panowie w kiepskich garniturach.

– Tak, coś słyszałem o tej hecy – odpowiedział Kontra. – Ale to Rudzki chyba się tym zajął, nie?

Kostek już wiedział, że nie wszyscy spędzili tak pracowity weekend jak on. Podeszedł bliżej, nachylił się nad szefem i niegłośno, w kilku zdaniach, opowiedział o tym, co wydarzyło się na Centralnej. W efekcie łysa czaszka Kontry poczerwieniała.

– Byłeś u niego? – zapytał równie ściszym głosem.

– No jasne. Od razu pojechałem na Wołoską. Potem nawet przez chwilę gadaliśmy. Wszystko mi przekazał. – Wskazał na kartonową teczkę.

– Ale wydzie z tego?

– To twardy zawodnik.

Do pokoju zaczęli wchodzić kolejni uczestnicy poniedziałkowej odprawy. Kostek, który wrócił na swoje miejsce, wypatrywał szczególnie jednej osoby. Kiedy Kornelia Banaś nie wróciła w niedzielę na Bielany, już się nie wahał do niej zadzwonić. Nawet butów nie zszu, jakby czuł, że zaraz będzie musiał znów i to w miarę prędko opuścić mieszkanie przy Rudnickiego.

Na szczęście odebrała telefon. Nie rozmawiali długo. Kornelia przeprosiła, że nie dawała znaku życia. Jak mówiła, jeszcze w sobotę wylądowała u znajomych i tak jakoś zeszło. Kostek coś tylko mruknął w odpowiedzi. Znał takie babskie gadanie, a szczególnie te ich „tak jakoś zeszło”. Mimo to cieszył się, że z czasową współlokatorką wszystko dobrze. Że nie dopadli jej żądni zemsty przestępcy, których kiedyś wsadziła za kratki, bo takich to chyba nawet jeszcze nie było. Ale obiecał sobie, że w poniedziałek wyciągnie od niej więcej.

– Dzień dobry państwu w nowym tygodniu pracy – rozpoczął podinspektor Kontra i tak jak zawsze witał wszystkich na siedząco, tak teraz wstał, komunikat był bowiem szczególnie i wymagał innej oprawy, chociaż może nie aż takiej. – Pewnie niektórzy z was już wiedzą, że nasz kolega, Andrzej Rudzki, został wczoraj ranny podczas pełnienia obowiązków służbowych.

Po obecnych, a był nieco ponad tuzin chłopa i kilka kobiet (wciąż bez tej jednej, na którą czekał Kostek), przetoczył się pomruk.

– Na szczęście jego stan jest stabilny, a życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. – Kontra zakończył przykry obowiązek utartą formułką.

Podbiał miał to już na szczęście za sobą. Jeszcze wczoraj wieczorem, chwilę po tym, jak zakończył rozmowę z Kornelią, jego telefon znów zadzwonił. W pierwszej chwili pomyślał sobie, że to znów Banaś, która przemyślała sprawę i postanowiła się przyznać, co naprawdę robiła przez cały ten czas. Ale to był inny numer.

Kiedy odebrał, w słuchawce usłyszał zapłakany kobiecy głos. Przestraszył się, że to ktoś z jego rodziny, kogo w pierwszej chwili nie rozpoznał, i że stało się coś złego, a on zaraz pożałuje, że został na weekend w Warszawie. Ale po chwili okazało się, że to był, owszem, ktoś z rodziny, ale Rudzkich. A dokładnie żona Andrzeja, która wróciła z dziećmi do pustego mieszkania i nie wiedziała, co się dzieje, bo telefon męża milczał.

Chyba dopiero teraz musiał Kostek użyć całego arsenału środków, wszystkiego, czego się przez te wszystkie lata nauczył, a także tego, co przekazała mu była żona, która oszukiwała na co dzień ludzi w teatrze czy serialach. A wszystko po to, aby ślubna jego kolegi nie straciła przytomności. I chyba się udało, bo kiedy kończyli rozmowę, jej głos brzmiał już w miarę normalnie. Był to chyba pierwszy taki przypadek i ona egzamin żony warszawskiego gliniarza zdała. Zanim się pożegnał, zdradził jej jeszcze numer sali w szpitalu na Wołoskiej. Miał nadzieję, że jego rola była zakończona.

– O tym, co się stało – z zamyślenia wyrwał go głos przełożonego – opowie nadkomisarz Podbiał, który był na miejscu zdarzenia.

Kontra usiadł, a Kostek sięgnął po pierwszy dokument. Już miał zacząć czytać, gdy drzwi się otworzyły i na progu stanęła podkomisarz Banaś. Przypomniał sobie tamten letni dzień, kiedy zobaczył ją tutaj po raz pierwszy. Do środka weszła ładna blondynka

w dopasowanej, białej koszuli i dżinsach. W rękę nie trzymała jednak tacy z kawą, którą złośliwiec Kontra chciał napoić niezbyt przytomnego po nocy spędzonej poza domem Kostka, a teczkę z dokumentami. Tylko czekali, aż stary wybuchnie gniewem, bo mieli wówczas świeżą sprawę morderstwa nad Wisłą. Ale jego twarz rozjaśnił wtedy uśmiech.

Zresztą teraz też tak było. Najwyraźniej łysoł miał do niej słabość, a kiedy ją porwali i omal się nie uwędziła w jednej willi we Włochach, a potem wylądowała w resortowej lecznicy na Mokotowie, to już w ogóle chuchał i dmuchał. No dobra, tylko chuchał.

– Siadaj – rzekł bez złości do spóźnialskiej Kontra.

Nie przeprosiwszy ani nie odezwawszy się słowem, Banaś zajęła miejsce. Jakoś ciężko klapnęła na krzesło, jakby to teraz ona miała za sobą nieprzespaną noc. Kostek miał zacząć referować, więc nie mógł się jej przyjrzeć uważniej, by postawić wstępną diagnozę przed rozmową w ich pokoju. Rudzkiego nie było, więc mogła się odbyć w cztery oczy. I odbędzie się! Niech no tylko stąd wyjdą...

Nadkomisarz przybliżył szczegóły sprawy, nad którą pracowali od piątkowego wieczoru.

– Dzięki dworcowemu monitoringowi udało się wstępnie wytypować podejrzanego – ciągnął niskim, kompetentnym i wzbudzającym zaufanie głosem, nad którym swego czasu pracowali z żoną aktorką. – Traf chciał, że komisarz Rudzki spotkał go tam podczas dalszych czynności śledczych.

Podbiał odłożył na bok stronę, gdzie jeszcze wczoraj napisał o spotkaniu tamtych dwóch w dworcowej ubikacji, a dokładnie przy pisuarach, pociągnął łyk wody ze stojącej przed nim szklanki, po czym perorował dalej:

– Gdy podejrzanym zorientował się, że może być śledzony, zaatakował. Zostałem akurat wezwany do zdarzenia, które mogło być powiązane z piątkowym morderstwem, i po krótkim pościgu ująłem podejrzanego na terenie dworca. Wczoraj odbyło się pierwsze przesłuchanie. Okazuje się, że podejrzanym Zabielski Rafał, lat dwadzieścia cztery, zamieszkały Warszawa, ulica Opinogórska, jest dobrze znany organom ścigania, nie tylko z Pragi Południe. Chłopak z dorobkiem, ale też z ambicjami. Tylko co ma robić ktoś taki, kiedy drzeć ryja i odpalać flary można tylko jedenastego listopada czy pierwszego sierpnia...

Zawiesił głos. Złowił spojrzenie Kornelii, po raz pierwszy, odkąd usiadła. Coś było nie tak, ale na razie starał się o tym nie myśleć.

Tak, osobnicy pokroju Zabielskiego przypomnieli o sobie niedawno. Po internetowym wystąpieniu pewnego polityka stanęli w niedzielę przed drzwiami warszawskich kościołów, aby bronić ich przed demonstrującymi na ulicach kobietami i tymi, którzy je wspierają. Tu i ówdzie doszło nawet do przepychanek i wymiany zdań.

– Zabielski Rafał – podjął po chwili Kostek – sam niejako naprowadził nas na trop, awanturując się w nocy w celi. Kiedy o to zapytałem, potwierdził swoje poglądy słowami, cytując: „Śmieci trzeba segregować i wyrzucać do oznaczonych pojemników. Takie są przepisy, a jeśli się ich nie przestrzega, cierpią wszyscy mieszkańcy. Dotyczy to także ludzkich śmieci, czyli pedałów, feministek, czarnuchów, Żydów, ciapatych i lewaków”. Koniec cytatu.

Przerwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Ktoś mruknął, czyjaś komórka pisnęła cicho i nawet niezbyt irytująco, a za oknami rozległ się wizg starego tramwaju hamującego przed przystankiem Metro Ratusz-Arsenał.

– Na tej sympatycznej liście nie znaleźli się bezdomni, ale mamy powody twierdzić, że także dla nich pan Rafał przeznaczył oddzielny, kolorowy pojemnik na śmietniku. Na nagraniu z monitoringu z przejścia podziemnego widać, jak atakuje idącego na peron Wojciecha Ożoga. Patriotę mogła zdenerwować czapka w barwach narodowych na niegodnej tego głowie. Wspomnianej sytuacji Zabielski nie pamiętał. Jeśli zaś chodzi o artykuł dwieście dwudziesty trzeci Kodeksu karnego, podejrzany nie przyznaje się – dokończył nadkomisarz.

– Cisnąć – polecił Kontra. – Ja po południu pojedę do szpitala na Wołoską. Mogę zabrać ze sobą dwie osoby.

Po tej nieoczekiwanej uwerturze poniedziałkowa odprawa potoczyła się starymi torami. Podbiał szybko przestał słuchać tego, co mieli do powiedzenia jego koledy i koleżanki, a nawet prowadzący odprawę. Myślamy był już w swoim pokoju.

19

Drogę na miejsce pokonali osobno. Kornelia wyszła szybciej, ale widać musiała gdzieś jeszcze zaglądać, na przykład do łazienki, bo zamknęła za sobą drzwi, kiedy on uruchamiał już dzbanek wypełniony świeżą wodą, a do jego ulubionego kubka z kłapouchym była wsypana kawa. Sporo kawy.

– Nalałem więcej – uprzedził jej pytanie Kostek.

Podkomisarz Banaś nic nie odpowiedziała. Stała na środku pokoju i ujęła się pod boki. Znał tę bojową pozę, bo znał życie, ale jakoś nigdy wcześniej nie widział w tym wykonaniu. Nowy tydzień musiał przynieść jakieś nowości. Poza tym była jesień, a o tej porze nawet w telewizji już powtórek nie było.

– Dlaczego mi wczoraj nie powiedziałaś, co się stało z Andrzejem? – zapytała.

– Bo nie pytałaś – odrzekł.

– Myślałam, że razem pracujemy...

– I nic się nie zmieniło. To nadal jest twoje miejsce pracy. – Wskazał na jej stare biurko. – Nie interesuje mnie również to, co robisz w czasie wolnym. Jesteś dorosła. Wczoraj zadzwoniłem do ciebie tylko dlatego, bo umawialiśmy się, że się widzimy w sobotni wieczór u mnie. To cała doba opóźnienia. Mogli cię przez ten czas dziesięć razy zabić, porąbać i spalić, a popiół wsypać do Wisły. Albo wywieźć za granicę.

– Moim prochem byłoby obojętne, czy leżą w obcej ziemi, czy płyną do morza – skwitowała, usiadłszy za biurkiem, skąd pod chwili wyjęła swój kubek i słoiczek z kawą. – Co z tym trupem kłoszarda z pociągu?

Już? To wszystko? Naprawdę? – zastanawiał się Kostek, obserwując bacznie koleżankę, która w spokoju operowała małą łyżeczką.

I pewnie dalej by się gapił, gdyby nie głucho stuknięcie, które oznaczało, że mają już wrzątek. Jakoś bulgotania gotującej się wody nie słyszał. Rozlał ukrop, odstawił czajnik na miejsce, po czym sięgnął do szafki. Przygodny obserwator spodziewałby się w tym

momencie czegoś do kawy, choćby pączków, bo przecież gliniarze w tym kraju pochłaniają je na kilogramy, każde dziecko to wie. Ale zamiast słodkości Kostek trzymał w ręku plastikowy woreczek strunowy. Po chwili otworzył go i ostrożnie wysypał zawartość na swoje biurko.

O drewno stuknęła sporych rozmiarów koperta eleganckiego i raczej mało używanego zegarka marki Festina. Zadzwońło o niego kilka monet. Ale nie tylko. Coś, co w pierwszej chwili Kostek wziął za złotówkę, było zwykłą blaszką. Całość nakryły litościwie trzy banknoty o średnich nominałach i nieco wyświechtany, ważny jeszcze w piątek bilet na przejazd na trasie Warszawa Wschodnia – Ciechanów.

– Pierwsza myśl: wszystko kradzione. – Wbił spojrzenie w zgromadzone dowody. – Może poza drobnymi, bo je można dostać od kogoś, komu pomogło się z bagażem. Jeśli oczywiście był hojny. A kolejna myśl?

– Zabielski – podjęła Kornelia. – Ma oko na żuli, nosi go. Może chce się wykazać, a może serce, które urosło mu po przeciwnej stronie, podpowiada mu, że tak trzeba. Zauważa kradzież albo kradzieże, bo to się mogło odbywać przez kilka albo kilkanaście dni, po czym usuwa szkodliwą jednostkę. Oddziela od zdrowej tkanki społeczeństwa czy też, jak sam powiedział, wyrzuca śmiecia do odpowiedniego pojemnika. Bio albo zmieszane. Działa w pojedynkę, jako samotny wilk, albo otrzymuje poparcie od kierownictwa organizacji.

– Pytanie tylko, czy posunęliby się do morderstwa. – Kostek odstawił kubek jeszcze dalej od siebie i potarł oczy. – Przejść przez miasto z flagami, pokrzyzczyć, posłuchać obłąkanego byłego księdza, a nawet skopać tych, którzy próbują zablokować taki marsz, to co innego niż z zimną krwią zasztyletować człowieka.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

– Nie strasz mnie, Kornelia. Przy okazji, czekamy na raport, czy nóż, którym został potraktowany Andrzej, to może być ten sam, którego użyto w TLK Kormoran. Trzeba też będzie popytać, a może nawet poszukać w archiwum, czy w ostatnich latach nie było przypadków jakichś „polowań” na osoby bezdomne.

– Poszukam.

– I niekoniecznie w wykonaniu nazioli. Takie słodkie zabawy może sobie urządzać także młodzież z dobrych domów, kiedy gry komputerowe przestają już dostarczać adrenalinę. Zdaje się na moich starych terenach był niedawno taki przypadek. Banda gnojków dla zabawy podpałała włosy bezdomnym.

Policjantka jęknęła.

– Każde pokolenie ma swoich niechlubnych bohaterów – dodał po chwili. – Dresiarze, którzy pod koniec ubiegłego wieku zadźgali maturzystę w Lasku Młocińskim, mieliby już dorosłe dzieci. Może zresztą mają...

Cienka smużka pary nad kubkiem nadkomisarza unosiła się niemal idealnie pionowo.

– Zegarek można znaleźć, a pieniądze zbierać – spekulował dalej oficer. – Za te same pieniądze można kupić bilet na pociąg i ruszyć w podróż marzeń. I nie mów, że bilet był tylko do Ciechanowa. Na dobrą sprawę takiego sikora też można sobie sprawić, bo kosztuje do tysiąca złotych. Podobnie jak kolację w drogiej restauracji, oby tylko menadżer wpuścił do środka, a z tym już bywa różnie.

– Ale żeby tak od razu? Ze skrajności w skrajność? Wczoraj denaturat, a dzisiaj białe wino? – Banaś pokręciła sceptycznie głową.

– Myślałem, że zaśpiewasz „biały welon, białe włosy...” – zanucił Kostek.

Nie dała się sprowokować. Musiał nacisnąć gdzie indziej.

– No nie wiem, nie wiem – zafrasował się. – Żadne z nas nigdy nie było bezdomnym. To znaczy ja nie byłem, bo ty właśnie jesteś...

– Bardzo śmieszne!

Wyszczrzył zęby z satysfakcją. Należało jej się.

– Wciąż pozostaje kwestia zabójstwa – rzekł po krótkiej chwili. – No i ta dziwna blaszka.

– Na moje to ona jest tutaj najważniejsza.

– Na moje też. Tylko chciałem najpierw zrobić więcej miejsca i rozgarnąć niepotrzebne klocki.

Kornelia wyciągnęła rękę w kierunku dowodu, o którym mówili, ale w połowie drogi ją cofnęła. Skrzywiła się.

– Jak pan Ożóg miał jakiegoś wirusa, modnego albo mniej, to chyba taki wirus zdążył już zniknąć – skomentował Kostek. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– I tak sobie daruję. – Sięgnęła po szczypczyki i przy ich pomocy zaczęła obracać blaszkę. – To jest jakiś żeton, nie?

– Owszem. W dodatku z numerkiem. Osiemdziesiąt jeden. Wprowadzenie stanu wojennego.

– Jak żeton, to może jakiś hazard? – zgadywała Banaś. – Sama nie wiem. Nigdy w nic nie grałam. No, może w wojnę albo makao. I te żetony do ruletki też chyba inaczej wyglądają. Nie byłam nawet w kasynie.

– Obiecuję, że jak będzie jakaś akcja, to cię zabiorę. Mam nawet smoking w szafie, więc nie będzie poruty.

– Może najpierw należałoby zapytać, czy ja odpowiednią mam kieckę...

– Należało. A wracając do sprawy, Andrzej powiedział mi wczoraj, że na Brzeskiej, gdzie jeszcze niedawno mieszkał Ożóg, kilka razy ktoś o niego wypytywał. Hazard to wciąż poważna choroba, która dziesiątkuje populację. Tylko że znów pojawia się wcześniejsze pytanie: czy ktoś w ogóle wpuściłby takiego lumpa do kasyna? Na przykład w hotelu Marriott. To, mimo niskich instynktów kierujących ludźmi, którzy tam przychodzą, bardzo eleganckie miejsce.

Wstał z krzesła, zrobił kilka kroków po pokoju, jak zwykle przez chwilę popatrzył przez okno. Wreszcie podrapał się po plecach i wyrzucił z siebie:

– Chyba jednak popełniłem błąd. Powinienem jechać dalej i próbować przepytąć pasażerów, czy czegoś nie widzieli. A przynajmniej tych z wagonu, w którym doszło do zabójstwa. Ktoś na pewno coś widział, ale skoro nie pytają, to co się będzie wychylał. Jest piątek, każdy marzy tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. Film o morderstwie sobie obejrzyć w telewizji, a nie samemu wkładać tam łapy.

– A jeśli to zrobił ktoś, kto nie pojechał tym pociągami? – zapytał Kornelia. – Kto wysiadł albo, tak jak Zabielski, w ogóle nie miał zamiaru nim jechać?

– Wtedy najlepiej by było mieć pod ręką oddział prewencji, który w ciągu minuty odciąłby peron od reszty stacji. Zamiast robić kotły w mieście! Wiem, że bajdurzę, ale

w tamtym wypadku to było jedyne wyjście.

Dziewczyna na dłużej zatrzymała spojrzenie na Podbiałe. Zauważył to, ale nic nie powiedział. Tylko podniósł swój kubek i wreszcie napił się kawy.

– Każde miejsce jest przypisane do konkretnego pasażera – rzekł po chwili. – A dzięki temu, że większość biletów jest kupowana przez internet, a pasażerowie zazwyczaj zajmują grzecznie swoje miejsca, możemy spokojnie jeszcze dotrzeć do ludzi, którzy jechali tym pociągami. Tyle że to zabawa na całe tygodnie. Nie wiem, czy czasem niepotrzebnie łamiemy sobie głowy. I czy to nie będzie szybko do umorzenia.

– Dlaczego?

– Wiesz, jak jest. A może jeszcze nie wiesz. W każdym razie gdyby to był tatuś kogoś ważnego, to pewnie stołeczny już postawiłby na nogi pół garnizonu. A teraz widzisz, co się dzieje na ulicach. Policja ma co innego roboty. Oczywiście Kontra powie ci, że...

– ...nadal mamy wykonywać swoją robotę – dobiegło od drzwi, w których stał podinspektor we własnej osobie. – I dalej tak będę twierdził. Ale na razie rzeczywiście chyba zrobicie sobie przerwę od sprawy zabójstwa w Orient Expressie.

– A to niby dlaczego? – zapytali oboje niemal jednocześnie.

– Bo znów mam z wami kłopot.

– Dlaczego używasz liczby mnogiej? – zdziwił się Kostek. – Przecież zawsze to ze mną były kłopoty.

– Chodźcie, aniołki – powiedział Kontra.

20

Tego jeszcze nie grali! Po tylu latach służby, na chwilę przed emeryturą, kiedy człowiek zaczyna liczyć zmarszczki na głbie, zostać aniołkiem? – myślał Kostek, mimo wszystko z rozbawieniem, kiedy maszerowali we troje korytarzem. Nie odczuwał niepokoju. Przypomniał sobie za to, że na grobach małych dzieci często dawano taki napis: „powiększył/-a grono aniołków”. Zawsze go to wzruszało. No i za jakieś dwa tygodnie trzeba będzie zacząć myśleć, jak w tym roku rozwiązać kwestię 1 listopada. Jechać czy nie jechać na cmentarz: oto jest pytanie. Pytanie, które stawiają sobie co roku dziesiątki tysięcy „warszawiaków”. Oczywiście, że jechać! O ile znów jakaś mądra głowa nie wymyśli, żeby zamknąć cmentarze.

– Ciekawe, jak i kiedy będą chować Ożoga... – mruknął do siebie.

Kornelia, a ona akurat na określenie użyte przez Kontrę zasługiwała jak mało kto, chyba go usłyszała. Jednak w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Prawdopodobnie bardziej obchodziło ją to, co się dzieje teraz.

W pewnym momencie przyspieszyła kroku i zrównała się w marszu z Kontrą.

– Ale o co właściwie chodzi, szefie? – zapytała pewnym głosem.

Podinspektor zatrzymał się, przeciągnął dłonią po łysinie i rozejrzał na boki.

– Zatrzymaliście w sobotę złodzieja na Mokotowie? – zapytał ściszym głosem.

– Tak – odpowiedziała szybko Banaś. – Wynosił fanty z mieszkania na parterze w bloku. W dodatku w moim bloku. Zdrutowaliśmy go i zaraz przekazaliśmy chłopakom z Mokotowa.

– A wcześniej? – naciskał szef.

– Co: wcześniej? – Tym razem odezwał się Kostek. – Byliśmy u Kornelii w domu. Ma problem z ekipą remontową, więc załatwiliśmy sprawę.

– Pytam o to, co robiliście z tym klientem! – sarknął Kontra, przewracając oczami.

Kornelia Banaś po raz kolejny wzruszyła ramionami, z których jakoś nie wyrastały skrzydła, a jej mina z pewnością nie świadczyła o anielskiej cierpliwości.

– A co mieliśmy robić? – odpowiedziała. – Nie mieliśmy własnego transportu, więc czekaliśmy, aż przyjedzie radiowóz i zabierze gnoja na Malczewskiego.

– Gdzie czekaliście?

– Najpierw na podwórku, a potem na ulicy.

Naraz usłyszeli przyspieszony stukot ciężkich butów i zza zakrętu wyszedł posterunkowy w mundurze. Spozrzęglszy Kontrę, „uderzył w dach” i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Melduję, że nie ma ich w miejscu pracy, panie inspektorze!

– Już w porządku. Znalazłem ich w bufecie – odrzekł z uspokajającym uśmiechem Krzysztof. – Dziękuję, posterunkowy. To wszystko.

Ale młodziak się nie oddalał. Tylko zrobił dwa kroki w tył, nie spuszczać z oka Kostka i Kornelii. Pewnie był tutaj nowy i nawet ich wcześniej nie widział. Ich, czyli kogo? Starszych stopniem funkcjonariuszy czy może... podejrzanych? Tylko o co? Co się stało z tym złodziejem z Lewickiej? Nie można już było jednak zwlekać, nie można też było dopytywać i domagać się wyjaśnień od Kontry, tym bardziej że nie byli już sami, a ściany miały uszy.

Pół minuty później weszli do jego gabinetu. Za stołem, przy którym zwykle odbywały się narady w mniejszym gronie, siedziało dwóch mężczyzn w cywilu. Podbiał od razu wiedział, z kim będzie miał do czynienia, Kornelia chyba nie. Za krótko tu pracowała i jeszcze nie zdążyła sobie nagrabić. Aż do teraz, zgodnie ze starym przysłowiem: z kim przystajesz, takim się stajesz. Wiedzieli już, o kim będą rozmawiać, ale nie wiedzieli, co się stało.

– Proszę siadać. – Starszy z funkcjonariuszy Biura Spraw Wewnętrznych wskazał im krzesła pod drugiej stronie stołu.

Rację miał Kostek, powtarzając za każdym razem, że ludzie ci ubierają się źle. Mężczyzna miał na sobie kiepski garnitur, kupiony najpewniej w hali targowej, o czym mogły świadczyć dwie butonierki zamiast jednej, w dodatku jedna obszyta czerwoną nitką, a druga błękitną, i podobnej proveniencji białą koszulę ze zbyt dużą liczbą guzików.

Podinspektor Kontra zgromił tamtego wzrokiem, wszak on tu jeszcze był gospodarzem. Ale nic nie powiedział. Usiadł za swoim biurkiem, wyjął kartkę i wziął do ręki długopis. Kiedy Banaś i Podbiał zajęli miejsca, drugi z kontrolerów, który z kolei ubrany był w czarną skórzaną marynarkę i czerwony golf, więc nie było może aż tak źle, od razu zadał kilka pytań bardzo podobnych do tych, które usłyszeli w rozmowie na korytarzu. Padły też podobne odpowiedzi.

– Dowiemy się wreszcie, o co chodzi? – Podbiał w pewnym momencie nie zdołał nad sobą zapanować.

Tamci dwaj spojrzeli po sobie.

– Juras Klaudiusz, mężczyzna zatrzymany w sobotę na ulicy Lewickiej dziewięć na jedenaście, został ciężko pobity – powiedział na jednym wydechu ten w dziwnej, powiedzmy to wreszcie jasno: wieśniackiej koszuli.

– Juras to imię czy nazwisko? – chciał wiedzieć Kostek.

– Nazwisko. – Oficer chrząknął. – Chyba widział pan jego dokumenty?

– Może widziałem.

– Tak czy tak, Klaudiusz Juras twierdzi, że go pobito.

– No to czemu nie jesteście na Malczewskiego?

– Ponieważ on twierdzi, stało się na terenie posesji. Zaraz po zatrzymaniu.

– Bzdura! – huknął nadkomisarz.

– Uspokój się, Kostek – powiedział Kontra.

Ale w Podbiale najwyraźniej coś już pękło.

– Jestem spokojny! Parę lat temu inaczej byśmy gadali. W co wy nas chcecie zrobić, do kurwy nędzy?! – zapytał podniesionym głosem. – Przecież do budy ten człowiek wszedł nietknięty. Miał tylko kajdanki na rękach. O resztę pytajcie ludzi z Malczewskiego, nie nas.

– Wiemy, co mamy robić – odpowiedział ze spokojem ten młodszy, w golfie.

Kostek zerknął z ukosa na młodą. Kornelia jakby się skurczyła. Dłonie ze splecionymi palcami trzymała na brzuchu, a spojrzenie wbiła w blat stołu.

– Co na ten zarzut odpowie podkomisarz Banaś? – padło pytanie, ale nie zadał go żaden z tamtych, ale Kontra.

– O to już chcielibyśmy zapytać panią podkomisarz na osobności – powiedziała starszy, po czym wstał od stołu. – Pani pozwoli z nami.

Spojrzała na przełożonego, jakby szukała ratunku, bo fraza „pani pozwoli z nami” nie brzmiała miło i to zwykle ona ją wypowiadała. A może tylko chciała potwierdzenia? Tak czy siak, Kontra skinął jej głową.

Kiedy po chwili Kornelia i tamci dwaj wyszli z gabinetu, zaległa ciężka cisza. Kostek opadł plecami na oparcie krzesła, splótł palce za głowę. Mimo że unikał wzroku podinspektora, wyglądał, jakby zupełnie nie przejął się postawionymi mu przed chwilą zarzutami. Choć przecież tak naprawdę to nie usłyszał żadnych zarzutów. A jeśli by usłyszał, to tylko on czy oboje? Gdyby tamten gość naprawdę dostał po pysku, bo na przykład się rzucił, próbował wiać, wtedy na pewno Kostek wzięłby to na siebie. Problem w tym, że nic takiego się przecież nie stało.

O co więc chodziło? Kto i w co próbował ich zrobić? A może znów potrzebny był jakiś kozioł ofiarny albo dwa. Stary pryk i kobieta, co w obecnej sytuacji było nie bez znaczenia.

– Dokąd idziesz? – zapytał Kontra, kiedy po chwili także i Kostek ruszył ku drzwiom.

– Do pracy – odpowiedział. – Zdaje się w naszej piwnicy jest jeszcze parę niewiniątek do spalowania...

Najpierw wrócił do pokoju i zaczął porządkować papiery. Nie, nie swoje, jakby po tym, co się wydarzyło, oddał pole i zaraz napisze podanie o zwolnienie ze służby. Nie miał zresztą odpowiednio dużego kartonu, żeby zabrać się na jeden raz. W takich momentach zawsze trzeba iść z kartonem. I z podniesioną głową. Poza tym sprawa trupa, którego sam znalazł, wciąż była na warsztacie. Na razie nikt im jej nie odebrał.

Kostek działał jak w transie. Jakby Kornelia była już pod kluczem, w więzieniu dla kobiet na Olszynie, Rudzki nie leżał w szpitalu na Wołoskiej, ale na Wólce Węglowej, a on był ostatnim z watahy, który został. I musi ich pomóc. Na ekranie jedzie sam samochodem, w tle leci muzyka, wpadający w ucho motyw, a on wspomina spędzone z nimi chwile, te ciężkie i te radosne. Jakaś noc w szpitalu, jakaś akcja pościgowa, ale też to, co po robocie: grill, biegające w kółko dzieci i bańki mydlane.

– Kurwa! – zaklął.

Na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Kiedy był młodszy, śmiał się z tego gestu, dziś coraz częściej sam tak robił. Ciekawe, co na to powiedziałyby pani reżyser, czyli jego była. Czasem w żartach ją tak nazywał, bo jak która była ambitna, nie miała kłopotu w postaci potomstwa, to łapała się także i za to, reżyserowanie, a nawet scenariusze. A potem żarty się skończyły.

– Waldek? Tego Zabielskiego jeszcze masz? – rzucił po chwili do słuchawki telefonu.

– Żaden papuga się po niego nie zgłosił – odpowiedział sierżant, który nosił klucze do miejscowych cel. – A co? Pogadać chciałeś?

– Jakbyś zgadł. Dawaj go zaraz na górę.

Odłożył powoli słuchawkę. Tak naprawdę nie był wcale pewny swego. Do tego zaschło mu w gardle. Wstał zza biurka, znalazł w miarę czystą szklankę i wlał do niej z czajnika resztkę przegotowanej wody. Była letnia i smakowała obrzydliwie, ale mimo to wypił wszystko. Spojrzał na zegarek: dochodziło południe.

– Jechać z nim.

Minutę później dotarł do pomieszczenia, w którym miało się odbyć kolejne, a dokładnie drugie przesłuchanie Zabielskiego. Zanim jeszcze wszedł do środka, pomyślał, że wolałby sobie teraz pogadać z kimś zupełnie innym. Z tym Jurasem złapanym w sobotę na Lewickiej.

– Gotów? – zapytał dyżurującego przed wejściem funkcjonariusza i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. – Jak nocka? – zapytał, zamykając za sobą drzwi.

– Dzień dobry, panie nadkomisarzu – usłyszał.

Głos bynajmniej nie należał do podejrzanego. Na krześle również nie było nikogo. Za to na stole leżała elegancka skórzana teczka. Nieco dalej, oparty plecami o lustro weneckie, stał z założonymi rękami mężczyzna w garniturze i białej koszuli z krawatem.

– Kim pan jest? – warknął Kostek, w pierwszym odruchu chciał się cofnąć i zażądać wyjaśnień, ale w końcu tego nie zrobił.

– Mecenas Jacek Walukiewicz, kancelaria adwokacka Klimczuk-Stabro-Walukiewicz, do usług – przedstawił się z uśmiechem. – Chyba jeszcze nie mieliśmy przyjemności rozmawiać.

– Chyba nie. O czym chciałby pan mecenas porozmawiać teraz? Pytam, bo obawiam się, że nie mam zbyt wiele czasu, a do tego będę musiał poprosić o opuszczenie pomieszczenia, bo zaraz zacznie się tutaj przesłuchanie podejrzanego...

– Myślę, że to nie będzie konieczne. – Uśmiezek ani na chwilę nie schodził z twarzy prawnika. – Tak się bowiem szczęśliwie składa, że obaj jesteśmy tutaj z tego samego powodu. Powód nazywa się Rafał Zabielski i od dwóch dni jest tu bezprawnie przetrzymywany.

Jeszcze kilka chwil temu Podbiał miał nadzieję, że się po prostu pomylił i wszedł nie do tego pomieszczenia, co trzeba. Po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatniej godziny, było to naprawdę możliwe. Niestety, teraz wszystko było jasne: wagonowy nożownik, domniemany zabójca Ożoga i niedoszły zabójca Andrzeja Rudzkiego miał swojego adwokata. Rodzina się pewnie postarała, a może nawet organizacja, dla której pracował. Nie zostawia się przecież wiernych pretorian w potrzebie i nie mają tu znaczenia nawet polityczne sympatie. Grunt, że Walukiewicz tu był, by jak najskuteczniej przeszkadzać policji w czynnościach śledczych.

A Podbiał nie cierpiał adwokatów. I to nie tylko tych, którzy wchodzili mu w drogę w codziennej pracy. Miał za sobą przecież rozwód, więc zdążył sobie wyrobić zdanie również na temat specjalistów w tej dziedzinie. I specjalistek. Może nawet bardziej.

– Radziłbym się jednak wstrzymać z określeniem „bezprawne”. – Kostek usiadł na swoim miejscu i jakby nigdy nic zaczął przygotowywać się do przesłuchania, podczas gdy kłopotliwy gość stał cały czas tam, gdzie stał. – Na pańskim kliencie ciążyą bardzo poważne zarzuty. Atak na policjanta na służbie...

– Cieszę się, że zaczął pan właśnie od tego pożałowania godnego incydentu – rzekł ze swadą adwokat. – Zanim się jednak do niego odniosę, chciałbym wrócić do zabójstwa osoby bezdomnej dokonanego na dworcu Warszawa Wschodnia w piątek wieczorem. Otóż mój klient nie mógł dokonać tego czynu, ponieważ nie było go wtedy w tym miejscu.

Podbiał nic na to nie powiedział, podczas gdy Walukiewicz podszedł do stolika, otworzył teczkę i wyciągnął z niej jakieś papiery. Przebiegł wzrokiem po pierwszym z nich, następnie przewrócił kolejną kartkę.

– Wsiadł do pociągu relacji Dęblin – Warszawa Zachodnia – perorował po chwili – odjeżdżającym z dworca Warszawa Wschodnia o godzinie siedemnastej czterdzieści. Skład odszedł o czasie, co jest do sprawdzenia u przewoźnika. Ponadto towarzyszyło mu dwóch kolegów. W załączeniu bilety na przejazd skasowane przez konduktora.

Kostek usiłował sobie na szybko przypomnieć, jak to wyglądało, ale dał sobie spokój. Nie teraz. Teraz ma w głowie za duży mętlik. Na szczęście sprawa ataku na Rudzkiego, jakkolwiek to brzmi, była łatwiejsza. Analiza noża też nie będzie bez znaczenia.

– Jeśli zaś chodzi o pozostałe sprawy...

Adwokat nie dokończył, bo otworzyły się drzwi. Kostek spodziewał się, że wprowadzą tego, na którego czekał, czyli Zabielskiego. Ale to była Kornelia Banaś.

– Dzień dobry pani. – Walukiewicz uśmiechnął się na widok atrakcyjnej blondynki, której uroda w takim miejscu musiała robić jeszcze większe wrażenie niż gdzie indziej.

Ale ona go zupełnie zignorowała. Ruchem głowy przywołała Kostka.

– Przepraszam – bąknął.

Już po chwili był po drugiej stronie, wdzięczny za taki obrót spraw. Ale ważniejsze było, co z nią. Mieli do pogadania, ale najlepiej by było, gdyby zrobili to w cztery oczy. Nie musiał jednak tego mówić głośno, bo dziewczyna była już na korytarzu. Rozumieli

się coraz lepiej, tylko co z tego, skoro najprawdopodobniej wkrótce czekają ich poważne przejścia.

– Co to za klient? – zapytała, gdy zostali sami.

– Papuga naszego nożownika – odpowiedział. – Też jestem zdziwiony.

– Tak myślałam.

Już otwierał usta, żeby powiedzieć jej o zaskakującym alibi Zabielskiego, które należało sprawdzić, ale go ubiegła:

– Przed chwilą przysłali zapis monitoringu z Kormorana. Ożóg sam wszedł do łazienki. A pierwszą osobą, która do niego weszła, jesteś ty. W takim wypadku pytanie o daktyloskopię wydaje się zbędne, ale odpowiedź też już jest znana: prócz denata jest tam kilkadziesiąt odcisków palców i nie tylko palców. Ale nie Zabielskiego.

Kostek potarł nerwowo kark.

– Czuję, że to jeszcze nie koniec hiobowych wieści – powiedział.

– Niestety, nie. Jest też analiza noża użytego do obydwu czynów. A raczej noży. Dwóch.

– Jeszcze pięć minut temu powiedziałbym, że noży można mieć przy sobie nawet tuzin. Tak jak jest inny do warzyw, inny do ryb, a trzeci do chleba, tak zabójca może mieć oddzielne ostrze na kłozardów i oddzielne na psy. I że nasz prawdziwy Polak sprzedał Ożogowi kosę jeszcze na peronie. Tam był spory tłum.

– Ale tego nie powiesz, co?

Pokręcił głową, a potem wzruszył ramionami. I zaraz powtórzył jej to, co usłyszał przed paroma chwilami od irytująco uśmiechniętego przedstawiciela kancelarii adwokackiej Klimczuk-Stabro-Walukiewicz.

– Chociaż trochę dziwne mi się wydaje, że gość w piątek kupuje grzecznie bilet na przejazd, a następnego dnia jedzie na gapę pospiesznym – podsumował. – Ale pewnie pan Walukiewicz będzie potrafił wytłumaczyć także i tę kwestię.

– Wygląda na to, że będziemy zaczynać wszystko od początku. – Kornelia westchnęła. – Monitoring, świadkowie z peronu. No i jeszcze ta dziwna blaszka.

– Nie wiem, kurwa, może tylko my się dopatrujemy w niej czegoś dziwnego.

W korytarzu pojawił się Zabielski eskortowany przez sierżanta Waldka. Kawalek z nimi maszerował jeden z aspirantów z ich sekcji. Gdy mijali Kostka i Kornelię, powiedział do nich:

– Wziąłem sprawę Andrzeja.

Podbił po raz kolejny w ciągu kilku minut poczuł, jakby zrzucił z pleców ogromny ciężar. A chwilę później wyrzuty sumienia. I pewnie nie dałyby mu spokoju, gdyby nie przypomniał sobie o tym, że sam ma problemy. A raczej mają. Spojrzał na Kornelię, która już ruszyła w stronę ich pokoju, i rzucił za nią:

– Powiesz mi, czego od ciebie chcieli?

osób, więc nie sposób było kojarzyć każdego. Dotyczyło to nawet tych funkcjonariuszy, którzy w tym miejscu z mylącym adresem przepracowali większość życia. Wszak od zmiany systemu minęło już ponad 30 lat i nie tylko pozytywnie zweryfikowani milicjanci od dawna byli już na emeryturze, ale także ich następcy. Wszyscy mijali się na niezliczonych korytarzach, schodach, wewnętrznych dziedzińcach, spotykali w salach odpraw, pokojach przesłuchań czy stołówce.

Codziennie mógł tutaj trafić ktoś nowy, tak awansowany oficer, jak i młodziutki posterunkowy, który pełnił służbę w biurze przepustek albo w cieniu imponującej fasady z orłem z rozłożonymi skrzydłami. Choćby ten, który w poniedziałkowe przedpołudnie bezskutecznie szukał Kostka i Kornelii.

Byli jednak tacy, którzy znali wszystkich, bo między innymi na tym polegała ich praca. Jeśli nie osobiście, to na pewno z nazwiska, stopnia i przydziału służbowego. A także z większości grzechów i grzeszków. Na jedno można było przymknąć oko, na inne, niestety, nie. Najprościej mówiąc, była to policja w policji.

– Rozumiem. – Podinspektor Kwiatek mocniej przycisnął ramieniem telefon do ucha, bowiem akurat w tej chwili obie ręce miał zajęte: prawa celowała kluczykami w zamek stacyjki, natomiast lewa nurkowała w kieszeni kiepskiej marynarki w poszukiwaniu czegoś, co prawdopodobnie było w tym momencie niezbędne. – W takim razie zajmijcie się teraz porządnie tym chujem i mam nadzieję: bez odbioru. Cześć.

– Co tam? – chciał wiedzieć siedzący obok, na miejscu pasażera, nadkomisarz Kręcki; jego skórzana marynarka zaskrzypiała krótko o skórzane oparcie siedzenia.

– Dalszy ciąg dzisiejszej sprawy.

– Tego Jurasa?

– Zgadza się.

– Zadyndał w celi?

Kwiatek na chwilę wznosił oczy ku dachowi samochodu, po czym odpowiedział półgębkiem:

– Aż tak dobrze to nie ma. Na razie tylko się przyznał, że kuku zrobił sobie sam, kiedy rezydował już w piwniczce na Malczewskiego. Jak mówi, nie wie, dlaczego to zrobił...

– Dlaczego oskarżył policjantów, też nie wie?! – w głośnie młodszego z funkcjonariuszy wyraźnie zagrała złość.

– Ale pewnie zaraz się dowie. Tak czy inaczej, nasza robota wykonana. No i najważniejsze, że nie wracamy z pustymi rękami.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zagrał nosowo, a włączone wycieraczki zgarnęły z przedniej szyby krople wody i kilka zeschniętych liści. Liście już się nie pojawiły, ale deszcz, owszem. Prognoza pogody na dziś zaczynała się sprawdzać.

Już miał wrzucić jedynekę i ruszyć z miejsca, kiedy tuż przed nimi przejechał volkswagen. Kwiatek bez trudu rozpoznał człowieka, który kilkadziesiąt minut wcześniej spowodował, że nagle skoczyło mu ciśnienie. Tak, gdyby nie ten łysol, jego szef, inaczej by pogadali. Teraz i dziesięć lat temu tak samo. W samochodzie ujrzał też jasne włosy dziewczyny.

– Myślisz, że on ją posuwa? – Kręcki wskazał ruchem głowy oddalający się samochód.

- Całkiem możliwe.
- Jest na to jakiś paragraf?
- Na wszystko jest paragraf – mruknął Kwiatek, po czym wreszcie nacisnął na gaz.

23

Kiedy był jeszcze w szkole, zawsze marzył o tym, by w środku dnia nagle znaleźć w jakimś innym, nieoczywistym miejscu. Czasami pomagał mu w tym gwizd lokomotywy i wtedy jego myśli frunęły na najbliższy dworzec kolejowy. Tam zawsze pachniało wielkim światem i przygodą. I parowozami, bo i je na polskich torach jeszcze Kostek Podbiał pamiętał.

Potem wydorósł i przestał postrzegać kolejowe dworce jako romantyczne miejsca. Wręcz przeciwnie! Fraza z przeboju Kultu „czy byłeś kiedyś w Kutnie na dworcu w nocy” najlepiej i najdosadniej to ilustrowała. A do tego te wcześniejsze słowa o „mundurowych dziwolągach”. Sam był jednym z nich...

Ale w ten październikowy poniedziałek niemal z radością jechał na dworzec Warszawa Wschodnia. To było najlepsze lekarstwo na chorobę, której pierwsze symptomy czuł coraz wyraźniej: zając ten głupi łeb czymś innym.

Jak był jeszcze mężem Rawskiej, kilka razy razy zdarzało się, że odwoził ją na pociąg, bo miała jakieś zdjęcia czy spektakle w Polsce i łatwiej tam było dotrzeć koleją, a po kilku dniach odbierał. I nawet zawsze mu się to udawało, mimo pracy, nigdy nie zawiódł. Nawet lubił te chwile oczekiwania, aż pociąg wjedzie na stację (jeśli nie był za mocno opóźniony, bo wtedy cały nastrój pryskał), potem poszukiwanie w tłumie podróżnych miłej sercu twarzy. Znowu wtedy czuł młodzieńczą ekscytację.

Teraz też jechał z kobietą.

- Ci faceci z BSW byli nawet mili – oceniła Kornelia.
- Co ty powiesz – syknął policjant.
- Mówię tylko, jak było. Powiedzieli, że sprawę trzeba koniecznie wyjaśnić, szczególnie teraz, kiedy jest tak niewesoło.
- Dla jednych niewesoło, dla innych wesoło.

Przez uchyloną szybę do środka wpadł niski dostojny dźwięk dzwonów stojącej po lewej stronie cerkwi świętej Marii Magdaleny.

- Pytali o mnie? – Podbiał spojrzął na dziewczynę z ukosa, ale tylko na chwilę, bo skręcali w zatłoczoną Targową.

- Pewnie, że tak – zachnęła się panna Banaś. – A ja powiedziałam im, jak było.

Chwilę milczeli.

- Nie wiem, o co tu może chodzić – mruknął Kostek. – Najprościej to wytłumaczyć, że coś nieprzyjemnego stało się w komendzie przy Malczewskiego. Może klient zaczął uciekać, kiedy dojechali na miejsce, a jak go dopadli, kogoś poniosło? A potem postanowili zwalić na nas.

- Masz tam kogoś znajomego?

- Jasne. I tym bardziej byłbym zdziwiony, gdyby właśnie tak to wszystko wyglądało. Chyba że to jakieś żółtodzioby czy inne kulsony. Wiesz, czasami tracę poczucie czasu.

Chcę do kogoś zadzwonić, a potem uświadamiam sobie, że ten człowiek jest już dawno na emeryturze...

– Albo nie żyje.

– No, aż tak źle to ze mną jeszcze nie jest. Chociaż jak się tak spojrzę, ile życzeń urodzinowych dostają na fejsie osoby, które już od dawna nie żyją...

Zaraz pomyślał, że może jednak powinien spróbować wyciągnąć z koleżanki coś więcej na temat tego, co robiła przez całą niedzielę i dwie noce po bokach. Mimo tego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin, jakoś wciąż nie dawało mu to spokoju. A wiedział z doświadczenia, że takie rozmowy dobrze jest przeprowadzać właśnie podczas jazdy samochodem.

– I jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała Kornelia z radością, kiedy skręcili z Targowej w Kijowską, brakowało tylko, żeby w dłonie klasnęła jak dziewczynka; a on już wiedział, że rozmowa na tamten temat będzie musiała jeszcze trochę poczekać.

Zatrzymali się na parkingu i skierowali kroki w kierunku hali dworca. Podbiał uświadomił sobie, że gdyby wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował, to prawdopodobnie właśnie dojeżdżałby tu pociągiem. I kto wie, może nawet Kornelia szłaby mu naprzeciw, gdyby ją poprosił, żeby go z dworca odebrała. Oczywiście tylko przy okazji.

W środku panował umiarkowany ruch. Kostek z przyzwyczajenia spojrzął w lewo, na elektroniczne tablice przyjazdów i odjazdów. Mimo że nigdzie nie jechał ani na nikogo nie czekał. Ale gdyby tak było, pewnie byłby rad, bo wszystko działa bez zarzutów, a największe spóźnienie to były zaledwie cztery minuty pendolino z Gliwic.

– Tutaj widziałem Ożoga żywego po raz ostatni. – Wskazał oszkloną poczekalnię. – Zresztą również po raz pierwszy.

– Andrzej zdążył przepytac jego koleżków z dworca i okolic, to może teraz trzeba pogadać z pracownikami? – zastanawiała się Kornelia.

– Na razie zróbmy małą wizję lokalną, dobrze?

– Ale to tak teraz? Sami?

– Na razie chyba nie będzie potrzebne wsparcie. A z bohaterami też sobie poradzimy.

Ruszyli dokładnie tą samą trasą, którą Kostek pokonał przed trzema dniami. Tłum był o wiele mniejszy, ale już komunikat z megafonu trafił się bardzo podobny:

– To teraz ja na chwilę będę Ożogiem, a ty Zabielskim – powiedział w pewnym momencie Kostek.

Banaś podjęła grę. I popchnęła go tak mocno, że omal nie wpadł na idące z naprzeciwka dwie zakonnice z wielkimi walizkami.

– Won z Polski, śmieciu! – wycharczała może niezbyt głośno, ale dobitnie, że aż sam się zdziwił. – Nie masz prawa nosić takiej czapki.

Nie tylko zakonnice spojrzały na nich z przerażeniem, ale też kilka innych przypadkowych osób, które znajdowały się w tunelu. Choć trafiła się także i taka, która miała tu być. I nawet zachowała w sposób właściwy. Po tym, co zaszło w piątek, nie mogło być inaczej.

– Jakiś problem? – zapytał pracownik ochrony dworca, zastępując im drogę.

Podbiał rozpoznał jednego z tych, którzy w piątek przepędzili Ożoga z poczekalni, używając do tego mało kulturalnych słów.

– Nie, skąd! – Wyszczrzył się w uśmiechu. – Tylko się wygłupiamy.

Ledwo wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że ochroniarz to jego uznał za agresora, a Kornelię za osobę, która musiała się bronić przed atakiem. Czy w podobny sposób ten człowiek oceniłby tamtą sytuację, czyli krótkie zwarecie między Zabielskim a miejscowym żulem? Tym bardziej że znał tego drugiego...

– No nie wiem. – Ochroniarz dotknął paska, do którego miał przyczepione różne groźnie wyglądające zabawki.

– Ale naprawdę, proszę pana! – potwierdziła dziewczyna. – To były tylko żarty.

Właściwie to mieli do pogadania, bo nie zrobili tego od razu. Rudzki nie zdążył w sobotę, a teraz miał ważniejsze zajęcia i sprawy. Z przekonaniem swojej żony, że powinien jeszcze trochę popracować w polskiej policji, na czele.

– A skoro już tak stoimy, to może pan pozwoli na słówko? – Podbiał pokazał dyskretnie odznakę pracownikowi dworcowej ochrony.

Ten rozdziawił na chwilę usta, podciągnął pas. Po schodach wdrapali na peron, bo tam było nieco luźniej. Kostek musiał tylko zaczerpnąć tchu.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa, do którego doszło w piątek – powiedział po chwili. – Oczywiście słyszał pan o tej sprawie?

– Panie, od rana nie ma innego tematu – potwierdził mężczyzna.

Bo jednego trolla mniej – dopowiedział w duchu Kostek, ujrzawszy kpiący uśmiešek na czerwonej twarzy tamtego.

– Czy pan widywał wcześniej denata? – drugie pytanie było o wiele trudniejsze, zresztą dla obu interlokutorów, bo jeśli ochroniarz skłamie, Kostek będzie musiał przyrzeć mu się dokładniej, najpewniej w towarzystwie jego szefa, a może nawet szefa szefa.

– Tak, to jest... to znaczy to był stały bywalec naszego dworca. Chociaż ostatnio widywałem go rzadziej.

– Może trafił coś w lotto? – wtrąciła Kornelia.

– Albo w delegacji był – dodał Kostek.

– Nie wiem. – Miejscowy stróż porządku rozłożył ręce. – Ale chyba nic nie trafił, bo tamtego dnia próbował nagabywać podróżnych. Że niby pomoże w dźwiganiu. Nie jest to zabronione, bo bagażowych już nie ma od dawna na kolei, ale wiadomo, co takiemu do głupiego łba strzeli? Czy nie ruszy w długą z taką walizką? A potem pretensje będą do nas! No nie jest tak? Nie jest tak? – Spojrzał na Podbiała.

– Ma pan całkowitą rację, panie...

– Dziękuję. Marek Dziękuję.

– Czy tamtego wieczora widział pan coś podejrzanego, panie Marku? Albo kogoś? – zapytała znów Kornelia.

– Tyle co i wszyscy. Wezwali nas na miejsce, dopiero gdy te pechowe TKL do Olsztyna się zatrzymało. Podobno jakiś policjant znalazł w toalecie tego...

– Człowieka – dokończył nadkomisarz. – No nic, dziękuję. Nie zatrzymujemy. Być może jeszcze się spotkamy. Jak pan sobie coś przypomni, proszę o kontakt. – Wręczył mu służbową wizytówkę.

Dzięcioł coś mruknął, obróciwszy w palcach kartonik, po czym oddalił się w stronę swojego rewiru. Zanim zniknął na schodach, jeszcze kilka razy obejrzał się przez ramię.

24

– To ten peron? – zapytała Kornelia. – Bo, jak rozumiem, nasza wizja lokalna trwa?

– Tak jest. – Kostek wskazał niedbałym gestem na tor. – Tutaj wjechał pociąg, którym miałem wyjechać z miasta. I Wojciech Ożóg też. I obaj pojechaliśmy, tyle że niezbyt daleko.

Kornelia przez dłuższą chwilę rozglądała się po betonowej platformie.

– Skoro do zabójstwa nie doszło w pociągu, to gdzie? – zastanawiała się głośno, by zaraz odpowiedzieć sobie na to pytanie: – Wszystko wskazuje na to, że stało się to prawie na twoich oczach.

– To już wiem – rzekł na to Kostek. – Prawie, bo pociąg już stał, gdy doszedłem na peron. Ale niech ci będzie, że odplaciłaś mi za tekst o bezdomności.

– Taka pamiętliwa nie jestem. Ale niech ci będzie, że mamy jeden do jednego.

Jeszcze przed chwilą wokół nich było pustawo, ale u szczytu schodów zaczęli się pojawiać ludzie. Chyba zaraz powinien wjechać jakiś pociąg. Potwierdził to głos w megafonie:

– Opóźniony pociąg Inter City Premium z Gliwic do Gdyni Głównej przez Ciechanów, Iławę Główną, Malbork, Tczew, Gdańsk Główny, Gdańsk Wrzeszcz, Gdańsk Oliwę, Sopot wjedzie na tor pierwszy przy peronie czwartym.

– Ale nie da się ukryć, że masz rację – mruknął nadkomisarz. – Wszystko odbyło się niemal na moich oczach. I setki innych ludzi. Ale było już ciemno, panowała gorączka jak to przed podróżą. W dodatku pociąg był opóźniony. Każdy dbał tylko o to, by odnaleźć swój wagon i miejsce. Wiem, że takiej wizji lokalnej nie zorganizujemy, chyba że w piątek. Ale może powinniśmy wrócić tutaj wcześniej, za kilka godzin? Wtedy sprawdzimy, które z tych lamp się świecą, a które tylko wiszą, żeby wisieć.

– Wieczorem? – jęknęła Kornelia.

– Rozumiem, że masz inne plany...

– Jeszcze nie wiem.

Nagle wzrok Podbiała zatrzymał się na pewnym szczególe. Bez słowa poszedł w tamtym kierunku. Kornelia, która spoglądała akurat gdzie indziej, a może i gdzie indziej była myślami, zobaczyła, jak znika za jakimś budyneczkiem. Po chwili dołączyła.

– Dyskretne? – zapytał Kostek.

– W miarę – oceniła. – Żeby się całować z chłopakiem przed wyjazdem, może być.

– A żeby kogoś zasztyletować?

Jeszcze niedawno takich budyneczków było na peronach więcej. Czasami mieściły się w nich kioski czy niewielkie sklepiki, gdzie można był coś kupić w ostatniej chwili przed podróżą. Albo w przerwie, kiedy Warszawa była tylko przystankiem pośrednim. Na każdym peronie Dworca Centralnego stały swego czasu kramy z jedzeniem. A potem coś się komuś odwidziało i teraz jest pusto. Co się mieściło tutaj?

– Nikogo nie ma – stwierdziła Banaś, spojrzawszy do środka przez zakurzoną szybkę.

Pozostało im tylko rozejrzeć się na zewnątrz. Ślady, owszem, były: codziennej aktywności człowieka współczesnego, czyli niedopałki naprędce wypalonych przed podróżą papierosów, kapsle od butelek, zmięte paragony. Jakies ciemne plamy również. Czy to krew? Krew człowieka, który mimo to zdołał jeszcze wejść do pociągu...

– Trzeba będzie jeszcze raz poprosić na miejsce technika – skwitował nadkomisarz. Tymczasem na peron wtoczył się zapowiadany pociąg.

– No jadę już! Tak, znów jest spóźniony, skurwiel – rozległo się tuż obok nich.

Kostek drgnął. Tak, to przecież był tamten facet w bordowym, modnym 30 lat temu płaszczu. To o tym osobniku w piątkowy wieczór pomyślał, że nie chciałby obok kogoś takiego usiąść. Grubas znów z zapalem sportowego komentatora relacjonował komuś przez telefon swoje kolejowe przygody. I to nie tylko słownie: właśnie robił zdjęcie składu, który za chwilę miał się zatrzymać. Nie, to chyba za długo, żeby zrobić zwykłe zdjęcie.

Po chwili rozwiązała się także i ta zagadka.

– Nagrałem, tak jak mi radziłeś – tamten znów nadawał przez telefon. – Z nimi trzeba na ostro. Konkretnie dowody to podstawa.

Podbiał poczuł dreszcz na plecach, a jego serce przyspieszyło bieg. Ruchem głowy dał znak Kornelii.

– Proszę pana! – zawołała za grubasem, ten jednak ani się nie zatrzymał, ani nawet nie obejrzał przez ramię, by sprawdzić, czy to aby nie jego wołają.

W pewnym momencie, mimo że to było wczesne poniedziałkowe popołudnie, znów zrobiło się tłoczno, więc Kostek musiał się przepychać. Jednocześnie starał się spuścić z oczu obserwowanego. Kornelia z kolei przemieszczała się środkiem peronu, co było dobrym posunięciem, mimo że wcześniej tego nie ustalili ani tym bardziej nie przeciwiczyli.

Gdy wreszcie grubas zniknął w drzwiach wagonu numer 5, Kostek dał jej znać, aby biegła do wejścia przy przeciwnym końcu, po czym wszedł do środka. Tamten człowiek już zdejmował płaszcz, by zająć przypisane mu miejsce. Po chwili stało się to, o czym Kostek z przerażeniem myślał nie tak dawno: siadał obok rozkraczonych baleronów.

– Wołałem pana – powiedział. – Nie słyszał pan?

– O co chodzi? – Mężczyzna sprawiał wrażenie zdezorientowanego. – To pana miejsce?

– Moje.

Podbiał ujrzał stojącą w drzwiach Kornelię. Po chwili mówił dalej:

– Kilka chwil temu widziałem, jak robi pan zdjęcia na peronie. Albo nawet film.

Na górnej wardze grubego zaświeciło się kilka kropełek potu.

– A co? Nie wolno?! – sarknęła, bo najwyraźniej zaczynał odzyskiwać rezon. – Chyba nie ma już zakazu robienia zdjęć obiektów kolejowych. Komuna skończyła się dawno temu. Poza tym kim pan jest, żeby o to pytać i zaczepiać porządných ludzi?

– Ma pan rację. Nie zdążyłem się przedstawić. Nadkomisarz Podbiał, Komenda Stołeczna Policji. – Dyskretnie pokazał, co miał do pokazania. – Co prawda nie ma już

tabliczek ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA, ale obiekty kolejowe mają nadal znaczenie strategiczne. Jestem jednak w stanie o tym zapomnieć i...

Przerwał. Ujrzał przesuwaną się za oknami wagonu peron Wschodniej, filary zadaszenia, tablice z komunikatami i rozkładami jazdy, ludzi. Przeniósł spojrzenie na Kornelię, która na tę okoliczność uniosła wysoko brwi i wzdęła policzki. Nie dało się ukryć, że Chopin w głośniczkach już nie gra i jadą pociągiem, a Warszawa Wschodnia to ostatnia stacja pod tą szerokością geograficzną. Drugi numer z pociągnięciem za hamulec bezpieczeństwa mógłby już nie przejść. Chyba że znów znalazłby się jakiś nieboszczyk...

– W zamian za co? – zapytał grubas.

– O tym za chwilę. Czy pan to robi w jakimś konkretnym celu? Chodzi mi o zdjęcia i filmy.

– To proste, panie oficerze. – Mężczyzna uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd zaczęli tę trochę dziwną, choć wciąż w miarę dyskretną rozmowę. – Dokumentuję wszystko, co jest nie tak podczas podróży. Bardzo dużo jeżdżę pociągami i mam już po prostu dość ciągłych opóźnień. Gdy się tak dzieje, wypełniam dokumenty i żądam odszkodowania. A przynajmniej zwrotu pieniędzy za bilet.

A jak chuj z tego wyjdzie, zawsze możesz wrzucić do internetu i zbierać lajki – pomyślał Kostek. Zresztą ludzie filmowali i umieszczali w sieci wszystko, a akurat to byłoby nawet nie takie głupie, szczególnie dla fanów kolejnictwa.

No właśnie, następne pytanie powinno pewnie dotyczyć skuteczności tych działań, czy temu człowiekowi udało się już cokolwiek wskórać, czyli wydebić pieniądze od firmy, z którą walka nie należy do łatwych, i to nie od dzisiaj. Każdy, kogo los umieściłby w pociągu blisko tego człowieka, pewnie zaraz by o to zapytał.

Ale w tej chwili ważniejsze było co innego: czy przed trzema dniami też sfilmował wjazd pociągu na stację, tak jak kiedyś bracia Lumière? I czy może jego dzieło trwa choć trochę dłużej niż tamto poczesne...

– Dużo pan nakręcił takich filmików? – zapytał Kostek.

– Sporo się uzbierało. Do czego pan właściwie zmierza?

– Do tego, czy w ubiegły piątek również dokumentował pan spóźnienie pociągu?

– A skąd pan wie, czy był spóźniony, skurwiel... Przepraszam – szybko się zmytygował.

– Nie ma za co.

– Albo że ja w ogóle jechałem jakimś pociągiem? Pewnie z internetu, co? – zaśmiał się krótko grubas. – No tak, to nie był normalny dzień.

Po tych słowach z tajemniczym uśmiechem prestidigitatora sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wydobył smartfona, swój zwykły-niezwykły oręż w walce z niesolidną polską koleją, a może tylko z przeciwnościami losu. Odblokował wyświetlacz i zaczął przesuwać po nim palcami przypominającymi serdelki.

A może nic tam nie będzie? Może oszukuję sam siebie – pomyślał Podbiał.

W tej samej chwili zorientował się, że Kornelii nie ma tam, gdzie była jeszcze przed chwilą. A potem usłyszał za plecami męski głos:

– Kto z państwa się dosiadał w Warszawie? Bilety do kontroli proszę.

Jak to dobrze, że wymyślili szybkoschnące lakiery do paznokci – pomyślała, gdy zadzwonił telefon.

– Halo? Tak, to ja – powiedziała do telefonu. – Dzień dobry pani.

Przez dłuższą chwilę słuchała. W każdym innym przypadku już dawno kazałaby jej się zamknąć i przejść do konkretów, a tu były to liczby. Wiedziała jednak, że musi wytrzymać, że to część większej całości. I że wszystko, powoli, bo powoli, ale zmierza ku szczęśliwemu finałowi.

– To naprawdę świetna wiadomość – powiedziała.

Sięgnęła po papierosa i zapalniczkę, bo choć od kilku chwil musiała zapalić, nie chciała stracić żadnego szczegółu. A przecież o szczegóły szło w tej grze.

– Naprawdę się cieszę! – Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i po chwili z gracją wypuściła z ust dym. – W takim razie dziękuję za telefon. Jesteśmy w kontakcie. Czekam na kontakt, tak. Do widzenia.

Odłożyła aparat, ale nie od razu oderwała od niego wzrok. Stary już był, wysłużony, szybka spękana. Dobrze, że nie musiała go wyjmować, kiedy dwa razy odwiedziła tę kobietę w jej biurze. To dopiero byłyby wstyd.

Tak, trzeba koniecznie kupić nowy telefon – postanowiła. I nie żadne badziewie, starość z lombardu, co to go wymacali, obślinili albo jeszcze co gorszego. Ona będzie mieć nowiutki aparat prosto z salonu. Nawet taki za tysiąka, a co! Wtedy nie będzie już wstydu wyciągnąć go przy ludziach.

Wstała z fotela i przeszła do przedpokoju. Na niewielkim okrągłym stolczku, gdzie po powrocie z miasta zawsze miała w zwyczaju kłaść klucze, telefon, ale też to, co ze sobą przyniosła, leżało kilka papierowych, kolorowych ulotek. Czasami wyjmowała je ze skrzynki pocztowej, za każdym razem obiecując sobie, że opierdoli za to listonosza od góry do dołu, kiedy tylko go spotka. Innym razem wciskali je ludzie, który rozdawali ulotki w ruchliwych miejscach, a ona brała najczęściej z litości.

– Jest! – zawołała, znalazłszy kolorową prostokątną ulotkę firmy oferującej szybkie i bezproblemowe kredyty dla każdego, czyli popularne chwilówki.

Jeszcze nie tak dawno nawet by o tym nie pomyślała. Teraz zmieniło się wszystko. Nie miała przy sobie żadnego nowego faceta, na którego mogłaby liczyć, wszak nie była już kobietą pierwszej młodości, a jednak opatrność o niej nie zapomniiała.

– Trzeba korzystać z życia, a co! Dzisiaj jesteś, jutro cię nie ma – powiedziała buńczucznie, wystukując na telefonie numer wydrukowany na ulotce.

– A jednak stało się tak, jak planowałem! – Przetarł rękawem zapotniałą szybę.

Dochodziła czwarta po południu, kiedy Podbiał i Kornelia dojeżdżali flirtem Inter City do Warszawy Wschodniej. Pociąg jechał z Olsztyna i może właśnie nim policjant wracał do Warszawy w poniedziałkowe popołudnie, po weekendzie spędzonym na rodzinie łonie. Jedyne, co było inne, to brak bagażu. Zawsze przyjeżdżał obładowany

słoikami z jedzeniem. Lata mijały, on znał stolicę jak własną kieszeń, a mimo to pod pewnymi względami wciąż był warszawskim „słoikiem”. No i wsiadł wraz z Kornelią dopiero w Ciechanowie, bo właśnie tam przypadał pierwszy planowy postój pociągu do Gdyni. O nieplanowych bał się nawet pomyśleć, a gdzie jeszcze prosić o to kierownika pociągu...

Trzy godziny wcześniej naprawdę przestraszył się konduktora. W szczeniących latach kilka razy zdarzyło mu się podróżować na gapę i pamiętał zabawę z konduktorką w kotka i myszkę w piętrowym wagonie. I strach. Wiedział też, ile kosztuje przyjemność przejażdżki pendolino bez biletu. Kolejarz wcale nie musiał uwierzyć, że weszli z Kornelią na pokład w pogoni za ważnym świadkiem, tylko zwyczajnie chcieli naciągnąć spółkę. Może randka poza miastem? Szybki numerek w kibelku? Przez sekundę Podbiał rozważał nawet ewentualność założenia grubasowi kajdanek: podejrzany to zawsze lepiej brzmi niż świadek!

Na szczęście nie było takiej konieczności. Wystarczyło wylegitymowanie się i kilka zdań wyjaśnienia. Potem w spokoju obejrzał początkowy fragment filmiku, który w piątkowy wieczór nakręcił grubas, czyli pan Władysław Nowacki.

Tak naprawdę niewiele było widać, potem były jakieś zakłócenia, drgania. Ale może gdyby obejrzeć na lepszym sprzęcie i większym ekranie? Podbiał wciąż się łudził. Przesłał więc filmik na swój telefon, a następnie na skrzynkę mailową jednego z informatyków w KSP. Co prawda tym sposobem obrotny pasażer Nowacki poznał numer jego komórki, no ale trudno, są gorsze nieszczęścia. Będą mogli sobie czasem pogadać wieczorem o napiętej sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Pożegnali się w Ciechanowie, bo gruby jechał dalej. No właśnie, jeszcze ten Ciechanów mityczny. Skoro Ożóg się tutaj wybierał, to może należałoby jednak zasięgnąć języka. Albo przynajmniej zapytać miejscowe służby, czy kojarzą typa. Ale zaraz mieli pociąg do Warszawy, a poza tym intuicja podpowiadała Kostkowi, że i tak niczego by się o zamordowanym nie dowiedzieli.

– A teraz szybko do firmy – rzucił, ledwo postawił stopę na peronie.

Po chwili ujrzeli kilku funkcjonariuszy Straży Ochrony Kolei. Podbiał pomyślał, że to pewnie wciąż pokłósie tego, co wydarzyło się w tym miejscu w piątkowy wieczór. Ale, jak się po chwili okazało, nie tylko. Zaraz ujrział szefa miejscowej placówki, który przypominał mu księgowego z niewielkiej rodzinnej firmy. Nie tylko Kostek poznał jego, ale i on Kostka.

– Szybcy jesteście – ocenił funkcyjny sokista.

Podali sobie ręce. Podbiał na razie wstrzymał się z prezentacją Kornelii.

– Psy podjęły trop – policjant mrugnął okiem.

Tamten odciągnął go na bok za łokieć i powiedział ściszym głosem:

– W takim razie niech pan opowiada, bo ta informacja dotarła do nas dopiero przed godziną.

– Ale jaka informacja? O czym pan mówi? – dopytywał nadkomisarz.

– No jak to o czym? O liście, który dostaliśmy.

Rozpiął zamek kurtki, sięgnął za pazuchę, skąd wyciągnął złożoną na czworo kartkę formatu A4. Było to kilka linijek komputerowego wydruku.

- „TO DOPIERO POCZĄTEK. SZYKUJECIE WORKI NA KOLEJNE TRUPY W POCIĄGACH” – przeczytał na głos Kostek.

Zacisnął zęby, pomachał kartką w powietrzu, jakby w ten sposób dało się zrzucić wszystkie odciski palców oprócz tych najważniejszych, należących do autora. I kogo jednocześnie? Zabójcy z piątku, a może tylko kogoś, kto postanowił wykorzystać to, co się stało? Żartownisia? Z żadnej z opcji nie można było na razie zrezygnować.

- To wszystko? Nie było żadnych telefonów?

- Czy ja dobrze myślę, że pan nic o tym nie wie? – „Księgowy” wbił w niego badawcze spojrzenie, pod którym najpewniej miękkie nogi kolejowym złodziejom-złomiarzom i nieletnim pasażerom na gapę.

- Dobrze pan myśli. Ale pewnie podobny list dotarł także do nas. Proszę kontynuować działania, jesteśmy w kontakcie. I jeszcze jedno: chciałbym, jeśli to nie będzie problem, rzucić okiem na piątkowy monitoring.

- Przecież pański kolega przeglądał w sobotę – zauważył sokista.

- Chodzi mi o zapis z peronu czwartego. Kolega nie zdążył. Może jutro?

Dwie minuty później policjanci wsiedli do samochodu.

- Co o tym sądzisz? – zapytał Kostek dziewczynę.

- Nie mam pojęcia. Może to naprawdę ostrzeżenie od jakiegoś seryjniaka czy psychola? Może kiedyś spóźnił się pociąg, przez co on nie dotarł na rozmowę, od której zależało całego jego życie, więc teraz się mści?

- Ale dlaczego na pasażerach? Powinien zabić konduktora albo kierownika pociągu czy maszynistę. Choć powiem ci, że sam miałem na to ogromną ochotę, kiedy kilka lat temu stałem tutaj na mrozie, a dworzec był w remoncie przed Euro 2012. A przecież tak naprawdę winna była pogoda. Taki mamy klimat. A teraz jedźmy do firmy, może też coś takiego dostali. Wtedy trzeba będzie potraktować sprawę poważnie.

Warszawa wchodziła już w szczyt popołudniowych powrotów, więc na ulicach robiło się tłoczno. Na Targowej chwilę postali, ale na szczęście od Dworca Wileńskiego mieli do pokonania już tylko jeden most, jeden tunel i jeden zakręt. W dodatku w prawo.

27

- Jest tam coś?! – Takim okrzykiem Kostek przywitał informatyka, który miał zadanie zająć się filmem ze Wschodniej.

- Też się cieszę, że was widzę w dobrym zdrowiu i tak dalej – odpowiedział z uśmiechem starszy aspirant Zbigniew Dziuba, bo to na niego trafili.

Siedział sam w pracowni, mimo że jeszcze nie było późno. Nie uszło to uwagi Podbiała.

- A gdzie reszta naszego cyberkomanda? – zapytał, by zaraz sobie odpowiedzieć: – Pewnie dali im pały i wysłali na ulicę? Teraz liczy się każda para rąk...

Po tych słowach Kornelia na dłużej zatrzymała wzrok na Kostku.

- Spróbuję ocalić świat w pojedynkę – westchnął Dziuba.

- Zresztą nie po raz pierwszy – rzekł na to Podbiała.

Kiedy Kornelia Banaś widziała go po raz pierwszy, rozwiązywali sprawę „Syren”. Włamywał się wtedy do systemu aplikacji randkowej, aby zdobyć informacje na temat miłosnych podbojów jednej z ofiar. Wtedy wyglądał na studenta, nieco zapuszczonego. Dziś po tamtym Zbyszku nie pozostał nawet ślad: był starannie ostrzyżony, miał na sobie modną koszulę i pachniał dobrą wodą toaletową. Czyżby sam zaczął korzystać z aplikacji i łowy okazały się udane?

– Widać tam cokolwiek?! – powtórzył niecierpliwie Kostek i nachylił się nad ramieniem aspiranta.

Na ekranie komputera było widać dużo lepiej niż na smartfonie. Rozpoznał siebie od tyłu, idącego korytarzem z torbą w ręku. Trochę dziwne uczucie, ale nieważne. Gdyby wtedy wiedział, wszystko wyglądałoby inaczej. Gdyby babcia miała wąsy. Machnął tylko ręką w bok, co mogło oznaczać „dalej” albo „następny”. Zresztą po chwili zasłonili go jacyś ludzie spieszący się na pociąg. Dopiero poczuł smak tamtej chwili, o której pewnie dawno by już zapomniał. Tak, tak było. Tylko co dalej, ósma klaso?

– No jadę już! Tak, jest spóźniony, skurwiel... – usłyszeli znajomy głos, tym razem jednak z głośnika komputera.

– To właściciel aparatu, a jednocześnie operator kamery – wyjaśnił nadkomisarz.

Po chwili grubas był już na peronie i filmował opóźniony pociąg. Na ekranie zaczęły zachodzić zmiany. Obraz przekręcił się o 90 stopni, może nawet więcej, bo prawdopodobnie grubas zaczął mówić bezpośrednio do aparatu. Tyle że kamera wciąż była włączona. Na sąsiednim peronie przesunął się inny pociąg, dalej pełgały światła budynków przy Kijowskiej. Sekundę później ujrzeli znajomy budynek na peronie.

– Chyba ktoś tam jest – powiedziała Kornelia.

– Zatrzymać? – zapytał aspirant.

– Jeszcze nie. – Kostek jeszcze bardziej przysunął twarz do monitora i przymrużył oczy.

Zza budynku wyszedł Wojciech Ożóg w biało-czerwonej czapeczce z daszkiem. W kadrze był jednak krótko, bowiem właściciel telefonu również ruszył na poszukiwanie swojego wagonu. Wciąż mówił do aparatu, kłął i utyskiwał na spóźnienie.

Kostek poprosił o zatrzymanie i cofnięcie filmu. A potem jeszcze raz. Ale nikogo poza przysłym nieboszczykiem (ale czy już rannym?) nie było widać.

– Obejrzyjmy dalej – powiedział informatyk. – Może się jeszcze rozkręci? Mimo że to polska produkcja...

– A jest coś jeszcze? – zdziwiła się Kornelia.

– Całe pół minuty. – Dziuba poruszył myszą i wtedy ujrzeli przesuwającą się wzdłuż dolnej krawędzi ekranu czerwoną linię.

Trzy pary oczu ponownie wbiły się w ekran. Grubas zakończył rozmowę. Musiał teraz nieść aparat w ręku, bo obraz przekręcił się o kolejnych kilkadziesiąt stopni, więc wszystko widzieli do góry nogami, w dodatku kołyszące się jak na statku przy dużych falach. Za to nie wiadomo dlaczego, ale polepszyła się jakość obrazu.

Kostek przekręcił głowę i tułów, by lepiej widzieć. Gdy po chwili wrócił do wcześniejszej, normalnej pozycji, stracił równowagę i aż musiał się chwycić biurka.

– Cholera – zaklął, by zaraz zapytać: – Nie da się nic z tym zrobić?

– Do neurologa trzeba – odparł Dziuba.

– Z obrazem, kurwa!

– Tylko na amerykańskich filmach.

Wreszcie na ekranie znów mignęły barwy narodowe. Ożóg szedł w kierunku pociągu. Lekko się zataczał. W pewnym momencie nawet zatrzymał się, dotknął klatki piersiowej.

– Dostał kosę w pikawę – wyjaśnił Kostek aspirantowi, który nie znał jeszcze przecież szczegółów prowadzonego przez nich śledztwa, po czym po raz kolejny dotknął palcem ciepłego ekranu; na szczęście Dziuba nie był pod tym względem przewrażliwiony.

– I tak dobrze, że mógł jeszcze iść – zauważył.

Zatrzymał film. Widzieli wyraźnie grymas cierpienia na twarzy człowieka, który miał przed sobą niespełna minutę życia, może mniej. Mimo że śmiertelnie ranny, z jakiegoś powodu przemierzał się dalej w kierunku pociągu.

– Tylko dlaczego nie wołał pomocy? – zastanawiała się głośno Kornelia. – Nie zaczepił kogokolwiek?

– Może pod tyłu latych takiego życia spodziewał się, jaka będzie reakcja – odrzekł nadkomisarz. – Krew niewiele by pomogła, a może wręcz przeciwnie: ludzie jeszcze szybciej by od niego uciekali. Kto sobie będzie rączki brudził? A do pociągu wszedł choćby po to, żeby nie wyzionąć ducha w miejscu, w którym zmuszony był spędzić ostatnie lata. Przynajmniej ja bym tak zrobił.

Obraz ruszył. Ożóg chwycił się krawędzi drzwi, postawił stopę na pierwszym stopniu schodków. Wreszcie wszedł do wagonu. Kilka sekund później zrobił to także właściciel telefonu. I to już był koniec. Filmu również.

– Jeszcze raz – powiedział cicho nadkomisarz.

Informatyk uczynił zadość prośbie, a może poleceniu, i cofnął film. Z głośników znów wydobył się głos autora, następnie telefon w jego rękę wykonał fikołka. Tym razem jednak wiedzieli, że muszą dostrzec więcej.

– Stop! – zawołał Kostek.

Dziuba wykazał się refleksem. Spojrzał pytająco na oficera, którego palec po raz kolejny rozpoczął drogę w stronę monitora.

– Koles w zielonej kurtce! – Banaś okazała się szybsza.

Ale palec Kostka był jak wystrzelona rakietka i nie dało się go zatrzymać. Po sekundzie dotknął ekranu. Można było żartem powiedzieć, że osobnik na filmie dostał ostrzeżenie. Gdyby tu komuś jeszcze się chciało żartować.

– Nie wiemy, skąd wyszedł – zaczął mówić Podbiał – ale przy poprzednim wahnięciu ręki grubasa jeszcze go nie było. Jest więc szansa, że właśnie zza budynku, za którym padły ciosy. Zatrzymaj!

Tym razem Dziuba dał się zaskoczyć. Ale zaraz naprawił swój błąd: kilka ruchów myszą i domniemany napastnik cofnął się. Obraz był niewyraźny, więc wzrost, raczej wysoki, włóczkowa czapeczka, wreszcie kolor kurtki – to było chyba wszystko, co można było na razie o nim powiedzieć.

– Nie da się czegoś z tym zrobić? – Podbiał spojrział na informatyka.

– Tylko na amerykańskich filmach – powtórzył Zbyszek. – Zresztą zawsze mnie to śmieszy: widać tylko piksele, czarno-szarą masę, a po chwili, jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki, wychodzi z tego John Malkovich albo Woody Harrelson jak od fotografa.

Tutaj pewne za to było, że to nie Rafał Zabielski.

– Jeszcze raz – zakomenderował Kostek.

Nieszczęsny Ożóg znów ruszył na swoją Golgotę. A tamten za nim, tego byli już pewni. Po chwili dworcowy żuł zboczył jednak w lewo, aby wejść do pociągu. A tamten? Tamten dalej szedł prosto. Tylko jak długo? Tego nie wiedzieli, bo kamerzysta był już gdzie indziej.

– To co? – zapytał starszy aspirant Dziuba. – Chcecie papierowy portrecik klienta?

– A daj – westchnął Kostek.

28

Chwilę po tym, jak wrócili do siebie, ktoś zapukał do drzwi.

– No? – rzucił z niechęcią Podbiał.

Do środka wszedł starszy aspirant Marek Cecot, który zajął się sprawą ataku na Rudzkiego.

– Cześć – rzucił.

– I jak? Pocisnąłeś prawdziwego Polaka? – chciał wiedzieć nadkomisarz.

– Tak, sprawa załatwiona – odparł przybysz. – Teraz sąd się zajmie typkiem.

– I dobrze – skwitowała Kornelia.

– Właściwie to przychodzę w innej sprawie, choć nie do końca innej...

– Gadaj wreszcie! – rzucili oboje.

– Kontra mnie wysłał do was, do pomocy. Póki Rudzki nie wydobrzeje – wyrzucił w końcu z siebie Cecot.

– No i trzeba było tak od razu – rzekł na to Podbiał, zatrzymawszy dłużej wzrok na nowym. – Co sądzisz o typie? Zrobił tego bezdomnego?

– Tego nie wiem, za mało danych – odparł Cecot. – Ale świta mi coś innego. On wygląda mi na kryptogeja.

Brwi obojga gospodarzy pokoju w jednej chwili powędrowały ku górze.

– Co? – prychnął Kostek. – Przecież to naziol!

– Więc tym bardziej musiał się ukrywać ze swoimi skłonnościami – rzekł na to ze spokojem aspirant. – A po dworcu kręcił się bynajmniej nie po to, by miejsca, któremu patronuje wielki Polak, nie plugawili kloszardzi.

Dopiero teraz Podbiał przypomniał sobie, kogo niedawno ogłoszono patronem tego dworca kolejowego. Ciekawe, ciekawe.

– Myślę, że nasz biegły psycholog szybko się dowie, co lubi Zabielski – skwitował. – A do ciebie prośba taka, żebyś w wolnej chwili skoczył na Wschodni i się rozejrzył. Dostali jakiś anonim, że będą kolejne zabójstwa w pociągach. Przy okazji dokończysz to, co przerwał Andrzej, czyli monitoring. Chodzi nam o tego klienta. – Wręczył mu świeży wydruk.

Dzień zmierzał ku końcowi. Dla jednych był istic szewskim poniedziałkiem, choć chyba coraz mniej ludzi wie jeszcze, co to znaczy. Inni po raz kolejny z ulgą stwierdzali,

że strach ma wielkie oczy. A skoro jutro już wtorek, to zaraz po nim środa, jak napisałby Paulo Coelho. A potem to już z górki.

Konstanty Podbiał i Kornelia Banaś zatrzymali się zaraz za drzwiami biura przepustek Pałacu Mostowskich. Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, po nieplanowanej, zwariowanej wycieczce pendolino do Ciechanowa, jakoś żadne z nich nie miało ochoty wracać na Bielany, a tym bardziej razem. Pewnie skończyłoby się na gadaniu o pracy, a tej mieli na dzisiaj serdecznie dość. Ktoś pewnie powiedziałby, że w przypadku tych dwojga, jak i większości ludzi siedzących w tym budynku, to nie zwyczajna praca, ale służba, gdzie nikt nie liczy nadgodzin, kiedy coś się dzieje. Niech powie. Ale może jutro.

– Muszę jeszcze coś załatwić w mieście – powiedziała dziewczyna.

– Pewnie chciałabyś wpaść na Mokotów, żeby sprawdzić, czy twoja kamienica jeszcze stoi? – zaśmiał się Kostek.

– Dokładnie tak. A przynajmniej kuchnia w moim mieszkaniu. Jeśli coś nie będzie grało, to nie chciałabym być w skórze tych facetów. I nie ma, że niepełnosprawni! Kulasy poprzetrącam, jak mawiał mój dziadek.

– Wszystkie trzy – uściślił Kostek. – Tylko nie rób żadnych głupstw. – Pogroził jej palcem, ale zaraz odwzajemniła się tym samym gestem.

– Ty też.

– Spróbuję.

Jakoś żadnemu nie przyszło do głowy powiedzieć, że zobaczą się wieczorem w domu. Jakby to normalne było. Albo wręcz przeciwnie: nie takie znów oczywiście. Podbiał miał już to przećwiczone, co jednak nie oznaczało, że chciałby do tego wracać.

– A ja skoczę na Wołoską zobaczyć, co z Andrzejem – powiedział jeszcze.

Banaś jakby się zawahała. Dostrzegł to. Chyba rozważała na szybko, czy nie powinna zmienić planów i dołączyć do kolegi, aby odwiedzić w szpitalu innego kolegę. Ale w końcu powiedziała tylko:

– Pozdrów go ode mnie.

– Jasne. Pozdrwię. Oczywiście pod warunkiem, że nie natknę się na jego żonę. Wtedy może być różnie...

Żart został skwitowany śmiechem, a potem rozeszli się w przeciwnie strony.

Kornelia zmierzała w kierunku stacji metra Ratusz-Arsenał. Uśmiechnęła się na widok młodych ludzi, którzy zbierali się przed wejściem do kina „Muranów”. Czy z zamiarem obejrzenia filmu, to już nie było pewne. Ale czy ważne? Chyba nie. Jej licealny czas oddalał się z prędkością pociągu pospiesznego. Tak, to całkiem dobre porównanie i do tego na czasie.

Znów zaczęło się śniadanie, więc wtuliła policzki w kołnierz kurtki i przyspieszyła kroku. Za chwilę znajdzie się w ciepłym metrze. Właściwie to wcale nie wybierała się na Lewicką. Nie chciała oglądać ani tamtych ludzi, ani tego, co zrobili. Czy może raczej nie zrobili.

W pewnej chwili ktoś zrównał się z nią w marszu. Nie lubiła takich akcji. Jeszcze jakiś czas temu mógł to być przypadek, ale teraz była tym, kim była, i pracowała tam, gdzie pracowała. Co prawda raczej nie zdążyła sobie jeszcze narobić wrogów, może prócz tego faceta, z którym umówiła się na randkę przez popularną aplikację,

a wciągnęła w zasadzkę. Ale kto wie, może już ktoś miał na nią oko? Profilaktyka to przecież połowa sukcesu.

Dyskretnie spojrzała w bok. Na szczęście to była kobieta, co stwierdziła po garderobie. Twarzy nie widziała, bo tamta miała na głowie kaptur.

– Kornelia... – usłyszała po chwili.

Tak, to było bardziej stwierdzenie niż pytanie. Zwolniła kroku i spojrzała jeszcze raz w bok. Kiedy spod kaptura wymknął się kosmyk fioletowych włosów, już wiedziała, z kim ma do czynienia. Pamiętała, że kiedy spotkały się, zresztą niemal w tym samym miejscu, kilka miesięcy temu, wzięła je za zawiązaną na głowie chustkę. Wtedy spotkanie było przypadkowe, teraz nie. Była tego pewna.

– Cześć, Jola – rzuciła na powitanie do dawnej koleżanki z liceum.

Zatrzymały się kilka kroków przed wejściem do strefy biletowej stacji metra. Fioletowowłosa dziewczyna zdjęła kaptur z głowy. Tak jak wtedy miała kolczyki w uszach i nosie, przekłutą brew. Tylko ubrana była nieco spokojniej.

– Kiedy się ostatnio widziałyśmy, mówiłam, że cię znajdę – powiedziała. – Pamiętasz?

– Pamiętam – odrzekła policjantka.

Tamtego dnia nie przyznała się, gdzie pracuje. Już wtedy wokół niej nie pachniało zbyt pięknie, a Jolka zmierzała właśnie na pikietę przed Pałacem Mostowskich. Ludzie demonstrowali tam przeciwko niektórym działaniom służb. Były transparenty i tablice hasłami, flagi tęcze i unijne, ale biało-czerwone też. Czasem ktoś coś krzyknął. A potem zaczęły się prawdziwe awantury na ulicach i pikietą zniknęła.

Alte nie zniknął problem. Przeciwnie: śmierdziało jeszcze bardziej.

– Czekaaś na mnie... – również bardziej stwierdziła niż zapytała Kornelia.

– Tak.

– Podobnie jak Patryk w sobotę.

– Nie chciałam go w to mieszać, ale się uparł. Znasz go przecież.

– Przekazał ci moją odpowiedź?

Jola potwierdziła niemo. Przygryzła dolną wargę. Przez cały czas wpatrywała się w koleżankę, jakby próbowała ją zahipnotyzować.

– Naprawdę tego chcesz? Nie odpuścisz? – dopytywała policjantka.

– Nie ma opcji. Nie mogłabym spojrzeć na siebie w lustrze. Zresztą już nie mogę...

– Nie możemy gadać.

– Kornelia, proszę cię! – Jola zacisnęła dłoń w pięści.

– Nie możemy gadać... tutaj – spreycywała policjantka. – Usiądźmy gdzieś.

29

Podbiał nie powiedział prawdy. Nie wybierał się do wcale do resortowego szpitala, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o stanie zdrowia Rudzkiego. Był tam już Kontra i wystarczy. Znając naczelnika, zaniósł choremu kompciki, a przyniósł całkiem dobre wieści: Rudzki czuł się coraz lepiej. Specjały szefa mogły mu tylko pomoc, tak jak swego czasu pomogły Kornelii.

Seans w pokoju informatyków spowodował, że postanowił zasięgnąć języka w pewnym miejscu. Miał na to wpływ jeden szczegół: strój domniemanego zabójcy, czyli zielona kurtka. Niby, jak to mówią, niejednemu psu na imię Burek, ale Kostkowi skojarzyła się jednoznacznie. A może tylko szukał pretekstu, żeby choć na chwilę zmienić dekoracje...

– Ośrodek Wsparcia dla Weteranów Misji poza Granicami Kraju – przeczytał z tabliczki, przykręconej do ściany z czerwonej cegły, najpewniej niedawno dopiero odrestaurowanej.

Jakby na potwierdzenie tych słów otworzyły się drzwi i z budynku na tyłach Puławskiej i Rakowieckiej wyszedł młody mężczyzna. Ścisłej mówiąc, dopiero rozpoczął proces wychodzenia, bowiem poruszał się o kulach. A poruszał się o kulach, ponieważ miał tylko jedną nogę. Podbiał nie mógł w tym momencie nie pomyśleć o tamtych dwóch, którzy chleli wódę w kuchni Kornelii, zamiast ją remontować.

– Pomogę panu. – Zrobił dłuższy krok i wyciągnął szybko rękę, aby przytrzymać drzwi.

– A dziękuję, dziękuję bardzo – powiedział z uśmiechem kaleki mężczyzna. – Czasami jeszcze mam trudności...

Od tego jestem – przeszło przez myśl nadkomisarzowi. Ech, czasami marzył o tym, by jego jedynym zajęciem było przeprowadzanie staruszek przez ulicę. Działo się tak najczęściej wtedy, gdy w trakcie prowadzonej sprawy zapędzał się w ślepy zaułek, gubił przysłowiowy koniec sznurka, po którym miał nadzieję trafić na jakiś trop.

– Szukam Piotra Ducha – powiedział po chwili, stanąwszy przed kontuarem recepcji, by zaraz się poprawić: – Kapitana Piotra Ducha.

Wyglądało to wszystko całkiem przyzwoicie jak na instytucję finansowaną z budżetu państwa. Może dlatego, że była w miarę nowa. Bo i dla wielu nowością wciąż były misje „pokojowe” w Iraku czy Afganistanie. Jedni wracali stamtąd z piękną opalenizną i pełnym portfelem, inni tak jak tamten nieszczęśnik, bez jednej nogi, a jeszcze innych przywożono w ocynkowanej trumnie. Potem był pogrzeb z honorami, minister pocieszający wdowę i osierocone dzieci, pośmiertnie przyznane odznaczenie i jedna gwiazdka więcej, czyli awans. Zawsze przecież dobrze wygląda na nagrobku.

Tyle że kapitana Piotra Ducha nie można było zakwalifikować do żadnej z powyższych grup. Nie tylko dlatego, że jakoś zawsze wymykał się schematom. Żył, miał wszystkie członki na miejscu, ale po ostatnim pobycie w Ghanzi nie miał już do kogo wracać, by pokazać opaleniznę. Wkrótce wylądował w więzieniu. Kilka miesięcy temu Kostek Podbiał, jak w starym dobrym filmie, osobiście odebrał Piotra sprzed bramy. Przez chwilę stanowili mocny team. Potem przyjaciel zniknął. Odezwał się niedawno, właśnie z tego miejsca, gdzie pracę załatwił mu jeden z jego byłych dowódców.

– Dobrze wyglądasz! – przywitał Kostka minutę później, gdy ten dotarł na drugie piętro i odnalazł właściwe drzwi.

– Ty też – odwzajemnił się policjant. – Nieźle się tu urządziłeś...

– Jak na kogoś, kto dopiero co wyszedł z mamra – dokończył Piotr.

– Wcale nie chciałem tego powiedzieć. – Policjant uniósł obie ręce, jakby obawiał się, że za chwilę ten kulturalny, dokładnie ogolony i schludnie ubrany mężczyzna

w średnim wieku, na pierwszy rzut oka przypominający nauczyciela, rzuci się na niego z pięściami.

– Ale tak jest. – Duch pstryknął długopisem i umieścił go w plastikowym przyborniku stojącym na biurku. – Nie wiem, co bym robił i gdzie był, gdyby nie pułkownik Bogdan Karcz. Ale nieważnie. Mów, co u ciebie. Co cię sprowadza?

Kostek opowiedział przyjacielowi, oczywiście w telegraficznym skrócie, bo czasem nawet mówienie o trudnej sprawie bolało, o zabójstwie bezdomnego z drogim zegarkiem na rękę, tajemniczej blaszce z numerem, początkowym tropie i akcji na Centralnym, wreszcie o przypadkowym filmie nakręconym w piątkowy wieczór, a także swoich podejrzeniach co do osoby domniemanego zabójcy.

– Kawy? – rzekł na to wszystko weteran.

– Umiecie, kurwa, pocieszać, kapitanie Duch. – Podbiał pokręcił głową. – Nie, dziękuję. Już trochę za późno. Właściwie to co ty jeszcze robisz w pracy o tej porze? Domu nie masz?

– Umiecie, kurwa, pocieszać, nadkomisarzu Podbiał.

– W takim razie niech będzie woda.

Kapitan sięgnął pod biurko. Coś zadzwoniło. Po chwili na blacie postawił dwie szklanki z grubo rżniętego szkła, do których wlał nieco brązowego płynu z karafki.

– Tylko symbolicznie – zastrzegł Kostek.

– Oczywiście, że symbolicznie – uspokoił go Duch. – Za spotkanie.

Stuknęli się szklankami, upili po dwa łyki.

– Od razu lepiej – westchnął Piotr. – I lepiej się myśli. Wiesz, zastanawia mnie, dlaczego ktoś, kto chce zlikwidować bezdomnego, robi to właściwie na oczach wszystkich. Przecież prawdopodobnie miał do tego o wiele lepsze miejsca, o wiele bardziej dyskretne, i kilkadziesiąt okazji. Nie wiem, nie wiem. – Spojrzał pod światło na płyn w szklance, jakby nie interesowało go w tej chwili nic innego.

– Też się nad tym zastanawiam od kilku dni – skłamał gładko Kostek. – Może to jakiś szaleniec, działający pod wpływem impulsu? Tak jak tamten nazioł Zabielski. Tylko że to najpewniej nie on trzymał tamtego wieczora nóż.

– I może zabójca był tam przejazdem? – dywagował wciąż Duch. – Jeśli tak, to mocno ci to komplikuje sprawę. Choć z drugiej strony ułatwia, bo gdy jutro dowiesz się, że podobnego czynu dokonano w Katowicach albo w Szczecinie... Mam tam kolegę w batalionie dowodzenia Ułanów Podolskich.

– Ułanów?! – prychnął Kostek; na szczęście nie miał w tej chwili pełnych ust. – W dwudziestym pierwszym wieku są jeszcze ułani? Poza defiladami na placu Piłsudskiego?

– To tylko taka nazwa, tradycja. Nie czepiaj się. W każdym razie zabójca może uderzyć w każdym innym mieście.

– I właśnie dlatego chciałem cię zapytać, czy aby ktoś z twoich podopiecznych nie zerwał się czasem ze smyczy. – Policjant przeszedł w końcu do meritum sprawy, po czym sięgnął w zanadrze po złożony na czworo komputerowy wydruk, którym obdarował go aspirant Dziuba. – Mam fotkę, ale bardzo słabą.

Duch wziął papier do rąk i zaczął się przyglądać filmowemu kadrowi. Trwało to dłuższą chwilę. Kostek dopił brandy. Nie miał zbyt wygórowanych oczekiwań. Ważne,

że spotkał się z dawno nie widzianym przyjacielem.

– Ciężko powiedzieć – rzekł wreszcie weteran. – Tego gościa akurat nie kojarzę, ale to nic nie znaczy.

Nie było tajemnicą, że nie tylko z kikutem zamiast ręki albo nogi można było wrócić z misji, ale również ze skrzywioną psychiką. Kapitan Piotr Duch był tego najlepszym przykładem. Kostek sam był swego czasu świadkiem, jak w pewnej chwili przyjaciel zaczął się zachowywać, jakby znów znalazł się w jakimś afgańskim miasteczku, gdzie za każdym rogiem może się cziąć uzbrojony przeciwnik. A tym mógł być nawet dziesięcioletek, który wiedział, jak wyjmuje się zawleczkę z granatu.

Na szczęście Duch uporał się z demonami, co nawet dobrze brzmi. Duch święty, choć swoje za uszami miał. A ilu jego kolegów nie dało rady? Ilu nie potrafiło bez tego żyć? Czy ten człowiek z dworca, ubrany w stylu przypominającym wojskowy, mógł być jednym z nich?

– Mogę to sobie skopiować? – zapytał Duch.

– Jasne. Wrzucisz na gazetkę ścienną?

– Całkiem dobry pomysł. Może ktoś będzie kojarzył tego pojeba.

– A jak się okaże, że to jeden z was? – Kostek zatrzymał wzrok na przyjacielu.

– Wtedy nie dostanie Virtuti Militari.

– A komuś w ogóle jeszcze ten krzyż dają?

– Tajemnica wojskowa.

Duch uniósł karafkę, ale policjant zdecydowanie pokręcił głową. Niby pora była odpowiednia, mogli spokojnie zacząć wieczór, ale to dopiero poniedziałek. A on, nadkomisarz Podbiał, był w lesie, jeśli chodzi o sprawę, którą prowadził.

Pożegnali się. Kostek wyszedł z budynku, w którym na pomoc i pociechę mogli liczyć weterani misji. A na co on mógł liczyć? Na fakulca na ulicy? Kosę pod żebro? Bezpodstawne oskarżenie o pobicie? No właśnie. Kawalek stąd jest przecież komenda przy Malczewskiego, gdzie koniecznie powinien zajrzeć, żeby wyjaśnić tamtą sprawę.

A potem pomyślał, że może jednak powinien bardziej pociągnąć Piotra za język i dowiedzieć się czegoś więcej o jego aktualnym życiu, nie tylko tym zawodowym. Może to pytanie, czy nie ma domu, że tak długo siedzi w robocie, nie było wcale bezzasadne?

Zadzwonił telefon. Kostek spojrzał na wyświetlacz. Tym razem ktoś się usiłował połączyć z komórki, co nie oznaczało, że to nie kolejna próba dobiecia się do „osoby z powiatu sierpeckiego”.

– No? – rzucił niezbyt przyjaźnie.

– Dobry wieczór – w słuchawce odezwał się męski głos, co już dawało nadzieję, bowiem z ofertami dla „osoby z powiatu sierpeckiego” dzwoniły zazwyczaj kobiety, jeśli tak można powiedzieć także o synteźtorze mowy.

– Słucham pana. – Kostek nie zamierzał być jednak miłszy.

– Chciałem rozmawiać z panem nadkomisarzem Konstantym Podbiał.

W każdym innym przypadku w tym momencie osobnik zostałby poprawiony, mimo że Kostkowi było daleko do polonistów w mundurach, a znał kilku. Względnie zażartowałyby, że osoba, do której zadzwoniono, się deklinuje. Ale nie dziś.

– Przy telefonie – powiedział. – Z kim mam przyjemność?

- Marek Dziecioł z ochrony Dworca Wschodniego, rozmawialiśmy dzisiaj, pamięta pan?
- A, tak, oczywiście. Stało się coś?
- Nie, ale po tych anonimach wszyscy chodzą u nas jak po polu minowym. Sokiści i my, policja też. Tylko ja nie z tym dzwonię. Powiedział pan, żeby się odezwać, kiedy sobie coś przypomnę z tamtego dnia. To znaczy z piątku.
- Zgadza się. – Kostek, który szedł już w kierunku Puławskiej, cofnął się pod budynek centrum weterana, by lepiej słyszeć. – Niech pan mówi.
- Przypomniałem sobie, że tego zabitego Ożóga widziałem chwilę wcześniej przed budynkiem dworca. Rozmawiał z jakimś facetem.
- Z podróżnym? Nagabywał go?
- No właśnie nie, tamten nie miał ze sobą bagażu. I to on dał Ożógowi tę czapkę kibica.
- Jest pan tego pewien, panie Dziecioł? – Podbiał jeszcze mocniej przycisnął komórkę do ucha, aż coś w niej zatrzeszczało.
- Tak. Sam mam taką, kupiłem niedawno przed Stadionem Narodowym. Pomyślałem, że to się może panu przydać.
- Chwila ciszy, nie licząc wizgu starego tramwaju hamującego przed biurowcem, gdzie kiedyś stało kino Moskwa.
- Halo! Jest pan tam? – zapytał ochroniarz.
- Tak, przepraszam – odezwał się wreszcie nadkomisarz. – Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak wyglądał ten człowiek.
- Po chwili wsunął dłonie do kieszeni spodni, w tym jedną trzymającą gorącą jeszcze komórkę. Wciągnął do płuc chłodne, październikowe powietrze, nasiąknięte wilgocią i zapachem opadłych liści. Choć nie przestało padać, zaczynało się rozjaśniać.

30

Obudził go dzwonek telefonu.

Chwilę trwało, zanim zdołał sobie uświadomić, co się dzieje i gdzie w ogóle jest. Nieznany pokój, on na sofie, zresztą całkiem wygodnej, bo można było spokojnie nogi wyciągnąć. Przykryty miękkim kraciatym kocem. Był bez spodni. Ale głowa go nie bolała, to najważniejsze. Nie pił wczoraj prócz tego powitalnego łyżeczka brandy z Duchem.

– Coś ci dzwoni! – z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł kobiecy głos. – Śpisz?

– Tak, słyszę. Nie śpię – zameldował.

To sprawiło, że w jednej chwili przypomniał sobie wczorajszy wieczór: wykonał telefon do doktor Teresy Mokrzyńskiej, lekarki sądowej, która mu się podobała. Udało się: zaprosiła go do siebie na herbatę. Zaraz przywoła w myślach dalsze wydarzenia, tylko odbierze wreszcie ten telefon. Znowu Sierpc i okolice, a może dalszy ciąg rewelacji na temat Ożóga?

– Podbiał, słucham.

– Dzień dobry, dzwonię z zakładu medycyny sądowej – odezwała się jakaś kobieta.

Dobry sposób na robienie kawałów przez telefon w środku nocy – zdążył pomyśleć Kostek. Tylko chyba dziś już nikt się w to nie bawi, bo trudno teraz o dyskrecję.

– Telefonuję do pana z polecenia lekarza, który przeprowadzał przedwczoraj sekcję zwłok zamordowanego... – tu nastąpiła krótka przerwa i było słychać szelest papieru. – Ożóg Wojciech. Mam panu przekazać, że po zwłoki zgłosiła się rodzina.

– Rodzina? – Podbiał jak wcześniej leżał na sofie, tak teraz musiał usiąść. – Jest pani tego pewna?

– Proszę pana, u nas nie ma miejsca na niepewność – odrzekła, ale nie wyczuł w jej głosie złości. – Chociaż, przyznam, czasami zdarzają się pomyłki i kości z wykopalisk trafią do nie tego grobu co trzeba. Mogę jeszcze dodać, choć może nie powinnam, że pochówkiem będzie się zajmować zakład pogrzebowy „Maxim”. To chyba wszystko.

– Bardzo dziękuję za informację.

– Do widzenia.

Sprawdził czas. Dochodziła siódma rano. Odrzucił telefon na koc, odchylił głowę i próbował zebrać myśli. W takiej pozycji zobaczyła go Teresa. Miała na sobie ładny szlafrok w japońskie wzory.

– Złe wieści? – zapytała.

Obrzucił ją spojrzeniem. Dobrze, że wczoraj skończyło się tylko na herbatce, choć Teresa proponowała wino. Kostek nie miał jednak w zwyczaju mieszać, nawet w niewielkich dawkach, i zawsze się tego trzymał. Cieszył się, że tylko rozmawiali, bo coś mu podpowiadało, że nie powinien się spieszyć. Zakleiła mu plasterkiem dwa zadrapania na prawej dłoni, których nabawił się po drodze, mniejsza z tym jak. No i wreszcie: przemocowała bidoka, co zresztą sama zaproponowała, kiedy mimochodem wspomniał, że nie chce mu się wracać do domu. Może miała nadzieję na coś więcej, a to oznaczało, że to on wyszedł na frajera? I to nieważne.

Przed zaśnięciem Kostek wysłał jeszcze SMS-a do Kornelii, że na Bielany nie wróci. Teraz zaczął się nowy dzień i to całkiem ciekawie.

– Nie, cały czas ta sama sprawa z trupem w pociągu. Tym na Wschodniej – uściślił, bo przecież mieli jeszcze na warsztacie tamtego nieszczęsnego dziadka na Centralnej, przy którym pracowała Mokrzyńska, a potem przytoczył treść rozmowy sprzed kilku chwil.

– Myślałeś, że ten człowiek nie ma rodziny? – zapytała.

– Z tego, co Andrzej zdążył ustalić w sobotę, to był żul z Brzeskiej, który kochał tylko mocne trunki. W końcu zabrali mu nawet mieszkanie. Ktoś go co prawda szukał pod tamtym adresem, ale nie ustaliliśmy jeszcze kto. Obstawiałem jakichś wierzyteli albo ich silnorękich, Jeden z nich, posiadacz wojskowej kurtki, zaczyna mnie coraz bardziej interesować.

– To chyba teraz będzie okazja, by się bardziej poznać – skwitowała.

– Mówisz o nim czy o rodzinie Ożoga? A może o nas?

– Obawiam się, że tamci mają pierwszeństwo – powiedziała już z kuchni, przy akompaniamencie wody nalewanej do czajnika. – Kawa czy herbata?

– Może być to samo co ty – rozsządził policjant.

Wciąż starał się dzielić uwagę między piękną kobietą a to, czego się przed chwilą dowiedział. Czyli tak naprawdę między życie prywatne a zawodowe. I wczesna pora nie

miała tu nic do rzeczy. Wziął do ręki telefon, włączył internet i wpisał w wyszukiwarce nazwę zakładu pogrzebowego. Kojarzyła mu się ze wspomnianym w piosence Lady Pank trójmiejskim lokalem z dawnych lat, gdzie tamtejsze „mewki” spotykały się z klientami, często dewizowymi. Podobno teraz wiatr hulał tam „wśród rozbitych szyb”, choć to już z innej piosenki i innego zespołu.

Po chwili wybrał numer, który znalazł. Mimo nieludzkiej pory w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry, moje nazwisko Podbiał – powiedział Kostek, starając się, by jego głos zabrzmiał wiarygodnie i adekwatnie do okoliczności. – Chciałbym się dowiedzieć, kiedy i gdzie odbędzie się ostatnie pożegnanie pana Wojciecha Ożoga. Wiem, że państwa firma zajmuje się pochówkiem. Jestem kuzynem z Torunia...

Teresa prychnęła, ale szybko zamaskowała to udawanym kaszlem. Pomóc miało także podzwanianie naczyniami. Kostek pokręcił głową. Tymczasem po drugiej stronie trwały chyba jakieś poszukiwania.

– Tak. Jestem cały czas... – powiedział po chwili.

Przezorna Teresa podała mu ołówek i czystą kartkę. Oczywiście miał swoje zabawki, w kurtce wiszącej w korytarzu. Najpierw musiałyby jednak znaleźć spodnie.

– Już zapisuję. Cmentarz Północny, godzina trzynasta. Ale to dzisiaj? – Nerwowo potarł dłonią czoło. – Oczywiście. Bardzo dziękuję pani za pomoc.

Mokrzyńska postawiła przed nim kubek z gorącą herbatą i powiedziała:

– Wygląda na to, że zdążysz jeszcze wypić.

– Tak – odpowiedział w zamyśleniu. – Zawsze myślałem, że w Warszawie dłużej czeka się na pogrzeb...

– Najdłużej czeka się teraz na kremację. Tradycyjny pochówek to kwestia dwóch, czasami trzech dni.

– Za chwilę kremacja to będzie tradycyjny pochówek, a trumna ze zwłokami traktowana jak jakaś fanaberia – zauważył Kostek. – Chyba nigdy tego nie zrozumiem. To przecież jak śmierć po raz drugi, totalne odczłowieczenie.

– Przesadzasz.

– Tak po prostu czuję. Na szczęście w moich rodzinnych stronach jeszcze nie jest to takie modne jak tutaj.

Sięgnął po kubek z herbatą. Miał nadzieję, że po tym, jak spędził noc grzecznie na sofie w salonie, nie wyszedł na takiego, który nie gustuje w kobietach. Na pewno wrócić do tematu.

Kiedy dotarł metrem i tramwajem do swojego mieszkania, musiał się bowiem przebrać i odświeżyć, a przede wszystkim umyć zęby, Kornelii już nie było. Ale ślady wskazywały, że główniara spędziła na Bielanach noc. Czy sama, to już mogli stwierdzić tylko technicy kryminalistyki i ich cudowny sprzęt, zdolny ocenić nawet siłę wytrysku kochanka.

Była dziewiąta, gdy wpadł do ich pokoju w Pałacu Mostowskich. Kornelia akurat coś zapisywała. Odniosł wrażenie, że była zawstydzona, kiedy ją na tym złapał. No właśnie: złapał, nakrył, a nie zwyczajnie zastał.

Chyba zaczynam łapać jakąś paranoję – pomyślał, a potem rzucił lekkim tonem:

– Raporcik?

– Tak – odpowiedziała, chowając szybko swoją pisaninę do szuflady biurka.

– A może donosik?

– Jak co dzień.

Chwilę stał i przyglądał się jej krytycznie, zupełnie jakby widzieli się po raz pierwszy.

– Cecot był? – zapytał.

– Nie widziałam go dzisiaj.

Ujął się rękami pod boki, czego chyba wcześniej Banaś u niego nie widziała.

– O co ci chodzi? – warknęła wreszcie.

– Patrzę tylko, czy nie jesteś odpowiednio ubrana.

– Do pracy? Na jesień? Możesz wyrażać się trochę jaśniej?

– Do pracy, na jesień, ale przede wszystkim na pogrzeb.

Dziewczyna zbladła w jednej chwili.

– Andrzej? – zapytała słabym głosem.

– No co ty! – zachnął się Kostek. – Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Dzisiaj, a właściwie to zaraz chowają tego bezdomnego, którego znalazłem w piątek w Kormoranie. Tak, wiem, że szybko. Z samego rana miałem w tej sprawie telefon z Oczki. Za chwilę o tym pogadamy, tylko skoczę na słówko do Kontry, dobrze?

Zanim wyszedł, zobaczył, jak Kornelia opada ciężko plecami na oparcie krzesła, wypuszcza z płuc powietrze, a jej ręka wędruje do oczu. I pomyślał jeszcze, że przecież tak mogło być, a Rudzki, drugi gówniarz, miał jednak więcej szczęścia niż rozumu...

31

„Słówko” u szefa nieco się przeciągnęło. Niecałą godzinę później para oficerów wsiadła do służbowego volkswagena i ruszyła w kierunku północnym. Rozmowę zaczęli od wczorajszych rewelacji.

– Ożóg być może znał zabójcę – stwierdził Kostek.

– Bo wziął od niego czapkę? – Banaś była sceptyczna. – Poza tym to mógł być zupełnie ktoś inny w zielonej kurtce. O, może ten? – Wskazała palcem na kogoś, kogo akurat mijali na Andersa.

– Jest i taka opcja. Ale jeśli to on, to czapka może coś oznaczać. Tym bardziej że w środku na przyczepioną jakąś kartkę. Przyjrzymy się jej dokładniej po powrocie.

Następnie pojawiła się temat cudownie odnalezionej rodziny Ożoga.

– Nie widzę w tym nic dziwnego – oceniła pani podkomisarz. – Człowiek się zawinął, więc wszystkie jego winy zostały skasowane. A przynajmniej przeniesione do innego folderu w niebiańskim komputerze. I teraz trzeba go godnie pożegnać.

– Naprawdę tak myślisz? – Podbiał rzucił jej z ukosa kpiące spojrzenie.

– Nie – odpowiedziała. – Ale to lepsze, niż mieliby go chować jak psa, na koszt państwa...

– Kiedyś się mówiło: w foliowym worku. Rodzice często mi powtarzali, że jak będą już starzy, to pewnie o nich zapomnę, i będą ich chować właśnie w foliowych workach. Poniekąd się to sprawdza, bo miałem przyjechać w piątek, a nie przyjechałem.

– Ale zadzwoniłeś, nie?

– Jasne. Obiecałem, że na Wszystkich Świętych będę w domu na pewno.

O ile w moim rewirze nie przybędzie jakichś nowych. Mniej lub bardziej świętych – przeszło mu przez myśl.

Kilka skrzyżowań udało im się pokonać na zielonym, czasem na żółtym, choć zdarzyło się także na „mocno pomarańczowym”. Wjechali na wiadukt przy Dworcu Gdańskim, przecięli plan Inwalidów, by po kilku chwilach znaleźć się na placu Wilsona. W odchodzący od ronda dalszy odcinek ulicy Mickiewicza skręcała zmierzająca od strony Wisły kolumna radiowozów.

– Kwiat rycerstwa z całej Europy, jak pisał Sienkiewicz – mruknął pod nosem.

– Co mówisz? – zapytała Kornelia.

– Minister po raz kolejny funduje chłopakom z całej Polski pobyt w stolicy. Ostatnio widziałem kumpla z Gdańska, starszy aspirant. Stał podczas demonstracji na środku ronda Dmowskiego i zdejmował z maski swojego mitsubishi L200, tego z wielkimi głośnikami na pace, wiesz?

– No.

– Zdejmował faceta przebranego za jednorożca. Na szczęście obaj byli spokojni.

– To dobrze. Nigdy nie wiesz, co trafi do łba takiemu jednorożcowi. – Kornelia wbiła wzrok w swoją szybę i przygryzła wargę.

Odczekali swoje na światłach i skręcili w Krasińskiego. W miarę jak zbliżali się do Wólki Węglowej, coraz bardziej myślał o kulejącej sprawie. Od zabójstwa na Wschodniej minęły trzy dni, prawie cztery, a jeśli liczyć piątek, to nawet pięć. Coś już mieli, ale to wciąż było niewiele. No i ta wątpliwość, czy w ogóle warto i za chwilę wszystko nie pójdzie do umorzenia.

Kwadrans później zaparkowali na wielkim placu. Kostek nigdy nie lubił Cmentarza Północnego, jeśli w ogóle można mówić o lubieniu takich miejsc. Ale przecież Stare Powązki to było właściwie muzeum: wszędzie dzieła sztuki rzeźbiarskiej i architektonicznej, a pod nimi historyczne postaci. Na Wojskowych też można było spokojnie przeprowadzić niejedną lekcję historii. A tutaj? Chyba nigdzie indziej człowiek nie zdawał sobie sprawy z istnienia śmierci jak właśnie na tych hektarach wyrastających z ziemi krzyży...

– Gdzie teraz? – z zamyślenia wyrwał go głos Kornelii.

– Najlepiej będzie szukać po samochodzie z zakładu pogrzebowego. Nazywa się „Maxim”.

– Dziwnie jak na zakład pogrzebowy. Chyba że to jakaś postać z mitologii, o której nie wiemy. Tak jak Charon.

– Nieważne. Teraz musimy znaleźć rodzinę Ożoga.

Przez bramę weszli na teren cmentarza. U szczytu budynku, gdzie mieściły się kaplice, w których odbywały się pożegnania zmarłych, stało kilka karawanów. Jeden rzeczywiście należał do firmy „Maxim”, co jednak nie musiało oznaczać, że przywiózł na Wólkę zwłoki mężczyzny zamordowanego w pociągu. Trzeba było zasięgnąć języka. Za kierownicą furgonetki siedział młody brodaty mężczyzna. Kostek przystawił odznakę do szyby i dał znać kierowcy, ażeby ją opuścił. Gdy to się stało, przedstawił się i zapytał o nazwisko nieboszczyka.

– Ja tam nie wiem, proszę pana – odpowiedział brodacz ze śpiewnym akcentem.

– A trumna już zabrana?

– Parę minut temu. – Ruchem głowy wskazał na drzwi kaplicy, w których znikali jacyś ludzie ubrani na czarno.

Po chwili Podbiał i Kornelia zajrzeli dyskretnie do środka. Na katafalku leżała rzeczywiście trumna, wokół niej ustawiono kilka wieńców, a u stóp klęczały dwie osoby. Wymienili spojrzenia. Coś tutaj nie grało. Za ładnie, za bogato, jak na bezdomnego. Zbyt rodzinnie. Ale przecież to ktoś z bliskich zabrał zwłoki i zajął się pochówkiem! Zbyt duże dysproporcje? A może tylko im się tak wydawało.

– Cholera! – Kostek zaklął. Wydawało mu się, że zrobił to cicho, ale chyba wyszło jak wyszło, bo odwróciło się kilku żałobników, gromiąc go wzrokiem, a jakiś facet coś nawet powiedział pod jego adresem.

– Co się dzieje? – chciała wiedzieć Kornelia.

Pociągnął ją za rękaw kurtki. Wyszli z kaplicy i oddalili się kawałek, bo czort wie, jak ludzie mogą reagować w takich momentach. A nuż wujek Czesiek, zawsze skory do bitki na weselach, podobnie ma podczas pogrzebów.

– Nie widziałaś tabliczki? – Kostek wskazał za siebie. – To przecież jakaś kobieta...

Zaczęli się rozglądać dookoła. W pewnej chwili z innego budynku wyszła kobieta. W rękę trzymała plik papierów. Czytaj: ważna. Kornelia pobiegła w jej kierunku.

Chwilę rozmawiały. Pracownica administracji cmentarza, bo najprawdopodobniej był to właśnie ktoś taki, zajrzała do dokumentów. Paręnaście sekund później Banaś była z powrotem.

– Ożóg już pojechał. – Wskazała kierunek.

– Kurwa, co za organizacja – sarknęła nadkomisarz.

– Musimy się pospieszyć.

32

Że nieboszczyka powieźli, to było normalne. Nawet na Powązkach nikt już nie dźwigał trumien, a i urna jechała sobie wygodnie samochodem. Tylko że tam można się było jeszcze pokusić o spacer, co to zajmował czas akurat na wspomnienie o zmarłym. Ale Wólka to była Wólka i niejeden żałobnik pewnie miał dosyć w połowie dystansu.

Para policjantów w cywilu musiała więc niezle wyciągać nogi, żeby niczego nie przegapić. Po jakichś dziesięciu, dwunastu minutach ujrzeli pojazd z trumną. Oby to był ten...

– Najpierw patrz na tabliczkę, potem strzelaj – powiedziała Banaś. – To znaczy zadawaj pytania.

Znaleźli się niemal na końcu nekropolii. Gdy się spojrzano w lewo, groby ciągnęły się aż po horyzont. Kilkadziesiąt metrów dalej na prawo był już mur. Wcześniej spora połać ziemi, z której nie wyrastały jeszcze krzyże. Ile zajmie jej zapelnienie? Miesiąc, dwa? Oby jak najdłużej. Krzyże, które widzieli, były jednak jakieś dziwne. Wystarczyło spojrzeć na tabliczki, by zrozumieć, co to za miejsce.

– NN Mężczyzna? NN Kobieta? – czytał na głos Kostek. – Nic z tego nie rozumiem...

Kostek przypomniał sobie przypadek sprzed kilku, może kilkunastu miesięcy. Nie udało się odnaleźć bliskich i człowieka, którego znaleziono martwego, pochowano jako bezdomnego. Owszem, miał przy sobie dowód, ale odkąd nie ma tam adresu zamieszkania, wszystko się wydłuża. A potem jednak odnalazła się rodzina, gdzieś na drugim krańcu Polski, i wyskoczyła z pretensjami. Zarządzono nawet ekshumację i przebadanie zwłok. A pretensje oczywiście były do policji za opieszałość, a także do pomocy społecznej za to, że się pospieszyła. Nie dogodzisz każdemu.

Pytanie: kto zabrał z lodówki na Oczki zwłoki zamordowanego na Wschodniej? Czyżby kobieta, która dzwoniła dzisiaj rano, coś pokręciła?

Miejsce pochówku zasłaniał pojazd, którym przywieziono trumnę. Policjanci na razie nie chcieli zbliżyć się za bardzo do grobu. Przeszli kawałek między rzędami smutnych kopczyków. Wtedy ujrzeli żałobników. Było ich czterech, czyli całkiem dobrze, bo tyle samo co grabarzy.

– Dwóch chyba kojarzę – rzekł Kostek. – To ferajna z dworca. Rudzki zdążył cyknąć im z ukrycia kilka fotek telefonem, jak siedzieli na przystanku.

– A pozostali dwaj? – zapytała Kornelia.

– Też bynajmniej nie krewni z Chicago.

– To miłe, że przyjechali pożegnać kolegę.

– No. A autobus jakoś się potem wywietrzy.

Naraz za plecami usłyszeli warkot silnika. Zbliżał się kolejny karawan. Zatrzymał się kawałek dalej, jednak ze środka nie wysiedli pracownicy cmentarza, aby wyciągnąć kolejną trumnę, a ksiądz. Miał na sobie strój liturgiczny, stułę fioletowym na wierzchu, a na głowie biret. Za nim dreptał ministrant w komży, niosąc srebrne wiaderko z wodą święconą i kropielnicę.

– A my musieliśmy dymać na piechotę – mruknęła Kornelia.

– Możesz zapytać, czy nas podrzucą do bramy.

Jeszcze chwila niepewności, czy kapłan i jego młodociany pomocnik przybyli aby na właściwą uroczystość. Z tego, co widzieli policjanci, Wólka Węglowa miała niezły przerób i mogło zdarzyć się tak, że to jednak nie ten pogrzeb. Tym bardziej że za ostatnią posługę się zwykle płaciło, i to niemało.

Ksiądz zbliżył się do grupki bezdomnych, ci zaś zaczęli mu się gęsto kłaniać. Zapewne część z tych ukłonów to były potwierdzenia, że trafił jednak w dobre miejsce. Może niezbyt miłe, ale właściwe. Wyjęto trumnę. Nawet z daleka było widać, że do najdroższych nie należała. Ale lepsze to niż plastikowy worek, zresztą już chyba tak nie chowają. Po chwili rozpoczął się pogrzeb, a dokładnie jego najważniejsza część. W tej samej chwili zaczęło padać.

– Mamy tu jeszcze cokolwiek do roboty? – Kornelia schowała ręce głęboko w kieszenie i wtuliła policzki w kołnierz.

– Zimno ci czy tylko łapiesz doła?

– Odmawiam odpowiedzi.

Podbiał rozejrzał się jeszcze dookoła, jakby w poszukiwaniu kogoś, kto się spóźnił. Wciąż miał nadzieję, że zdołają porozmawiać i dowiedzieć się czegoś istotnego dla sprawy.

W pewnej chwili ujrzał mężczyznę w czarnym płaszczu. Stał jeszcze dalej niż oni, bardziej na zachód, i obserwował pogrzeb. W ręku trzymał parasol.

– Chyba coś mamy – rzucił Kostek, ciągnąc ją za rękaw, bowiem tamten już odchodził.

– Co się dzieje? Wracamy?

Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien jej tutaj zostawić, aby miała oko na wszystkich aż do zakończenia pogrzebu. Cmentarz na końcu świata, środek tygodnia, korki, bo przecież deszczowo, więc ktoś się mógł spóźnić. Jednak intuicja podpowiadała mu, że powinni oboje pójść za tym człowiekiem.

– Weź mnie pod rękę – powiedział, a kiedy to zrobiła, zaczął wyjaśniać: – Widzisz tego gościa przed nami? Chciałbym bliżej mu się przyjrzeć. A potem być może jeszcze tu wrócimy.

Szli więc pod rękę, niespiesznym krokiem, jakby nic innego nie było w tej chwili ważne, a wokół nie było tysięcy grobów. Nie Wólka, a Łazienki, w których Kostek nie pamiętał, kiedy ostatni raz był. Na skrzyżowaniu alej człowiek w czarnym płaszczu zniknął im na chwilę z oczu; jakaś większa grupa wracała prawdopodobnie z innego pogrzebu. Wtedy przyspieszyli kroku.

– Jest – rzekł cicho Podbiał.

Po kilkunastu metrach mężczyzna skręcił w prawo, w o wiele węższą alejkę.

Czyżby planował odwiedzić inny grób? – spekulował Kostek.

Zwolnił ucisk i wypuścił rękę Kornelii. Zrozumieli się bez słowa. Dziewczyna poszła dalej alejką, podczas gdy on za tamtym. Gdy ów się zatrzymał, Kostek był akurat za dorodną tują. Po chwili ostrożnie wyjrzał. Mężczyzna stał przed jakimś grobem. Złożony parasol trzymał teraz przed sobą. Kostek usiłował dostrzec napis na tablicy, ale było zbyt daleko.

– Przepraszam – usłyszał naraz za plecami.

Jakaś starsza pani próbowała przejść, a on jak ta krowa na środku. W dodatku kobieta niosła konewkę wypełnioną wodą, choć dużo właściwszym określeniem byłoby: tachala.

– To ja przepraszam. – Szybko usunął się na bok. – Może pomogę?

– Strasznie ciężka – poskarżyła się staruszka, stawiając naczynie na ziemi.

– Dla mnie to drobiazg.

Przeszli jeszcze kawałek. Kostek zobaczył zbliżającą się od drugiej strony Kornelię. Wyglądała, jakby szukała jakiegoś konkretnego grobu. Widział też z bliska plecy mężczyzny. Lekko zgarbione, drżały, jakby człowiek ten płakał. No i przeczytał wreszcie napis na nagrobku. Aż trochę wody, którą babcia wypełniła konewkę po krawędź, wylało mu się buty.

Wyżłobione w kamieniu i pomalowane na czarno litery głośiły, że w grobie tym spoczywa, na razie samotnie, kobieta. Podbiał spojrział na jej rok urodzenia i rok śmierci, szybko porachował. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, a gardło coś ścisnęło. Trzydzieści sześć lat! Tylko tyle chodziła po tym świecie, dla wielu jedynym możliwym, ta nieszczęsna kobieta.

Nazywała się Aneta Kędzierzawska-Ozóg...

Najlepszy sposób na jesienne smutki? Zakupy! To prawda znana każdej kobiecie.

– Trzeba korzystać z życia. Dzisiaj jesteś, jutro cię nie ma – powtarzała niczym mantrę, aż się kilka osób łokciami tręcało, kiedy jechała tramwajem do centrum, ale miała ich w dupie.

Chyba tak naprawdę to próbowała sama sobie wytłumaczyć, że nic złego nie robi. Na pieniądze, które miała otrzymać, jeszcze trzeba trochę poczekać. Były pewne, ale wiadomo, jak to jest: biurokracja, dziesiątki podpisów, zgód, pieczętek i cholera wie czego jeszcze. Potem droga z jednego banku do drugiego, czyli przelew. Jakby się rzeczywiście komu przelewało. Szybciej sama by je przeniosła, nawet piechotą! Tylko ktoś musiałby być obok, jakiś mężczyzna silny. Gdyby do tego był jeszcze przystojny, też by nie zaszkodziło. Może po wszystkim poszliby na kawę, by świętować udany interes.

Szybko odnalazła siedzibę firmy udzielającej chwilówek. Akurat ktoś wychodził z biura, para młodych ludzi, może małżeństwo, a jeśli nawet nie, to taki kredyt czasem lepiej ludzi trzyma przy sobie niż te wszystkie przysięgi w urzędzie czy kościele.

Na początku miła pani poprosiła o dowód osobisty, a potem dała do wypełnienia kilka druczków. Wszystko trwało naprawdę niedługo. Za chwilę na stole pojawi się gotówka. Miał dobry pomysł ten, który wymyślił, żeby stuzłotówki z królem Jagiełłą, najpopularniejsze wśród wysokich nominałów, były koloru zielonego. Jak dolary. A tych pięciu stów z Sobieskim to nawet na oczy nie widziała.

– I naprawdę muszę oddać tylko tyle, ile pożyczyłam? – zapytała raz jeszcze.

– Oczywiście – potwierdziła z uśmiechem pani z firmy. – To taka jednorazowa promocja.

Jak pierwsza darmowa działka dla narkomana – pomyślała klientka.

– Trzeba tylko pilnować terminów spłaty kolejnych rat – dokończyła kobieta po drugiej stronie biurka, a może barykady.

– Z tym to akurat nie ma problemu! – Machnęła ręką uspokajająco, a może lekceważąco, tak czy siak efekt był podobny: zastukały pomalowane na złoty kolor plastikowe bransoletki, które nosiła.

Kobieta z firmy zatrzymała na chwilę wzrok na tych dość specyficznych, dla wielu mało gustownych ozdóbkach. Szybko jednak wróciła do dokumentów.

– Adres jest taki, jaki pani podała. Jakiegoś innego, pod którym mogłaby pani przebywać przez dłuższy czas, nie ma? – zapytała.

– Nie rozumiem. – Palce z pomalowanymi szybko schnącym lakierem paznokciami zacisnęły się na rączkach torebki; tu i ówdzie imitacja jasnobrązowej skóry zaczynała się już brzydko łuszczyć.

Tamta na sekundę wzniosła oczy ku sufitowi.

– Czasem ktoś wiele czasu spędza gdzie indziej. U przyjaciela albo u dzieci...

Tych kilka słów sprawiło, że twarz klientki wykrzywił skurcz, a jeden z paznokci wbił się mocno w rączkę torebki.

– Wierzyciel musi się zabezpieczyć na wszystkie ewentualności. Chyba pani rozumie?

– Mieszkam tam, gdzie jest napisane – powiedziała sucho. – Na razie nigdzie się nie wybieram. Chyba że na tamten świat, ale tego nikt nie wie do końca.

– Proszę się nie denerwować. Staramy się wyjść naprzeciw naszym klientom.

– Jestem spokojna.

Powoli zaczęła żalować, że tu przyszła. Pośpiech jest jednak złym doradcą. A może powinna pofatygować się jednak do banku? Pierwszego, jaki znajdzie? Nie cierpiała banków, uważała je i siedzących tam ludzi za złodziei, ale prędzej czy później będzie musiała mieć z nimi kontakt. Chyba jeszcze nie jest za późno, aby się wycofać...

Ledwo o tym pomyślała, na biurko spadł bezszelestnie, niczym jesienny liść, pierwszy stułotowy banknot. Jesienny, choć zielony jeszcze. Po nim następne dwa. Przygryzła wargę. Cztery, pięć. A potem już przestała liczyć.

– Dwa tysiące pięćset złotych – powiedziała niemal uroczystym tonem kobieta z firmy pożyczkowej. – Zechce pani przeliczyć?

– Nie trzeba. – Jednym ruchem zgarnęła gotówkę, wyrównała stuknięciem o blat, jakby to była wygrana w kasynie, wreszcie wstała z krzesła i burknąwszy coś pod nosem, wyszła z siedziby firmy.

Pięć minut później znalazła się na Marszałkowskiej. Padał deszcz, ale podcienia dawnych Domów Towarowych Centrum dawały schronienie. Kiedyś dobrze orientowała się, gdzie są jakie sklepy, teraz miała trudności, bo wszystko zmieniało się zbyt szybko. Poza tym zawsze wolała jeździć na Stadion Dziesięciolecia. Kiedy jeszcze był.

O, na przykład tutaj, na aż trzech poziomach, jeszcze niedawno funkcjonował wielki angielski sklep z ciuchami. Ale się stąd wyniósł i w ogóle z Polski też. Chyba nigdy tam niczego nie kupiła, więc w sumie strata niewielka. Potem był tu sklep z butami, ale też już go nie ma. A teraz znów zrobili ciuchy, jakaś zupełnie nowa marka.

Kilka chwil krążyła wzdłuż sklepowej witryny. Mocno przyciskała do boku torebkę, w której trzymała swój skarb, ale już nie myślała, że przydałby się jakiś mężczyzna. Oczywiście, że nie pogardziłaby silnym ramieniem, ale w innym charakterze. Zresztą zaraz wyda część kwoty, którą pożyczyła, bo przecież nie po co innego wyszła dzisiaj z domu, w dodatku w taką pogodę pod psem.

Szklane drzwi rozsunęły się przed nią niczym wrota Sezamu. Weszła do środka. Na początku trochę bez sensu kręciła się po sklepie. Nie miała sprecyzowanych planów co do zakupu. Właściwie to przydałoby się wszystko, bo ostatni czas nie był dla niej łaskawy. Robert, jej facet, zostawił ją dla młodszej. Choć jak się tak na nią spojrzęło, na tę lafiryndę z Grójca, to pewności nie było. Ale poszedł. Znów została sama. Myślała nawet o tym, by ze sobą skończyć. Trochę tabletek, do tego alkohol.

Wreszcie coś przykuło jej spojrzenie, ładna sukienka. Szybko rozejrzała się na boki, jakby bała się, że ktoś będzie chciał ją ubiec, wyciągnęła rękę i zdjęła ją z wieszaka. Zaraz dostrzegła jeszcze jedną i capnęła ją chciwie. Chwilę później szła ze swoimi zdobyczami w kierunku przymierzalni. Niestety, stała przed nimi spora kolejka.

– Wściekły się wszystkie czy co? – mruknęła z niezadowoleniem, ale mimo że zrobiła to naprawdę cicho, jakaś się zaraz odwróciła i obrzuciła ją lekceważącym spojrzeniem.

Nie było co czekać. Wjechała schodami na górę. Tutaj już kolejki nie było. Akurat z jednego z boksów wychodziła jakaś młoda dziewczyna.

Weszła do środka, zasunęła kotarę dokładnie, żeby nie było żadnych szpar, zawiesiła towar na wieszaku i zaczęła się rozbierać.

W pewnym momencie zasłona się poruszyła.

– Zajęte! – powiedziała, przyciskając do piersi nową sukienkę.

34

– Bardzo panu dziękuję za pomoc. – Starsza pani nie powstrzymała się, by nie dotknąć ramienia Kostka końcami palców w różowej rękawicze. – Teraz tak trudno o życzliwość. Każdy myśli tylko o sobie, tylko pędzi przed siebie...

– To była dla mnie przyjemność – odpowiedział policjant, postawiwszy wypełnioną wodą konewkę obok drewnianej ławeczki. – Ale i obowiązek.

Omiótł spojrzeniem także i ten grób. Leżący w nim człowiek, najpewniej mąż tej kobiety, żył 83 lata. To już jest całkiem niezły wynik, choć ludzie, szczególnie najbliżsi, zawsze powiedzą, że mógłby jeszcze pożyć. Pod imieniem, nazwiskiem i dwoma datami było zostawione miejsce dla żony. To normalne, ludzie chcieli leżeć razem. Kostek chyba nie chciałby wiedzieć, gdzie będzie kiedyś spoczywał. Nie mówiąc już o tym, że po niedawnym rozwodzie nie miał pojęcia, z kim miałby ten dół w ziemi dzielić.

Spojrzał na ławeczkę. To była taka z dykty, pomalowana zieloną farbą i zamykana na kłódkę, gdzie trzymało się miotełkę, grabki, szmatę do wycierania pomnika, jakieś płyny. Może nawet ta konewka by weszła na upartego. Żeby ciągle tego nie nosić. Chyba nikt się tam nie włamywał, bo po co? Gorzej, że starsza pani położyła na siedzisku ławeczki torebkę i jakby nigdy nic poszła sobie po wodę.

– Nie powinna pani tak zostawiać swoich rzeczy – powiedział, bo czasami odzywał się w nim morowy rewiry. – Na cmentarzach kręci się wielu złodziei, szczególnie przed dniem Wszystkich Świętych. Wystarczy moment nieuwagi i można mieć bardzo poważne kłopoty.

– A co komu po torebce kogoś takiego jak ja, proszę pana! – Machnęła lekceważąco ręką. – Nawet trzydziestu złotych ze sobą nie noszę.

– Ale są przecież ważne dokumenty, które mogą posłużyć do wzięcia kredytu, klucze do mieszkania. Proszę o tym pamiętać – powiedział z uśmiechem.

– No wiem, wiem. Czasem chodzą policjanci i ostrzegają. Jednej znajomej to nawet policjantka, oczywiście w cywilu, ukradła na Bródnie torebkę, ale tylko pogładowo, bo zaraz oddała. Żeby pokazać, jakie to proste.

Podbiął stanął na palcach, żeby odszukać Kornelię. Jeszcze przed chwilą była niedaleko. Przez cały czas miał też na oku tamtego faceta. Zastanawiał się, co powinni zrobić z niezwykłym odkryciem i jak zinterpretować dziwne zachowanie tego człowieka. Kim był dla Wojciecha, którego ciało zamknięte w taniej trumnie, pewnie opuszczano już do świeżo wykopanego dołu, może nawet z wodą na dnie? Koszmar! A może to tylko zwykła zbieżność nazwisk? Ale przecież nie dowie się tego, jak będzie tak tu stał. Chyba że...

– Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie? – Nachylił się nad staruszką, jednocześnie dyskretnie wyjmując odznakę. – Ja jestem właśnie takim policjantem, który przed

pierwszym listopada chodzi po cmentarzach i ostrzega przed niebezpieczeństwami. I wie pani, że czasami to nawet uda nam się złapać takiego rabusia na gorącym uczynku.

– Nie może być! – Kobiecina aż usta zasłoniła.

– Takie są, niestety, fakty. Kawalek dalej stoi moja współpracowniczka.

– Ta co na Bródnie?

– Nie, inna. A wszystko dlatego, że nie podoba nam się ten mężczyzna w czarnym płaszczu. Proszę się nie odwracać – zareagował w porę – a przynajmniej nie teraz.

Starsza pani przymrużyła oczy. A potem przechyliła lekko głowę, co mogło oznaczać „Co ty gadasz, dzieciaku?”, by następnie pokręcić nią z politowaniem.

– Ale to przecież jest pan Kędzierzawski, nie żaden bandyta – powiedziała, szczerząc w uśmiechu protezę. – Jacek ma na imię. Często go tutaj widuję, bo przychodzi do żony. Zawsze kwiaty ma świeże, znicz zapali, pomodli się chwilę, a nie jak inni: machnie w powietrzu ręką, jakby guzik zapinał, pomamrocze pod nosem i myśli, że odfajkowane.

– Do żony, powiada pani?

– Straszne nieszczęście ich spotkało. Taka młodziutka była. Ale widać Pan Bóg miał inne plany...

– Jest pani pewna? – zapytał, mimo że jego myśli krążyły już gdzie indziej.

– Wszyscy o tym mówili. My tu się jako tako znamy, nawet nawzajem pilnujemy, żeby nikt z grobów niczego nie ukradł. Bardzo współczuliśmy temu chłopakowi. I dalej współczujemy, choć to dwa lata już będą, jak ją pochował, biedaczkę. Rak to straszna choroba.

– A czy ktoś jeszcze prócz pana Kędzierzawskiego przychodził albo przychodzi na grób pani Anety? – w ostatniej chwili przypomniał sobie imię zmarłej.

– Nie zauważyłam. Ale możliwe, że tak. Ostatnio nie bywam tutaj zbyt często, bo mam już swoje lata. Niedawno w szpitalu leżałam długo, ale widać jeszcze na mnie pora...

Człowiek, o którym mówiono, chyba zakończył już modlitwę, a może nawet rozmowę z nieżyjącą żoną, bo szedł przez labirynt między nagrobkami. Złożony parasol trzymał w ręku, bo przestało padać.

– Proszę pamiętać o tym, co pani mówiłem – powiedział Kostek, pożegnał się i ponownie ruszył za tamtym.

Czyli za kim? Czy dalej za podejrzanym? A jeśli tak, to o co? Że nie wziął udziału w pogrzebie człowieka, z którym prawdopodobnie łączyły go więzy rodzinne, bo miał wystarczająco dużo własnych problemów. A może byli pokłóceni. O to przecież w rodzinie nietrudno. Ale żeby to wszystko wiedzieć, należało się dowiedzieć. Coś mu już świtało, ale wołał tego na razie głośno nie mówić.

Po chwili ujrzał Kornelię. Spojrzała na niego pytająco.

– Trzeba pogadać z klientem – zdecydował, by dodać: – Ale nie tutaj.

– Dlaczego nie?

– Chyba trochę nie wypada. Poza tym był kiedyś taki serial wojenny Polskie drogi i w ostatnim odcinku hitlerowcy zrobili na cmentarzu zasadzkę na naszych partyzantów.

– Tych bardziej naszych czy tych mniej naszych? – chciała wiedzieć Kornelia, znała bowiem podglądy starszego kolegi na niektóre tematy.

– Dzisiaj mniej, zresztą nieważne – odpowiedział, wychylając się w bok, bowiem Jacek Kędzierzawski znów zniknął im z oczu. – Bardzo nie lubię tego odcinka.

Zbliżyli się do bramy głównej Cmentarza Północnego. Kostek spojrział na tłum, który kłębił się przed kaplicą. Ktoś najwyraźniej miał o wiele więcej szczęścia w życiu niż Wojciech Ożóg, choć tak naprawdę, gdy się już leży sztywno pod drewnianym wieczkiem (albo przesypuje w urnie), to chyba jest człowiekowi całkowicie obojętne, czy ktoś przyszedł i jakie kwiaty przyniósł. Podbiał nie wierzył w bajki, choć zwykle szanował to, że wierzy ktoś inny. Tak czy inaczej: miał dość takich i podobnych miejsc. Do Wszystkich Świętych powinno mu przejść. Poza tym wśród swoich jest inaczej.

Wdowiec skierował kroki w stronę parkingu przy Wóycickiego. Kostek i Kornelia jeszcze trzymali się na dystans. Chcieli zobaczyć, czym się porusza. Minęli swój radiowóz. Gdy mężczyzna sięgnął do kieszeni, a po sekundzie zamrugały światła czerwonej kii creed na podwarszawskich blachach, mogli zaczynać zabawę.

– Przepraszam pana! – zawołał nadkomisarz tonem turysty pytającego o drogę.

Ale Kędzierzawski albo go nie usłyszał, po Wóycickiego przejeżdżała bowiem akurat ciężarówka z roztańczoną przyczepą, albo udał, że nie słyszy. Może ton był jednak za lekki? Szybko wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Ruszył z miejsca, ale zatrzymał się zaledwie metr dalej, w chwili kiedy Podbiał kładł dłonie na masce samochodu.

– Co jest, kurwa?! – dobiegło ze środka auta.

Patrzcie, ludzie, a jeszcze przed chwilą takie to było rozmodlone... – pomyślał Kostek.

Tymczasem Kornelia szybkim krokiem zbliżyła się do drzwi kierowcy i z trzaskiem przystawiła do szyby swoją odznakę. Łańcuszek kilka razy zastukał o karoserię.

– Ale o co chodzi? – Mężczyzna rozłożył ręce.

– O to, żeby pan wyszedł z samochodu – powiedziała głosem dużo spokojniejszym niż gest sprzed chwili.

Ręce mogą tak zostać – dodał w duchu Podbiał, swoje dłonie ocierając o spodnie, maska kii była bowiem mokra.

– Podkomisarz Kornelia Banaś, Komenda Stołeczna Policji – wyrecytowała, kiedy Kędzierzawski wyszedł z auta, co zajęło mu trzy razy więcej czasu niż wsiadanie.

– Wołałem pana. Nie słyszał pan? – zapytał Kostek tonem wyrozumiałego pedagoga.

– Nie słyszałem.

– Trudno. Ważne, że pan jednak nie odjechał i możemy chwilę porozmawiać.

– Ale o czym? – Wdowiec, najwyraźniej już bardziej pewny siebie, splótł ręce na piersiach. – Nie ukrywam, że trochę mi się spieszy.

– Rozumiem. Od czego tu zacząć? – Policjant teatralnym gestem podrapał się po głowie.

– Na początek poprosimy o prawo jazdy, dowód rejestracyjny, certyfikat polisy AC i NW – przyszła mu sukurs Kornelia.

– Popełniłem jakieś wykroczenie?

Dziewczyna wskazała ręką za siebie.

– Znak B-1, czyli zakaz ruchu wszelkich pojazdów. Nie dotyczy komunikacji publicznej i zaopatrzenia, a także obsługi cmentarza – recytowała wypranym z emocji głosem.

– Inni stoją i jakoś nikt się nie czepia. – Wdowiec niechętnie sięgnął po dokumenty.

– Innymi też się zajmijmy. W swoim czasie.

Odebrała papiery i poszła do radiowozu. Podbiał odprowadził ją wzrokiem, a potem pokręcił głową i przeniósł spojrzenie na Kędzierzawskiego.

– Służbistka – rzekł. – Dopiero co po szkole. Pierwszego dnia myślałem, że aresztuje pół Warszawy. Ale da się lubić. I dobrze, że poszła, bo chciałem pana o coś zapytać. Pełnimy dziś służbę na Wólce i pewnie widział nas pan wcześniej...

– Widziałem. Ale skąd mogłem wiedzieć, że jesteście z policji?

– Jasne. No ale nie ma co do tego wracać. – Kostek zmusił się do uśmiechu. – Ostatnio skradziono kilka cennych rzeczy, na przykład to. – Podetknął mu pod nos swój telefon, a w nim zdjęcie zegarka marki Festina znalezionego przy Ożogu.

Na twarzy Kędzierzawskiego nie drgnął ani jeden mięsień. Chyba, bo człowiek ów nosił brodę, gęstą i dość długą jak na jeszcze niedawno obowiązujące standardy. Czasomierz nie był charakterystyczny, seryjna produkcja. Dobrze, w takim razie spróbujmy z większą przynętą. Podbiał przesunął kciukiem po ekranie.

– A tego pan może zna?

Uderzenie było celne. Niespodziewane. Wdowiec na dłuższą chwilę zamknął oczy. Czyli wyglądał niemal tak samo jak nieboszczyk znaleziony w piątkowy wieczór w pociągu stojącym na stacji Warszawa Wschodnia, bo to właśnie jego zdjęcie czy też zdjęcie zdjęcia miał w tej chwili przed sobą.

– Czy to jest pański teść, panie Kędzierzawski? – zapytał nadkomisarz.

– Tak – odpowiedział wdowiec. – Teoretycznie.

– Czy to pan zapłacił za jego pochówek firmie „Maxim”?

– Ja.

– To dlaczego nie był pan na pogrzebie?

– Nie byłem? – Jacek spojrzał śmiało na Podbiała. – Oczywiście, że byłem! Tylko byłem tak, jak on na to zasłużył. Jak potraktował Anetę, kiedy była mała, i jej matkę. Wie pan, chyba teraz żałuję tego, co zrobiłem.

– Czyli? – Kostek wstrzymał oddech.

– Powinienem pozwolić, żeby go zakopali jak psa. Pod płótem, w kartonowym pudle! I zaczął najnormalniej w świecie płakać.

W tym momencie nadeszła Kornelia. Wymienili z Kostkiem spojrzenia. Jest nieźle.

– Tym razem panu daruję. – Policjantka wyciągnęła w stronę kierowcy rękę z jego dokumentami: – Poza tym ten znak stoi tutaj dopiero od niedawna, więc każdy się może pomylić.

– Od początku wiedziałem, jakie relacje łączą Anetę z ojcem – powiedział Jacek Kędzierzawski, oderwawszy wzrok od okna, za którym Ogród Krasińskich zaczynał już

tonąc w październikowym mroku. – Zresztą trudno tu chyba mówić o jakichkolwiek relacjach. To w ogóle cud, że go poznała, bo porzucił rodzinę, kiedy ona miała dwa, może trzy lata. Poszedł w Polskę, jak to się wtedy ładnie mówiło. Nie mogła go pamiętać. Jakoś dawały sobie z matką radę we dwie, dobrzy ludzie zawsze im pomagali, rodzina też się tym razem sprawdziła. Poza tym Krystyna, to znaczy moja teściowa, miała przyjaciela, na którego zawsze mogła liczyć. Oczywiście zbliżyli się bardziej dopiero wtedy, kiedy z małżeństwa nie było co zbierać. Ten człowiek traktował Anetkę jak córkę. Ale kiedy miała szesnaście, siedemnaście lat, chciała poznać swojego ojca. Nietrudno go było znaleźć, mieszkał na Pradze.

– Na Brzeskiej? – przerwał mu Podbiał.

Do ostatniej chwili wahał się z podjęciem decyzji, gdzie powinna odbyć się ta rozmowa. Bo że powinna odbyć się jak najszybciej, tego był pewien. Za dużo mieli tyłów, żeby to jeszcze odwlekać, umawiać się, bawić w wystawianie wezwań czy wreszcie szarpać z prawnikami, których Kędzierzawski na pewno by powiadomił i przyprowadził. Trzeba było wykorzystać element zaskoczenia. Zdjęcie zaszytowanego Ożoga w telefonie zadziało idealnie.

Z Wólki Węglowej pojechali prosto do Pałacu Mostowskich. Jednak pokój przesłuchań jakoś w tym przypadku Podbiałowi nie pasował. Kędzierzawski, mimo incydentu na parkingu przed cmentarzem, nie wyglądał na kogoś, kto się rzuci na policjantów ani, przyparty do muru, do okna, aby przez nie wyskoczyć. A przecież były i takie przypadki w historii tego pięknego gmachu o mylącym adresie.

– Tak – rzekł po chwili wdowiec. – To była ulica Brzeska. Gdy Aneta szła tam po raz pierwszy, nawet się nie bała, choć to jeszcze nie były czasy, gdy stawiano tam apartamentowce. Silniejsza była ciekawość, jak to u nastolatki. Jej ojciec był tamtego dnia kompletnie pijany, ale i to jej nie zniechęciło. Posprzątała mu w mieszkaniu, na ile mogła, podczas gdy on leżał na tapczanie i coś bełkotał.

– Poszła tam jeszcze kiedyś?

– Nie. Być może zaspokoila ciekawość. Problem w tym, że Ożóg zaczął nachodzić ją. Kilka razy zjawiał się pod uniwersytetem, oczywiście też po pijaku. Pewnego dnia, kiedy wychodziła z koleżankami i kolegami z roku z zajęć, zaczął ją wołać po imieniu. Nie zareagowała, bo przecież imię ma dość popularne, ale on użył nazwiska. Wyobraźcie sobie, co musiała wtedy czuć młoda dziewczyna.

Kornelia, która siedziała przy swoim biurku i coś pisała, poczuła na sobie jego wzrok. Podniosła głowę, ale to było wszystko, na co się mogła w tym momencie zdobyć. Poza tym Podbiał prowadził przesłuchanie. Bo to mimo wszystko było przesłuchanie. Mieli przecież członka rodziny denata i jeszcze kilka pytań.

– Potem skończyła studia, dostała pracę w korporacji. No i ja się pojawiłem w jej życiu. Już na samym początku opowiedziała mi swoją rodzinną historię. Wtedy obiecałem sobie, że ten człowiek już nigdy się do niej nie zbliży. Niby to ojciec, ale, proszę wybaczyć, każdy może zostać ojcem. To tylko biologia. Ważne jest, jaki jesteś później, jak dbasz o rodzinę...

– Czy żona już nie próbowała nawiązać kontaktu z ojcem? – zapytał Podbiał.

– Raz czy dwa mówiła mi, że chciałaby jeszcze spróbować.

– Mówiła dlaczego?

– Ponoć czas leczy rany. Moim zdaniem to brednie. Ale wtedy Aneta zaczęła chorować. Rak szyjki macicy. Wszyscy byliśmy przerażeni. Nigdy wcześniej tak się nie czułem. Jeździłem z nią od lekarza do lekarza, przesiadywałem w szpitalu, kiedy miała operacje. Przekopałem cały internet w poszukiwaniu jakiejś pomocy, nadziei. Wszystko na nic...

Zamilknął. Można się było spodziewać, że znów zacznie płakać. Ale jego oczy były suche. Tylko wargi znów mocno zacisnął.

On ma rację: czas, który leczy rany, to bajka dla dzieci – pomyślał Kostek.

Pozostała jeszcze sprawa innych ran, ran klutych, bo to od nich kilka dni temu zmarł człowiek, o którym w tej chwili mówili. Zresztą dzisiaj spoczął na zawsze w ziemi, więc wypadaloby go wspominać. Że nie dało się dobrze, to już inna rzecz. I może nawet wypić za spokój jego duszy, mimo wszystko. Ale to potem.

– Chciałbym jeszcze tylko raz zapytać o pańską żonę – podjął po chwili Kostek. – Dlaczego na tablicy nagrobnej zostało umieszczone także jej nazwisko panińskie?

– Aneta tak chciała – odpowiedział. – Zawsze używała podwójnego.

Dobrze wygląda na wizytówce – pomyślał policjant, głośno zaś zapytał:

– Mimo tego, co ją spotkało?

– Jej matka wciąż tak się nazywa. Mogłem to oczywiście zmienić, czasu było dużo, bo kamieniarz to przecież nie punkt ksero. Ale w końcu zostawiłem tak, jak chciała. Mimo że drożej wyszło, bo o tych kilka liter więcej.

– A pani Krystyna nie chciała iść dzisiaj z panem na pogrzeb swojego byłego męża? – zapytała nieoczekiwanie podkomisarz Banaś.

Jacek Kędzierzawski spojrział na policjantkę, potem na Kostka. No tak, służbistka, dopiero po Szczytnie, czy gdzie tam ich teraz szkolą, a pierwszego dnia pracy chciała aresztować pół Warszawy. Do tego wnikliwa. Darowała co prawda mandat za złe parkowanie przy cmentarzu, ale chyba się jednak nie polubią.

– Mama jest chora – odpowiedział. – Prawie nie wychodzi już z domu.

– W ogóle wie o tym, że Wojciech Ożóg nie żyje? – drażyła Kornelia.

– A skąd pan się w ogóle dowiedział o jego śmierci, panie Jacku? – dorzucił Podbiał.

Głowa wdowca wykonała kilka ruchów, jakby jej właściciel obserwował z bliska mecz tenisa stołowego. Albo jakby nie mógł się zdecydować, czy najpierw odpowiedzieć na pytanie kobiecie, czy starszemu stopniem i wiekiem. Z boku mogło to nawet wyglądać zabawnie, gdyby nie treść pytania. Czyżby jednak był z tym jakiś problem?

– Ja nic złego nie zrobiłem... – jęknął.

– Nikt tak nie twierdzi – powiedziała Banaś, a w duchu dodała: jeszcze.

– Proszę tylko powiedzieć, skąd pan się dowiedział, że teść nie żyje – powtórzył Kostek spokojnym głosem. – Przecież z wiadomych powodów nie utrzymywaliscie kontaktów. W dodatku, jak pan pewnie wie, nie można było do niego ani zadzwonić, ani napisać, bo w mieszkaniu na Brzeskiej mieszka już ktoś inny. I chyba nie przekazałby korespondencji. To jak?

– Spotkałem się z teściem kilka razy – odparł głucho wdowiec.

– Pewnie na pogrzebie pana żony? – znów wtrąciła się Kornelia.

– Nie. O pogrzebie Anety nie wiedział. Zresztą sam nie wiem. Może był, ale daleko, tak jak ja dzisiaj. Może bał się podejść albo wstydził. Nie oglądałem się wtedy, bo były

ważniejsze sprawy...

– Czyli widział się pan z Wojciechem Ożogiem już po śmierci pana żony – porządkował Kostek. – Można zapytać, gdzie i w jakich okolicznościach?

Cisza. Jeśli nie liczyć niezawodnego tramwaju, starego „akwarium” hamującego przed przystankiem przy Arsenale. Zawsze odpowiadał na wszystkie trudne pytania, które przełożeni stawiali na odprawach. Do spółki z brzęczącymi jarzeniówkami pod sufitem.

– Panie Jacku? – ponaglał Kostek.

Kędzierzawski wzdrygnął się, spojrzął na policjanta.

– Widzieliśmy się, a nawet poznaliśmy w kancelarii prawnej. Chodziło o sprawę spadku po Anecie. Nie zostawiła przecież testamentu. Człowiek myśli: wciąż jestem młody, nic mi się nie może stać. Zresztą nikt się nie spodziewał, że to tak szybko pójdzie, a potem nie mieliśmy do tego głowy. Myślałem sobie: jaki spadek? Przecież i tak wszystko zostaje w rodzinie. A tymczasem...

Kostek z trudem się opanował, żeby głośno nie wypuścić z płuc powietrza. W końcu coś mieli. Opóźniony TLK wreszcie się zbliżał.

– Czy pana teść, Wojciech Ożóg, również był brany pod uwagę przy podziale majątku pozostawionego przez pańską zmarłą żonę? – zapytał nadkomisarz na jednym wydechu.

– Początkowo myśleliśmy, że nie. No bo jak to?! Zostawiasz własne dziecko jak psa w lesie, a potem jakby nigdy nic zgłaszasz się po jego pieniądze jak po pięćset plus?! – Jackowi Kędzierzawskiemu nie udało się zapanować na nerwami.

Za to Kornelia była spokojna.

– Jak pan zareagował, kiedy się okazało, że jednak coś mu się należy? – zapytała.

– A jak by pani zareagowała?! – fuknął wdowiec. – To oczywiste, że byłem zły. Na szczęście jestem dobrze wychowany i byłem w towarzystwie prawnika. I nie „coś”, droga pani, ale chodziło poważną kwotę.

– Ile to jest „poważna kwota”? – naciskała młoda. – Bo dzisiaj ludzie potrafią zabić nawet dla dziesięciu złotych...

Mężczyzna pokiwał w powietrzu wskazującym palcem. Na boki. Bo gdyby kiwał od siebie, byłyby to gest znany powszechnie jako przygana. Albo wręcz grożenie. Mogło to oznaczać: nie ze mną te numery! Ale nie poparł tego żadnym słowem, bowiem na biurku Kostka rozdzwonił się telefon.

– Przepraszam. – Kostek sięgnął po słuchawkę. – Nadkomisarz Pobiął, słucham.

I jak powiedział, tak zrobił: słucał. Kornelia zdziwiła się, że nic nie mówi, bo nawet z chłopakami z biura przepustek, którzy anonsowali przybycie petenta, lubił sobie czasem grubo pożartować. Zauważyła, że ostatnio jednym z ulubionych jego powiedzonek było: „Mam nadzieję, że dojdzie o własnych siłach”.

– Tak, rozumiem. Dziękuję. – Odłożył powoli słuchawkę na miejsce, zaraz jednak ją podniósł, by po chwili rzucić: – Podbiał, proszę do mnie.

Banaś wiedziała, że nie może, ot, tak zapytać, co się stało, bo przecież nie byli sami. Mimo że człowiek, z którym rozmawiali, zdawał się tu obecny tylko ciałem.

– Podpiszę panu przepustkę – powiedział Kostek.

– Jestem o coś oskarżony? – Kędzierzawski powoli podniósł głowę.

– Wrócimy jeszcze do tej rozmowy, panie Jacku. Proszę na razie nie opuszczać kraju.

Długopis krótko zadrapał o papier. W tej samej chwili do pokoju wszedł posterunkowy, którego zadaniem było odprowadzenie przesłuchiwanego. Dlaczego tylko do drzwi, a nie do celi? Przecież właśnie na tacy pojawił się motyw. Poza tym do pokazania było jeszcze kilka fotek, w tym zabójcy w zielonej kurtce. Czy taką samą miał w szafie pan Jacek?

– Ja nic nie zrobiłem – powiedział drżącym głosem wdowiec, mnąc z palcach przepustkę. – Nie zabiłem Ożoga. Przecież dostał ode mnie zegarek!

– Do widzenia – uciął Kostek.

– Co się dzieje? – zapytała Kornelia, gdy za tamtym zamknęły się drzwi.

– Dzwonili ze Śródmieścia. Zabójca prawdopodobnie uderzył ponownie.

– Ale z dworca Warszawa Śródmieście?

– No właśnie nie. Ze sklepu na Ścianie Wschodniej. I tym razem ofiarą jest kobieta.

36

– Lepiej niech pan uważa – powiedział jakiś młody chłopak.

– Potrąciłem? Przepraszam, nie chciałem. Trochę tu ciasno... – Tomasz Horn stropił się, przestąpił z nogi na nogę, jakby mu nagle kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt lat przybyło.

– Mówię, żeby pan uważał, bo zaczęli – wyjaśnił tamten cierpliwie.

Głowę miał owiniętą czarno-białą chustą, popularną arafatką i wyglądał jak jeden z tych, co za chwilę rzuci czymś, kamieniem czy może granatem, w stronę izraelskiego osiedla na zachodnim brzegu Jordanu.

– Ale co zaczęli?

Chłopak spojrział na Horna, jakby ten udawał głupiego. Nie, w tym miejscu nie można było nikogo udawać, bo podobno w tłum byli wpuszczani prowokatorzy. Sytuacja była napięta i wystarczyła jedna iskra, mała iskierka, żeby demonstracja, w założeniu pokojowa, przerodziła się w regularną bitwę. Z wiadomym rozstrzygnięciem. To nie Francja, gdzie przy takich okazjach policja dostaje bęcki, gdzie za każdym razem płoną samochody i pokazują to wszystkie kanały informacyjne na świecie. Chyba że w kimś tutaj rzeczywiście odezwie się nagle gorąca krew chłopców ze wszystkich narodowych powstań. I dziewcząt z tego ostatniego.

– Kocioł – rzucił krótko ten w arafatce, po czym zniknął w tłumie.

Tomasz Horn sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i po raz kolejny sprawdził obecność legitymacji prasowej. Widniało na niej logo jednej z największych gazet w Polsce, choć on nie pracował tam już od ponad roku. Był jedną z ofiar niedawnej pandemii, tych ekonomicznych. Kierownictwo dziennika wykorzystało po prostu okazję i zaczęło robić porządki.

Potem się przebranżowił, w czym pomógł mu przypadek, i przez jakiś czas pracował jako kierowca w firmie, która zajmowała się odprowadzaniem prywatnych samochodów po zakrapianych imprezach. W rzeczywistości kierowcy często byli chłopcami na posyłki, czym jednak nikt się nie przejmował. Ważne, że było płacone.

Raz Horn dostał nawet zlecenie śledzenia mężczyzny, którego żona podejrzewała, zresztą słusznie, że chodzi na dziwki. W rezultacie dziennikarz znalazł się w samym środku niezłej afery.

Teraz znów pisał, co prawda dla portalu internetowego, ale tłumaczył sobie, że to przecież przyszłość. No i płacili. Czy również za to, że tego popołudnia znalazł się w tym miejscu? To się dopiero miało okazać.

– Kocioł – powtórzył pod nosem.

Plac Powstańców Warszawy, kiedyś plac Napoleona. Nazwa zobowiązywała więc w dwójnasób, bo przecież „dał nam przykład Bonaparte...”. Jak wzrokiem sięgnąć, nieprzebrany tłum. Nie tylko młodych kobiet, mimo że to o nie cała ta awantura, ale też mężczyzn w różnym wieku, starszych pań groźnie trzymających w rękę parasolki, no i młodzieży, bo to w niej nadzieja. Nad głowami ludzi powiewały flagi i transparenty, na szybko klecone z kartonów tabliczki, na których wymalowano słowa niezgody na to, co się działo. I jak to przedstawiała telewizja publiczna, a dokładnie jej kanał informacyjny, bo to właśnie przed jego siedzibą po raz kolejny zebrał się dzisiaj tłum.

– Kłamcy! Kłamcy! – zaczęła skandować jakaś kobieta, której twarzy nie widział, bo zakrywała ją maska, czarna z czerwoną błyskawicą.

– KŁAM-CY! KŁAM-CY! KŁAM-CY! – podchwycił od razu czujny tłum.

Horn, odkąd się tu znalazł, wypatrywał znajomych twarzy. W tym mieście mieszkają dwa miliony ludzi, tysiące są każdego dnia przejazdem, a jednak zawsze miał nadzieję. Przyglądał się twarzom demonstrujących, które oświetlały uliczne latarnie. Na razie, bo w każdej chwili mogło się to zmienić. Zrobi się nie tylko jaśniej, ale i bardziej gorąco.

Nagle odezwały się krzyki z lewej. Horn zaczął przeciskać się przez tłum. Jakis osobnik słusznej postury, z naciśniętą nisko czapką i maską skrywającą twarz, wymachiwał czymś, co trzymał w ręku. Dopiero po chwili obserwacji Tomasz był w stanie stwierdzić, że to pałka teleskopowa. Otoczony przez tłum, rzucał się na wszystkie strony. Wyglądał jak drapieżnik, jeszcze przed chwilą pewny zdobywcy, teraz nagle otoczony przez liczne stado antylop gnu, które najsłabszego spośród siebie nie chciały oddać na żer. Atakuje taki z wyjątkową zajadłością, bo przecież w ciągu chwili zmieniło się wszystko.

– Morderca! – zawołała jakaś kobieta.

– Twoja matka wie, co robisz?! – dorzuciła inna.

Tajniak, bo nie mógł to być nikt inny, jął się cofać rakiem. Drogę odwrotu zaraz udrożnili mu jego czujni kompani, szarpiąc dziewczyny. Mieli to już przećwiczone.

I znów wołanie, tym razem z drugiej strony, o wiele już głośniejsze:

– Gazuj!

Krzyk, a do tego płacz, którego tu wcześniej nie słyszał, no i, na potwierdzenie, zbiorowe kasłanie. Tłum falował, ale wciąż jeszcze nie można było o nim powiedzieć, że to tłum oszalały. Było widać białe hełmy z przyłbicami i znienawidzone już granatowe furażerki, a także górne krawędzie tarcz. To był właśnie ów kocioł, odcięcie wszystkich dróg ucieczki z placu. Wiatr niósł ostrą, nieznaną woń.

Wtem ktoś pociągnął go za rękę. To był tamten oblatany chłopak w arafacie.

A może to też jakiś tajniak, prowokator? – przeszło przez myśl Hornowi.

– Niech pan ze mną idzie – rzucił.

– Ale po co?

– Mieszkańcy Wareckiej podstawili drabiny. Dzięki nim mamy szansę wyrwać się z kotła. Tyle że nie wiem, ile to jeszcze potrwa...

Dlaczego akurat on, chciałoby się zapytać. Ale Tomasz o nic nie pytał. Ruszył za tamtym chłopakiem, ku południowemu krańcowi placu. Oddychało się coraz ciężiej. Zakasłał kilka razy.

– Na takie okazje warto zawsze mieć przy sobie coś, czym można obwiązać twarz – powiedział tamten. – Szmata i jakiś płyn, żeby ją nasączyć.

Rzeczywiście, po kilku chwilach żmudnej wędrówki Tomasz ujrzał ludzi wspinających się po drabinach. Czy tak było w warszawskim getcie? A w Berlinie Wschodnim? Do czego to znów doszło, świecie nasz...

Nikt się nie pchał, a na swoją kolej nie trzeba było długo czekać. Wszystko przebiegało gładko, zupełnie jakby wiele razy wcześniej ugadane, wypróbowane.

– Szybko. – Wybawiciel pchnął go zdecydowanie w plecy.

– Czy to naprawdę dobry pomysł? – Horn zawahał się.

– Woli pan siedzieć?

Nie odpowiedział, choć miał już w życiorysie kilka takich przypadków. Za każdym razem rozchodziło się co prawda po kościach, ale nikt nie obiecywał, że tak będzie zawsze. Nawet legitymacja prasowa mogła nie pomóc.

– Nie – odpowiedział Horn.

Kiedy postawił stopę na pierwszym szczeblu, poczuł, że drabina, aluminiowa, domowa, z budowlanego supermarketu, drży. Ale nie przejął się tym. Najtrudniejszy pierwszy krok, jak w starej piosenke. Postawił drugą stopę...

37

– Myślisz, że Kędzierzawski zapłacił komuś, żeby odjechał teścia?

Podbiął spojrzął na Kornelię. Wydawała się bez reszty skupiona na czynności prowadzenia auta, zresztą dobrze, bo mieli za zadanie szybko dostać się na Marszałkowską.

– Za mało jeszcze wiemy – odpowiedział po dłuższej chwili; musiał ochłonąć, bo takiego repertuaru jeszcze w wykonaniu młodej nie słyszał. – Trzeba przycisnąć klienta i dowiedzieć się, o jaką kwotę konkretnie chodziło. Może zegarek w prezencie i pewna suma, z której Ożóg sfinansował bilet na pociąg, załatwiły sprawę, a my zaczęliśmy się doszukiwać drugiego dna.

– Pewnie trzeba się będzie skontaktować także z kancelarią prawną, która reprezentowała Ożoga. Nie znałam człowieka, ale nie sądzę, żeby ktoś taki sam wpadł na to, że po zmarłej córce coś mu się należy. Pewnie do końca życia myślałby, że jest odwrotnie. Zresztą bardzo dobrze.

– Jasne, że ktoś mu musiał pomagać. Choćby za procent z tego, co uda im się wyrwać ze spadku. Swoją drogą to rzeczywiście czyste kurewstwo. Dorabiasz się czegoś w życiu, zaharowujesz się, czasem kosztem zdrowia, a potem dostaje to ktoś, kto nie tylko ci tego nigdy nie ułatwił, ale rzucał kłody pod nogi albo wręcz zapomniał o twoim istnieniu.

– Dura lex, sed lex. Czy jak to tam szło – rzekła półgębkiem policjantka. – A przy okazji, wiesz, zastanawiałam się nad wyposażeniem mojej kuchni i może szarpnę się na nową baterię do zlewozmywaka. Zresztą i tak będę się musiała wybrać do jakiegoś marketu budowlanego. Panom specjalistom skończyły się materiały. Ich szef dzisiaj do mnie dzwonił.

– Typowe. Na trzy kuchnie nie wystarczy, choćby się bardzo starali.

Nic nie odpowiedziała.

– Spokojnie. Możesz u mnie mieszkać, jak długo zechcesz – podsumował.

Byli na łuku Marszałkowskiej na wysokości Ogrodu Saskiego. Podkomisarz Banaś zmieniła pas na prawy, bo wydał jej się szybszy. I paradoksalnie był. Mogli co prawda użyć syreny i koguta, ich auto było rzecz jasna zaopatrzone w takie i inne zabawki, ale Kostek rzadko to robił. Poza tym mieli kawałek i trup raczej już nie powinien uciec.

– A po tobie kto by dziedziczył, gdyby coś ci się stało? – zapytała w pewnej chwili Kornelia. – Oczywiście życzę ci wszystkiego najlepszego, ale oboje wiemy, jak niebezpieczny zawód wybraliśmy...

– Pewnie rodzice. – Kostek wzruszył ramionami. – A gdybym miał dzieci, to pewnie one by dziedziczyły.

– Ale gdyby były jeszcze niepełnoletnie, a ty byłbyś po rozwodzie, to pewnie i tak większość przypadłaby twojej byłej żonie.

Podbiał spojrział w swoją szybę, za którą przed chwilą pojawił się cień Pałacu Kultury. Kilka chwil później przecięli Świątokrzyżką.

– Coś się tam znów dzieje – powiedziała Kornelia, spojrzawszy w lewo, gdzie błyskało wiele niebieskich sygnalizatorów.

– Pewnie dyskoteka. Dobry pomysł. – Podbiał sięgnął po koguta, włączył go i postawił na dachu, a potem obejrzał się za siebie.

– Akurat nie ma „przecinaka”. Dawaj szybko lewy kierunek i skręcaj – polecił Kornelii, by dodać: – Nie mamy czasu na jazdę do ronda.

Zrobiła, jak kazał. Na śliskich od deszczu szynach tramwajowych trochę ich zarzuciło, a dziewczyna pisnęła, ale bardziej chyba z uciechy niż ze strachu. Znaleźli się na wschodniej nitce Marszałkowskiej, szczęśliwie pustej, bo przez chwilę poruszali się pod prąd. Po chwili Kornelia wjechała na chodnik między przystankiem autobusowym a słupem trakcji tramwajowej. Wyłączyła syrenę, a Kostek zdjął z dachu koguta.

Przed sklepem stał radiowóz, kawałek dalej furgonetka, którą poruszali się technicy kryminalistyki. W obu kierunkach jak zawsze parł tutaj tłum, dzisiaj tylko czasem ktoś ciekawski zwalniał kroku i próbował zaglądać do środka. Zaraz za automatycznymi drzwiami, teraz zamkniętymi, stał ochroniarz w granatowym uniformie.

– Zamknięte – powiedział, gdy zbliżyła się para policjantów, tak przynajmniej można było wyczytać z ruchu warg, no i gestykulacji.

– Ja tylko po skarpetki – powiedział Podbiał. – Bądź pan człowiek, bo ślubu nie będzie!

Najwyraźniej chciał się trochę podrażnić z pracownikiem ochrony, zanim by się w końcu ujawnił. Ale po chwili za ochroniarzem pojawił się mężczyzna w cywilu. Ujrzawszy ich, poinstruował tamtego.

– Przepraszam, nie wiedziałem... – tłumaczył się pracownik sklepu.

– Nie ma problemu – skwitował Kostek, witając się ze znajomym policjantem, po czym dokonał prezentacji: – Waldemar ze Śródmieścia, Kornelia. Podobno macie coś, co może nas zainteresować.

– Na to wygląda. Chodźmy na górę. – Waldemar wskazał na nieruchome ruchome schody, które jednak zaczęły działać, gdy tylko Kornelia weszła na pierwszy stopień.

Kostek zastanawiał się, czy kiedyś tu był. Musiało to być, bo podczas trwania małżeństwa z Rawską często chodzili razem na zakupy. Pamiętał, że zawsze dopadał ich ktoś, kto prosił Kaśkę o autograf. Nigdy nie odmawiała, więc jemu pozostawało stać z boku i cierpliwie czekać.

– Sklep opróżniliśmy najszybciej, jak się dało – opowiadał policjant ze Śródmieścia. – Mimo wszystko jesteśmy zdyscyplinowanym narodem. Wystarczyły dwa komunikaty o zagrożeniu pożarowym. Nawet z przymierzalni wszyscy grzecznie i szybko powychodzili. Prócz jednej osoby.

– Kim była zamordowana? – zapytała Kornelia.

– Wiśniak Grażyna, lat sześćdziesiąt trzy. – Waldemar sięgnął po służbowy notatnik. – Zamieszkała w Warszawie ulica Brożka na Kole. Cios ostrym narzędziem, zresztą zaraz lekarz wam opowie.

– Kto przyjechał? – zainteresował się Kostek, bo miał nadzieję, że będzie to Teresa.

– Doktor Walczak.

Wjechali na pierwsze piętro. Sklep, w którym nie było klientów, robił dziwne wrażenie. Kostkowi skojarzyło się to z bardzo późną porą. Za chwilę zaczną wyganiać, aby móc zamknąć interes. Albo jeszcze lepiej: z Wigilią, kiedy większość normalnych ludzi jest już od dawna w domu, a pracownicy sklepu są już tam myślami, więc bierz, człowieku, te skarpety na prezent, zapłać i nie zawracaj dłużej głowy.

– Pewnie już ktoś siedzi i liczy straty – powiedział jeszcze Kostek.

– Nie da się ukryć – zgodził się Waldemar. – Jest jednak nadzieja, że sobie wszystko odbiją, a to, co się dzisiaj stało, przyciągnie jeszcze więcej klientów. Znasz ludzi. Promocje, wyprzedaże, morderstwa. Tylko u nas!

Kostek był już pewien, że nigdy tu nie był. A przynajmniej w czasie, gdy działał akurat ten sklep.

– Zapis z kamer monitoringu? – zapytał.

– Morderstwa dokonano w przymierzalni, a tam Baba Jaga nie patrzy – odpowiedział Waldemar. – Podobnie jak w toaletach.

– Ale w korytarzu już tak?

– Owszem. W tym nasza nadzieja. Na razie z ekspedientki, która znalazła tę Wiśniak, nie da rady nic wyciągnąć. Jest w ciężkim szoku.

– Może ty spróbuj z nią pogadać – powiedział nadkomisarz do Kornelii. – A ja sobie obejrzę przymierzalnię i wiadomość od sprawcy.

– Dobrze.

Waldemar wskazał jej drogę na zaplecze, a potem z Kostkiem skierowali kroki w stronę miejsca, w którym dokonano zabójstwa. Z pomieszczenia, gdzie znajdowały się przymierzalnie, wnoszono właśnie ciało. Niesli znajomi, więc wystarczyło, że nadkomisarz dał znak ręką, aby się zatrzymali. Szybko odchylił materiał, którym była

przykryta kobieta, spojrział na jej twarz. Była dość atrakcyjna, jak na wiek, który Waldek podał na początku rozmowy.

– Wstępnie mogę powiedzieć, że to ta sama robota co na Wschodniej – powiedział doktor Walczak, który pojawił się po chwili.

Kostek odprowadził wzrokiem smutny kondukt, oddalający się w stronę windy.

– Mam nadzieję, że nie ma na sobie niczego, co przymierzała, i bramki przy wyjściu nie będą piszczeć. Musieliby powiadomić policję o próbie kradzieży – powiedział.

Wreszcie poszli do przymierzalni, gdzie policyjny technik pokazał Podbiałowi wykonane przez siebie zdjęcia na tablecie. Kostek przypomniał sobie, co on pomyślał, gdy przez niedomknięte drzwi łazienki w wagonie ujrzał żuła siedzącego na sedesie. No właśnie, koncepcja mówiąca o wagonowym zabójcy właśnie upadała.

Ta kobieta również trwała w pozycji siedzącej. Na jednym z lusterek widać było smugę krwi. Wyżej wypisano nią litery i cyfry: II.3.B.48/22. Podpis zabójcy?

– Miała w torebce jakieś pieniądze? – zapytał Kostek.

– Nawet całkiem sporo, bo dwa i pół tysiąca. Do tego w kieszeni świeżutki kwit z biura oferującego chwilówki. To z niego wiemy, gdzie mieszka, bo nie z dowodu osobistego.

– Fakt.

– Poza tym gdyby został tylko kwit, a nie byłoby paragonów ze sklepów, wtedy byśmy ci dupy nie zawracali, Kostek. Ktoś idzie za nią, czeka na okazję, a kiedy ta się nadarza, zabija. Ale łup zostawia.

– Chyba że nie zdążył zabrać, bo ktoś go wypłoszył. Ktoś, kto nawet nie wiedział, co się stało. Jakaś kobieta, która myśli tylko o tym, że udało jej się capnąć zdobyc z wieszaka.

– Weź teraz szukaj pośród setek bab, które przymierzały kiecki – zachnął się Waldemar.

Podobnie jak wśród pasażerów w pociągu – pomyślał Kostek. To się nawet trzyma kupy. Zabójca jedzie po bandzie, bo zabija w miejscach publicznie dostępnych, a do tego tam, gdzie jest naprawdę tłoczno. Dużo ryzykuje. Ale potem, jak na ironię, mało kto może cokolwiek zauważyć...

– Wszystko słyszałam – za ich plecami rozległ się głos Kornelii.

– To dobrze, bo nie będę musiał powtarzać. – Kostek mrugnął okiem do młodej.

Banaś kazała sobie pokazać fotografie zamordowanej. Technik z niechętną miną sięgnął z powrotem do teczki po tablety.

– Dowiedziała się pani czegoś od tej dziewczyny ze sklepu? – chciał wiedzieć policjant ze Śródmieścia.

– Raz na jakiś czas chodzi po wszystkich przymierzalniach i zbiera rzeczy, których ludzie nie kupili i nie odwiesili z powrotem. Można to zrobić w korytarzyku przy wejściu, nie trzeba koniecznie wracać tam, skąd się rzecz zabrało. Mimo to wielu ludziom nie chce się nawet tego. Kotara nie była do końca zaciągnięta i przez szparę zobaczyła tamtą kobietę. Pomyślała, że zasłabła. Poinformowała menadżera i dopiero ten stwierdził, że mają trupa.

– O której to było? – zapytał Kostek.

– Przed trzecią po południu. O trzeciej miała ją zmienić koleżanka.

Podbiał potarł nerwowo czoło.

– Zapytałaś, czy widziała kogoś podejrzanego wcześniej? Jakiegoś mężczyznę?

– Niczego i nikogo podejrzanego nie widziała. Pewnie trzeba będzie nacisnąć jeszcze raz – dokończyła podkomisarz Banaś.

– Czyli tylko monitoring – podsumował Kostek.

– Zajmiemy się tym – powiedział policjant ze Śródmieścia. – Ty zabierz jej torebkę.

– Chętnie. Takiej jeszcze nie mam. Prócz tego kwitu z firmy pożyczkowej nie miała niczego w kieszeni?

– Nie.

Zanim wyszli, Podbiał sfotografował jeszcze wszystkie ślady na lustrze.

38

Kiedy kilkadziesiąt minut temu przecinali na wariata wschodnią nitkę Marszałkowskiej, było tam prawie pusto. Teraz zrobił się korek, jak to w stolicy. Być może przez to, co działo się kawałek dalej, czyli na Świętokrzyskiej. Kostek, bo to on usiadł tym razem za kierownicą, przez chwilę zastanawiał się, jak ugryźć temat powrotu do firmy. Najprościej byłoby oczywiście z hałasem i po torach. Podczas pracy w Warszawie już kilka razy mu się to zdarzyło.

A może przeczekać to w jakiejś przytulnej knajpce w centrum? – przeszło mu przez myśl. Jednak zapytał ją o coś zupełnie innego:

– Jak myślisz? To ten sam zwyroł?

– Nie wiem – odrzekła Banaś. – Najpierw kłoszard, który miał okazję przestać nim być, teraz jakaś babka. Motyw rabunkowy w obu przypadkach wykluczony. No i za każdym razem nóż w plecy.

– Taaa. A przy okazji, nasz dzielny aspirant się odezwał. Przejrzał monitoring z peronu czwartego, ale jedna kamera była uszkodzona, więc nic nowego nie mamy prócz filmu z telefonu grubasa. Zastanawia mnie ta dziwna kombinacja cyfr i liter. Trzeba będzie porównać z tymi w czapce. Jakoś mi się kojarzy z Biblią.

– Dlaczego?

– Numer konkretnej księgi i wersu. A cytat, jak go znajdziemy, wyjaśni nam, co nabroili zmarli. Pamiętasz, co zawsze mówił Samuel L. Jackson w Pulp Fiction, zanim wykonał wyrok?

– Nie. Ale u Ożoga powinno być coś o dzieciach i pieniądzech. Siódme: nie kradnij.

– Coś w tym guście.

– Czyli nasz seryjniak to religijny maniak.

– Czyli. Dam to Cecotowi, niech poszuka. Mam nadzieję, że chodził na religię.

Przez chwilę nic nie mówili.

– Tu przynajmniej będzie możliwość obejrzenia mieszkania zabitej – zauważyła Kornelia.

– Przy Ożogu teoretycznie też była. Nie mów „hop”, zanim cię nie wpuszczą do środka. Poza tym lepiej, żeby najpierw pofatygował się na Koło ktoś od Waldemara. Nigdy nie trafiła mi się rola anioła śmierci i mam nadzieję, że uda się tak do emerytury.

– W takim razie wracamy? – zapytała Kornelia.

Podbił uruchomił silnik. Chwilę trwało, zanim wjechał na jezdnię. Wystarczyło kilka ruchów i byłiby na torach. Tylko że tam również robiło się ciasno. Tramwaje to najszybszy środek transportu po metrze, ale gdy jeden skład stanie, sypie się cała konstrukcja.

Dlatego kilkanaście metrów dalej skręcił w ulicę Złotą. Znów przez chwilę jechali pod prąd, póki nie zrobił zawijasa. Dalej było skrzyżowanie z zakazem skrętu w lewo, więc trzeba było jechać prosto. Po prawej minęli nowoczesny szklany budynek stojący w miejscu, gdzie przed laty znajdował się bar z kebabem, w którym często Kostek jadał późnym wieczorem albo w nocy. Na „jedenastej” zaś zamajaczyła sylweta dawnego Domu Chłopa.

– No to, kurwa, dojechaliśmy – zaklął na widok mundurowego, który pojawił się jak spod ziemi; sięgnął po koguta, postawił go na dachu, ale nie zapalał. – Co się tam dzieje, sierżancie?

– Demonstracja na placu Powstańców – zameldował tamten, mimo że nie wciąż nie wiedział komu. – Wszystko pozamykane.

Przez otwarte okno poczuli charakterystyczną woń.

– Kocioł znaczy? – zapytał nadkomisarz.

– Staramy się przywrócić porządek.

Mistrz dyplomacji – pomyślał Kostek.

Kilkadziesiąt metrów na lewo ujrzeli kordon złożony z funkcjonariuszy w białych hełmach. „Białe kaski robią laski” – brzmiał internetowy slogan. Za nim zaś tłum, kołyszące się flagi i transparenty.

Naraz z tyłu dobiegło trąbienie. Widać ktoś też chciał być cwany i się naciął.

– Ucisz go, dobra? – polecił mundurowemu, bo po klaksonie przez otwarte okno usłyszeli także parę „kurew”, po czym wrzucił pierwszy bieg.

Planował jechać prosto, wąską uliczką Górskiego dostać się jakoś do Nowego Świata, a potem to już z górki. Chyba. Póki co jednak wciąż się oddalali od punktu, do którego mieli dotrzeć, ale chyba lepsze to niż stać w miejscu.

– Właściwie nawet o tym nie rozmawialiśmy i nie wiem, jakie jest twoje zdanie na ten temat, Kornelia – zagadnął.

– Jako oficer policji nie mam zdania – odpowiedziała sucho i bez namysłu.

– A jako kobieta?

– Domyśl się.

Po lewej mijali sznur radiowozów, które przywiozły policjantów na kolejną akcję. Ale nie tylko ich powiozą z powrotem, nie. Do jednego z nich właśnie pakowano zatrzymanych w kotle demonstrantów, tak kobiety, jak i mężczyzn. Banaś westchnęła ciężko i to była jej jedyna reakcja na to, co w tej chwili przyszło jej oglądać zza szyb służbowego samochodu. Na razie.

– Cholera, czy to nie jest czasem... – jęknął Kostek.

Nim dziewczyna zdążyła o cokolwiek zapytać, gwałtownie nacisnął na hamulec. Wyskoczył w samochodzie i w kilku krokach zbliżył się do niebiesko-srebrnego volkswagena craftera, w którym zniknął właśnie jakiś mężczyzna.

– Tomek?! – zawołał. – Tomasz Horn?!

– Proszę się oddalić! – warknął na niego sierżant w furazerce trzymający tylne drzwi, które za chwilę miał zatrzasnąć, bo więcej zatrzymanych nie było.

– Nie wkurwiał mnie! – Podbiał rozpiął zamek błyskawiczny kurtki. – I dawaj mi tu tego człowieka!

Wciąż nie miał wystarczającej pewności, że to jego znajomy, dziennikarz Tomasz Horn. Ale gdyby się nawet pomylił, było już przecież po zmroku, w dodatku dżdżyscie, a on zmęczony po robocie, to za dużo się wydarzyło, aby się teraz wycofać.

Na podłodze volkswagena zadudniły podeszwy butów i po chwili na progu stanął... Tak, to był on. Miał zapuchnięte oczy, bynajmniej nie ze wzruszenia, i zdziwioną wielce minę.

– Kostek? – rzucił nieśmiało.

To było jak hasło i odzew. Można było działać dalej.

– Zabieram tego człowieka – zdecydował nadkomisarz tonem nieznoszącym sprzeciwu. – To ważny świadek w sprawie, którą prowadzimy.

– Ale... – bąknął znów sierżant, tym razem jednak zabrzmiało to odrobinę pewniej.

– Co: ale? Jesteś głuchy czy tylko głupi? – Kostek z trudem panował nad nerwami. – Może mam ci go jeszcze, kurwa, pokwitować?

Banaś również wysiadła z samochodu. Otworzyła tylne drzwi, jednocześnie przez cały czas przypatrując się innemu policjantowi, który brał udział w akcji.

– Mówiłem im, że jestem tam służbowo – powiedział Horn, kiedy już wszyscy troje wreszcie znaleźli się w środku. – Pokazywałem legitymację prasową. Ale nic do nich nie docierało...

– Zaraz nam wszystko opowiesz – warknął Kostek, spojrzawszy we wsteczne lusterko; stał za nimi samochód, chyba nawet ten sam co przed chwilą, ale już cierpliwie i grzecznie.

Lawirując w ciasnych uliczkach, w większości i ku udręce nie tylko zamiejscowych kierowców, jednokierunkowych, ostatecznie dojechali z powrotem na Marszałkowską. Ot, sobie skrócili. Tym razem jednak można było mówić o szczęściu w nieszczęściu. Dlatego teraz Kostek postanowił wykorzystać uprawnienia pojazdu uprzywilejowanego: włączył syrenę i przebił się na torowisko tramwajowe, szczęśliwie puste. Dojechali nimi do Królewskiej, a następnie, zamiast walić prosto, skręcili w lewo w Grzybowską. Tutaj już było luźniej.

– Czuję się prawie jak „Rudy” uwolniony pod Arsenalem – powiedział Horn.

– Chyba aż tak mocno ci nie dołożyli na tym placu? – Policjant spojrział uważnie na przyjaciela we wstecznym lusterku; kolejnym krokiem mogło być porównanie polskich policjantów do SS-manów.

– Dlatego powiedziałem, że prawie.

Podbiał uświadomił sobie, że wtedy, podczas wojny, uwolniono wszystkich więźniów jadących z alei Szucha na Pawiak. A on teraz tylko jednego. A może Horn był tam z kimś? I ten ktoś jest w tej chwili więziony w budzie za Warszawę? I może to jakaś dziewczyna? Ale już było za późno, by cokolwiek zrobić. Zresztą Tomasz na pewno był się o tę osobę upomniał.

Siedząca obok kierowcy Kornelia odchyliła się i spojrzała na nieoczekiwanego pasażera. Uśmiechnęła się. Poznali się niedawno, ale gdyby spotkała go na ulicy, pewnie

miałaby problem z identyfikacją. A co jeszcze w takiej sytuacji jak przed paroma chwilami. Kostek wykonał dobrą robotę, zachował się jak przyjaciel, a Horn mógł mówić o szczęściu.

– Napisziesz teraz o tym, co się wydarzyło? – zapytała.

– Przecież po to tam poszedłem – odparł dziennikarz.

– Mam tylko nadzieję, że nie zepsuliśmy ci roboty.

– Nie rozumiem. Dlaczego tak mówisz?

– Bo to, co się działo dzisiaj na placu Powstańców Warszawy i dzieje się w wielu innych miejscach w stolicy, to przecież nie wszystko. Pewnie o tym wiesz. Może powinieneś jednak zostać w tej budzie, dać się wywieźć, może nawet wytrzymać kilka ciosów pałą, a wszystko po to, żeby zobaczyć, co się dzieje dalej z zatrzymanymi. I dopiero o tym napisać, co?

– Kornelia, o co ci chodzi? – zaniepokoił się Podbiał.

– Demonstrację wszyscy zobaczą w telewizji, w bardziej lub mniej zmanipulowanym newsie. Albo w internecie. Ale tego, co się dzieje na komisariatach, już nie...

– Kornelia!

– Spokojnie, kapitanie. A chodzi o to, czego się niedawno dowiedziałam od koleżanki z liceum, która chodzi na wszystkie demonstracje w obronie praw kobiet, odkąd się zaczęły. A raczej chodziła, bo teraz boi się wyjść z domu. A nawet ze swojego pokoju. Tak mocno ją przekonywano, żeby dała sobie spokój, że wreszcie to zrobiła. Co jednak nie oznacza, że się poddała. Dlatego pytam cię, Tomku, czy jesteś w stanie zaryzykować i napisać coś mocniejszego. Coś, o czym opowie ci tamta kobieta.

Horn zacisnęła wargi. Kiedy niedawno szukał pracy, ktoś uświadomił mu bolesną prawdę: że gryziopiórkiem może być dzisiaj każdy. Wystarczy, że ma komputer, telefon i połączenie z internetem. Papier już się nie liczy, zarówno jeśli chodzi o uprawnienia, jak i nośnik treści. Parę zdjęć zrobi, filmik nakręci, kogoś skrytykuje – i już dziennikarz! To chyba nawet po tych słowach Horn był gotów przyjąć ofertę pracy operatora wózka widłowego. I kto wie, jakby się to skończyło, gdyby nie inna robota, która mu wtedy wpadła.

– Jestem w stanie zaryzykować – odpowiedział wreszcie na pytanie.

– To super.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego mi o tym mówisz. To przecież twoi... wasi koledzy. Nosicie takie same mundury.

Kostek miał już tego dość. Zatrzymał samochód na zwolnionym właśnie miejscu w pobliżu Hali Mirowskiej. Do firmy mieli stąd może ze dwie minuty jazdy, ale on już wiedział, że pewnych spraw lepiej nie wwozić na strzeżony teren gmachu o mylącym adresie.

– Mam nadzieję, że tutaj też gdzieś jest jakaś fajna i niedroga knajpka – powiedział, wyciągając kluczyki ze stacyjki.

Zapisał w telefonie numery do prawniczek, które go reprezentowały. To było praktyczne i potrzebne, bo czasem trzeba coś na szybko załatwić, o czymś zdecydować. A potem, za każdym razem, kiedy na ekranie wyświetlało się nazwisko jednej czy drugiej pani mecenas, serce zaczynało mu bić szybciej. Bynajmniej nie dlatego, że za chwilę usłyszy w słuchawce miły głos i odbędzie miłą rozmowę. Miło już było. Dobrze już też było. I tanio.

Po wielu miesiącach szarpaniny, nie tylko z żoną, ale też z samym sobą, wreszcie podjął decyzję: zgodzi się i da jej rozwód. Miał już po prostu tego wszystkiego dość. Czuł się, jakby go ktoś rozjechał walcem drogowym. Kilka razy, choć pewnie po pierwszym już nic by nie czuł.

Zresztą jakby to wyglądało? Po tym wszystkim, co usłyszał na swój temat podczas rozpraw sądowych i przeczytał w dotyczących sprawy dokumentach, których zebrał się już cały segregator, po tych wszystkich ciosach, które otrzymał, miałby jeszcze zaufać tej kobiecie? Przebywać z nią w jednym pomieszczeniu, rozmawiać z nią, jeść posiłek czy po prostu położyć się w jednym łóżku? Nawet gdyby nagle zmieniła zdanie, wycofała pozew, on już sobie tego nie wyobrażał. Tak bywa tylko w filmach, melodramatach i komediach romantycznych. Kiedy wszystko wydaje się już skończone i dwoje ludzi, którzy się kiedyś kochali, idą już w dwóch przeciwnych kierunkach, jedno z nich, najczęściej to, któremu zawsze zależało mniej, nagle odwraca się i biegnie. Po chwili wpadają sobie w ramiona. Muzyka, napisy końcowe.

Miał nadzieję, że jeśli się zgodzi, to teraz wszystko potoczy się dalej po jego myśli.

– Pana żona nie wygląda na kogoś, kto chciałby w nieskończoność chodzić po sądach ani tym bardziej robić komuś krzywdę. Ona po prostu chciałaby się rozwieść – tłumaczyła mu jego prawniczka, niczym nauczycielka trudnemu wychowankowi.

– Problem w tym, że już zrobiła krzywdę. Mnie i naszemu dziecku – zauważył.

– Rozumiem.

Gównu rozumiesz – pomyślał wtedy.

Tak, na początku zastanawiał się, czy powinienem wziąć adwokata kobietę czy mężczyznę. Wtedy ktoś mu podpowiedział, a na dobre rady zawsze można liczyć, że powinien się zdecydować jednak na babkę. Tylko one potrafią być bezwzględne, tak na na sali sądowej, jak i podczas nieoficjalnych negocjacji w zaciszu gabinetów.

W rezultacie kiedy odwiedzał sąd, zawsze był jedynym facetem na sali. Sędzia, ławniczki, prawniczki, powódka i świadkowie, jej siostry. Niby nic takiego, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że cokolwiek by nie powiedział, nikt go nie wysłucha. Że nawet mocny dowód w sprawie, choćby zdjęcie żony leżącej z rozłożonymi nogami pod jakimś gołym fagasem, zostanie skwitowane wzruszeniem ramion. Oczywiście takiego zdjęcia nie było, bo i nie było takiej sytuacji. Chyba. Przecież „ona po prostu chciałaby się tylko rozwieść”...

Teraz na szczęście wszystko zmierzało ku końcowi. Pozostała tylko kwestia podziału majątku. Ech, jak żałował, że jednak nie postawił wtedy na swoim i nie zmusił żony do podpisania intercyzy. Nazwa nieładna, odstraszaająca, ale przecież tyle ułatwia! Taki pomysł w pewnej chwili się pojawił, ale gdy odmówiła, nie nalegał. Naprawdę myślał, ba!, był tego pewien, że miłość wystarczy i że to naprawdę będzie na zawsze. Naiwny, kurwa. Z drugiej strony sam niewiele przecież miał...

Kiedy strony wymieniły pierwsze dokumenty w tej sprawie, okazało się, że on może zostawić sobie mieszkanie wraz z większością wyposażenia i samochód. Ale musiał żonę spłacić.

– To są chyba jakieś żarty! – nie zapanował nad sobą podczas jednego ze spotkań z prawniczką. – Sam na to wszystko bardzo ciężko pracowałem. Harowałem po nocach i w weekendy, żeby im się dobrze żyło!

– Rozumiem.

Tym razem miał to na końcu języka. Tak, ona rozumie. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, kancelaria mieściła się w zaadaptowanym na cele biurowe mieszkaniu. Ładnie tam było, gustownie. Ale przecież może być jeszcze piękniej, jeszcze gustowniej. Się gra, się ma, jak to mówią. No i teraz siedzieli w nowiutkim, pachnącym i lśniącym nowością biurze, w nowiutkim biurówcu w ścisłym centrum Warszawy. I kto za to wszystko płacił? Klient!

– Żona żąda także połowy pańskich oszczędności. – Prawniczka zaszeleściła papierami. – Rozumiem, że mieli państwo oddzielne konta?

– Zgadza się – mruknął.

Zawsze dostawał gorączki, gdy słyszał, że facet musi oddawać pensję. Może kiedyś tak było, w robociarskich rodzinach, gdzie stara wydzielała kieszonkowe. Na jakieś piwko i papierosy, może gazetę. Ale gdy jego znajomi się pobierali, to też mieli wspólne pieniądze. Nieraz słyszał: „A jutro pójdziemy kupić Misiowi nowe buty na zimę. A pojutrze wybierzemy się poszukać dla Misia ładnej marynarki, bo ta stara to przecież jeszcze ze studniówki”.

– Skąd żona wiedziała, że ma pan taką kwotę na koncie? – zapytała pani mecenas.

– Znalazła w moich papierach dokument wpłaty – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Kiedy to było?

– Z rok temu. Jeszcze zanim się wyprowadziła z synem.

– No to przez ten czas mógł pan... przejeść te pieniądze. Nie ma czego dzielić.

Powoli podniósł głowę. A może nie będzie tak źle?

– Naprawdę?

– A dlaczego nie? Miał pan do tego prawo. Pozostaje kwestia podziału majątku ruchomego i nieruchomego. Niestety, tutaj niewiele da się zrobić. Mają państwo wspólnotę majątkową i zgodnie z literą prawa wszystko trzeba podzielić na pół, kolokwialnie mówiąc.

Tak, słyszał o przypadkach, kiedy ludzie cięli piłą nowe meble, bo nie potrafili się dogadać. Oczywiście potem taki stół już do wyrzucenia, chodziło bardziej o to, żeby pokazać tej drugiej stronie: ja nie będę miał, ale ty też nie. Problem w tym, że to on kupił wszystkie meble, sprzęt AGD i RTV. Długo na to wszystko oszczędzał, jeszcze zanim poznał żonę. A kiedy wydawał pieniądze, robił to z niekłamaną radością. Nie było żadnego szczypania. Kto mógł wiedzieć, kurwa, że po paru latach będzie musiał zapłacić za to wszystko jeszcze raz?

Czy da radę? Czy to haracz, który trzeba zapłacić za święty spokój? I przy okazji za wolność, choć przecież wcale jej nie chciał...

– A co z mieszkaniem? – zapytał.

– Państwo mieszkali w lokalu komunalnym, prawda?

Przytaknął. Nie był to powód do dumy, umówmy się. Określenie kojarzyło się jednoznacznie. Ale byli na dorobku i lepsze to niż wynajmować od złodziei. Albo zaciągnąć kredyt do końca życia u innych złodziei, takich w białych rękawiczkach, a jeszcze, nie daj Boże, kredyt we frankach szwajcarskich. A mieszkanie było zadbane i kto wie, może kiedyś kupiliby coś własnego, większego. Może nawet dom zbudowali?

– Mam nadzieję, że nie będę musiał nic oddawać? – zapytał. – Ewentualnie czynsz, który żona zapłaciła przez te lata. Dobrze myślę?

– Niestety, sprawa jest dużo bardziej skomplikowana.

NIEBEZPIECZNIE MGLIŚCIE

39

– Uwważaj na „przecinaka”! – ostrzegła Kornelia, gdy szykował się do skrętu w lewo, z Obozowej w ulicę Ciołka.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek tramwaju. Wóz przejechał pół metra od radiowozu. Kostek wzdrygnął się, zacisnął powieki, by zaraz podnieść brwi.

– Dzięki – mruknął. – Może napijemy się kawy na miejscu.

Wcześniej jakoś nie starczyło czasu. Oboje siedzieli wczoraj do późna w mieszkaniu na Rudnickiego i rozmawiali. W konsekwencji spali dłużej, niż mieli w zwyczaju. Na szczęście nie musieli meldować się w Pałacu Mostowskich, bo radiowóz tym razem zostawili pod domem. Wystarczyło zjechać windą albo zejść schodami i już właściwie byli w robocie.

Nadkomisarz Podbiał rzadko bywał na warszawskim Kole. Kiedyś pojechali tam z żoną na targ staroci. Rawska szukała jakiegoś gustownego drobiazgu dla kogoś, kto właśnie kupił nowe mieszkanie, a może to miał być tylko prezent na urodziny.

Ale chyba nic wtedy nie kupili. Spotkali się za to przypadkiem i długo gadali z inną małżeńską parą, znajomymi Kaśki. Ona była aktorką, on aktorem, ale odnosił coraz większe sukcesy także jako reżyser filmowy. Też szukali fajnych staroci do swojego nowego domu za miastem, co jednak łatwe nie było, bo musieli przepychać się między stoiskami z dużym wózkiem, w którym spała ich córeczka. A kilka lat później aktorka sama została potraktowana jak ten staroć. I raczej niezbyt cenny, bo mąż wymienił ją na młodszego model.

Minęli miejsce, gdzie w weekendowe dni rozkładali swoje kramy handlarze i po chwili dotarli do skrzyżowania z ulicą Brożka. Skręcili w lewo i zaparkowali w wygodnej zatoczce. Dochodziła dziewiąta rano. To właśnie o tej godzinie umówili się z kimś z miejscowych. W krótkim tunelu od strony głównej ulicy, gdzie znajdowało się wejście do klatki schodowej, stał słusznej postury facet w skórzanej kurtce.

– Dzień dobry. Starszy aspirant Adam Korda – przestawił się, ale to jeszcze nie znaczyło, że zostali prawidłowo zidentyfikowani: mógł ich wziąć za podejrzanych, a za chwilę w obroty.

– Dzień dobry – odpowiedziała Kornelia.

– Byliśmy umówieni. Koledzy ze Śródmieścia przekazali mi klucze od mieszkania zmarłej, Wiśniak Grażyny – personalia przeczytał z notatnika.

– Cześć, Kostek Podbiał – przywitał się i przedstawił nadkomisarz.

Bywał często w Czwórcie, czyli komendzie rejonowej przy ulicy Żytnej, raz nawet z Kornelią, którą wzięto za jego dziewczynę, a w dodatku... aktorkę. Wkurzyła się wtedy porządnie, nie ma co. To było na samym początku, pracowali razem zaledwie kilka dni. Ale tego chłopaka akurat nie kojarzył.

– Znasz ją? – zapytał, by znów nie było niedomówień: – Tę Wiśniak znaczy, czy znałeś?

– Nie. To raczej nie patologia. Chyba mieszkała sama. Jeszcze wczoraj wieczorem chcieliśmy powiadomić rodzinę, ale nie było kogo.

– Sprawdźmy zatem.

Korda podrzucił w rękę pęk kluczy. Chyba nie za bardzo był w temacie, ale to nic. Ważne, że oni byli. Oby teraz dowiedzieli się czegoś więcej.

Weszli na pierwsze piętro. Aspirant zerwał pieczęcie kluczem, by następnie wsunąć go do zamka. W tym samym czasie stuknęły drzwi mieszkania naprzeciwko. Najwyraźniej czujni sąsiedzi byli na miejscu, co na pewno dalece ułatwi im robotę.

Mieszkanie składało się z całkiem sporego pokoju z oknami wychodzącymi na krzyżujące się ulice oraz balkonem na tę węższą, czyli Brożka. Kuchnia była widna, łazienka z nową glazurą, wanną i z piecykiem gazowym, przedpokój. Mebłocianka na wysoki połysk typowa dla lat siedemdziesiątych, na niej jakieś bibeloty: wazoniki, kryształ, figurki, ale też, co ważne, fotografie w stojących ramkach. Niektóre z nich były tak kiczowate, że aż bolało patrzeć. Ważniejsze jednak były zdjęcia.

– Ładna kobieta była – oceniła Kornelia.

– Już wcześniej to zauważyłem – powiedział Podbiał, po czym spojrzął na wersalkę i dodał: – Szkoda, że meble nie mogą mówić. Pewnie co nieco by nam wyjaśniły.

Ale i zdjęcia miały tę moc. Nietrudno było uszeregować je w porządku chronologicznym. Na początku fotografie czarno-białe, następnie pierwsze barwne, w klimacie ORWO, mocno już wyblakłe, wreszcie takie, które robiło się aparatem cyfrowym, a nawet smartfonem, by następnie odebrać je w postaci papierowej choćby w jednej z sieciowych drogerii.

Ze wszystkich tych zdjęć wynikało jasno, że Grażyna Wiśniak bardzo lubiła męskie towarzystwo. Ona z fotografii na fotografię była coraz starsza, choć nie były to jakieś gwałtowne zmiany, natomiast mężczyźni, których uwieczniono obok, byli mniej w więcej w tym samym wieku, to znaczy w kwiecie wieku. Kostkowi skojarzyło się to z jakimś filmem.

– Wygląda na to, że denatka nie miała dzieci – stwierdziła podkomisarz Banaś.

– Bo pierwszą połowę życia zawsze kradną nam rodzice, a drugą dzieci – skwitowała Kostek. – A nasza pani Grażyna najwyraźniej nie chciała sobie dać odebrać drugiej połowy. A może nawet cieszyła się z pierwszej, bo była z bidula? Trzeba się będzie tego dowiedzieć.

– A potem może jeszcze sprawdzić tych Don Juanów? – przeraziła się dziewczyna.

– Może nie będzie tak źle, bo połowa z nich pewnie już dawno bżyka się z anielicami. – Zaśmiał się Podbiał, podczas gdy Kornelia z obawą spojrzała na aspiranta Kordę. – Ale kto wie – ciągnął oficer – może jest wśród nich morderca? Odtrącony adorator, a może wierzyciel.

– Wierzyciel zabrałaby w sklepie pieniądze.

– Też prawda. Może to ten żołnierz? – Pstryknął paznokciem w szybkę chroniącą czarno-białe nieduże zdjęcie, na którym młodzianka Wiśniakówna (jeśli to było jej panięskie nazwisko, co też było na liście spraw do zbadania) przytuliła się do wąsatego kaprała w czapce z jasnym, najpewniej w rzeczywistości żółtym otokiem kościuszkowca. Wiedział jednak już teraz, że nie pobiegnie z jego zdjęciem do kapitana Piotra Ducha.

– Proszę zlecić skopiowanie wszystkich tych fotografii, aspirancie – powiedział do Adama Kordy.

– Zrobi się – odpowiedział ten, ale już z przedpokoju.

Następnie pochylił się nad stołem. Była na nim szklanka z resztą herbaty i nadgryzionym herbatnikiem, być może ostatni posiłek kobiety zamordowanej w sklepowej przymierzalni. Obok, wśród ulotek i gazetek hipermarketów, wciskanych nagminnie do skrzynek pocztowych przez roznosicieli, ale też listonoszy, leżała reklama firmy oferującej chwilówki „na korzystny procent”, ale wiadomo dla kogo korzystny.

– A może pani Grażynka brała pieniądze i nie oddawała? – zastanawiał się głośno Kostek. – Sąsiadka dostała trzynastą emeryturę, koleżanka ma trzy razy „pincet plus”, to dlaczego ja mam być gorsza? Nie doczytała albo było małym drukiem, że za trzecie z rządu spóźnienie odwiedzi ją Ponury Żniwiarz.

– Trzeba będzie odwiedzić firmę, w której się zapożyczyła, no ale to już wiemy od wczoraj – mruknęła Banaś, po czym spojrzała z przerażeniem na stolik. – A może nawet będziemy musieli odwiedzić te wszystkie...

– Czyżby pani podkomisarz migąła się od pracy? – zapytał Kostek z udawaną przyganą, ale ona puściła uwagę mimo uszu.

Czego można się dowiedzieć o człowieku, oglądając mieszkanie pod jego nieobecność? Poza tym, czy miał zamiłowanie do porządku, czy niekoniecznie? Wszystkiego i niczego. Gdyby wśród papierów na stole znaleźli list, anonim z pogrózkami, wiedzieliby przynajmniej, że denatce było z kimś nie po drodze.

– A co to? – Kornelia wskazała na niewielką karteczkę w kratkę, na której wypisany był rząd cyfr.

– Szczęśliwe numerki w lotto, zawsze te same od wielu lat. Albo telefon. Jeśli jest ich dziewięć, to to drugie.

Jeszcze niedawno można było bardzo łatwo odróżnić numer telefonu od przypadkowego ciągu cyfr. Podbiał kojarzył kierunkowe do większości województw w Polsce. Dziś jednak telefony stacjonarne, przynajmniej te domowe, znikają, wypierane przez urządzenia mobilne. Na samym początku także i te były łatwe do odróżnienia, dzisiaj jest tego tyle, że trudno się połapać.

– Zadzwonimy, ale może dopiero z firmy. – Kostek sprawnie umieścił karteluszek w foliowej torebce.

Zajrzeli do kuchni. W zlewie nie było niepozmywanych naczyń, ale na szafce stał kieliszek do wina, z czerwonym osadem na dnie. Nadkomisarz otworzył lodówkę. W przegródce w drzwiach stała napoczęta butelka. Taką samą, ale już pustą, znaleźli w koszu na śmieci.

Wrócił Korda. Podczas gdy oni rozglądali się po mieszkaniu, porozmawiał z osobą z naprzeciwka, która widziała ich, jak wchodzili do środka.

– Sąsiadka przed osiemdziesiątką – powiedział. – Okazuje się, że Wiśniak mieszkała tutaj dopiero od jakichś dwóch, trzech lat. Chyba nie ze wszystkimi była jeszcze na „dzień dobry”.

– Ale jak znam życie, to babcia sąsiadka wie, czy ktoś ją odwiedzał – powiedział Kostek.

– Owszem, widziała tu kilku mężczyzn. Czasami było głośno, bo pewnie towarzystwo sobie popiło.

– A mówiłeś, że to nie żadna patologia...

– Bo oficjalnych skarg nie było. – Korda wzruszył ramionami.

Rozejrzeli się jeszcze raz po mieszkaniu, jakby byli klientami biura nieruchomości, którzy zastanawiają się nad kupnem. Pewnie już wkrótce ktoś taki zacznie się w tym miejscu pojawiać, jeśli oczywiście znajdą się spadkobiercy. To chyba będzie łatwiejsze do ustalenia niż w przypadku Wojciecha Ożoga.

40

– Gdzie wy się podziewacie, do kurwy nędzy?! – usłyszeli Podbiał i Banaś od Kontry, gdy około jedenastej pojawili się w firmie.

– Czołem, Krzysiu. Też się cieszę, że cię widzę – rzekł na to Kostek.

– Choć raz przestałbyś żartować. Prokuratura truje mi dupę od samego rana.

Wydawało się, jakby podinspektor chciał wyjść im naprzeciw, a może to był tylko przypadek. Ale fakt, było już dawno po odprawie. Czasami Kostek czuł się, jakby znów znalazł się w szkole podstawowej. Zasnął rano, nie wstał na czas i w rezultacie nie zdążył na pierwszą lekcję, a może nawet na dwie. W konsekwencji coś ważnego go ominęło. Coś bardzo ważnego. Może nawet był bohaterem dyskusji, do tego niekoniecznie pozytywnym. Odbył się nad nim sąd, ktoś rzucał kolejne oskarżenia, ktoś inny nagle coś sobie na jego temat przypominał, no co za dziwny zbieg okoliczności! A on nie mógł się nawet bronić...

A przecież jeszcze była sprawa oskarżenia o pobicie tego włamywacza na Mokotowie. Nie to, że o tym zapomniał. Po prostu skutecznie wypierał temat ze świadomości. Sprawa, którą prowadził, z różnym skutkiem i w dość nierównym tempie, bardzo temu sprzyjała. A może to chodzi o wczorajsze odbicie z transportu Tomasza Horna?

– Mamy zabójstwo podobne do tego z Dworca Wschodniego – odpowiedział ze spokojem Kostek. – Wczoraj w jednym ze sklepów na Ścianie Wschodniej.

– Wiem o tym – warknął przełożony. – Mam tylko nadzieję, że możecie się czymś pochwalić.

– To Cecot ci nie przekazał?

– Mów, co masz.

– Naprawdę kogoś interesuje, że ktoś załatwił bezdomnego?

– Wyobraź sobie, że tak. Weźcie się do roboty. Poza tym byłem wczoraj znów w szpitalu u Andrzeja i powiedziałem mu, że złapaliście trop.

– No i nie skłamałeś. Poznaliśmy na Wólce Węglowej żywego zięcia denata i przy okazji wzruszającą rodzinną historię. Już cieszymy się na kolejne spotkanie.

– Raport do końca dnia na moim biurku – fuknął Krzysztof Kontra.

Kilka chwil później otworzyli drzwi do pokoju.

– Ale oczywiście nie ma to nic wspólnego z tym, co dzieje się na ulicach... – mruknął dopiero teraz Podbiał, spojrzawszy za okno.

Nie zdążyli na dobre usiąść, nie mówiąc już o przygotowaniu czegoś do picia, gdy przyszedł Marek Cecot z płytką CD w pudełku.

– Zapis monitoringu ze sklepu? – rzucił od niechcenia Kostek.

– Przyszło przed chwilą – potwierdził aspirant.

Chwilę później byli w pracowni informatyków. Mimo że tym razem Dziuba nie siedział sam, Kostek skierował kroki od razu do niego.

– Co ciekawego? Filmik z wesela? – zapytał technik.

– Prawie. – Podbiał nie miał zamiaru żartować.

Przekazał płytę i pokrótce opowiedział o tym, co się wydarzyło w przymierzalni sklepu przy Marszałkowskiej. Po chwili na monitorze komputera pojawił się korytarzyk z amfiladą kotar po lewej stronie. Wpatrywali się w czarno-biały, a może raczej szaroszary film, na którym pojawiały się, to znów znikwały ludzkie postacie. W przeważającej większości były to kobiety. I za chwilę jedna z nich miała zniknąć na zawsze. Zegar w górnym rogu ekranu bezlitośnie odmierzał ostatnie minuty jej życia.

Gdyby człowiek mógł jakimś cudownym sposobem spojrzeć chociaż raz na taki czasomierz – przeszło przez myśl Kornelii. I zaraz aż się wzdrygnęła od tego. Nie, nie, lepiej nie wiedzieć, ile czasu jeszcze zostało...

– Kogo szukamy? – dopiero teraz zapytał informatyk.

– Zabójcy, a kogo! Być może kogoś bardzo podobnego do tego klienta z peronu Dworca Wschodniego – odpowiedział Kostek, a potem przeniósł spojrzenie na Cecota. – Sokiści mają jeszcze sraczkę?

– I to jaką! – potwierdził nowy.

– Albo był to żarcik, bo te z podłożoną bombą są już niemodne, albo list wysłał rzeczywiście nasz znajomy, ale po to, by odwrócić uwagę. A właśnie, jak wrócimy do pokoju, dostaniesz łamigłówkę do rozwiązania.

– To nie ona? – zapytała Kornelia.

Na ekranie ujrzeli kobietę.

– Nie mam pojęcia, kochani moi – rzekł ze spokojem Zbyszek. – Ale mogę zatrzymać i cofnąć. A potem jeszcze raz i do bólu. Jak oczepiny.

Tak zrobił. Niewyraźna postać zniknęła z kadru. Gdy ponownie ją ujrzeli, Kornelia dostrzegła charakterystyczny jaśniejszy pasek przy krawędzi spódnicy, którą miała na sobie zmarła. Tutaj ciemnoszara, naprawdę była brązowa, długa do połowy łydki. Z jakiegoś powodu zapamiętała ten szczegół garderoby.

– Tak, to ona – powiedziała cicho.

Grażyna Wiśniak przeszła wzdłuż rzędu kotar, ale wszystkie przymierzalnie były zajęte. Tamta ekspedientka wcale nie musiała tego pilnować, mimo że tak jest w innych

dużych sklepach. Nawet numerki dają.

Po chwili z jednego z boksów wyszła jakaś kobieta. Wiśniak szybko wśliznęła się do środka. Kiedy w korytarzyku pojawiła się kolejna osoba, Podbiał wstrzymał oddech, a Kornelia przygryzła wargę. Weszła jednak do przymierzalni, jednej z ostatnich. Podobnie jak kolejna.

– Cholera... – powiedziała cicho Banaś

– Mam zatrzymać? – zapytał Dziuba.

– Nie.

– To może przyspieszyć?

Oficerowie spojrzeli na siebie. Tak, cierpliwość na pewno nie była ich najmocniejszą stroną. Zegar na ekranie wskazywał godzinę 14:38.

Kostek potarł zmęczone oczy. Nie było jeszcze południa, a on miał już dość tego dnia. Wszystko przez tę pogodę. Październik wreszcie był październikiem, skończyło się udawanie i taryfa ulgowa dla mieszkańców tej szerokości geograficznej. Celebryci mogli spokojnie zacząć bukować bilety na Zanzibar czy gdzie tam ostatnio było modnie się pokazać. Pewnie jego była również się wybierze, tam albo w podobne miejsce, mimo że jeszcze nie tak dawno biadolila, jak to jej dał finansowo w kość niedawny czas izolacji, zamknięcie planów zdjęciowych i teatrów.

– Jest! – Na ziemię, tę ziemię, ściągnął go krzyk Kornelii.

Nie od razu jednak spojrzął na monitor, jakby chciał się psychicznie przygotować na tę chwilę. Powoli przeciągnął dłońią po twarzy.

– Pewnie ma maseczkę ma gębie? – zgadywał. – Kiedy nie trzeba, to wszyscy akurat stosują się do przepisów.

– Nie – odpowiedziała Kornelia, by po chwili jęknąć: – Wszedł do przymierzalni...

Nadkomisarz był spokojny, mimo że oglądali scenę morderstwa, której nie wyreżyserował Tarantino czy nawet Patryk Vega. Zrobił to sam los. Nieprzewidywalny twórca. Nawet duble będą niepotrzebne. Ale oni nie zobaczą, jak to wyglądało. Niestety, a może dobrze. Chyba że Grażyna Wiśniak, tak jak tamten facet na peronie Wschodniej, miała włączone nagrywanie wideo w swoim telefonie. Na przykład po to, żeby obejrzieć się w domu na spokojnie w nowej sukience, zanim podejmie decyzję o kupnie za pożyczone pieniądze. Tak, muszą jeszcze dostać się do tego telefonu.

– Zatrzymaj i cofnij – polecił sucho technikowi.

Morderca zamarł w stopklatce, potem zaczął się cofać, na przyspieszonych obrotach, co wyglądało nawet zabawnie. W czasach początków niemego kina cała sala zrywałaby boki ze śmiechu. Zniknął z kadru, tak jak kilka chwil wcześniej zniknęła jego przyszła ofiara. Po chwili, tak samo rakiem, po korytarzu szły dwie kobiety.

– Start!

Kostek analizował w myślach sytuację. Pani A wyszła z boksu sąsiadującego z tym, w którym przebierała się Grażyna Wiśniak. Pani B z boks bliższego wyjścia. Minęły się z zabójcą jeszcze w korytarzyku albo już na sali sprzedażowej. Mężczyzna wypatrywał okazji, kiedy w przymierzalniach będzie mniej ludzi. Jest świrem, jedzie po bandzie, ale nie aż takim świrem, jak się nadkomisarzowi początkowo wydawało. Chce jeszcze pozbawić życia parę osób, zanim się pętla zaciśnie.

Jest zabójca. Idzie. Kieruje się od razu w miejsce, gdzie znajduje się jego cel. Znika za kotarą. Po chwili jej materiał zaczyna się poruszać. Trwa to kilka, może kilkanaście sekund. Nikt nie słyszy krzyku mordowanej kobiety, bo pewnie napastnik szybko i skutecznie zatkał jej usta. A może uspił jakimś środkiem. Kiedy będzie raport z sekcji zwłok?

– Kurwa... – znów się wyrwało Kornelii, ale tym razem porządnie.

Starszy aspirant Zbigniew Dziuba zatrzymał film i teraz czekał przezornie z ponownym uruchomieniem projekcji. Na ekranie zastygła męska postać, widzieli ją bardzo dobrze. Zabójca. Zabójca chwilę po tym, jak uderzył.

– Kurwa – powtórzył Podbiał.

– To już mamy ustalone – zachnął się technik. – Co mam dalej robić?

– Powiększyć.

– Przecież wiecie, że... – Gdyby miał wolne ręce, zapewne jedną z nich by teraz machnął z rezygnacją.

Stało się jednak tak, jak chcieli. Po raz kolejny spojrzeli na siebie, po raz kolejny, a jednak inaczej. Bo chyba jeszcze czegoś takiego nie przerabiali. Na ekranie, wypisz wymaluj, prezentował się poszukiwany przez nich zabójca.

Był to Jacek Kędzierzawski we własnej osobie...

41

Jak już wspominaliśmy, byli w stołecznym garnizonie policji tacy, którzy znali wszystkich, bo na tym polegała ich praca. Że niewdzięczna, nie trzeba dodawać. Niby jesteśmy kolegami, kroczyliśmy ramię w ramię, by słowem złożonej przed laty przysięgi wierności dochować, ale przecież życie jest życiem. I każdy ma swoje za uszami.

A to towar zarekwirowany przestępcom i składowany w magazynie gnije. Gnije i jednocześnie kusi, bo przecież tyle dobra się marnuje i aż strach pomyśleć, ile by się za to dostało na wolnym rynku. A to lepiej, żeby złapany na jeździe po kielichu kierowca dał od razu do ręki temu, co złapał. Takie wyróżnienie za wzorową służbę, tylko bez pośredników. A nie kazać mu dymać na pocztę, robić przelewy, a efekt tego taki, że wszystko i tak idzie na biurokrację. Na jedne wyskoki ludzi w mundurach można było przymknąć oko. Potem podnieść powiekę i zacisnąć raz jeszcze. Na inne nie.

Biuro Spraw Wewnętrznych policji mieściło się w budynku Komendy Głównej przy Puławskiej. W jednym z pokoi tego dnia praktycznie od rana urywały się telefony.

– Rozumiem. – Mężczyzna w tandetnej koszuli mocniej przycisnął ramieniem telefon do ucha i zanotował coś na kartce. – Tak, trzeba to koniecznie sprawdzić. To przecież niedopuszczalne w państwie prawa. Miejcie oczy i uszy otwarte, komisarzu. Oczywiście, pełna dyskrecja. Jak zawsze najpierw poczekam na oficjalny raport w tej sprawie. Cześć.

Podinspektor Kwiatek odłożył słuchawkę na miejsce, coś jeszcze sobie zapisał. Chwilę później otworzyły się drzwi i do środka wszedł mężczyzna, również w cywilu.

– Co dobrego? – rzucił lekkim tonem nadkomisarz Kręcki.

– A nic. Nasza prewencja to jednak mięksizony są, kurwa. Nawet z babami na ulicy nie mogą sobie dać rady. Wczoraj znów dwóch smarkaczy rzuciło tarczami o chodnik. Dobrze, że nie usiedli na krawężniku i nie zaczęli płakać. Kto ich w ogóle poprzyjmował do roboty?!

– Może zobaczyli w tłumie swoją siostrę? Albo dziewczynę?

– Jeśli tę samą dziewczynę, to potrafiłbym ich zrozumieć. Człowiekowi wszystkiego by się odechciało w takiej chwili. Chociaż są tacy, co lubią takie konstelacje. Chyba nawet była kiedyś o tym piosenka... – chwilę coś nucił pod nosem.

Kwiatek tylko pokręcił głową, gotów w każdej chwili zatkać sobie uszy. Usiadł przy swoim biurku, wyciągnął z szafki butelkę wody i pociągnął kilka łyków. Ledwo ją zakręcił, zadzwonił telefon na biurku. Odebrał, jak to było w zwyczaju, dopiero po pięciu sygnałach.

– Słucham – rzucił do sitka niezbyt przyjaźnie, a do tego nie przedstawił się, co również nie dziwiło. – Tak, słucham.

I słuchał. Pewnie o kolejnych podejrzeniach, domniemaniach, a może już twardych dowodach w sprawie, tak że tylko dzwonić po antyterrorystów, bo przecież musi być z fasonem, a jednocześnie odstraszać dla wszystkich tych, co ich ręce świerzbią.

– Rozumiem. Zanotowałem – skłamał, pewnie nie po raz ostatni tego dnia. – Najlepiej zacząć od napisania raportu, żebyśmy tu mieli jakąś podkładkę, tak? Ostrożności nigdy za wiele, obaj doskonale to wiemy. Na razie.

Rozłączył się. Przez dłuższą chwilę gapił się w białą ścianę przed sobą, jakby jeszcze rozważał, nie był do końca pewny, czy warto dzielić się tym, co usłyszał. Bo donosić na kolegę, tak jak pić, „też trzeba umieć”. To prawda znana od pokoleń.

– Co dobrego? – Kręcki zrewanżował się takim samym pytaniem.

– Na razie nic wartego uwagi. Powiedz mi lepiej, jak się sprawuje nasz nowy nabytek. Kiedy będziemy coś mieli?

42

Podbiał krążył po pokoju z rękami splecionymi za plecami. Tak musiał wyglądać cesarz Napoleon przed kolejną bitwą. Albo każdy inny wódz, który niepokoił się tym, co się wydarzy nazajutrz, a na dodatek miał złe przeczucia. Tutaj już się wydarzyło, wczoraj.

– Ale jakim sposobem?! – zawołał.

– Uspokój się – mruknął podinspektor Kontra, siedzący w swoim ulubionym miejscu, czyli na nieużytkowanym akurat przez nikogo biurku.

Z kolei Banaś siedziała sztywno za swoim. Wyglądała jak wzorowa uczennica, której nie obchodzi w tej chwili nic poza tym, co ma do powiedzenia nauczyciel. Tylko który z panów nim był? Ten spokojny, łysy, czy ten nerwowy, którego pierwszy przywołuje do porządku? No, może jeszcze do tego daleko. Byli kolegami i jak koledzy rozmawiali. Dzielili się problemem, który się pojawił. O nieporozumieniu sprzed kilkudziesięciu minut znaku nie było.

Problem nazywał się Jacek Kędzierzawski. Rozmawiali z nim dokładnie w tym miejscu, niemal równo 24 godziny temu. A tymczasem okazało się, że facet był gdzie

indziej i zabił kobietę. Czary jakieś, nie ma innego wytłumaczenia. Cuda i objawienia!

– Przede wszystkim trzeba jechać do tego Kędzierzawskiego – powiedział Kontra.

– Sami czy już ze wsparciem? – Kostek spojrział na szefa, a potem po raz nie wiadomo który na wydruk, który tradycyjnie dał im na odchodne Dziuba.

Tym razem chyba musiał mieć ich serdecznie dość, bo zanim puścił najlepszy kadr na drukarkę, wiele razy cofał film i puszczał z powrotem niczym reżyser perfekcjonista. A morderca zabijał i jakby nigdy nic, niezatrzymywany przez nikogo odchodził, zabijał i odchodził.

– Dobra, bajki odłóżmy na bok. – Kontra zgramolił się z biurka. – Facet był w tym momencie tutaj z wami i to nie podlega kwestii. Morderca zrobił bardzo wiele, abyśmy myśleli, że to Kędzierzawski zamordował Grażynę Wiśniak. Dlaczego? Wtedy byłoby jasne, że to także on załatwił Ożoga.

– A sprawa rodzinna przestałaby nią być – zauważył Podbiał; był już spokojniejszy. – Zabójca nie maskował się, choć przecież mógł, a nawet powinien.

– Poza tym film jest kiepskiej jakości, a on o tym wiedział – wtrącił swoje trzy grosze Marek Cecot. – Takie same okulary, modna broda, ale na pewno przyklejona, podobna fryzura. I masz Kędzierzawskiego jak z obrazka. Ale gdybyśmy mieli HD czy coś jeszcze lepszego, na pewno doszukalibyśmy się wielu różnic.

– Na to wygląda. – Kostek podrapał się po potylicy. – Zabójca chciał być cwany, ale nie mógł przypuszczać, że my poznamy Jacka chwilę wcześniej. A na dodatek mamy mu doskonałe alibi. Gdybyśmy nie porozmawiali z nim u nas w firmie, facet najprawdopodobniej już by tu siedział, tyle że kilka pięter niżej. Ani ja, ani ty – spojrzął na Kornelię – nie mielibyśmy najmniejszych wątpliwości, że to on zabił kobietę w przymierzalni.

– Tylko po co? – zapytała Kornelia.

Do pokoju wszedł jeden z członków cyberkomanda, jak to Kostek niedawno nazwał miejscowych informatyków.

– Rozpracowaliśmy telefon denatki – zameldował najstarszemu stopniem.

Podinspektor podziękował, odebrał aparat, który zaraz podał Kostkowi. Ten wyjął z szuflady karteczkę, którą kilka godzin wcześniej zabezpieczył w mieszkaniu przy Brożka. Przez kilka chwil naciskał klawisze, było to bowiem urządzenie, mówiąc delikatnie, nie najnowsze.

Rozległ się sygnał telefonu, ale na szczęście (a może szkoda, cholera; już byliby do przodu kilka informacji) nie tego, który nadkomisarz trzymał w rękach. Kontra chwycił się gwałtownie za bok, jakby raniła go tam kula albo ostrze noża (żeby być dalej w temacie). Przeprosił i wyszedł z pomieszczenia.

– Bateria na wykończeniu – stwierdził Kostek, kiedy zostali sami. – Ciekawe, czy ktoś ma tutaj jeszcze taką zabytkową ładowarkę.

– Pod tym adresem jest jeszcze wiele zabytków, także żywych – skwitowała dziewczyna, by zaraz zapytać: – I co? Dzwoniła na ten numer?

– Dzwoniła – odpowiedział Podbiał, nie odrywając wzroku od niewielkiego, ale na szczęście kolorowego wyświetlacza. – I do niej też z niego dzwoniciono. Nawet wczoraj. Dwunasta dwadzieścia osiem. Na kilka godzin przed śmiercią, ale też przed wzięciem

chwilówki. W historii połączeń to jeden z niewielu numerów, w dodatku nieopisany. Jakich numerów najczęściej nie opisujesz, Kornelia?

– Takich, o których wiem, że raczej mi się nie przydadzą.

– Facetów po pierwszej nocy?

– Nawet po trzech nocach – odpowiedziała z kamienną twarzą.

– Ja też nie zapisuję takich, które mi się nie przydadzą. – Podbiał, chrząknął, by zamaskować zakłopotanie, w które go wprawiała, po czym znów wbił spojrzenie w ekran. – Jest za to jakiś Robert. Posłuchaj SMS-ów: „Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj, chamie jeden. Obyś zdechł, ty i ta twoja wywłoka!”. Koniec cytatu.

Wiele lat przepracował w tym zawodzie, ale nadal czuł się trochę dziwnie, kiedy przychodziło mu czytać czyjeś listy. I nie pomagało tłumaczenie samemu sobie, że to wszystko odbywa się zgodnie z prawem, dla dobra sprawy i że wyższa konieczność. A jeszcze gorzej było, kiedy czytał na głos. Mógł to robić ze śmiertelną powagą, ale co z tego, skoro i tak sam wyczuwał we własnym głosie to, czego nie powinno tam być: sarkazm i kpinę.

– To najpierw zadzwonimy na numer z karteczki czy do pana Roberta, „chama jednego”? – chciał wiedzieć Marek.

– Właśnie się na tym zastanawiam. – Kostek znów przez chwilę dotykał palcami klawiszy. – Wiecie, że tym telefonem można robić zdjęcia?

Zupełnie jakby odwlekał tę chwilę. Ale tak, zdjęcia też przecież mogły wiele pomóc. Pokazał jedno. Było niewielkie, wielkości znaczka pocztowego. Sam takie robił, gdy przed paroma laty był posiadaczem podobnego urządzenia. Każdy się wtedy cieszył, że nie trzeba nosić ze sobą aparatu fotograficznego, żeby uwiecznić jakąś ważną chwilę.

Tutaj Grażyna Wiśniak przytulała się na nim do wusacza, być może swojego równolatka. Chyba był na fotografiach, które wisiały w jej mieszkaniu.

– Czy to ta ostatnia miłość, sądząc z treści SMS-a, nieszczęśliwa? – zastanawiał się głośno. – Jaja sobie robię, ale przecież coraz trudniej kogoś poznać w tym wieku. Choć z drugiej strony jak człowiek słyszy, co się wyprawia w sanatoriach, to ciepło się robi w sercu.

– Masz jeszcze szansę, staruszk. – Banaś mrugnęła okiem.

– Tak czy siak, warto chyba zbadać, jak się ta lovestory skończyła. No i może tajemniczy pan Robert wie o czymś, co naprowadziłoby nas na jakiś trop. Ale najpierw spróbujemy wykonać „telefon do przyjaciela”.

– Czyli jednak ten drugi?

Kiedy kilka godzin temu wspominał, że lepiej wykonać taki telefon z firmy, nie chodziło tylko o to, że nie chce dzwonić ze swojej komórki. Tutaj mieli więcej narzędzi, żeby robota została wykonana porządnie. Kostek wybrał więc numer na telefonie Grażyny Wiśniak, a kiedy usłyszał pierwszy sygnał, włączył tryb głośnomówiący, a następnie wcisnął jeszcze jeden guzik w urządzeniu stojącym na biurku. W głośniku wybrzmiał drugi sygnał, po nim trzeci. Wreszcie rozległ się trzask, a po nim kobiecy głos:

– Dzień dobry, pani Grażynko. Właśnie miałam do pani dzwonić. Niestety, coś mi wyskoczyło i nie będziemy mogły się dzisiaj spotkać...

Kosmetyczka? Fryzjerka? Czyżby miało być aż tak kiepsko? – pomyślał Kostek. Że zaganiana, to jasne, skoro nawet nie czeka na powitanie.

– Halo? Pani Grażynko? Jest tam pani? – w głosie tamtej kobiety nie wyczuwało się zniecierpliwienia, a raczej sympatię czy wyrozumiałość dla kogoś, kto nie do końca sobie radzi w nowinkami technicznymi.

Trzeba było zrobić kolejny krok. Podbiał odchrząknął.

– Halo, dzień dobry pani – powiedział do aparatu.

– Co to za żarty, do cholery?! – ton nieznaney rozmówczynie zmienił się w jednej chwili.

– Nie, to nie są żarty. Moje nazwisko Podbiał, jestem oficerem stołecznej policji. Sprawdzamy zawartość telefonu pani Grażyny Wiśniak, dlatego pozwoliłem sobie...

– Ale co się stało? – Kobieta mu przerwała, a jej głos wciąż był niezbyt przyjemny. – Zgubiła ten telefon czy jak?!

– A czy ja mógłbym wiedzieć, z kim mam przyjemność rozmawiać? – Podbiał na razie nie dawał się sprowokować, jego głos był spokojny i rzeczowy.

– Nie mógłbyś! – huknęło z głośniczka. – I nie ze mną te zagrywki. Dzwonię zaraz do operatora sieci i zlecam zablokowanie tego numeru. I na policję też, ale prawdziwą!

Kostek wzniósł oczy ku sufitowi.

– Szanowna pani... – zaczął, ale przerwał mu przerywany sygnał.

– Co za babsko! – oburzyła się Kornelia.

– Najgorsze, że nadal nie wiemy, co to za babsko.

Odłożył telefon zmarłej, ale nagrywania jeszcze nie zamierzał wyłączać. Na szczęście w KSP, jak w każdej instytucji państwowej, działały jeszcze telefony stacjonarne, a Kostek, Kornelia i komisarz Rudzki byli szczęśliwymi posiadaczami dwóch z nich.

Zerkając na karteczkę znaną w mieszkaniu na Kole, bo to przecież ona była wszystkiemu winna, wystukał numer na klawiaturze starego, szarego aparatu. I znów sygnał, przełączenie na głośnik, kolejny sygnał.

– Słucham, Kuszewska.

To już coś – ucieszył się w duchu Kostek.

– Dzień dobry pani, z tej strony nadkomisarz Podbiał, Komenda Stołeczna Policji – wyrzucił z siebie jednym tchem i tonem właściwym dla człowieka, który nie zwykł marnować czasu, swojego i innych. – Mam nadzieję, że tym razem uda nam się jednak zamienić kilka słów. Jak powiedziałem, wcześniej, jesteśmy w posiadaniu telefonu komórkowego Grażyny Wiśniak, a to dlatego, że jego właścicielka została wczoraj po południu zamordowana i...

I? I znów nie dokończył. Przerywany sygnał w plastikowym sitku tym razem jednak brzmiał nieco inaczej. Weselej? Komu będzie wesoło, temu będzie.

– Tym razem mnie wkurwiła. Marek, biegnij do chłopaków, niech namierzą jak najszybciej ten telefon. – Podał mu karteczkę, jak się właśnie okazywało, ważny trop w sprawie.

Gdy wyszedł z pokoju, wybrał kolejny numer telefonu. Magnetofon wciąż był włączony, bowiem prawdziwa zabawa dopiero się zaczynała.

Zagłębie biurowe, które na początku nowego wieku zbudowano na terenach Służewca Przemysłowego, nazywano nieoficjalnie Mordorem. Miejsce to zdążyło już zostać kilka razy pokazane w polskich komediach romantycznych, mimo że pracującym tam ludziom raczej daleko było do romantycznych uniesień, i opisane w kilku współczesnych powieściach. Nie mówiąc już o internetowych memach i dowcipach.

– A to znasz? Zbliża się dwudziesta, facet wstaje od biurka i zaczyna się ubierać – powiedział Kostek, gdy skręcili z Wołoskiej w Domaniewską. – Wtedy ktoś go pyta: bierzesz pół dnia wolnego? A on na to: nie, tylko... wychodzę na obiad!

Zaśmiali się, ale jakoś krótko, jakby wymuszenie. Zresztą może i dobrze. Byli już prawie na miejscu, a podczas wizyty niezbędna była powaga.

Jacek Kędzierzawski czekał na nich w holu na parterze jednego z biurowców, które nosiły nazwy planet.

Ciekawe, co powiedział na górze. Że z kim się spotyka? I czy będzie to musiał odsiedzieć? – przeszło przez myśl Podbiałowi.

A potem jeszcze dokładniej przyjrzał się człowiekowi, którego poznali wczoraj na cmentarzu. Przyszło mu bowiem do głowy coś, o czym jeszcze nie wspomniał młodej: że może to właśnie ten Kędzierzawski ma przyklejoną brodę i okulary zerówki?

Pierwsze pytanie, jakie zadał po tym, jak się przywitani i usiedli w miękkich fotelach, zajętych zwykle pewnie przez starających się o pracę, dotyczyło jednak czegoś innego:

– Jaka kancelaria prawna reprezentowała pana w sprawie spadku po żonie?

– Werner, Kosowski i Wspólnicy – odpowiedział szybko mężczyzna. – Z początku nie myślałem o wynajęciu adwokata. A potem się okazało, że trzeba będzie walczyć o to, co się nam należy. I to jeszcze z kimś takim...

– Na jaką kwotę mógł liczyć Wojciech Ożóg? – Podbiał zadał pytanie, które pojawiło się już podczas wczorajszej rozmowy w firmie.

– Sto dwadzieścia tysięcy złotych.

Mieszkania się za to nie kupi w Warszawie, choć kiedyś byłoby nawet na kawalerkę. Ale można pożyć – ocenił w duchu policjant.

– Zastanawiałem się – ciągnął wdowiec – kto powiedział mu o tym, że może się starać o spadek po córce. Że jest w ogóle brany pod uwagę! I jak do niego dotarli? Przecież nawet nie mieszkał tam, gdzie ostatnio... A potem na rozprawie, podczas której wszystko miało być formalnie załatwione, pojawił się jakiś facet w krzywo zapiętym garniturze i z teczką, z której zaczął wyjmować kolejne pełnomocnictwa i takie tam. Myślałem, że śnię. Kiedy Krystyna usłyszała, kogo ten człowiek reprezentuje i czego chce, straciła przytomność.

– Z jakiej kancelarii był ten prawnik? – zapytał Kostek.

Ale Kędzierzawski zignorował pytanie.

– Nie wiem, czy specjalizują się w takich sprawach, chodzą po noclegowniach dla bezdomnych i dworcach kolejowych i szukają kolejnych klientów. Może powinni w więzieniach, do których jeden z drugim trafili za niepłacenie alimentów! – Kędzierzawski coraz bardziej się nakręcał, co zwróciło nawet uwagę recepcjonistki,

która spojrzała na nich znad monitora komputera; ciekawy przerywnik w siedzeniu na Fejsie.

– Nie sądzę – mruknął Kostek. – To znaczy pewnie chodzą, ale wtedy, kiedy już wiedzą, kogo konkretnie mają szukać.

Chwilę wcześniej przypomniał sobie, co powiedział Rudzki: że o Ożoga ktoś pytał na Brzeskiej, a oni początkowo myśleli, że to jakiś wierzyciel.

– Ile mu pan dał? – Nadkomisarz postanowił przyspieszyć rozmowę. – Oprócz zegarka?

Jacek Kędzierzawski westchnął ciężko.

– Spotkaliśmy się nieoficjalnie, bez obecności prawników.

– Gdzie? – zapytała milcząca dotąd Kornelia.

– No przecież nie w kawiarni! – zachnął się mężczyzna. – Do domu też nie zapraszałem. Nie tylko dlatego, że pewnie trzeba by było potem długo wietrzyć. Chociaż brałem pod uwagę, że jak się nie uda nic załatwić, to może trzeba będzie zrobić także i to. Panować nad nerwami, sztucznie się uśmiechać...

– Nie pomyślał pan, że mógł się zmienić, zrozumieć swoje błędy? – Podbiał był bezlitosny; może to miejsce tak na niego wpływało?

Kędzierzawski zagryzł wargi i spojrział na niego jak na mordercę.

– To gdzie się spotkaliście? – powtórzyła Kornelia.

– Znalazłem go na dworcu. Bałem się, że nie będzie chciał rozmawiać, że tylko w towarzystwie swoich prawników. Jak to w ogóle brzmi: on i jego prawnicy. Albo że mu coś zrobię. Ale nie, był nawet zadowolony, że mnie widzi. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Kiedy to było? – zapytał Kostek.

– Jakoś latem. Na pewno wakacje jeszcze trwały, bo dzieci były u moich rodziców na wsi. Ożóg nawet nie wyglądał wtedy źle: podkoszulek, stare dżinsy. Jak działkowiec. Oni chyba najgorzej wyglądają, kiedy się robi zimno, okutani we wszystko, co można na siebie narzucić. Dałem mu wtedy ten zegarek. To był nowy zegarek, w pudełku i z gwarancją. Specjalnie go kupiłem w sklepie z zegarkami w Złoty Tarasach. Nie w hipermarkecie...

– No właśnie: mógł pan przecież wybrać tańszy – zauważył policjant. – Ktoś taki prawdopodobnie nawet by się nie zorientował, że to taniocha.

– Nie wiem. A może jednak by się poznał? Na przykład jego prawnik by mu o tym powiedział? A ja naprawdę chciałem to mieć już z głowy, więc go nie spotykać.

– To w końcu ile mu pan dał? – w głosie Podbiała zagrało zniecierpliwienie.

– Umówiliśmy się na dwadzieścia tysięcy. Początkowo chciał dwa razy tyle, ale utargowałem właśnie tę kwotę. Oczywiście pod stołem, bez żadnych podatków, no i haraczu dla tej jego kancelarii. Kiedy go zapytałem, czy w ogóle wie, ile wezmą od niego za usługę, nie potrafił odpowiedzieć. Albo nie chciał.

– Jakież gwarancje? – wtrąciła Kornelia.

Spojrział na nią tak jak wczoraj, kiedy chciała mu wlepić mandat.

– Przygotowałem dokument, w którym teść zrzekał się wszelkich roszczeń. Wystarczyło, żeby podpisał.

– I podpisał?

– Tak. Ale najpierw przeliczył pieniądze, więc trochę to potrwało. Byłem wyjątkowo cierpliwy, nigdzie mi się wtedy nie spieszyło. – Spojrzał na zegarek. – A potem jeszcze zażądał pióra, którym się posłużył. Staralem się, żeby nikt z jego kompanów tego nie widział, bo cholera ich wie, co do głowy takiemu może strzelić. Mówi się, że okazja czyni złodzieja, a może też mordercę...

– Więcej się nie widzieliście? – naciskał policjant. – Teś aby nie potraktował tych pieniędzy jako pierwszej raty?

Jackek Kędzierzawski zwiesił głowę. Kiedyś był to gest przyznania się łobuziaka do zarzucanego mu czynu. Ale w tej samej chwili w holu pojawiło się kilka osób. Białe kołnierzyki wracały z lunchu i może byli wśród nich jego współpracownicy. Ale policjanci występowali po cywilnemu, w dodatku nie wygłupiali się z zakładaniem łańcuszków, więc ten człowiek mógł powiedzieć na górze cokolwiek.

– Panie Jacku? – ponagliła go Kornelia.

– Więcej się z nim nie spotkałem – odpowiedział Kędzierzawski. – Odezwali się za to do mnie jego prawnicy. Z tymi samymi żądaniem co do tej pory. Nie wiem, czy im nie powiedział, że się ze mną dogadał, nie podziękował za usługi. Albo powiedział, ale przekonali go, że dał sobie wcisnąć ochłapy. No i pewnie pozostała jeszcze kwestia ich wynagrodzenia. Może oni też trzymali go w szachu, tak jak on mnie? W każdym razie wszystko zaczęło się od początku. Nie ukrywam, że jego śmierć była mi na rękę, ale nie mam z tym nic wspólnego. Nie zrobiłem tego i nikomu tego nie zleciłem. Nawet nie wiedziałbym, do kogo miałbym się z tym zwrócić. Wynając Kazachów albo Czechenów? Nie wiem, gdzie miałbym szukać takich ludzi. Przysięgam na pamięć mojej żony!

Tym razem nie płakał, tak jak na Wólce Węglowej. Tam można, a nawet trzeba uronić łzę, jeśli nie chciałeś wyjść przed wszystkimi ciociami na zimną rybę. A teraz był w miejscu pracy, a tutaj nie wypadało się mazgać. Trzeba było być twardym. Mordor nie wierzył łzom. No właśnie, Mordor...

– Czy ma pan jakichś wrogów, panie Jacku? – zapytała rzeczowo Kornelia.

– Wrogów? – zdziwił się mężczyzna; być może termin ten kojarzył mu się już tylko z filmami o wojnie albo gramami komputerowymi.

– Kogoś, kto panu źle życzy – tłumaczył Kostek, ogarniając hol krytycznym spojrzeniem. – To się przecież zdarza w każdym środowisku. Jakies zatargi, rywalizacja...

Wyścig szczurów – dokończył w myślach.

– A pewnie, że jest rywalizacja! – Kędzierzawski nagle się ożywił. – Każdego dnia, od rana do wieczora. To nie jest miejsce dla słabeuszy. Ale nie sądzę, żeby ktoś próbował mi zaszkodzić na gruncie prywatnym. Bo pewnie macie na myśli to, że jakaś osoba, która znała moją sytuację, starała się odnaleźć teścia i przekazać mu, że jest do zdobycia trochę grosza, w dodatku bez wysiłku. Tak, pod pewnymi względami na życzliwych ludzi zawsze można liczyć.

– Czy jest ktoś taki? – Kornelia wbiła w niego badawcze spojrzenie.

Wzruszył ramionami, a potem rzekł:

– Być może. Ale nie jestem w stanie w tej chwili podać żadnego nazwiska.

Kostek podniósł się z kanapy. Obito ją dermą, więc gdyby był w krótkich spodenkach, być może zostawiłby po sobie ślady potu. A tak to wydała w tym momencie charakterystyczny, niezbyt przystojny dźwięk. Można się było tylko uśmiechnąć. Tyle że kiepsko by to pasowało do kolejnego pytania, które zadał policjant:

– Co pan robił w poprzedni piątek między osiemnastą a dwudziestą?

– Byłem w domu.

– Nie mamy więcej pytań – powiedział, po czym sam sięgnął do kieszeni po wizytówkę. – Jeśli pan sobie coś przypomni, jakiś ważny szczegół, proszę nas niezwłocznie powiadomić.

– Czyli nie jestem podejrzany o zabójstwo?!

Oj, znów stanowczo za głośno, nieostrożnie, znów panienka z recepcyjnego okienka zastrzygła uszami. Będzie co opowiadać koleżankom przy winku. Ale on chyba miał to gdzieś.

– Ja teraz chcę już tylko spokoju – westchnął Kędzierzawski. – Mam nadzieję, że ta kancelaria, która reprezentowała Ożoga, nie będzie mnie nękać...

– A zdarzały się jakieś telefony? Może groźby? – Banaś poszła za ciosem.

Cisza. Chyba za długa, aby nie stała się zastanawiająca, a może nawet podejrzana.

– Kilka razy do mnie dzwonili – powiedział wreszcie wdowiec. – Ale nie wdawałem się w dyskusje i od razu kierowałem ich do kancelarii Werner, Kosowski i Wspólnicy. No i było jeszcze kilka głuchych telefonów, zazwyczaj w nocy. Oczywiście z nieznanego numeru.

Odezwała się komórka, ale nie jego, a wtedy trudno by było o lepszy dowód na prawdziwość wypowiedzianych przed chwilą słów, tylko Kostka. Nadkomisarz przeprosił i oddalił się kilka kroków. Podczas gdy Kornelia i Kędzierzawski dalej rozmawiali.

– Podbiał – rzucił sucho, a potem chwilę słuchał czyjegós głosu. – Co takiego?!

Tym razem to on nad sobą nie zapanował. Kilku ludzi z kolejnej pielgrzymki, która wracała z lunchu, spojrzało w jego kierunku.

– Za pół godziny powinniśmy być w firmie – zakończył rozmowę, jednak nie od razu udało mu się umieścić telefon z powrotem w kieszeni; wyglądał na mocno zdenerwowanego.

44

– Co się dzieje? – zapytała Kornelia, gdy znaleźli się na parkingu przed biurowcem, a kiedy Podbiał przekazał jej telefon, przeczytała na głos: – „Zabawa dopiero się rozkręca. Szykujcie worki na kolejne trupy w sklepach!”.

Było to zdjęcie kartki. Zapisano ją podobnie jak tamtą pokracznymi wersalikami.

– List przyszedł godzinę temu na adres stołecznej – dodał nadkomisarz. – Na szczęście otworzył go ktoś kumaty i od razu pobiegł do Kontry. Teraz technicy zbierają ślady, ale nie spodziewam się jakichś rewelacji. Najgorsze jest to, że zabawa powinna już zmierzać ku końcowi, a nie się rozkręcać. Może będziemy potrzebować pomocy...

Weszli do samochodu. Droga z budynku nie zajęła im wiele czasu, jednak zdążyli przemarznąć. Kostek uruchomił silnik i włączył ogrzewanie.

– Wtedy też zapowiadała, że będą kolejne trupy w pociągach, a uderzył w sklepie – powiedziała Kornelia, kiedy już jechali Domaniewską. – Na moje to on się z nami bawi. Chce być seryjniakiem jak z amerykańskiego thrillera.

– On już jest seryjniakiem, tyle że znad Wisły. I wciąż nie wiemy, o co mu chodzi. Prócz tego, że z woli Stwórcy uważa się za wykonawcę wyroków i lubi ryzyko. Czyli że jest świrem.

– A co sądzisz o tym, co powiedział przed chwilą Kędzierzawski?

– No niby przysięgał chłopina na pamięć żony, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią teścia, ale przecież tak od razu nie możemy go skreślać... – odrzekł Kostek.

Przecieli Wołoską, by tym razem dotrzeć do alei Niepodległości. Stamtąd była już niemal prosta droga do celu. Bywały dni, że Kostek nawet lubił jeździć po tym mieście.

Mijali właśnie ogrody działkowe przy Odyńca, kiedy odezwało się radio. Trzeszczący głos w sitku wywołał ich radiowóz. Kostek z ociąganiem oderwał prawą rękę od kierownicy.

– Podbiął, zgłaszam się.

– Cześć, Kostek – rozpoznał głos dyżurnego, z którym witał się rano. – Chyba jest coś dla was. Wypadek w Żółtych Tarasach. Śmiertelny.

Nadkomisarz poczuł na sobie spojrzenie młodszej koleżanki.

– Coś więcej wiadomo?

– Tylko tyle, że młody mężczyzna wypadł z najwyższej galerii centrum. Ekipa jedzie już na miejsce. Rzuć okiem, czy to nie czasem robota waszego zwyroła.

– Tak zrobimy. Dzięki wielkie, bez odbioru.

Podbiął nie wrzucił jednak na dach koguta ani nawet nie nacisnął mocniej na gaz. Przy obecnym ruchu i kierunku jazdy powinni być na miejscu za mniej niż kwadrans.

– Co sądzisz? – zapytała Kornelia.

– Jeszcze nie wiem – mruknął. – Obawiam się tylko, że na miejscu nie podadzą nam niczego ciepłego do jedzenia.

– Proszę cię... – Banaś pokręciła głową.

– No co? Zrobiłem się głodny, a zawsze dobrze jest połączyć przyjemne z pożytecznym. A tak to pewnie zamknęli cały foodhall. Kiedyś słyszałem od jednego kolegi, który przez całe życie dojeżdża codziennie z Łodzi do Warszawy, że pewnego dnia w Skierniewicach czy innym Żyrardowie facet wpadł pod pociąg. No i czekali na prokuratora. Godzina mija, dwie. W końcu ktoś zauważył, że kawałek dalej na peronie jest czynna budka z zapiekankami. I tak zaczęli chodzić z tymi zapiekankami, nikomu nie przeszkadzało, że obok leży facet przecięty na pół.

Na miejscu nie było co prawda znajomego Waldemara ze Śródmieścia, ale i tak poszło gładko i nie musieli się tłumaczyć. Nawet ochroniarze, których zadaniem było nie dopuścić, by któryś z licznych gapiów nie wszedł za plastikową taśmę, unosili ją szybko, nie przyglądając się zbyt uważnie pokazywanym legitymacjom. Był tu też umundurowany sierżant, w którym Kostek rozpoznał funkcjonariusza z komisariatu na Centralnym. To jemu w sobotę przekazywał ujętego po krótkim pościgu Zabielskiego, który wcześniej w pociągu ranił Rudzkiego.

– Cześć – rzucił Podbiał. – Co tu się stało?

– Właśnie próbujemy ustalić. Gość był tam – sierżant wskazał na poziom, gdzie znajdowały się bary, restauracje i wspólne dla wszystkich ogródki – a potem znalazł się kilka pięter niżej, czyli tutaj – zatrzymał wzrok na niebieskim parawanie z napisem POLICJA.

„Praw fizyki pan nie zmienisz i nie bądź pan głąb” – Kostek przypomniał sobie tekst ze starego kabaretu.

– Nie ma opcji, żeby to był wypadek, bo nawet wysokiemu człowiekowi balustrada sięga dość wysoko. Takich rzeczy się pilnuje. No, może Marcin Gortat czułby się nieswojo, ale on pewnie nie robi tutaj zakupów – dokończył mundurowy.

– Czyli samobój albo morderstwo. A może na przykład świrował przed dziewczyną albo kolegami?

– Jeśli nawet był z kimś, to chwilę potrwa, zanim uda się to ustalić. Wiadomo, że jeśli miał towarzystwo, to się towarzystwo zmyło, kiedy wylądował na posadzce i się okazało, że to jednak na amen.

– Monitoring trzeba będzie przejrzeć – wtrącił nadkomisarz.

– No i popytać pracowników fastfoodów, bo ci przynajmniej nie będą łgali, że ich tam nie było. Chyba że wszyscy naraz smażyli frytki, wtedy rzeczywiście pozostaje film.

Mundurowy zaprowadził ich do miejsca, w którym leżał nieszczęśnik.

– Zostanę – powiedziała Kornelia.

– Jasne.

Parawan był dość obszerny, na plaży we Władysławowie ochroniłby całkiem liczną rodzinę, więc zakrył sporą część podłogi, włącznie z powierzchnią zachlapaną krwią, gdzie leżały też fragmenty rozbitej czaszki i mózgu. Jednak co z tego, jak wszystko było całkiem niezłe widać z wyższych kondygnacji. Co prawda bezpośrednio nad nimi nie było nikogo i za to służbom i pracownikom centrum handlowego należały się słowa uznania. Ale już kawałek dalej stało sporo gapiów. No właśnie: stało, a jeszcze chwila i znów ktoś pofrunie.

Nadszedł lekarz sądowy. Niestety, znów nie była to doktor Mokrzyńska ani nawet Walczak. Kostek wiedział, że musi się spieszyć. Spojrzał na denata. Gdyby nie krew, zniekształcona głowa i nienaturalna pozycja, w której leżał, można było odnieść wrażenie, że śpi. A przecież na chwilę przed końcem musiał być przerażony. Ile się leci? Dwie, trzy sekundy? Można nie zdążyć uświadomić sobie, co się dzieje, nie mówiąc o obejrzeniu całego swojego życia, które ponoć przelatuje w tej chwili przed oczami.

To jednak nie było już ważne. Zabity leżał trochę na boku, a trochę na plecach, więc nie było widać plamy krwi w okolicach klatki piersiowej. Ale przecież zabójca mógł tym razem uciec się do innego sposobu, skoro miał taką okazję i nieocenioną pomoc grawitacji. Poza tym lubił zmiany. Wcześniej zapowiadał kolejne zabójstwa w pociągach, a zaatakował w sklepie. Teraz mógł zmienić broń. Ale na pewno nie mógł nie złożyć podpisu!

– Ma jakieś dokumenty? – zapytał Podbiał sierżanta, a jednocześnie techników, którzy jeszcze kucali, ale za chwilę mieli zakończyć swoją pracę.

– Prawo jazdy. I jakieś klucze.

Podbiał rzucił okiem na dokument. Chłopak miał niespełna dwadzieścia dwa lata i prócz jazdy kategorii A i B uprawnienia na ciężarówkę z przyczepą. Kto wie, jakie by jeszcze zdobył i w której części świata prowadziłby samochody, gdyby nie... No właśnie: co? Przypadek, zbytnia ciekawość, życiowe niepowodzenia, a może rzeczywiście tylko głupota?

– Nic więcej nie miał w kieszeniach? – dopytywał, może zbyt głośno i nerwowo niż powinien.

– To znaczy?

– Nie wiem. Jakiejś kartki. Dobrze go przeszukaliście?

Któryś spojrzał na niego znacząco. Zupełnie jakby pan ważny oficer sugerował coś niezbyt ładnego. A może to prowokacja BSW albo ukryta kamera? Przecież nikt z nich nie był przy upadku. Może trup zaraz otworzy oczy, obetrze farbę i poskarży się, że ten rudy w dżinsowej kurtce buchnął mu portfel?

– Dobrze go przeszukaliśmy, nie miał przy sobie listy zakupów. Ale może patolog znajdzie coś jeszcze – odgryzł się jeden z policjantów.

– Co znajdzie? – chciał wiedzieć lekarz; przed chwilą skończył rozmawiać przez telefon.

Kostek wiedział już, że powinien się wycofać. Spojrzał tam, gdzie zostawił Kornelię, ale jej nie było. Po chwili dostrzegł ją kawałek dalej, choć jeszcze na odgradzonym terenie. Ona również trzymała telefon przy uchu.

Znalazł ruchome schody i wjechał na poziom, gdzie znajdował się zmarły na chwilę przed tragedią. Tam skierował kroki do miejsca, gdzie samotny technik kończył zbierać ślady z poręczy.

– Masz coś, czego nie trzeba oglądać przez mikroskop? – rzucił na powitanie i z uśmiechem, żeby i tutaj nie podpaść, a przynajmniej nie od razu.

Tamten tylko pokręcił głową, domknął służbową walizeczkę i wstał. Kostek wychylił się przez balustradę, z której przed chwilą zdjęto odciski palców. Całe ich setki. Sierżant z Centralnego miał rację: trudno było stąd zlecieć, jeśli się bardzo nie chciało. Nawet dla Podbiała, który był więcej niż średniego wzrostu, było bezpiecznie.

Przykucnął i przyjrzał się miejscu, gdzie stał tamten nieszczęśnik. Może jakiś podpis mordercy, choćby markerem na pomalowanej jasnoszarą emalią rurze? Kiedyś takie miejsca były przecież gęsto pomazane: od „HUJ”, po LEGIA MISTRZ czy tylko duże L w kółeczku. Podobnie jak na Giewoncie czy Tarnicy, każdy chciał zostawić po sobie pamiątkę.

Tu było jednak czyściutko i gładziutko. Pewnie dlatego, że Wielki Brat patrzy. No właśnie, to jedyny sposób, aby się czegokolwiek dowiedzieć, ale to chyba już nie jego problem.

– Nic tu po mnie – mruknął do siebie.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Kornelia.

– Jestem na górze – powiedział, zanim zdążyła się odezwać. – Już do ciebie schodzę.

– Lepiej się pospiesz, bo jest afera.

Dotarł szybko na miejsce. Lekarz kończył właśnie swoje czynności. Ale to chyba nie o tym mówiła Kornelia.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Niechcący usłyszałam, że dzielni chłopcy z miejscowej „securitate” zatrzymali młodą kobietę, która ponoć ma coś wspólnego z tym wypadkiem. Może to sprawdzimy, co?

– Myślisz, że to nie był jednak wypadek?

Nie odpowiedziała. Znali się nie pierwszy wtorek, więc Podbiał wiedział już, że młoda jest zaniepokojona.

– Sprawdźmy – odpowiedział.

Bywał w tym centrum handlowym nie tylko przy okazji sprawunków z popularną żoną, ale też często służbowo. Zresztą w każdej chwili prywatna wizyta mogła się zamienić w służbową. Pewnie nawet wtedy, gdyby miała torby pełne przedświątecznych zakupów, zostawiłby je pod czyjąś opieką i ruszył w ślad za znanym sobie pedofilem, zmierzającym w stronę sali zabaw Kraina Krasnoludków. Tak było nie tak dawno. Mimo że zakupów wtedy nie miał, za to miał obok Kornelię, kazał jej usiąść na kanapie i czekać. Dziwiła się, że go wtedy wypuścił, zamiast zaprowadzić do kanciapy, zdrutować i wrzucić do bagażnika. Ale czasami trzeba było zachować się inaczej.

Dziś szli razem tam, dokąd trafia na początku każdy przyłapany na kradzieży złodziejasek, by poczekać na patrol. Niepozorne drzwi na końcu długiego korytarza, którym szło się do toalet, na drzwiach napis STAFF ONLY. Nie każdy musiał się zastosować, bo język urzędowy w tym kraju jest inny. Podbiał akurat nie zamierzał z innego powodu. Po prostu coraz bardziej udzielał mu się niepokój Kornelii.

Już po chwili oboje wiedzieli, że mieli rację.

45

– Nie chciałem do pana dzwonić, ale... ale nie mam wyjścia. – Głos uwiązał mu w gardle.

Nie! Przecież nie mogę się rozkleić – pomyślał z rozpaczą.

Czuł się, jakby był smarkaczem i pierwszy raz rozmawiał z kimś przez telefon. Pamiętał, że tak się wtedy wstydził, że nawet zdania jednego sklecić nie potrafił. A przecież ten, z którym rozmawiał, go nie widział, bo był daleko. Tylko te panie w biurze u mamy, bo to właśnie stamtąd najczęściej dzwonił, kiedy był mały, patrzyły. I słuchały, wszak to zawsze jakaś rozrywka.

– To nie pan do mnie dzwoni, ale ja dzwonię do pana – zauważył rozmówca.

Jego głos był niski, nawet bardzo, nienaturalnie, więc chyba musiał być zniekształcony przez jakieś elektroniczne urządzenie. Tak jak robią to w telewizji, żeby nie zdradzić tożsamości rozmówcy. Często się z tego śmiał, myśląc, że ten, kto ma go rozpoznać, i tak na pewno to zrobi.

Teraz nie było mu jednak do śmiechu. Od kilkunastu miesięcy nie było mu do śmiechu, a od kilku dni to już szczególnie. Za chwilę będzie nędznikiem. Nie tylko straci wszystko, czego się w życiu dorobił, ale zapożyczy się do końca życia.

– Racja! Przecież pan dzwoni. I nawet nie wiem, z jakiego numeru...

Ostatnie zdanie mógł sobie darować. Że też zawsze coś chlapnie ozorem. Facet się pewnie teraz rozłączy, obrazi, a on zostanie sam ze swoim problemem. Druga okazja,

by go skutecznie rozwiązać, może się długo nie trafić. Może też nie trafić się już nigdy.

– Ostrożności nigdy za wiele – niski głos zabrzmiał jakby trochę jaśniej. – Im mniej pan wie, tym krócej będą pana przesłuchiwać.

– Mam nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie – powiedział; tak, to chyba mądre było, a przynajmniej lepsze niż wszystko, co do tej poru padło z jego ust w ciągu tej rozmowy.

– Rozumiem, że jest pan zdecydowany. I że wszystkie inne sposoby załatwienia tej sprawy zawiodły.

– Jakie sposoby?

– Nooo, jest ich tak wiele. Choćby mediacje czy ośrodki rozwiązywania problemów w rodzinie. Każda dzielnica ma taka komórkę.

Taaa, był tam. Dwie psycholożki od razu wzięły stronę żony, a po nim jeździły jak po burej suce. Potem wiedział, że zrobił błąd, idąc na spotkanie tak jak do pracy, czyli w koszuli, krawacie i garniturze. Gdyby ubrał się byle jak, cuchnął wodą i miał krew za paznokciami, a do tego od czasu do czasu „kurwą” rzucił, od razu jedna z drugą nabrałyby szacunku. A nawet jeśli nie, to najzwyczajniej bałyby się cokolwiek powiedzieć nie tak. Mądry po szkodzię.

– Znam też takich – ciągnął jego rozmówca – którzy po pomoc zwrócili się do instytucji Kościoła, mimo że wcześniej, mówiąc delikatnie, było im nie pod drodze.

Ten człowiek jest inteligentny, nawet bardzo. Nie mówi jak byle łachudra spod śmietnika – przeszło mu przez myśl. I dobrze, że tylko przeszło, bo trzeba było wracać do rozmowy. Kto wie, czy nie była przewidziana co do sekundy. Po co? A choćby po to, żeby go nikt nie zdołał namierzyć, jak w sensacyjnych filmach, w których porywacz dzwoni do rodziny, by ustalić warunki wykupienia zakładnika.

– Nie, nie byłem w kościele – odpowiedział. – Rzadko tam zaglądam. Ostatni raz podczas pierwszej komunii syna.

– Może warto częściej?

Jakiś maniak religijny? – przestraszył się. Przecież nie o tym mieli rozmawiać. Był kłopot i trzeba było coś z nim zrobić. Potrzebny był zdecydowany ruch. A potem zapłata i zapomnienie.

– Proszę mi podać adres osoby, której dotyczy zlecenie – niski głos w słuchawce zabrzmiał wyjątkowo wyraźnie i wyjątkowo przerażająco.

Zleceniodawca, na razie wciąż *in spe*, poczuł zimny dreszcz na plecach. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia? Czy wykorzystał już wszystkie możliwości? Skądś wiedział, że jeśli się teraz zawaha, tamten człowiek nie przyjmie zlecenia. A kto wie, może nawet przyjdzie po niego. Mimo że on nie widział jego twarzy, słyszał tylko zmieniony przez maszynę głos, a zamiast rzędu cyfr wyświetliło mu się: NUMER PRYWATNY...

Może ten człowiek po drugiej stronie zabija, bo po prostu lubi to robić, i jest mu wszystko jedno, kto będzie kolejną ofiarą? Byłe tylko zaspokoić żądzę, zatopić zimną stal w ludzkim ciele.

– Proszę mi podać adres osoby, której dotyczy zlecenie – powtórzył.

– Ja... ja jeszcze się nie zdecydowałem.

– Ale ja tak.

Rozłączyć się! Czym prędzej się rozłączyć, a potem wyłączyć telefon i zmienić numer. Kartę nożyczkami na kawałki. Ale jeśli zabójca wie o nim więcej? Boże, Boże...

Rozległ się dzwonek do drzwi. Już tu jest? Nie, on był tu przez cały czas.

Mężczyzna otworzył oczy, gwałtownie poderwał tułów z łóżka. Był spocony, ciężko dyszał. Więc to był tylko zły sen? Tak. To tylko sen. Prócz dzwonka.

– Już otwieram – mruknął, niechętnie zwlekając się z łóżka.

46

Podbiał nie dał sobie odebrać kluczyków, mimo że z nerwów cały dygotał. Kornelia pytała kilka razy, czy naprawdę jest w stanie prowadzić. Odpowiadał, że tak. Właściwie to bełkotał. Ktoś, kto spojrzalby z boku na tę scenę i przysłuchał się ich rozmowie, pewnie stwierdziłby, że facet sobie gołnął, ale zgrywa chojraka, a jego ślubna usiłuje nie dopuścić do tragedii. Ale chyba lepiej się nie wtrącać. I może rzeczywiście coś w tym było, bo dopiero gdy kierowca położył dłonie na kierownicy, wyraźnie się uspokoił. Fajny pomysł na reklamę luksusowych samochodów, choć nie wiadomo do kogo skierowaną. Przynajmniej w tym kraju.

Obysmy tylko nie skończyli na latarni – pomyślała jeszcze Kornelia, kiedy ruszali spod szlabanu podziemnego parkingu.

– Jestem spokojny – powiedział niegłośnie, jakby udało mu się usłyszeć jej myśli.

Wyjechali ze Złotych Tarasów na ulicę Emilii Plater, niemal na wprost Pałacu Kultury, z którego było teraz widać tylko dolną część, bo resztę otulała gęsta mgła. Mgła albo smog, bo ostatnio coraz częściej się ludziom myliło.

– Powtórzysz adres? – poprosił Kostek.

Zanim to zrobiła, sprawdziła jeszcze w komórce. Wiadomość z danymi, które udało się ustalić w centrali, przyszła ponad kwadrans temu.

– Dobrze, że znów nie Mordor... – mruknął pod nosem. – Chyba że tylko ja to tak widzę. Chciałabyś pracować w korporacji, Kornelia?

– Przecież pracuję – odparła.

– I przez cały dzień rozbijasz się samochodem po mieście, podczas gdy inni siedzą do nocy w szklanych wieżach. Tylko pozazdrościć. Ale przynajmniej, jak sami widzieliśmy, mogą sobie na lunch wyjść. Oczywiście w większych grupach, żeby nikomu nie było smutno. I żeby jeden miał przez cały czas oko na drugiego.

– Ja też mam na ciebie oko. I zauważyłam, że nic nie jadłeś. Dlatego kupiłam nam kanapki. – Sięgnęła do torebki, skąd rzeczywiście wyjęła dwa plastikowe pudełka. – Tylko takie znalazłam w saloniku prasowym, ale wyglądają całkiem niezłe.

Na ten widok Podbiałowi rozbłysły oczy.

– Jesteś kochana! – zawołał. – Mam nadzieję, że w drodze do tego saloniku nie musiałaś przechodzić obok trupa, jak ci biedacy na stacji w Żyrardowie?

– Ważne, że jakiś znalazłam.

– W takim razie kolację ja stawiam.

– Zgadzam się. Chciałabym zauważyć, kapitanie, że dawno nie było kebabu.

– To prawda. Jedenasty listopada zbliża się wielkimi krokami, więc może wreszcie znajdziemy taki „od prawdziwego Polaka”?

Sprawnie i bez hałasu jechali na miejsce. Jak udało się ustalić, kobieta, z którą wcześniej miał nieprzyjemność dwa razy rozmawiać nadkomisarz Podbiał, nazywała się Magdalena Kuszewska. Nie była kosmetyczką ani fryzjerką, jak początkowo spekulowali, ale właścicielką agencji nieruchomości. Jakiej proveniencji, to jeszcze należało sprawdzić.

Chyba nie było w Warszawie nikogo, kto choć raz nie zetknąłby się z takim tworem. Od zdezorientowanych studentów, przez poszukiwaczy pracy czy uciekające przed mężem pijakiem kobiety, po kogoś, komu nowy właściciel kamienicy, cudownie odnaleziony po latach, z dnia na dzień podniósł czynsz pięciokrotnie. Tylko tyle, bo przecież mógł więcej.

W jaki sposób zarabiała na chleb firma Magdaleny Kuszewskiej? I czy miało to jakiś związek z tym, co spotkało Grażynę Wiśniak?

– Co to jest? – Kostek wybałuszył oczy; przednia szyba auta już dawno odparowała i nic nie zakłócało widoczności.

Zbliżali się do przejścia dla pieszych w miejscu, gdzie aleja Waszyngtona łączyła się z rondem Wiatraczna. Co mu nie pasowało?

– Nie ma blaszaka? Skąd się wziął ten wieżowiec? – dziwił się nadkomisarz.

– Chyba dawno tu nie byłeś, co? – zaśmiała się Kornelia.

– To prawda. Jakoś się nie złożyło.

Zrobili łuk, zjechali z ronda i kawałek dalej skręcili w ulicę Czapelską. Przejechali obok bazarku, który oparł się zmianom w okolicy, i zatrzymali przy nowym budynku wciśniętym pomiędzy przedwojenne rudery. Tu najlepiej było widać, co to jest upływ czasu.

Policjanci nie byli pewni, czy o tej porze, a zbliżała się już szesnasta, jeszcze kogoś zastaną na miejscu. Dzwonienie na komórkę Kuszewskiej, aby się tego dowiedzieć, też nie miało większego sensu. Trzeba było zaryzykować. Kornelia sprawdziła numer lokalu i po chwili nacisnęła przycisk domofonu. Zamiast głosu właścicielki lub jakiegokolwiek innego usłyszeli coś, co przyjęli z ulgą: brzęczenie elektromagnesu.

Agencja nieruchomości mieściła się na pierwszym piętrze, o czym informowała tabliczka, na oko dość stara; na pewno starsza niż to miejsce. Kostek nie zapukał do drzwi, tylko zdecydowanym ruchem nacisnął na klamkę.

– Dzień dobry – powiedział wesołym tonem, zanim jeszcze kogokolwiek zobaczył.

– Właściwie to już mamy nieczynne – dobiegł z głębi kobiecy głos. Czy znajomy?

– My tylko na chwilę – dodała Kornelia.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było zaimprovizowanym sekretariatem, choć bez sekretarki, i poczekalnią jednocześnie. Gabinet szefowej mieścił się dalej i to z niego doszło wołanie. Po chwili rozległ się stukot obcasów na podłogowych panelach i w drzwiach stanęła kobieta o wyglądzie pielęgniarki, a dokładnie: siostry przełożonej.

– To z państwem rozmawiałam dzisiaj? – zapytała. – Chodzi o mieszkanie na Piaskach?

– W pewnym sensie tak – zgodził się Kostek. – Mieszkamy oboje na Piaskach i rozmawiałem dzisiaj z panią, ale o czymś innym.

Przez twarz Kuszewskiej przebiegł cień.

– Nie rozumiem.

– Nadkomisarz Konstanty Podbiał, Komenda Stołeczna Policji. – Ręka trzymająca odznakę trwała w powietrzu dłużej niż zazwyczaj. – Pani Magdalena Kuszewska?

– O co chodzi?

– Już to mówiłem, ale nie chciała pani słuchać. O zabójstwo Grażyny Wiśniak.

Tak jak kilka godzin wcześniej przerwała połączenie, tak teraz odwróciła się do nich plecami i po chwili zniknęła w swoim gabinecie. Nie zabarykadowała się w nim jednak ani nawet nie zamknęła drzwi, więc czuli się zaproszeni. Bywały gorsze historie.

– Już jest nieczynne, ale może będzie lepiej, gdy zamknę drzwi – powiedział nadkomisarz i zaraz poparł słowa czynem.

Pani Kuszewska siedziała za biurkiem i spoglądała w komputer, ale prawdopodobnie nie była w stanie czegokolwiek dostrzec na ekranie. Jej wargi drżały. Czyżby hiobowa wieść zrobiła na niej aż takie wrażenie? A może tylko dobrze udawała?

– Tak jak powiedziałem – podjął oficer – Grażyna Wiśniak nie żyje. Została zaszytletowana w przymierzalni w jednym ze sklepów przy Marszałkowskiej, a sprawca nie został jeszcze ujęty. W związku z tym, że w jej mieszkaniu i telefonie znaleźliśmy pani numer, chcieliśmy zadać kilka pytań. Mogliśmy to już mieć za sobą. Ale nie wracajmy do tego. Czy Grażyna Wiśniak była pani klientką?

– Tak... – odpowiedziała niewyraźnie Kuszewska.

– O co chodziło konkretnie? – zadała pierwsze pytanie Kornelia i nie czekając na reakcję, poprawiła: – Lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli nie będzie się pani zasłaniała tajemnicą handlową. To tylko opóźni sprawę. Poza tym zajmujemy się zabójstwem, a nie nieruchomościami.

Magdalena Kuszewska spojrzała na młodą policjantkę, jakby dopiero teraz ją zauważyła. Wyglądała na zmęczoną, nie tylko dniem, ale i w ogóle, życiem. Ten obraz nie pasował zupełnie do agresywnego głosu przekupy, który kilka godzin wcześniej usłyszeli i nagrali w Pałacu Mostowskich. Może zresztą kiedyś nią była? Może nawet na tym starym bazarku, który mijali?

– Pośredniczyłam w wynajmie mieszkania – odpowiedziała.

– Tego na Kole? – chciał wiedzieć Podbiał.

– Nie. Pani Grażynka ma... to znaczy miała jeszcze jedno, przy Górczewskiej, bliżej Bemowa. Po jej byłym partnerze, który niedawno zmarł.

Kostek dotknął lewej piersi. Jeszcze gdy jechali na Pragę, dostał zdjęcia wszystkich mężczyzn, które wisiały w mieszkaniu Wiśniak. Nie sądził jednak, by Kuszewska widziała kiedykolwiek człowieka, do którego należał wcześniej lokal. Ważniejsze było coś zupełnie innego.

– A proszę mi powiedzieć, czy Grażyna Wiśniak miała prawa do tego lokalu? – zapytał ryzykownie nadkomisarz.

Cisza. Zbyt długa. Dużo lepiej zabrzmiałoby stukanie klawiszy komputera. Wtedy wiedzieliby, że jest jeszcze szansa, że odpowiedź na to pytanie padnie. A więc ryzyko się opłaciło.

– Ten człowiek... on... zmarł – dukąła kobieta.

– I z tym już nie ma co dyskutować – podsumował Podbiał. – Pytanie, czy Wiśniak była jedyną osobą, która dziedziczyła. I czy są na to jakieś papiery?

– Papiery? Niech sami sobie szukają papierów, skoro mają klucze od jej mieszkania i bezczelnie sobie tam włążą! – Kuszewska nagle odzyskała pewność siebie. – Może nawet panienki sprowadzają. – Jej wzrok na ułamek sekundy zatrzymał się na Kornelii, ta zaś w jednej chwili zrobiła się czerwona na twarzy, bynajmniej nie ze wstydu.

– Pani wybaczy, ale znamy swoje obowiązki i wiemy, co mamy robić – wyrzucił z siebie Kostek. – A teraz chciałbym obejrzeć umowę, którą podpisała pani z Grażyną Wiśniak.

– To była tylko ustna umowa – odpowiedziała Kuszewska.

– Rozumiem, że taka forma jest również dopuszczalna. Czy obowiązuje ona także pani agencję i tych, którym wynajęła pani mieszkanie przy Górczewskiej? Bo wynajęła je pani komuś, prawda? Miałycie się dzisiaj spotkać, ale coś pani wyskoczyło, jeśli dobrze pamiętam. Poproszę zatem o umowę wynajmu lokalu, o którym mówimy.

– Ale powiedział pan, że zajmujecie się morderstwem, a nie nieruchomościami – odparowała z miejsca kobieta.

Tylko współczuć człowiekowi, który jest jej zięciem – pomyślał Kostek.

– Szanowna pani – znów wtrąciła się Kornelia; być może przełknęła już uwagę na temat kochanek policjantów i schadzkiach. – W ciągu godziny mogą tu być wszystkie służby uprawnione do dokonania kontroli, włącznie z przeciwpożarową i sanitarną. I będą szukać tak długo, aż coś znajdą. Dlatego lepiej dla nas wszystkich byłoby, gdybyśmy skupili się tylko na tym jednym mieszkaniu i nazwisku jego właściciela. Żywy czy martwy, nieważne. Ważne, żeby był prawdziwy.

Tym razem nie odpowiedziała im cisza ani stukanie w klawisze, ale pukanie do drzwi.

47

Następnego dnia rano Podbiał i Kornelia, zaraz po przekroczeniu progu Pałacu Mostowskich, udali się nie do swojego pokoju, ale prosto do gabinetu Kontry. Nadkomisarz, którego staż bywalca był dłuższy niż dziewczyny, od razu poczuł dziwne napięcie, które panowało w tym miejscu.

Czyżby znów jakaś kontrola? – zastanawiał się.

– Jak jest? – zapytał na wszelki wypadek sekretarkę szefa.

– Nie wiem, dopiero przyszłam – odpowiedziała zgodnie z prawdą, bo filiżanka była jeszcze pusta, a na biurku stała otwarta torebka.

Alle zbliżał się termin złożenia raportu, więc trzeba było stawić czoło przeznaczeniu. Podbiałowi zdarzały się czasem takie dni, a nawet tygodnie, kiedy wszystko w jego życiu, a zatem i w robocie musiało działać jak w zegarku.

Zapukał do drzwi i nie czekając na odzew, nacisnął klamkę. Fakt, że przepuścił przodem towarzyszącą kobietę, można było śmiało powiązać ze zwyczajami jaskiniowców, którzy w ten prosty sposób sprawdzali, czy w jaskini nie ma aby jakiegos dzikiego zwierzęcia.

– Właśnie przyszedł, tak. Na razie. – Kontra odłożył słuchawkę telefonu na miejsce.
– Kto się o mnie pyta? – rzucił lekkim tonem Kostek.
– Naprawdę chcesz wiedzieć? Dzwonili ze Złotych Tarasów – odpowiedział szef. – Znów musiałeś coś odpiardolić? Nie widzisz, co się dzieje na ulicach? Mało mamy kłopotów?

– Ale to moja wina – przyznała się Kornelia. – On próbował tylko złagodzić całą sytuację...

– I wyszło jak zwykle – westchnął Kontra i spojrzął w okno. – Mam nadzieję, że się to rozejdzie po kościach.

Dobrą chwilę milczeli. Ciszę przerwał gospodarz:

– Czego właściwie chcecie? – Spojrzął na nich jakoś nieprzytomnie.

– Raport mieliśmy złożyć – odpowiedział Kostek.

– No to już, nie dygaj! Czasu mało.

Na początek nadkomisarz opowiedział pokrótce o tym, co wydarzyło się od chwili morderstwa Grażyny Wiśniak, następnie pokusił się o wstępne podsumowanie.

– Mamy dwie ofiary i jednego mordercę – rozważał. – Potwierdza to narzędzie i sposób jego użycia, a także znaki, które zostawił. Nie są to cytaty z Biblii mówiące o nieuchronności kary, jak na początku myślałem. Ale starszy aspirant Cecot jeszcze szuka. Mamy też prawdopodobny motyw zbrodni: tak Wojciech Ożóg, jak i Grażyna Wiśniak byli uwikłani w skomplikowane sprawy spadkowe, a zniknięcie tych ludzi na zawsze rozwiązywało wiele problemów innych ludzi...

– W drugim przypadku jeszcze tego nie wiemy – zauważył Kontra.

– Ale jest duża szansa, że tak właśnie jest. Na razie musimy namierzyć pana... – Podbił sięgnął do kieszeni, skąd wydobyl bilet wizytowy ze stylizowanym napisem AGENCJA NIERUCHOMOŚCI MAGDA, na którego odwrocie przyciśnięta do muru właścicielka drżącą ręką napisała potrzebne im dane – Jerzego Giedrowskiego. Chcesz go zobaczyć? – Wskazał na leżący przed nimi tablet, gdzie miał zgrane wszystkie fotografie zamordowanej z kochasiami: od kościuszkowca po tajemniczego pana Roberta.

– Nie chcę – odpowiedział podinspektor.

– Zatem namierzyć Giedrowskiego, a raczej jego krewnych. Ta Kuszewska to jednak solidna firma, skoro ma takie dane.

– Ale pewnie dalej by się migała, gdyby nie spóźniony klient – dodała policjantka.

– Tak, chłopina nam bardzo pomógł. Wyglądał na Azera czy innego Kazacha i pewnie baba go oszukała, jak wyszliśmy. Wcisnęła norę, choć obiecywała apartament. Tak czy siak, najwyraźniej pani Kuszewska lubi jechać po bandzie, bo wynajęła ludziom mieszkanie, o które ktoś w każdej chwili może się upomnieć. No chyba, że się mylimy. Sprawie trzeba się przyjrzeć choćby dlatego, że ktoś za ten lokal płaci.

– Ile? – zapytał Kontra. – Dawno nie wynajmowałem...

– Ja też nie, więc nawet nie wiem – odpowiedział podkomendny. – Ale mogliśmy się tego bez problemu dowiedzieć, bo Kuszewska próbowała nam sprytnie przekazać pieniądze. Oczywiście pewnie tylko te za pierwszy miesiąc najmu, a nie swoją prowizję, czyli połowę tej stawki.

– To by dopiero było „bez problemu”. – Krzysztof wzdrygnął się, a potem spojrzął na zegarek. – Co zamierzacie dalej zrobić z tą sprawą?

– Udało nam się zdobyć namiary na syna Jerzego Giedrowskiego, Kamila – odpowiedział Podbiał. – Nie znam człowieka, ale czuję, że trzeba go będzie przycisnąć. Chcemy go jeszcze dzisiaj odwiedzić.

– Tylko może już delikatnie, dobrze? – Kontra pogroził mu wskazującym palcem.

Podbiał podniósł swoje dwa.

– Słowo harcerza!

Minutę później Podbiał i Kornelia wyszli na korytarz. Teraz to Kostek spojrzął na zegarek.

– Mamy niewiele czasu – powiedział półgłosem, a potem spojrzął pytająco na współpracowniczkę. – Jesteś pewna?

– Tak – odpowiedziała dziwnie niskim głosem. – Jedziemy z nim.

W drzwiach KSP minęli się z Cecotem.

– Zaraz wracamy – rzucił w przelocie Kostek.

– A co ja mam robić? – zdążył jeszcze zapytać aspirant, rozkładając bezradnie ręce.

– To co wczoraj. Zresztą zapytaj Kontry, bo mówił, że są jakieś problemy z prokuratorem.

48

Kamil Giedrowski niecierpliwie spoglądał na zegarek. Zbliżała się dziesiąta i dokładnie o tej porze kazano mu przyjść po odbiór samochodu. Znał ten warsztat i wiedział, że jest solidny i pracują tu fachowcy. Nigdy też nie spotkał się z sytuacją, że ktoś próbował go naciągnąć, co było, niestety, normą w wielu tego typu miejscach w stolicy. Pewnie także i tutaj któremuś z mechaników zdarzyło się spróbować, gdy widział za kółkiem nieporadną kobietę. Albo auto miało rejestrację inną niż warszawska czy nawet mazowiecka.

Często jednak zdarzało się, że robota była kończona z poślizgiem. I wiele wskazywało na to, że tak będzie i teraz. Jego toyota wciąż wisiała pod dachem warsztatu, ale nikt nic przy niej nie robił. Była nadzieja, że skończył i wystarczy opuścić wóz. Ale była też obawa, że naprawy jeszcze nie rozpoczęto, bo zawsze trafi się ktoś ważniejszy, komu się bardziej spieszy.

Ktoś wyszedł z pakamery. Giedrowski rozpoznał właściciela warsztatu. Świetnie!

– Dzień dobry jeszcze raz, szefie! – zawołał, zbliżywszy się szybkim krokiem do mechanika. – Po moją toyotę przyszedłem. Jest gotowa, nie?

– Jak widać. – Mistrz niedbałym ruchem wskazał na podwozie, więc tak naprawdę gest mógł dotyczyć wszystkiego, każdej części.

– To możemy się rozliczyć?

– Jasne. Zapraszam do biura. Tylko niech ją panu opuszczą, chyba że woli pan polecieć – zaśmiał się właściciel warsztatu.

Przydałoby się – pomyślał Giedrowski, spojrzawszy znów na zegarek. Nie mógł nawet zadzwonić i uprzedzić, że się spóźni na spotkanie, bo padła mu komórka. Siła

złego na jednego.

49

Gdy Kostek i Kornelia docierali rano do firmy, było jeszcze szaro i ponuro. Zresztą co się dziwić, przecież zaraz miała się rozpocząć trzecia dekada października. W policyjnym kalendarzu od lat oznaczało to przygotowanie ważnych akcji o wdzięcznych nazwach „Znicz” i „Hiena”.

Kiedy jednak niemal godzinę później opuszczali gmach o mylącym adresie, przez wiszącą nad Warszawą mgłę coraz śmieiej przedzierały się promienie słońca. Jeśli wygra w tej odwiecznej rywalizacji, ten dzień będzie miał szansę miło zapisać się w pamięci mieszkańców miasta. Tylko czy wszystkich? O to właśnie miało zadbać tych dwoje.

– Pojechać z tobą po tę baterię do zlewozmywaka? – zapytał Podbiał, kiedy mijali uliczną reklamę jednego z budowlanych hipermarketów.

– Dzięki, ale nie chciałabym ci zawracać głowy – odpowiedziała dziewczyna. – Taka bateria nie jest chyba zbyt ciężka, co?

– Przyznam się, że zawsze oglądałem tylko takie, które były już zamontowane do ściany czy wanny, w sklepie albo w mieszkaniu, więc tak naprawdę to nie wiem. Może waży tyle co kałazników z pełnym magazynkiem? Strzelałaś kiedyś?

– No pewnie! Na szkółce regularnie.

– Już czuję się bezpieczniej.

Pół godziny później zaparkowali pod jednym z czteropiętrowych bloków przy Chodeckiej na Bródnie. Kornelia jeszcze raz sprawdziła adres. Z klatki schodowej akurat ktoś wychodził, więc nie musieli korzystać z domofonu. Zresztą gdyby nawet mieli pocałować klamkę, to drzwi, jak się po chwili okazało, były na pierwszym piętrze.

Kostek nacisnął dzwonek, ten zaś zaterkotał tak głośno, że umarłego by podniósł, a jednocześnie przeraźliwie, więc i Łazarz pewnie padłby zaraz z powrotem.

– Kto tam? – z drugiej strony dobiegł męski głos.

– Swój. – Podbiał cofnął się pół kroku i stanął na wprost, by dobrze wypaść w judaszu, po czym wyciągnął przed siebie rękę z odznaką, żeby nie była gorsza.

Rozległ się chrobot klucza przekręcanego w zamku. Po chwili na progu stanął młody mężczyzna ubrany tylko w opadające spodnie od dresu.

– Ale o co chodzi? – Z trudem powstrzymał się przed ziewnięciem. – Przecież zgrupowanie dopiero o drugiej po południu...

– Zgadza się, ale my w trochę innej sprawie – powiedział Kostek. – Możemy wejść?

– My?

Dopiero teraz Kornelia pokonała ostatni stopień schodów i znalazła się w polu widzenia gospodarza, który usunął się, by wpuścić gościa. Kiepski specjalista, że dał się tak podejść.

– Dzień dobry – powiedziała Banaś. – Poznajesz mnie?

– Nie, nie znam pani. O co w ogóle chodzi? – w głosie tamtego po raz pierwszy odezwała się irytacja. – Skąd jesteście?!

Podbiał, nie spuszczać wzroku z półnagiego mężczyzny, starannie zamknął drzwi. Miał na dłoniach rękawiczki, których używało się zwykle podczas oględzin na miejscu przestępstwa; musiał je włożyć zaraz po wejściu do mieszkania. Pytane tylko: po co? Czyżby wiedział, że znajdzie w tym miejscu trupa? A może trup jeszcze nim nie był?

– Mówisz, że mnie nie znasz... – Kornelia zawiesiła głos i wbiła spojrzenie w młodego mężczyznę, który stał teraz na progu kiszkowatej kuchni. – W takim razie dlaczego do nieznanomych kobiet na ulicy mówisz „ty kurwo”? Zaznaczmy, że nie są to panie z okolic warszawskiego hotelu Marriott, choć i do nich chyba nie wypada.

Człowiek, którego naszli, zmarszczył czoło.

– Czekaj, bo myśli – skomentował Kostek. – Dajmy mu chwilę. Może będą efekty?

Efekt był, ale zgoła inny: mężczyzna szarpnął się i pewnie byłby doskoczył do Kornelii, gdyby nie jej starszy kolega, który skierował w jego stronę jakiś ciemny przedmiot. Rozległo się bzyczenie, potem jęk rażonego prądem człowieka. Chwilę później ciało, przez które przeszło 5 milionów voltów, osunęło się w drgawkach wzdłuż framugi kuchennych drzwi.

– Nieźle to „Tornado”! – Kostek spojrzał z podziwem na paralizator.

Tak zakończył się pierwszy etap akcji, którą tej jesieni przeprowadzała warszawska policja. A dokładnie dwoje jej funkcjonariuszy. Nie zdążyli jeszcze nadać jej żadnego kryptonimu, ale wiele wskazywało, że najlepszy będzie: „Menda”.

50

Zatrzymał się przed szlabanem, za którym zaczynało się jego osiedle. Była za piętnaście jedenasta, więc teoretycznie minął tylko kwadrans akademicki. Ale o tym dobrym zwyczaju mało kto chyba dzisiaj jeszcze pamięta.

Chwilę później przed wejściem do swojego bliźniaka zobaczył mężczyznę. Czyżby jednak?

– Kamil Giedrowski – przestawił się, wysiadłszy z samochodu, by zaraz zapytać z nadzieją: – Pan może do mnie?

– Zgadza się – odpowiedział tamten. – Dzień dobry.

Spóźnialski uściśnął wyciągniętą dłoń.

– Przepraszam, panie mecenasie, ale dopiero odebrałem samochód od mechanika, a wie pan, jak oni potrafią pracować. Do tego nie mogłem uprzedzić waszej kancelarii, że się spóźnię.

– Czasami bywa i tak. Na szczęście poczekałem na pana.

– Mam nadzieję, że to mocno nie skomplikuje pańskich dalszych spraw?

– Mam spory zapas przed kolejnym spotkaniem – rzekł na to z uśmiechem prawnik, co ostatecznie uspokoiło jego kłopotliwego klienta.

– W takim razie zapraszam do domu.

Kilka minut później siedzieli w gustowniej urzędzonej jadalni. Gospodarz kończył nalewać do filiżanek kawę z ekspresu.

– Cukier, śmietanka? – zapytał jeszcze.

– Odrobina mleka, jeśli to nie problem – odpowiedział gość.

Jeszcze kilka ruchów, kilka stuknięć oraz brzęknięć i można było przejść do rzeczy. A raczej trzeba. Czas prawnika jest przecież bardzo cenny, mimo tej zakładki. Zresztą pewnie żadnej nie ma, a powiedział to tylko z uprzejmości. Nasz klient, nasz pan, jak głosi stare powiedzenie.

– Jak pan zapewne wie, mecenasie – podjął Kamil Giedrowski – wcześniej korzystałem z usług innej kancelarii prawnej, ale nie byłem z niej zadowolony. Powiem tak: ślimaczyło się to wszystko, a ja nie mam już czasu ani na chwilę zwłoki. Sprawy zaszły po prostu zbyt daleko.

– Rozumiem.

– Mam nadzieję, że z waszą pomocą uda mi się odzyskać to, co do mnie należy! – Giedrowski nie zdołał się pohamować i uderzył pięścią w stół, aż poskoczyły małe łyżeczki, zaraz się jednak zreflektował: – Przepraszam.

– Nie szkodzi. Wszystko rozumiem. Nerwy.

– Tak, to nerwy. Sprawę już wstępnie przedstawiłem kilka dni temu w rozmowie z mecenasem Kraszewskim. Chodzi o to, że Grażyna Wiśniak związała się z moim nieżyjącym ojcem, a kiedy ten zmarł, przejęła jego mieszkanie. Oczywiście nie ma do niego żadnych praw, nie została uwzględniona w testamencie. Zresztą nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ta osoba wymyśliła sobie taki sposób na życie. Jeśli tak, to tym bardziej trzeba ją powstrzymać, zanim napsuje krwi innym ludziom. To cwane babsko jest! Kuta na cztery kopyta...

– A czy próbował się pan jakoś dogadać po dobroci z tą Wiśniak? – zapytał mecenas.

– Tak. Zawsze to lepiej po dobroci, nie wspominając już o pieniądzach, które można zaoszczędzić.

Prawnik skrzywił się, jakby coś go nagle zabolalo. W dosłownym znaczeniu, ale może właśnie tak odebrał aluzję, że przedstawiciele jego zawodu to najczęściej bezwzględni krwio pijcy. Nieważne przecież, jaki będzie wynik sądowej batalii, oni i tak na tym zarobią. Chyba jeszcze nie ma i raczej nie będzie kancelarii adwokackich, które reklamowałyby się znanymi skądinąd sloganami: satysfakcja (czytaj: wygrana sprawa) albo zwrot pieniędzy.

– Może to pana zdziwi, ale ja też wychodzę z tego założenia – zgodził się mecenas, upiwszy trochę kawy z filiżanki, a potem coś zanotował w grubym brulionie. – Nic dziwnego, że te wszystkie sprawy tak długo trwają.

– Załatwmy jeszcze szybko tylko tę jedną, a potem niech zapanuje powszechna zgoda – zaśmiał się krótko Giedrowski, by po chwili dodać z powagą: – Odwiedziłem ją nawet w jej mieszkaniu, na Kole. Taka nora, choć też nie jestem pewien, czy to jej, czy może „odziedziczyła” po jakimś kolejnym łatwowiernym i naiwnym. Nieważne. Mnie interesuje tylko mieszkanie po moim ojcu na Górczewskiej. Wiśniak powiedziała, że, owszem, ustąpi, ale nie za darmo.

– Ciekawe, ciekawe.

– Bo to cwane babsko jest! – Pięść Kamila znów uniosła się nad blatem, ale na szczęście tym razem nie opadła. – Zaśpiewała franca taką kwotę, że aż usiadłem. Taniej by wyszło, gdyby zapłacić chłopakom ze Wschodu, żeby ją odwiedzili po koledzie i do rozumu przemówili!

Mecenas nieco dłużej zatrzymał wzrok na kliencie. Ten chyba wyczuł, że dał się ponieść emocjom.

– Oczywiście jestem cywilizowanym człowiekiem i stosuję tylko cywilizowane metody – powiedział. – Odrzuciłem ofertę Wiśniak, a następnie znalazłem nową kancelarię prawną. Mam nadzieję, że okażecie się skuteczniejsi. Czy chciałby pan coś jeszcze wiedzieć na ten temat, panie mecenasie?

– Tak. Skoro rozmawiamy jak cywilizowani ludzie, to pewnie pan się orientuje, kto reprezentował Grażynę Wiśniak?

Kwadrans później Kamil Giedrowski zamknął drzwi za prawnikiem, który odszedł do innych swoich spraw, mniej lub bardziej skomplikowanych, ale na szczęście nie przez spóźnienie klienta. Dziwny jakiś był, nie mówiąc już o tym, że ubrany nie jak ktoś jego profesji, czyli garnitur, a przynajmniej marynarkę i koszulę. Jakoś dopiero teraz o tym pomyślał.

Zaraz odezwała się jego komórka. Leżała niedaleko, podłączona do ładowarki i gniazdka. Giedrowski zerwał się z podłogi, wyrwał kabelek i odebrał połączenie, nie patrząc na wyświetlacz.

– Dzień dobry panu – w słuchawce zabrzmiał znajomy skądś głos. – Z tej strony Sebastian Kraszewski z kancelarii adwokaciej.

– Dzień dobry, panie mecenasie – przywitał się lekkim tonem.

– Telefonuję do pana, ponieważ nasz pracownik był dzisiaj u pana, ale, niestety, pan się nie pojawił na czas, a on nie mógł dłużej czekać...

Giedrowski poczuł nieznośną gorącość na twarzy i klatce piersiowej. Z trudem przełknął ślinę.

– Ale przecież... to znaczy... – głos uwiązał mu w gardle.

– Musimy ustalić nowy termin, panie Kamilu – perorował niewzruszenie Kraszewski. – Nie ukrywam, że wolałbym, aby to pan przyjechał jednak do nas, na Mokotów. Tym bardziej że diametralnie zmieniły się okoliczności.

– To znaczy? Może pan mówić jaśniej, panie mecenasie?

– Oczywiście. Zapewne dostała już do pana informacja, że Grażyna Wiśniak, z którą się pan procesuje, nie żyje?

– Co takiego?!

– Została przedwczoraj zamordowana.

Ręka Giedrowskiego nie była już w stanie utrzymać telefonu, a jego nogi – reszty ciała. Mimo to usłyszał ostatnie słowa swojego prawnika:

– Czekam na telefon, panie Kamilu. Do widzenia.

51

Kornelia cofnęła się krok w stronę drzwi wejściowych, jakby bała się, że unieszkodliwiony mężczyzna, który jeszcze przez chwilę wił się w konwulsjach, na nią zwymiotuje. Albo pobrudzi w jakiś inny, równie szkaradny sposób. Po chwili spojrzała z przerażeniem na leżącego, potem na broń w ręku Podbiała, którą ten obracał jak zabawkę, i znów na tamtego. Oboje wiedzieli, podobnie jak chyba każdy w miarę

rozgarnięty gliniarz w tym kraju, że paralizator w rękę mundurowego nie zawsze bywa mniejszym złem.

– On chyba nie oddycha... – powiedziała.

Podbiał ukucnął, dotknął fachowo szyi tamtego, po czym rzucił półgębkiem:

– Nic mu nie będzie.

Podziałało jak zakłęcie, bo nagle porażony poruszył głową, otworzył oczy, jęknął:

– Co... co jest grane, kurwa?

– A nie mówiłem – skwitował Podbiał. – I już tak nie kurwuj, chłopcze, bo jesteśmy w towarzystwie damy. – Pogroził mu paralizatorem, następnie wyciągnął z kieszeni kajdanki i przykuł go do metalowej nogi stolika przykręconej do podłogi.

Kornelia Banaś zacisnęła wargi. Obawa o zdrowie, a nawet życie tego człowieka ustąpiła miejsca innym zgoła uczuciom. Gdy kilka chwil wcześniej pytała, czy tamten ją poznaje, nie zdziwiła się przeczącej odpowiedzi. Pan starszy posterunkowy miał wtedy pełne ręce roboty i musiał zelżyć wiele kobiet, które znalazły się na ulicy Mickiewicza. Jedne przyszły tam, aby po raz kolejny wyrazić swój sprzeciw, inne, jak Kornelia, znalazły się w tym miejscu przypadkowo. Nie miały czerwonych błyskawic ani parasolek, co jednak nie oznaczało, że nie myślą podobnie. Wszystkie w pewnym momencie zostały zamknięte w kotle.

Kornelia, która chciała się z niego wydostać, została nazwana kurwą przez nabuzowanego byczka w mundurze i przekrzywionej furażerze na ogolonym łbie. Mimo że miała ze sobą legitymację służbową, na której widok przyjemniczek stanęłyby z miejsca na baczność, nie wyjęła jej, by wydostać się z matni. Wycofała się, weszła ponownie w tłum, gdzie złość i desperacja mieszała się z przerażeniem. Pomogła wstać z ziemi jakiejś kobiecie, uspokajała nastolatkę, która dostała ataku hysterii. Jednocześnie przez cały czas biła się z myślami.

Wyszła z kotła, kiedy już prewencja przystąpiła do pacyfikacji. Wyszukała oficera i dopiero jemu się wylegitymowała. Pewnie wziął ją za jedną z tajniaków, których wpuścili w tłum. Wyszła z tego niemal bez szwanku, jeśli nie liczyć strat moralnych. Nie chciała wtedy wracać na Rudnickiego. Poszła do siostry, Moniki, mimo że był u niej jej chłopak, została na noc, a potem całą niedzielę i jeszcze kolejną noc. Trochę jej to pomogło.

Zapamiętała sobie tego gnojka, który ją wyzwał, ale póki co nie miała pomysłu, co dalej z tym zrobić. Póki nie zobaczyła go tamtego wieczora, gdy ratowali Horna. A teraz przyszedł czas, aby wyrównać rachunki. Ustalenie adresu zamieszkania policjanta nie było trudną sztuką.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał zboliałym głosem starszy posterunkowy.

– Splamiełeś mundur funkcjonariusza polskiej policji – rzekł Kostek tonem godnym oskarżyciela w procesie, na który wpuszczono kamery. – Ale możemy o tym zapomnieć i dać ci jeszcze jedną szansę.

– To znaczy?

– Musisz nam powiedzieć, co wiesz o ostatnich akcjach – sprecyzowała Banaś. – Chodzi o to, że nie wszystkie panie, które zostały zatrzymane podczas protestów, od razu wróciły do domów.

– A niektóre z jakiegoś powodu straciły nawet ochotę do życia... – dodał Kostek.

– Ja nic nie wiem! – krzyknął tamten.

– No to rzeczywiście problem. Ale jest na to sposób: dawka przypominająca.

Mogłoby by się здаwać, że po takich słowach znów rozlegnie się przerażające bzyczenie urządzenia, które Podbiał wciąż trzymał w ręku. Może nawet wystarczy i da się zaoszczędzić kolejne 5 milionów voltów. Ale zamiast tego usłyszeli dzwonek telefonu.

– Pewnie prezydent USA z ułaskawieniem – rzucił Kostek z krzywym uśmiechem, po czym przeszedł z kuchni do największego pokoju i dopiero tam odebrał połączenie; numer nieznaną, więc pewnie znów oferta dla mieszkańca wiadomego powiatu. – Białą Dom, słucham.

– A ja myślałem, że dodzwoniłem się do domu ojca... – w słuchawce rozległ się głos kapitana Piotra Duchy.

– I z duchem twoim. Nie mów, że coś dla mnie masz!

– Pokazałem fotkę twojego mściciela kilku osobom.

– Czyżby kolejny weteran z Afganu nudził się na rencie?

– Chciałbyś powtórkę z rozrywki, co? Nie ma tak dobrze. To tylko sąsiad kolegi. Jak widać, wśród cywilów też można trafić na świra. Chyba, bo pewności nie ma, kiepska jakość zdjęcia. Sprawdzisz typa?

– Za to mi płacą.

52

To wszystko moja wina – pomyślała Ewa.

Od pewnego czasu zaczęła się nad tym wszystkim jeszcze raz zastanawiać. Tak, to ona chciała rozwodu, to ona chciała odejść. Nie mogła już znieść tego człowieka, jego bliskiej obecności, głosu, zapachu. A jednak dopadły ją wątpliwości, czy dobrze robi. Rychło w czas, kiedy wszystkie sprawy zaszły już tak daleko, kiedy wyprowadziła się z dzieckiem z domu, wynajęła mieszkanie i co miesiąc sporo za to buliła. Dobrze, że miała zasądzone zabezpieczenie powództwa i mąż (wciąż jeszcze) musiał już jej płacić. Wreszcie tyle pieniędzy wydała na adwokatów.

„Masz trzydzieści lat, nie trzynastie” – powtarzała często jej matka. I trudno było nie przyznać jej racji. Od niektórych decyzji nie będzie już odwrotu. A jednak coś ją uwierało jak kamyk w bucie. Może to znak? Powód, żeby wszystko jeszcze raz przemyśleć. Przecież nikt na nich nie czekał, bo ani Grzegorz nikogo nie miał, ani ona. Coś tam było, ale się zmyło. Ludzie nawet na ostatniej rozprawie zmieniali zdanie, ba!, schodzili się, kiedy już było po wszystkim, a oni szli na pożegnalną kawę do knajpki po drugiej stronie ulicy...

Odezwała się komórka. To matka, więc trzeba odebrać.

– Halo? – rzuciła niechętnie do aparatu.

Chwilę słuchała, przyglądając się półce z narzędziami. Nawet nie wiedziała, że tyle może tego być. No tak, ale przecież nigdy się tym specjalnie nie interesowała. A teraz, po wyprowadzce z domu, była zdana tylko na siebie.

– To włącz mu jakieś bajki, mamó – powiedziała po chwili. – Zaczynają się od setnego kanału. Przecież potrafisz wszystko uruchomić, a jak nie, to wnuczek ci pomoże. On potrafi, lepiej niż dorośli. Co? Ja muszę jeszcze poszukać farby do ścian. Jakiejś ładnej. Prócz białego jest jeszcze kilka kolorów, a ja nie muszę już pytać o pozwolenie...

Tak, często to ostatnio powtarzała. Tyle że farb akurat tutaj nie było, bo wszystko działo się w alejce z narzędziami.

– Muszę kończyć. Wrócę jak najszybciej. – Rozłączyła się, schowała telefon do torebki i trochę bezradnie rozejrzała się na boki.

Tak. Szukała farby, bo ściany w jej nowym mieszkaniu aż prosiły, żeby się nimi zająć. Dlatego wreszcie się odważyła i w to popołudnie postanowiła pojechać do budowlanego supermarketu. Miała nadzieję, że nie będzie tego dnia i o tej porze takich tłumów jak w sobotę, kiedy to wszystkim naraz zepsują się baterie przy wannie, spłuczka w ubikacji, zacznie przeciekać dach, zerwie się podłoga, pies zachlapie błotem ścianę i co tam jeszcze niesprawiedliwy los sobie wymyśli. Oczywiście część ludzi wpadnie tu dla czystej rozrywki.

Ale dziś, rzeczywiście, tłumów nie było. Niestety, ona będzie musiała nie tylko wybierać wszystko sama, ale też dzwigać.

– Gdzie ty się podziewasz? – usłyszała kobiecy głos. – Przecież mieliśmy oglądać tapety!

– Na razie oglądałem narzędzia, skarbie. – Młody i przystojny mężczyzna wskazał na towar gestem sprzedawcy. – Zobacz, ile tego jest!

Masz już tyle zabawek, nie dostaniesz kolejnej – zaśmiała się w duchu Ewa.

– Już idę, skarbie – Chłopak odłożył na półkę wkrętak z czerwoną rączką.

Tamta para, małżonkowie, a może tylko narzeczeni, poszli sobie. Na nią też już był czas. Właściwie to mogła zabrać się z nimi, bo tapety i farby to chyba podobny asortyment.

Ruszyła przede siebie sklepową alejką, skręciła w prawo w główną, tam gdzie po bokach umieszczono tablice informacyjne. Dostrzegła stylizowany napis FABRY. Jest dobrze. Jednak zamiast skierować kroki prosto do celu, Ewa znów odbiła w bok. Ujrzała amfiladę drzwi, co z miejsca skojarzyło jej się z dawnymi latami i szkolnym korytarzem, zalanym słonecznym światłem. Był pusty, więc było już po lekcjach albo jeszcze długo przed. A może w trakcie, a ona chwilę wcześniej zapytała nauczycielkę, czy może pójść do toalety. Czasami tak się zdarzało. Lekcja trwała nadal bez niej.

Czy tak samo jest z życiem? – przeszło jej przez myśl. Może rozwód zmieni wszystko i będzie teraz jak zadżumiona?

Zatrzymała się w połowie alejki, przed drzwiami o jasnym kolorze. Zwyczajne drzwi, których zadaniem była obrona dostępu do mieszkania i ochrona domowników. Ale też skrywanie rodzinnych tajemnic. Tak, ona właśnie otworzyła swoje drzwi, otworzyła je kopniakiem i wszystkie brudy wypłynęły...

Chwilę później usłyszała za sobą kroki. Odruchowo dotknęła zimnej klamki. Ten ktoś zbliżał się, ale pewnie zaraz zacznie się oddalać. No, chyba że spodobał mu się te same drzwi.

Nagle w powietrzu rozległ się świst i Ewa poczuła, że spada jej na głowę coś ciężkiego...

53

– Musiałem załatwić jeszcze jedną ważną sprawę. Proszę wejść, zapraszam.

Mecenas Janusz Krupa, współwłaściciel kancelarii Krupa i Wspólnicy, otworzył szeroko drzwi gabinetu. Podobnym przymiotnikiem można było określić gest, którym zaprosił gościa do środka, i uśmiech, jakim go obdarzył. Wszystko było jak należy. Jak wczoraj i pewnie jutro też.

– Roboty, jak pan sam widzi, sporo. Do tego wiele się dzieje i nie zawsze dobrych rzeczy. – Gospodarz dopiero teraz odłożył na biurko telefon, zaraz jednak ruszył z powrotem ku otwartym jeszcze drzwiom i zapytał: – Czego się pan napije? Kawa? Herbata?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie niech pan zechce spocząć.

Klient, który właśnie znalazł się naprzeciwko mecenasa Janusza Krupy, był niepozorny, ubrany zwyczajnie, nawet bardzo, bo w szarą bluzę z kapturem, może nawet lekko zabiedzony. Do tego minę miał taką, jakby coś go bolało. Może coś konkretnego, jakaś część ciała, a może po prostu życie?

– Bardzo dziękuję, panie mecenasie, że zgodził się mnie pan przyjąć – powiedział. – Zdaję sobie sprawę, jak cenny jest pański czas, ale ja...

Przerwał, dotknął dłonią klatki piersiowej, a potem zsunął ją niżej. Spojrzał w bok, na ścianę. Był błądy niemal jak ona, oddychał z trudem.

– Dobrze się pan czuje? – zaniepokoił się prawnik. – Może jednak poproszę o tę wodę?

– Nie chciałbym robić kłopotu. – Klient zmusił się do uśmiechu. – Ale tak się składa, że ja wyszedłem właśnie ze szpitala...

Chwilę później niemal jednym haustem wypił ponad pół szklanki wody, którą osobiście przyniósł mu przejęty gospodarz.

Krupa z niepokojem przyglądał się temu człowiekowi. Właściwie to był już przyzwyczajony do tego, że w jego gabinecie ludziom robiło się słabo. Kobiety dostawały ataku hysterii, a mężczyźni złości. Jeden to nawet podłokietnik w krzesle połamał, na szczęście było stare, więc i tak trzeba je było wymienić. Apteczka, owszem, była, a w niej niezbędne medykamenty. A może powinni zaopatrzyć kancelarię w jakiś poważniejszy sprzęt, choćby taki defibrylator? Przecież zawał serca u jakiegoś nieszczęśnika to tylko kwestia czasu.

– Lepiej panu? – zapytał adwokat.

– Tak. Dziękuję.

– Rozumiem, że możemy wrócić do naszej rozmowy.

– Spróbujmy.

– Zanim jednak zapytam o problem, który pana do nas sprowadził, chciałabym wiedzieć, skąd się pan dowiedział o naszej kancelarii. To wbrew pozorom przydatna

wiedza, bo dzięki temu wiemy, gdzie położyć nacisk, jeśli chodzi o reklamę, a może nawet już z niej zrezygnować...

– Moi dobrzy znajomi mi powiedzieli, że jesteście nieźli – odparł mężczyzna szybko, zupełnie jakby był przygotowany na takie albo bardzo podobne pytanie.

Mecenas nawet nie zdziwił się określeniu jego firmy. Sam na pewno by go nie użył ani na sali sądowej, ani podczas rozmowy z klientem. Ale przecież ci byli różni, a te ściany niejedno już słyszały. I z różnych zapachów je wietrzono.

– Znajomi, pan powiada? – Krupa uśmiechnął się pod nosem.

– No tak. Ożóg się nazywa ten znajomy. Wojciech Ożóg. A znajoma to Grażyna Wiśniak. Na pewno ich pan pamięta, mecenasie...

Cień przebiegł po twarzy prawnika. Nic nie zostało z jej pogodnego wyrazu, który miał nieść nadzieję i wyrażać pewność, że trafiło się pod właściwy adres i będzie dobrze, mimo że teraz wydaje się, że nie ma już ratunku. Kancelaria adwokacka Krupa i Wspólnicy nie da ci zginąć!

– Kim pan jest, do cholery? – Mecenas wbił spojrzenie w siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

Tamten znów sięgnął ręką piersi, ale tym razem chyba nic go już nie bolało. Po chwili jego dłoń zniknęła za pazuchą skórzanej kurtki.

54

Bateria przypominała pistolet. Mniej może kształtem, chociaż kto wie, nad czym pracują dziś konstruktorzy broni i z czego się będzie strzelać w przyszłości, bo już dziś niektóre karabiny przypominają odkurzacze. Na pewno kolorem. Piękna matowa czerń obiecywała gładkość i chłód. Kornelia wyciągnęła baterię z pudełka, położyła obok siebie na kanapie i, jak mała dziewczynka na nową zabawkę, co raz zerkała w dół. Mimo że powinna w tym momencie skupić się na czymś, a dokładnie na kimś innym.

– Ładne – oceniła Ewa. – Do nowego mieszkania?

– Nie, remontuję stare – zdradziła policjantka.

– Jaka dzielnica?

– Stary Mokotów.

– Ja dopiero się urządzam po wyprowadzce od męża. Na szczęście zgodził się na rozwód. – Kobieta wzdrygnęła się, jakby nazwa dzielnicy obudziła w niej złe wspomnienie.

Wrócił nadkomisarz Podbiał. Postawił na stoliku trzy wysokie kubki na stoliku, obok rzucił papierowe pałeczki z cukrem trzcinowym.

– Ile jestem panu winna? – Ewa sięgnęła po torebkę; po tym, co wydarzyło się pół godziny temu w jednej z alejek hipermarketu budowlanego, wciąż trzęsły jej się ręce.

– Zaprasza komenda stołeczna. – Uśmiechnął się Kostek.

Sam marzył o kawie, odkąd wyjechali z Bródna. Najpierw mieli zamiar skoczyć po sąsiedzku na Gocław. Starszy aspirant Cecot meldował, że pod adresem, który dostał od Kostka, a temu z kolei przekazał go kapitan Duch, nikogo nie ma. Wjeżdżać na pokoje z ekipą uderzeniową na razie nikt nie zamierzał, bo to było jeszcze za wcześniej

i nietrudno o pomyłkę, a w rezultacie połamane kręgosłupy. Tym bardziej teraz. Poza tym Duch pewny nie był. Ale powęszyć, czemu nie.

Potem na liście odwiedzin duszpasterskich był Kamil Giedrowski. I to właściwie tyle. Problem w tym, że pracowali w policji i mieli na kuchni gorące. Na wysokości Saskiej Kępy Kostek odebrał MMS-a. Zdjęcie przedstawiało drzwi. Na gładkiej drewnopodobnej powierzchni przyklejona była niewielka karteczka. I nie była to cena. Potem zadzwonił telefon. Wtedy już był pewny, że trzeba będzie zmienić azymut.

Teraz siedzieli w jego ostatnim punkcie: sieciowym fastfoodzie, mieszczącym się na terenie kompleksu handlowego, w którego skład wchodził sklep budowlany. Udało im się złapać stolik w zacisznym miejscu. Zresztą zgiełk wokół był taki, że pewnie i tak nikt by nie usłyszał, o czym mówili.

Kostek też rzucił okiem na baterię. Jak Kornelii udało się dokonać tak szybko zakupu? Pewnie stało się to wtedy, gdy on rozmawiał z chłopakami z patrolu, których wezwano na miejsce, a poszkodowana była jeszcze w karetce. Może Banaś dlatego tak szybko się uwinęła, bo miała ten model baterii na oku, w internecie obejrzała? Jeszcze będzie czas o tym porozmawiać.

– Powiedziała pani, że nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka – zwrócił się do Ewy.

– Nie widziałam. Zresztą nie wiem, bo miał długą, gęstą brodę, jakie teraz się nosi, okulary w grubej oprawie, a na głowie kaszkiet, więc każdy mógł się pod tym wszystkim kryć. Pojawił się znikąd. W pierwszej sekundzie myślałam, że to może jakiś znajomy, który mnie zobaczył, próbuje mnie nastraszyć. Potargalby chwilę, a potem się ujawnił. Ale to był wróg. Zrozumiałam to, kiedy jedną ręką zatkał mi usta, a drugą zacisnął na szyi...

Przerwała. Sięgnęła po kubek, podniosła go do ust, ale nic nie upiła, mimo że papier raczej nie parzył. Kostek wiedział, że nie powinien naciskać. I tak było dobrze, że dała się namówić na zeznanie już teraz. Pojawiła się jeszcze kwestia wezwania na miejsce pogotowia, ale Ewa tylko machnęła ręką. Czerwone pręgi na szyi, które miała zaraz po ataku, powoli znikwały.

Wreszcie odstawiła kawę na miejsce i po chwili mówiła dalej:

– Kiedy okazało się, że to nie żarty, pomyślałam, że napad rabunkowy. Tylko że jego wcale nie interesowała moja torebka. Jeszcze mocniej ścisnął mnie za gardło. Wtedy poczułam nagły przypływ sił, szarpnęłam się. Ale on trzymał mnie bardzo mocno.

– Mówił coś? – zapytała Kornelia. – Czy napastnik coś do pani mówił?

Ewa spojrzała na nią trochę nieprzytomnie.

– „Nie szarp się, suko. To na nic”. Czy jakoś tak. Widziałam czarne koła przed oczami i czekałam, aż coś mi strzeli w gardło, coś się złamie i to będzie koniec. Podobno ludzie duszeni mimowolnie się wypróżniają. Straszne, choć duszonemu to już chyba wszystko jedno, nie?

Żadne ze słuchaczy nie zaprzeczyło ani nie potwierdziło.

– Zdawało mi się – ciągnęła kobieta – że to wszystko trwa całe minuty, a przecież to były tylko sekundy. Chodziłam przed paroma laty na kurs samoobrony i przypomniałam sobie, czego nas uczyli. Ugryzłam rękę, którą zaciskał mi ustach, i trafiłam go obcasem w stopę. Miał miękkie trampki. Pomogło. Gdy zwolnił uścisk,

zaczęłam krzyczeć, a potem uderzyłam go łokciem w żołądek i schowałam się za tamtymi drzwiami. Nie wiem właściwie, dlaczego tak, zamiast uciekać. Resztę znacie.

Przez tłum w restauracji przepychał się jakiś mężczyzna. Niósł przewieszony przez ramię płaszcz, który po chwili oddał Ewie wraz z oszczędnym:

– Dziękuję.

– Będziecie jeszcze czegoś potrzebować? – zapytał Kostek.

Mężczyzna, a był to nie kto inny, jak technik kryminalistyki, który zebrał ślady z okrycia ofiary, przyjrzał się tejże. Na dłużej zatrzymał wzrok na jej wypielęgnowanych, pociągniętych przezroczystym lakierem paznokciach.

– Drapała go pani? – zapytał.

– Tylko ugryzłam – odpowiedziała z kamienną twarzą.

– To nie.

Wymienili oszczędne ukłony i technik poszedł sobie.

– Czy ten człowiek groził pani jakimś narzędziem? – zapytał Podbiał.

– Nie. Nie wiem. Może nie zdążył. – Ewa uciekła spojrzeniem w bok.

Kostek poczuł na sobie wzrok młodej. Pokręciła nieznacznie głową, co odczytał jako „nie możemy jej już”. Tak, jeszcze chwilę.

– Przepraszam, że o to zapytam, ale pani jest teraz w trakcie rozwodu? – zadał kolejny cios.

Kornelia wykonała znów ruch głową, ale tym razem twierdzący. Ale już nie można było odpuścić.

– Czy rozwód przebiega spokojnie czy może ma pani jakieś problemy z jego uzyskaniem?

– Tak, są problemy. Dlaczego pan o to pyta? – Spojrzała na niego, a wtedy dostrzegła łzy w jej oczach, po raz pierwszy, odkąd rozmawiali.

– Mamy podstawy sądzić, że mężczyzna, który panią zaatakował, zrobił to właśnie w związku z pani rozwodem. Wcześniej dokonał dwóch zabójstw, a ich ofiarami były osoby, których śmierć rozwiązywała wiele spraw, przede wszystkim spadkowych. Pod obydwo ma zbrodniami seryjny zabójca podpisał się kombinacją liter i cyfr. To samo zdążył przykleić na drzwiach, za którymi się pani schowała.

– Nie rozumiem... – jęknęła Ewa.

– Zabójca wymierzał w ten sposób sprawiedliwość – dodała Kornelia. – A przynajmniej tak mu się wydawało.

– Wariat?

– Jest taka możliwość, że to ktoś z zaburzeniami psychicznymi, ale jednocześnie sprytny i skuteczny – podsumował Podbiał, po czym wyjął telefon i pokazał zdjęcie przyklejonej na drzwiach kartki, z której kilka chwil wcześniej policyjny technik najpewniej zdjął odciski palców.

– To boski wyrok na mnie? – zapytała Ewa.

– Wiele na to wskazuje.

Kobieta zbłądła. A potem zmarszczyła brwi i zbliżyła twarz do wyświetlacza.

– Boski nie, jak najbardziej ludzki – powiedziała po chwili dziwnie lekkim tonem. – A wyrok jeszcze nie zapadł, choć miałam nadzieję, że to się stanie już dawno.

– Nie rozumiem. – Kostek wzdrygnął się.

– To jest sygnatura mojej sprawy rozwodowej.

Ty stary durniu – pomyślał o sobie samym, na głos zaś zapytał:

– Jest pani pewna?

Ewa nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się z satysfakcją, mimo wszystko. Ale po chwili zbladła jeszcze bardziej. Kto wie, może dopiero teraz dotarła do niej groza sytuacji.

– Zabójca śledził mnie, skoro dotarł za mną tutaj. Zna każdy mój krok. Wie, gdzie mieszkam. Ten skurwysyn mój mąż, były mąż, nasłał na mnie zabójcę... Ja muszę wracać do domu, tam zostało moje dziecko i matka! – ostatnie zdania przedarły się przez szum restauracji, kilkoro klientów oderwało się od jedzenia i prowadzonych rozmów; na szczęście nikomu nie wypadł z tacy zestaw powiększony.

– Proszę się uspokoić. – Banaś nachyliła się ku Ewie, która na szczęście nie zerwała się z miejsca. – Za chwilę skończymy. Dostanie pani naszą ochronę.

Kobieta ukryła twarz w dłoniach.

– Co ja narobiłam? Co ja narobiłam najlepszego...?

Jedynie, co mogli oni, to dokończyć kawę i opuścić to miejsce. Albo wziąć ją ze sobą. Tyle że Podbiałowi było jeszcze mało.

– Czy ktoś pani w ostatnim czasie groził, pani Ewo? – zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, kobieta wstała od stolika, capnęła za przebadany płaszczyk i ruszyła w stronę wyjścia. Policjanci wymienili spojrzenia i również wstali. Kornelia zrobiła dwa kroki, ale zaraz zatrzymała się i zawróciła, bo na kanapie został zakup. Nie darowałyaby sobie tej straty.

Teraz ani na moment nie mogli stracić tej kobiety z oczu. Znając dziwne upodobania zabójcy, a wiele wskazywało, że mieli do czynienia właśnie z nim (choć tym razem robotę skrewił, z jakiegoś powodu podpisał się po nią), można się było spodziewać, że ponowi atak. Miejsce było przecież uczęszczane.

Znalazłszy się na zewnątrz, Ewa zapaliła papierosa.

– Któregoś dnia, po rozprawie w sądzie – zaczęła, zaciągnąwszy się dymem – mąż nie wytrzymał i powiedział o jedno zdanie za dużo. Że będę tego żałowała. Niestety, stało się to, kiedy moja prawniczka już poszła, więc nie miałam świadków.

Przeszli we troje kawałek dalej, bo do restauracji zmierzała pielgrzymka wygłodniałych i spragnionych.

– Coś jeszcze mówił? Groził pani w jakiś konkretny sposób? – chciał wiedzieć Podbiał.

– Niech pan go sam o to zapyta.

Nadkomisarz zacisnął mocno zęby. Wcale nie oczekiwał wdzięczności za pomoc, ale...

– Kostek – usłyszał głos Kornelii, w którym wyczuł ostrzeżenie.

W ich kierunku, na ukos przez jedną z jezdni parkingu, zbliżał się jakiś mężczyzna. Szedł szybkim krokiem, pochylony ku przodowi, z rękami wciśniętymi w kieszenie płaszcza. Musiał być albo bardzo głodny, albo zdesperowany...

– Co ty tutaj robisz? – rzuciła Ewa w kierunku intruza.

– Przepraszam. – Mężczyzna minął policjanta i dopiero potem odpowiedział: – Twoja matka do mnie zadzwoniła i powiedziała, co się stało.

– Nie prosiłam jej o to.

– Mimo to przyjechałem. Nic ci nie jest?

No to już wiedzieli, kto zacz. Ale Ewa zachowywała się dość pewnie, mimo oskarżeń, które padły z jej ust kilka chwil wcześniej.

– Co to za ludzie? – Rozwodnik *in spe* ogarnął ich nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Przyjaciele. Pomogli mi w kłopotach, więc zasługują na to miano.

W każdej innej sytuacji Podbiał czułby się mile połączony. Jednak w tej chwili musiał skupić się na czymś, a raczej na kimś innym. Dobry fart go nie opuszczał, a ludzie, którzy mogli coś wnieść do sprawy, pojawiali się na scenie jak na znak teatralnego inspicjenta.

– Dziękuję – rzekł mężczyzna, choć wyraz jego twarzy się nie zmienił. – Nie każdy na państwa miejscu by to zrobił.

– Nie ma sprawy. – Kostek skromnie się uśmiechnął.

– Większość pewnie by uciekła, oczywiście tylko na taką odległość, żeby można było nakręcić filmik telefonem albo zrobić zdjęcia, a potem wrzucić wszystko dla zabawy do internetu.

Ewa spojrzała wymownie na zegarek.

– Chciałbym cię odwiedzić. – Jej mąż nie odpuszczał.

– Nie trzeba.

– Ten człowiek jest niebezpieczny, może próbować cię znów zaatakować!

Jeżeli maczał w tym palce, dobrze gra i ma nerwy ze stali – ocenił w duchu Kostek.

– Pani mąż ma rację – mężowi Ewy przyszła w sukurs Kornelia, po czym podała Podbiałowi baterię do zlewozmywaka, zapakowaną ponownie do pudełka. – Powinien ktoś przy pani być. Dlatego będzie lepiej, jak ja pojedę.

Kostek dawno nie widział u nikogo tak głupiej miny, jak teraz u tego faceta. Do tego Ewa zareagowała błyskawicznie: ruszyła w kierunku samochodu, a Kornelia za nią. Dopiero gdy obaj widzieli już tylko plecy obu kobiet, coś jęknął i wykonał bezradny gest ręką.

– Zawsze miała czas dla koleżanek i sióstr, tylko nie dla mnie! – sarknął.

– Może chciałby pan o tym porozmawiać?

– O czym tu gadać? Psycholog się znalazł. Lepiej pilnuj pan swojej kobiety...

– Nie jestem psychologiem. Nadkomisarz Podbiał z komendy stołecznej. A z pańską żoną pojechała moja koleżanka, również oficer policji. Żona na pewno bezpiecznie dotrze do domu i do państwa synka, może więc pan być spokojny.

Ale nie był. Teraz spoglądał na Kostka spode łba. Gdyby zaczął uciekać, sprawa byłaby jasna i on nawet nie próbowałby go łąpać. To już byłoby zadanie listu gończego, który zostałyby wystawiony.

– Nie musi pan przyjąć mojego zaproszenia – dodał policjant. – Ale wtedy będzie się pan musiał pofatygować do nas.

– Ja niczego nie zrobiłem! Owszem, rozwodzę się z żoną, nie zamierzam zaprzeczać. Właściwie to ona ze mną, bo w mojej rodzinie nigdy nie było rozwodów.

W przeciwieństwie do jej rodzinki. Dla nich to jak pierdnąć. Ale przecież nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby jej zrobić z tego powodu krzywdę.

– A skąd pan wie, że właśnie taki był powód ataku na panią Ewę? – zapytał policjant. – Że na przykład nie walczyła ze złodziejem, który próbował jej w sklepie wyrwać torebkę?

– Powiedziała o tym matce, a ona zadzwoniła do mnie. Przecież już to mówiłem. Ja niczego nie zrobiłem... – Mąż Ewy wbił spojrzenie w mokry asfalt parkingu; właściwie to nadkomisarz wciąż nie znał jego imienia, a nazwisko Ewy wyleciało mu z głowy.

Robiło się zimno i późno. Panie na prawo, panowie na lewo. On też powinien mieć się czym pochwalić przy kolacji.

– Sprawa wygląda tak – podjął po chwili Kostek – pańska żona została najprawdopodobniej zaatakowana z zamiarem pozbawienia życia, a napastnikiem był ktoś, kto ma już na sumieniu co najmniej dwie osoby. Możemy więc mówić o serii, a do tego wskazać wspólny mianownik: sprawy sądowe. Skoro więc, jak pan sam mówi, nic złego pan nie zrobił, to bardzo proszę z nami współpracować. Gadamy tutaj czy woli pan w komendzie?

– Ale gdzie? – zapytał rezolutnie tamten.

56

Skąd ci ludzie biorą na to wszystko pieniądze? – zastanawiał się Podbiał, odprowadziwszy wzrokiem wielki kosz na kółkach, kopiaście wypełniony towarem, który zaraz zniknie w bagażniku jakiegoś samochodu, niekoniecznie dostawczego, wszak Polak potrafi.

Chwilę później on i mąż Ewy siedzieli w miejscu, do którego Kostek nie mógł nie zajrzeć (choć brał też pod uwagę, że zajmie się tym dopiero jutro albo może nawet w poniedziałek), czyli w kanciapie ochroniarzy budowlanego hipermarketu. Pomieszczenie było niewielkie, jedyne okienko pod sufitem zamknięte, a kilka włączonych telewizorów emitowało ciepło, więc w pierwszej chwili ucieszył się, że spędzi tutaj kilka najbliższych chwil. Potem jeden z dyżurnych podglądaczy zaczął jeść kanapkę z kiełbasą i już było trochę gorzej.

– Nie myślałem, że wpadniecie jeszcze dzisiaj. – Drugi z ochroniarzy z wprawą stuknął w klawisze komputera w poszukiwaniu interesującej policję sekwencji.

– Mało czasu – rzekł na to nadkomisarz.

– No tak, wieczorem zapowiadali kolejne demonstracje. Każda para rąk się przyda.

Podbiał tylko ślinę przełknął. Nie miał nastroju, by wdawać się z tym człowiekiem w jakiegokolwiek dyskusje. A swoją drogą, że się nie zawahał powiedzieć coś takiego? Czy to aby nie świadczyło o tym, że jest coraz gorzej, a morale polskiej policji, co to przed chwilą sięgnęło bruku, teraz wsiąka w ziemię?

– To chyba to. – Stukanie ucichło.

Na ekranie pojawiła się Ewa. Kostek spojrzał dyskretnie na jej męża, który siedział obok. Ochroniarze wzięli go za drugiego gliniarza, zresztą nawet gdyby który o to zapytał, Podbiał skłamałby bez mrugnienia okiem. Wciąż go obserwował, nie ufał mu.

To miało być przesłuchanie, choć nietypowe. Rudzki ostatnio opowiadał, że przeczytał o tym w nowym francuskim podręczniku. No i wiedział już Kostek, jak się nazywa mąż Ewy. Grzegorz Marczewski.

A zatem na widok żony (wciąż jeszcze) Grzegorz Marczewski przygryzł wargę, a jego palce zacisnęły się na krawędzi stolika, przy którym siedzieli. Drgnął, gdy na ekranie pojawił się intruz.

– To chyba ten, nie? – odezwał się ochroniarz.

Kostek nie odpowiedział. Prawdę mówiąc, wolałby być tutaj tylko z Marczewskim. Niestety, nie potrafił obsługiwać maszynierii. Ale kto wie, czy nie przyjdzie taki dzień, kiedy się będzie musiał tego nauczyć. Wielu chłopaków ze służby lądowało przecież na emeryturze w takich albo bardzo podobnych miejscach.

Na ekranie zaczęło się najciekawsze, jak pewnie pomyślał sobie operator obrazu: zabójca zbliżył się do Ewy, która akurat przyglądała się drzwiom. Do ostatniej chwili nie było wiadomo, co zamierza. Zupełnie jakby zainteresowały go te same drzwi. Błyskawicznie zatkał kobiecie usta, a drugą zacisnął na szyi. Rozpoczęła się szamotanina.

– Boże... – jęknął Grzegorz.

Marczewska nie kłamała: najpierw wykorzystała fakt, że ma na sobie buty na wysokim obcasie, następnie zadała napastnikowi cios łokciem w żołądek, całkiem precyzyjny, a gdy tamten wreszcie zwolnił ucisk, wyswobodziła się w kilku ruchach i ukryła za sąsiednimi drzwiami.

– Ale dlaczego nie uciekała tam, gdzie są ludzie? – odezwał się Mietek z ustami pełnymi chleba z kielbasą i śliny.

Słuszna uwaga, a pytanie warto zadać podczas kolejnej rozmowy – pomyślał Kostek.

Tymczasem zabójca już ochłonął po tym, jak napotkał na opór. Szarpnął kilka razy za kłamkę, a następnie, przeczuwając, że wołania o pomoc przyniosą skutek, sięgnął do kieszeni kurtki i przykleił coś na drzwiach, wreszcie rzucił się do ucieczki. Wszystko trwało sekundy, choć w prawdziwym filmie pewnie wydłużano by scenę jak tylko się da.

– Stop! – rzucił Podbiał, a ochroniarz wykazał się refleksem.

Teraz widzieli twarz napastnika. Tylko co z tego, skoro miał długą, gęstą brodę, okulary w grubej oprawie, a na głowie kaszkiet. Wszystko się zgadzało.

Marczewski ukrył twarz w dłoniach. Chyba już nie było wątpliwości, że to nie policjant. Istniała poważna obawa, że się za chwilę rozklei. Ciekawe, dlaczego jeszcze nikt nie wymyślił wariografu do wykrywania nieuczynego płaczu. Najlepiej takiego kieszonkowego.

– Prawdopodobnie napastnik nie ma brody ani okularów – powiedział policjant. – To są najlepsze sposoby na kamuflaż. W dodatku można się ich pozbyć w ciągu chwili, w kilku ruchach. Szast, prast i inny człowiek. Trzeba będzie przeszukać kosze na śmieci na terenie sklepu – zwrócił się do ochroniarzy.

Spojrzeni pod siebie, a koneser kielbasy wzruszył ramionami.

– Najlepiej będzie teraz – uściślił nadkomisarz. – Potem mam w mieście kilka demonstracji. Chyba że wolicie przyjść w niedzielę? Wtedy jest nieczynne.

– Ja też? – Operator monitoringu miał jeszcze nadzieję, że ominie go niewdzięczne zadanie, dużo poniżej kwalifikacji.

– Każda para rąk się przyda. Ale najpierw będzie pan uprzejmy zrobić powiększenie. Po chwili zostali we trzech: Kostek, Grzegorz Marczewski i napastnik z rozmazaną twarzą, która mogła należeć do każdego. Także do Marczewskiego.

– I co pan powie na to? – Policjant wskazał na nią ruchem głowy.

– Nie mam pojęcia. Raz go tylko widziałem.

– Co?! – Podbiął omal nie podskoczył na obrotowym krzeselku Ciska. Marczewski na chwilę spuścił głowę, potem się wyprostował, ciężko westchnął i zaczął mówić:

– Tak. Widziałem go. To było w sądzie na Lesznie, to znaczy w alei Solidarności, na naszej drugiej albo trzeciej rozprawie rozwodowej. Dostałem tak po dupie, nasłuchałem się o sobie takich rzeczy, że nie byłem w stanie na nogach ustać. Pożegnałem się ze swoją prawniczką, która poleciała dalej trzepać kasę, odebrałem płaszcz z szatni i usiadłem na jednej z tych drewnianych ław na parterze. Siedziałem i siedziałem, gapiąc się w podłogę, ludzie mijali mnie obojętnie. Mogłem tam zdechnąć, a pewnie i tak nikt by tego nie zauważył. Może wieczorem, przy sprzątaniu.

Miejsce, o którym mówił, Kostek znał dobrze. Bywał tam nie tylko służbowo, jako przedstawiciel organów ścigania na procesach sprawców przestępstw i zbrodni, ale też prywatnie, gdy rozwodził się z Rawską.

– Nie wiem, ile tam przesiedziałem – podjął Marczewski. – W pewnej chwili ktoś przy mnie usiadł i zagadnął. Nie zapytał jednak, która godzina ani jak dojść do jakiejś sali. Fakt, że w tym miejscu łatwo się pogubić i nawet mi się to zdarzyło.

Nie tylko tobie – wtrącił w duchu Podbiął.

– To było coś w rodzaju: czy było ciężko? Mam problemy z nawiązywaniu znajomości, szczególnie w miejscach powszechnie dostępnych. Po prostu nie wierzę, że ludzie, którzy kogoś zaczepiają, mają dobre intencje. Mało to zboczeńców chodzi po tym świecie? Dlaczego nie mieliby próbować szczęścia w sądzie?

– I co pan odpowiedział?

– Prawdę: że było ciężko. Beznadziejnie i kurewsko ciężko! Na to on, że doskonale mnie rozumie. A najlepszym lekarstwem jest modlitwa, długa i żarliwa modlitwa. No to mnie zmroziło, bo nie jestem kościółkowy. Nigdy nie byłem. Jehowych też się do domu nie wpuszczało, choć to zazwyczaj bardzo porządni ludzie... Ale z jakiegoś powodu zacząłem z tym człowiekiem rozmawiać. Opowiedziałem mu o tym, co mnie spotkało, o rażącej niesprawiedliwości i że najprawdopodobniej już niedługo zostanę bez niczego, bo wszystko, majątek, na który przez całe dorosłe życie pracowałem, będę musiał oddać żonie.

– Ten mężczyzna był stary czy młody? – drążył Kostek. – Chodzi mi o to, czy był zdolny do tego, by napaść innego człowieka, zadać mu silny cios nożem.

Marczewski spojrzał na niego z przerażeniem.

– Raczej w średnim wieku – odrzekł. – Teraz naprawdę ciężko to ocenić, tak wśród kobiet, jak i mężczyzn. Dzisiejszy czterdziestolatek nie wygląda już jak inżynier Karwowski.

– Co jeszcze mówił ten człowiek? – Podbiał nie miał czasu na dygresje, choć ta była nawet trafna i pokrzepiająca dla niego, który magiczną granicę przekroczył już dawno.

– Nie pamiętam. To było już jakiś czas temu.

– Zapytam wprost: czy podczas tamtej rozmowy na korytarzu w sądzie zaproponował panu jakieś nietypowe rozwiązanie pańskich problemów? A może spotkaliście się jeszcze raz?

Cisza. Podbiał spojrzął na zegar wiszący na ścianie, oczywiście z logo hipermarketu na cyferblacie. Dochodziło dwudziesta. Nieźle zabawili. Kornelia i Ewa Marczevska pewnie już dotarły bezpiecznie na miejsce, dokądkolwiek ta kobieta uciekła przed tym człowiekiem. Trzeba się będzie jeszcze wywiązać z obietnicy i załatwić jakąś ochronę. Czasami człowiek za dużo powie, a potem bądź mądry i pisz wiersze, jak to mówią. A czy miała to być ochrona także przed mężem? To wciąż nie było wykluczone, babka w pewnej chwili wskazała przecież jego jako zleceniodawcę.

– Panie Grzegorzu, to ważne.

Mężczyzna wzdrygnął się. Na jego czole, niczym ostrzegawcze diody, zaświeciło się kilka kropelek potu. Podbiał dostrzegł krew na dużym palcu prawej dłoni Marczewskiego, pewnie z nerwów zdrapał skórkę. Sięgnął do kieszeni, skąd wydobył paczkę chusteczek higienicznych i wyciągnął rękę w stronę krwawiącego. Mąż Ewy skorzystał z pomocy i owinął ranę.

– Nie spotkaliśmy się – odpowiedział wreszcie. – Więcej go nie widziałem.

– I nie proponował żadnej pomocy w rozwiązaniu pańskich problemów?

– Powiedział tylko, że Bóg jest jedynym sędzią. Tak dokładnie powiedział. Wtedy pomyślałem, że to po prostu jakiś nawiedzony człowiek, może świr, ale niegroźny. Mało takich chodzi czy chodziło po świecie, choćby na miesięcznice smoleńskie? Przecież nie zapyta mnie o nazwisko ani termin kolejnej rozprawy, nie przyjdzie na nią i nie będzie odprawiał egzorcyzmów nad Ewą. Albo nad sędzią i ławniczkami. Wie pan, że ja byłem jedynym facetem na sali sądowej? I to naprawdę nie były miłe spotkania...

– Domyślam się.

Wrócili ochroniarze. Nie przynieśli niczego. Podbiał postanowił ubiec ich pretensje, a jednocześnie polechtać fachowca od monitoringu; na Grzegorzu jakoś mu nie zależało.

– Zrobiłby mi pan wydruk tego gagatka? – Wskazał na twarz podejrzanego, która wciąż drżała na niemal całym ekranie telewizora. – Nie chciałem tu sam grzebać.

– Nie ma problemu – odrzekł ochroniarz, siadając na obrotowym krześle. – Mam nadzieję, że go szybko złapiecie, bo na razie to takich historii jeszcze u nas nie było. Czasem tylko ktoś coś próbował ukraść, ale na szczęście bramki działają. Ludzie to są jednak naiwni.

– W zeszłym miesiącu ktoś chciał wynieść wiertarkę udarową pod płaszczem – sprezyował Mietek, po czym podniósł z podłogi plecak, z którego wyciągnął coś w białym papierze.

Kostek nie chciał się już przekonywać, czy to kolejna kanapka z kiełbasą. Na szczęście spec od monitoringu szybko się uwinął. Policjant capnął za wydruk.

– Gdybyście coś zauważyli albo znaleźli, dajcie znać – rzucił na odchodne, a gdy z Marczewskim opuścili pomieszczenie, powiedział do niego: – Odezwiemy się jeszcze

do pana.

Kilka chwil później, kiedy już Kostek widział samochód, zadzwonił telefon. Kornelia.

– Wszystko dobrze? – zapytał od razu.

– Tak. Odwiozłam ją do domu i miałam już wracać na Bielany, ale... – przerwała; w tle Podbiał usłyszał charakterystyczny odgłos ruszającego metra.

– Kornelia? Co się dzieje? – zapytał.

– Miałam telefon. To się dzisiaj znowu stanie...

57

Do wiadomości Biura Spraw Wewnętrznych Policji, Warszawa, ul. Puławska 148/150.

Działając na polecenie funkcjonariuszy BSW, w okresie 10–22 października br., stwierdzono liczne przypadki złamania regulaminu przez funkcjonariusza KSP, który został poddany obserwacji. Spośród nich szczególną uwagę należy zwrócić na poniższe zdarzenia:

W dniu 11 października przy ulicy Lewickiej na Mokotowie obserwowany dokonał zatrzymania Klaudiusza Jurasa, podejrzanego o zabór mienia z jednego z mieszkań na parterze budynku Lewicka 9/11. W KRP II przy ulicy Malczewskiego, gdzie został przetransportowany mężczyzna, stwierdzono, że został pobity. Czynności wyjaśniające w tej sprawie prowadzi KRP II.

W dniu 12 października br. w godzinach wieczornych obserwowany oficer wdał się w bójkę na terenie sklepu spożywczego przy ul. Narbutta. W wyniku zajścia zostało poszkodowanych dwóch nastolatków. Według pierwszych relacji pracowników sklepu mieli oni dokonać kradzieży zuchwałej, jednak późniejsze zeznania tego nie potwierdzają. Istnieje poważne podejrzenie, iż obserwowany przekroczył uprawnienia, a jego reakcja nie była adekwatna do zagrożenia.

W dniu 16 października br. we wczesnych godzinach popołudniowych w centrum handlowym Złote Tarasy z dużej wysokości spadł młody mężczyzna. W wyniku upadku poniósł śmierć na miejscu. Około dwóch godzin później pracownicy ochrony ww. centrum zatrzymali kobietę lat 23, którą podejrzewali o udział w tym zdarzeniu. Jak się okazało, zatrzymana była związana ze zmarłym. W pewnym momencie doszło u zatrzymanej do ataku agresji. Najpierw lżyła ona ochroniarzy, a następnie usiłowała zbiec z miejsca, do którego została doprowadzona.

Obserwowany oficer, który pojawił się na miejscu zdarzenia, nieoczekiwanie i wbrew przyjętym normom stanął po stronie zatrzymanej kobiety. Doszło do ostrej wymiany zdań, a także przepychanek z pracownikami ochrony, w wyniku czego jeden z nich doznał urazu goleni lewej nogi. W wyżej opisanym zdarzeniu również zachodzi podejrzenie, iż obserwowany oficer przekroczył uprawnienia, a także naraził na szwank wizerunek oraz dobre imię jednostki, w której służy.

W dniu 21 października br. w godzinach przedpołudniowych obserwowany oficer wtargnął siłą do prywatnego mieszkania na Bródnie, zamieszkiwanego przed funkcjonariusza oddziałów prewencji, starszego posterunkowego Dawida K. Gospodarz mieszkania został porażony prądem elektrycznym za pomocą paralizatora (numer

seryjny nieznany), a następnie torturowany. W ten sposób obserwowany oficer próbował wymóc na starszym posterunkowym Dawidzie K. podanie nazwisk swoich przełożonych, którzy brali udział w tłumieniu demonstracji na terenie m. st. Warszawy. Po torturach starszy posterunkowy Dawid K. został pozostawiony sam sobie, bez pomocy medycznej.

Za prawdziwość ww. zdarzeń ręczę słowem oficera policji i jestem w stanie potwierdzić je podczas ewentualnych konfrontacji, przesłuchań, jak i czynności procesowych.

58

Śródmieście Warszawy zapełniało się coraz szybciej. Tego wieczora wielu mieszkańców świadomie opóźniało powroty do domów. Kolacja, telewizor i bliscy raz jeden mogli poczekać. Sprawa, o którą szło, czekać nie mogła. Za wiele zła się wydarzyło w ostatnim czasie, padło za wiele słów, które teraz ciężko będzie cofnąć. A jednym z miejsc, gdzie próbowano zmienić ten stan rzeczy, była ulica.

– Im dłużej patrzę, tym trudniej mi dostrzec wśród nich choćby jedną, która by nie straszyla. Też masz takie wrażenie?

– Trudno się nie zgodzić, przyjacielu.

– Nie ma się co dziwić, że wyłażą na ulice. Przecież w domu nikt na nie czeka. Najwyżej stary, wyliniały kocur.

– Albo mamusia.

– Kto to rucha, powiedz mi! Kto to w ogóle rucha?

Dialog wybrzmiał w jednym z samochodów stojących na skrzyżowaniu Marszałkowskiej ze Świętokrzyską. Mimo że na ulicznych sygnalizatorach do czerwonego światła dołączyło po chwili żółte, na przejściu jeszcze znajdowali się przechodnie. Siedzący za kierownicą mężczyzna wrzucił pierwszy bieg.

– Taaa, wolniej. Mamy czas, całą noc! – sarknął, uderzając obiema rękami w kierownicę, a kiedy już droga była wolna, przeniósł wzrok na pojazd, który stał przed nimi. – No jedź, kurwa, frajerze! Bardziej zielone nie będzie.

Samochód potoczył się Marszałkowską w kierunku północnym, czyli starą trasą, która w linii prostej łączyła dwie najważniejsze komendy policji w Warszawie: główną na południu ze stołeczną na północy. Dwaj oficerowie Biura Spraw Wewnętrznych Policji, nadkomisarz Kręcki i podinspektor Kwiatek, bo to oni jechali samochodem, znali tę drogę na pamięć.

Dziś miała się zakończyć jedna ze spraw, którą od kilku tygodni ci dwaj panowie, których pojawienie się w jakimś miejscu niemal zawsze zwiastowało kłopoty, mieli na warsztacie. Ale to dopiero za jakiś czas. Teraz obaj żyli jeszcze tym, co działo się na ulicach.

Bez zatrzymania, na „mocno pomarańczowym”, minęli kolejne skrzyżowanie. Po prawej stronie, na Królewskiej, niebieskimi światłami migąło kilkanaście radiowozów.

– Białe kaski robią laski! – zarechotał Kręcki.

– A jutro znów będą skargi z prewencji, że nie mogą spokojnie zjeść kanapki, bo muszą stać w kordonie. – Podinspektor Kwiatek, który siedział na miejscu obok, oderwał na chwilę wzrok od telefonu, w którym grzebał chyba jeszcze od placu Unii Lubelskiej.

– Albo iść do kibla. Ty wiesz, co dowódcy powiedzieli babkom z prewencji, które się na to skarżyły? Żeby popuszczwały po kropelce w majty.

– Ja pierdołę...

– I co na to poradzisz?

– Nic. Najgorsze jest to, że nawet jak jedna z drugą zamiast tego pójdą na kasę do supermarketu, to tam z sikaniem jest bardzo podobnie. Menadżer nie ma litości. Znajoma mi opowiadała, to się w głowie nie mieści. I najgorsze, że to nasz. Wielki pan i władca, co jeszcze wczoraj chodził srać za chałupę. Francuz czy Niemiec by prędzej zrozumiał.

– Trudno się nie zgodzić.

Wjeżdżali na plac Bankowy, gdy odezwała się komórka w rękach pasażera.

– Tak? – odezwał się, a potem już tylko słuchał.

– Dobrze wieści? – zainteresował się Kręcki po chwili.

– Tak, właściwie tak. Będę musiał dzisiaj skończyć trochę wcześniej.

59

– Zamknąć mordy! – zawołał ochryplym głosem. – Jak się teraz która odezwie, pożałuje!

Podziałało, jeszcze ten jeden raz. W ciemnym pomieszczeniu w jednej chwili ucichły wszelkie dźwięki: szepty, prowadzony półgłosem dialog, a nawet chichot w kącie. Najpewniej była to czyjaś reakcja obronna na to, co się działo. A może to prowokator? Przecież wpuszczali ich w tłum, więc równie dobrze mógł taki zaplątać się i tutaj. Albo taka. A cerber będzie miał pretekst, żeby wcielić w życie swoje groźby.

Tego dnia na warszawskie ulice po raz kolejny wyszły kobiety, aby protestować przeciwko zakazowi aborcji. Jak wcześniej, tak i teraz wspierali je mężczyźni, a w tłumie często można było zauważyć osoby starsze i dzieci. Nad głowami demonstrantów powiewały flagi, z transparentów krzyczały hasła, coraz to nowe i coraz dosadniej wyrażone. Zresztą od początku, od pierwszego wyjścia na ulice mało kto bawił się w subtelności.

Ale policja też się nie bawiła. Szczególnie zapamiętano zamaskowanego bydlaka w furażerze, który szedł niespieszonym krokiem i z utrzymanego w ręku pojemnika rozpylał gaz na prawo i lewo. Robił to jakby od niechcienia, pewny, że za każdym razem trafi, a preparat się nie zmarnuje. Gdy któraś z kobiet, stara czy młoda, próbowała coś tłumaczyć, może nawet prosić, podnosił rękę i po prostu naciskał spust. W pewnym momencie na jego drodze znalazła się nawet posłanka. Też uniosła rękę, w której trzymała immunitet, w założeniu i w każdej innej sytuacji gwarantujący jej nietykalność. Tym razem jednak dokument nie zadziałał, a mundurowy znów bez zastanowienia nacisnął spust i żółty strumień poleciał wprost w jej oczy.

Wreszcie domknięto kordon. Tym razem było to łatwe, bowiem protestujący zablokowali Trasę Łazienkowską na wysokości Marszałkowskiej. Jak się właśnie okazywało, na swoją zgubę, bowiem z dwóch stron strzegły ich wysokie, kamienne ściany wykopu. Przepychanki na niewiele się zdały. Kto próbował, dostawał pałką albo znów gazem po oczach.

Opróżnianie kotła można było rozpocząć. Zatrzymanych demonstrantów zakuwano w jednorazowe nylonowe kajdanki i prowadzono do policyjnych furgonetek, które czekały zaparkowane wzdłuż Marszałkowskiej. Nie wszystkie były oznakowane. Wszelkie protesty były zbywane milczeniem, a pytania pozostawały bez odpowiedzi. Po jakimś czasie wypełnione zatrzymanymi samochody ruszały z miejsca. Dokąd? Słyszano już o wywózkach poza Warszawę, o ludziach pozostawianych w środku nocy w nieznanym miejscu.

Ale ta podróż nie trwała długo. Wozem przestało rzucać, silnik ucichł. Otworzono drzwi, kazano po kolei wychodzić. W ciągu kilku chwil znalazły się w ciemnicy. Sądząc z głosów, same kobiety.

- Ja chcę do domu – wbrew zakazowi jęknęła któraś; głos należał do osoby młodej.
- Na pewno zaraz nas wypuszczą – odezwał się głos dużo niższy, spokojny, krzepiący. Na reakcję nie trzeba było długo czekać.
- Zamknąć mordy, powiedziałem! – huknęło znów od drzwi.
- Sam zamknij mordę – padła odpowiedź, a po niej kilka gniewnych pomruków.

Cisza. Ale radość z sukcesu nie trwała długo. Nagle rozbłysło ostre światło pod niskim sufitem i między siedzącymi, a tych było na oko nieco ponad tuzin, zaczął przepychać się zamaskowany osobnik w mundurze z dystynkcjami sierżanta i w czarnej kominiarce. Szedł na oślep, jak przez chaszcze, więc zaraz rozległy się krzyki kobiet, którym buciorem nadepnął na palce, kopnął w piszczel czy kolaniem uderzył w ramię, a nawet w głowę.

Skąd jednak wiedział, kto ma zapłacić za złamanie zakazu? Czyje długie włosy owinie na zaciśniętej pięści i szarpnie do góry? A czy to nie wszystko jedno? Może ukarana będzie zupełnie przypadkowa, aby stać się przykładem dla pozostałych? A że identyfikacja oprawcy jest niemożliwa, więc tak naprawdę może zrobić wszystko...

- Odechce ci się, szmato – sarknął gniewnie.

W tej samej chwili od drzwi dobiegł inny męski głos:

- Dosyć!

Na progu stał mężczyzna, którego twarz również osłaniała kominiarka, ale był w cywilnym ubraniu. Mundurowy zmeł w ustach przekleństwo i ruszył w drogę powrotną, tym razem szerszym szpalerem. Gdyby teraz chwycić go za kostkę, przewrócić na ziemię, dziesiątkami rąk do gardła sięgnąć? Nie miałyby gnój szans. Jeśli jednak taka myśl pojawiła się w którejś z pochylonych głów, myśl obok setek innych, zazwyczaj czarnych jak wszystko tu wokół, to prysła wraz z trzaskiem zamykanych drzwi i chrobotem klucza przekręcanego w zamku.

Po chwili nerwus stał w przedsionku. Prócz niego i cywila, który wywołał go z celi, znajdował się tam jeszcze jeden osobnik w polowym mundurze z dystynkcjami starszego posterunkowego. On co prawda nie osłaniał twarzy, ale daszek naciśniętej mocno baseballówki skutecznie osłaniał mu oczy.

– Mówiłem ci, żebyś nie dał się sprowokować – powiedział cywili, zdejmując z głowy kominiarkę.

– No bo mnie poniosło. – Mundurowy z kolei odsłonił tylko usta.

– Spokojnie. Wkrótce będą się bały nawet oddychać.

Wtem usłyszeli warkot silnika. Cywil zbliżył się do okratowanego okienka, spojrzął przez szybę niemytą chyba od zmiany stroju. W pomieszczeniu, w którym się znajdowali, również nie paliło się żadne światło, więc nie było ryzyka, że ktoś z zewnątrz ich zobaczy.

– Myślałem, że to już wszystkie na dzisiaj. – Spojrzął z niepokojem na zegarek.

Na podjeździe przed budynkiem magazynu zatrzymała się jednak nie kolejna furgonetka, ale samochód osobowy.

– Sprawdź, kogo tam diabli niosą – rzucił do najmłodszego stopniem.

Chłopak podciągnął szeroki skórzany pas, przy którym uwieszoną miał policyjną pałkę z gardą, a daszek baseballówki jeszcze bardziej obniżył. Gdy pozostali dwaj zniknęli na prowadzących w dół schodach, wyjrzał przez okno. Z samochodu wyszedł jakiś mężczyzna. Przez chwilę niepewnie rozglądał się na boki, po czym zbliżył się do jedyne go wejścia do budynku. Uniósł rękę, jakby chciał zapukać do drzwi. Te jednak zaraz się otworzyły.

– Są? – zapytał półgłosem przybysz.

– Tak – odpowiedział cerber.

Tamten wśliznął się do środka, a potem rzucił:

– Możesz spadać.

Sekundę później chłopak w mundurze pokonał tę samą drogę, ale w przeciwnym kierunku. Zanim jednak zamknęły się za nim drzwi, obejrzał się za siebie.

– A jakie ja mam gwarancje? – zapytał.

– Żadnych.

Nadkomisarz Konstanty Podbiał zamknął drzwi, a potem przez okienko, przez które sam przed chwilą był obserwowany, odprowadził wzrokiem umykającego Dawida Kowalika. Tego samego, którego kilka dni temu odwiedził w jego mieszkaniu na Bródnie. Ani tamto wydarzenie, ani to teraz z pewnością nie zwiastowało wspianiałej przyjaźni.

60

– To chyba tutaj. – Banaś wskazała na niepozorną boczną drogę.

Kierowca furgonetki zareagował tak na jej słowa, jak i skinienie głowy siedzącego obok dowódcy. Chwilę później pojazd zakoleczył się na kocich łbach, w dodatku jechali z wyłączonymi światłami, wspomagając się tylko blaskiem niedalekich latarni. Gdyby ktoś, na przykład pijany człowiek, leżał na ziemi, marny byłby jego los. Na szczęście nie trwało to długo.

– Tu możemy się zatrzymać – powiedział Kręcki i nie wiadomo już który raz poprawił zapięcie kamizelki kuloodpornej; taką samą miała na sobie także Kornelia.

Kierowca wyłączył silnik. Przez kilka, może nawet kilkanaście sekund siedzieli w zupełnej ciszy, tylko w maszynerii silnika coś miarowo jeszcze stukało. Jak zegar odliczający ostatnie chwile ciszy. Ktoś w okolicy pewnie szybko dziś nie zaśnie, jeśli na tym zadupiu w ogóle są jakieś ludzkie siedziby. Właściwie czy to jeszcze Warszawa?

Wreszcie rozsunęły się boczne drzwi. O podłogę furgonetki zastukało kilka par ciężkich buciorów. Na tle poświaty jedynej latarni, która oświetlała placyk przed budynkiem, zamajaczyły hełmy z goglami i elementy długiej broni. Rozkazy wydawano półgłosem. Niespełna minutę później wszyscy znaleźli się u celu. Kręcki podszedł do drzwi i kilka razy huknął w nie pięścią.

– Otwierać!

W okienku obok przesunął się jakiś cień. Kornelia poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Przeniosła wzrok na przycajonych pod ścianą antyterrorystów. Jeden z nich trzymał w rękach wbijak taktyczny do wyważania drzwi. Dałaby wiele, żeby już było po wszystkim.

– Spokojnie, nie ma co robić hałasu – przed szparę w drzwiach dobiegł męski głos.

Po tych słowach drzwi magazynu otworzyły się na oścież, a operator tarana, z żalem, a może ulgą, opuścił swój oręż na ziemię, miażdżąc przypadkową grudkę żwiru. Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Antyterrorysty wbiegli do środka, pokrzykując jak zwykle przy takich okazjach, mimo że nie było na kogo. Po nich przez drzwi weszli nadkomisarz Kręcki z Biura Spraw Wewnętrznych w przekrzywionej kamizelce kuloodpornej i podkomisarz Kornelia Banaś.

Kostek stał pod jedną ze ścian w przedsionku i w milczeniu, ze splecionymi na piersiach rękami, przypatrywał się, jak goście wchodzi do pomieszczenia, gdzie przetrzymywano kobiety zatrzymane podczas ostatnich demonstracji na stołecznych ulicach. Ostre światła latarek błędziły po przerażonych twarzach. Przerażonych, bo przecież jeszcze żadna z nich nie wiedziała, co będzie dalej. Mimo że jeden z policjantów zaraz zawołał:

– Czy komuś potrzebna jest pomoc medyczna?

Kręcki zbliżył się do Kostka.

– Od dawna mieliśmy cię na oku, Podbiał – wycedził przez zęby. – Myślałeś, że wszystko będzie ci uchodzić bezkarnie, co?

– Nie rozumiem. – Nadkomisarz upuścił ręce, a potem zmusił się do uśmiechu; szukał też wzrokiem partnerki, jednak Banaś była w tej chwili z uwolnionymi kobietami. – Dostaliśmy cynk, że dzieje się coś złego. Przyjechałem wcześniej i...

– Te bajki zostaw dla prokuratora i dla sędziego, przed którym staniesz – przerwał mu oficer BSW. – My wiemy swoje. I mamy na to dowody! Twoja, jak to pięknie powiedziałaś, ale chyba po raz ostatni, partnerka, okazała się bardzo pożyteczna.

– Co?! – Przez twarz Kostka przebiegł skurcz.

– A to, że była twoim sygnalistą. Na pewno wiesz, kto to taki, choć służbę zaczynałeś dawno i zadawałeś się z panami, co jeszcze nosili choinki na kłapach. Poprosiliśmy ją o to, gdy rozmawialiśmy o tym niefortunnym zatrzymaniu włamywacza na Mokotowie, pamiętasz? Włamywacz ściemniał, ale reszta się udała. Mam nadzieję, że dostanę od pani Kornelii piękny raport na temat wszystkich twoich wybryków, Podbiał. Choć i tak wszystkie zbledną przy tym. – Ruchem głowy wskazał na drzwi prowizorycznej celi,

w której pokazała się pierwsza z przetrzymywanych kobiet, chyba jeszcze nastolatka z potarganymi włosami i strachem w oczach.

Z zewnątrz dobiegł odgłos syreny, na ścianach mignęło niebieskie światło.

– Jest karetka – zameldował jeden z „czarnych”.

– Świetnie – rzekł na to Kręcki, a potem ponownie przeniósł spojrzenie na oskarżonego; w jego ocenie Podbiał, zapewne już niedługo zdegradowany do stopnia posterunkowego, już nim był. – Jakim trzeba być zwyrolem, żeby zwozić tu kobiety zatrzymane podczas protestów, kazać im się rozbierać do naga i robić im fotki, co?

– Różne są zbrocenia. – Kostek wzruszył ramionami.

Pojawiła się Kornelia Banaś.

– I co? – warknął Podbiał, patrząc na nią bykiem. – Jesteś z siebie zadowolona?

– Nie musi pani odpowiadać – przyszedł jej w sukurs nadkomisarz Kręcki.

Dziewczyna wytrzymała spojrzenie partnera. Właściwie to byłego. Obiektem też już nie był, jej rola i zadania sygnalisty właśnie się zakończyła. Mieli go jak na tacy. No właśnie: mieli. Przecież współpracowała z dwoma oficerami Biura Spraw Wewnętrznych, a w finale udział brał tylko jeden. To nie w porządku.

– Szkoda, że Kwiatek tego nie widzi – westchnęła. – Na pewno byłby ze mnie dumny. To przecież on zawsze twierdził, że zgnięłą tkankę należy jak najszybciej oddzielać od zdrowej.

– Święte słowa – potwierdził Kręcki. – Tak będziemy robić, póki starczy nam sił. Niestety, Kwiatek nie mógł być dzisiaj z nami. Mówiłem już pani: zatrzymały go inne ważne sprawy. Ale na szczęście sobie poradziłyśmy. Mam nadzieję, Podbiał, że nie będę cię musiał skuwać i pójdziesz z nami po dobroci?

Podjejrzany nie odpowiadał. Nie spuszczał też wzroku z Kornelii. Jadowitej żmijki, którą wyhodował na własnej piersi.

– Podbiał? – Kręcki wyciągnął przed siebie rękę, jednak nie dotknął zatrzymanego, zupełnie jakby bał się, że się zarazi.

– Póki co: nadkomisarzu Podbiał, poproszę – rzekł na to Kostek. – Ja też żałuję, że nie ma z nami podinspektora Kwiatka i że nie mógł napawać się sukcesem. Ale może da się to naprawić?

– Nie mamy czasu na głupoty! – Kręcki zaczynał najwyraźniej tracić cierpliwość; zaraz skinął na jednego z antyterrorystów, by pomógł mu przy zatrzymanym, o którym mówiło się różne rzeczy i lepiej było dmuchać na zimne.

Bo właściwie to chyba było na tyle. Winny wskazany, a wszystkie czynności prawników to tylko formalność. Proces pewnie trzeba będzie utajnić, by nie pogarszać i tak już beznadziejnego wizerunku policji. A może wręcz przeciwnie? Publicznie tę ranę wypalić, głowę popiołem posypać? Ktoś mądry na pewno coś wymyśli.

– Jest jeszcze mała poprawka, panie nadkomisarzu – Kornelia, ująwszy się pod boki jak zadowolona z siebie dziewczynka, zwróciła się do swojego zleceniodawcy z Puławskiej. – Po pierwsze ja jeszcze nie przekazałam panu żadnych raportów w sprawie obiektu, który obserwowałam. Przepraszam, Kostek, za słowo „obiekt”.

– Nie ma sprawy. Słyszałem gorsze – rzekł na to Podbiał.

– A po drugie, nie powiedziałam, że to nadkomisarz Podbiał odpowiada za bezprawne więzienie, dręczenie, a w konsekwencji szantażowanie kobiet biorących

udział w protestach.

Dopiero teraz Kręcki zmarszczył brwi.

– Co takiego?! – prychnął.

– Nadkomisarz Podbiał przyjechał tu w tej samej sprawie co my. Powiedział to na samym początku, ale pan nie słuchał. Dostał cynk, że dzieje się coś złego. Artykuł rzetelnie opisujący te sprawy, autorstwa kompetentnego dziennikarza, właśnie w tej chwili jest publikowany na jednym z największych portali internetowych, a znając mechanizmy rządzące tym medium, za chwilę napiszą o tym wszyscy, a wielu ludzi da to u siebie na fejsa. Ma pan fejsa?

– Że co? – Kręcki dotknął dłonią czoła, pewnie, aby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

– Nieważne – skwitowała Banaś. – Ważne jest to, że nadkomisarz Podbiał przyjechał po to samo, co my, a do tego prawdopodobnie wie, gdzie są w tej chwili winni.

– A wiem! – Teraz Kostek wyglądał na zadowolonego z siebie pierwszoklasistę.

Znów rozległ się tupot butów, tym razem jednak z innej strony. Po chwili Kręcki, Podbiał i Kornelia, a także kilka kobiet, które opuszczały celę, ujrzeli antyterrorystów wspinających się po schodach. Prowadzili dwóch mężczyzn. Jeden z nich był w mundurze z dystynkcjami sierżanta, drugi w cywilu. Uparcie gapił się w podłogę.

– Kwiatek? – Oczy Kręckiego niemal wyszły z orbit.

– Już pan wie, jakie to ważne sprawy zatrzymały go tego wieczora? – dokończyła Kornelia Banaś ze spokojem i już bez uśmiechu.

– To nie tak... – zaczął podinspektor, ale na więcej nie starczyło mu siły, a może przekonania.

Ale potem zabrzmiał ostatni akord tego wieczoru, choć z zupełnie innej strony:

– To oni nas tu zamknęli! Przetrzymywali i robili zdjęcia! – uwolnione przed chwilą z matni kobiety mówiły jedna przez drugą, coraz śmieiej, coraz głośniej i z coraz większym gniewem.

61

– Gdy pociąg się, zatrzymał, oskarżony wyskoczył na peron i zaczął uciekać. Rzuciłem się za nim i po około minucie ująłem z pomocą kilku marynarzy. Oskarżony został przekazany funkcjonariuszom z posterunku na Dworcu Centralnym, a następnie przewieziony do komendy.

Kostek przerwał. Spojrzał pytająco na prokuratora, ten zaś skinął głową. To, co najważniejsze, zostało powiedziane: Rafał Zabielski zaatakował i ranił nożem komisarza Andrzeja Rudzkiego, a do zdarzenia doszło w pociągu. Zgadzały się fakty, daty, a nawet godziny.

– Nie mam więcej pytań do świadka – powiedział prokurator.

– Obrona? – Sędzia spojrzeł na przeciwną stronę sali sądowej.

Jacek Walukiewicz, mecenas z szacownej kancelarii adwokackiej Klimczuk-Stabro-Walukiewicz, od początku rozpoczęcia rozprawy sprawiał wrażenie półprzytomnego. Albo się nie wyspał, był to bowiem tego dnia pierwszy punkt na wokandzie, albo już

uznał sprawę za straconą. Mógł też należeć do gatunku, co to jest zawsze wyszczekany, gdy ma gadać z policją, ale już kiedy wchodzi na salę rozpraw, kładzie uszy po sobie.

– Nie mam pytań do świadka – odpowiedział wreszcie.

Zabielski, siedzący za nim w otoczeniu dwóch posterunkowych, przewrócił oczami i zaklął bezgłośnie. Nie, nie tego się przecież spodziewał i nie za to zapłacono. Pewnie kauzyperda grzebał w małżeńskich brudach, zamiast zająć się poważną sprawą. Albo za darmo wyciągał z policyjnego dołka zatrzymanych na demonstracjach. A tak to już pierwszy paragraf artykułu 223 Kodeksu karnego, gdzie była mowa o użyciu niebezpiecznego narzędzia przeciwko funkcjonariuszowi, nie pozostawiał złudzeń. Zabielskiemu groziło nawet 10 lat odsiadki. Nawet gdyby nagle przyznał, że jest ukrywającym swoje skłonności gejem, co swego czasu zasugerował Cecot, i zrobił to z miłości. Nie ma innej opcji: dycha!

Była jednak szansa, żeby to zmienić. Proces ruszył bardzo szybko jak na polskie standardy. Na pierwszej rozprawie, która właśnie się odbywała, nie było pokrzywdzonego, bo ten wciąż leżał w szpitalu. Do czasu kolejnej rozprawy może uda się coś jeszcze odkręcić. Może z tymi marynarzami pogadać. Na pewno znajdzie się wśród nich jakiś rozsądny, a do tego gorący patriota, który nie pozwoli skrzywdzić drugiego patrioty.

– W uwagi na nieobecność na sali... – sędzia przerwał i spojrzął gniewnie na drzwi, które właśnie ktoś otwierał od zewnątrz.

Na progu stanął Rudzki w wyjściowym mundurze. Kostek, który wrócił już na ławę przeznaczoną dla świadków i publiczności, nie mógł się nie uśmiechnąć na ten widok. Młodszy kolega wyglądał zdrowo, a na dodatek pięknie. Niemal jak sam Tom Cruise w Ludziach honoru, prawnik w marynarskim mundurze.

– Komisarz Andrzej Rudzki – przedstawił się.

– Poszkodowany? – zapytał sędzia.

– Tak jest, wysoki sędzie.

– W takim razie zapraszam.

Gdy Rudzki spokojnym gestem rekonwalescenta położył czapkę na drewnianym parapecie mównicy, siedzący kilka metrów od niego Zabielski zwiesił głowę, a Walukiewicz nerwowo potarł policzek. Zaczął się kolejny, ostatni albo jeden z ostatnich aktów tej sprawy.

Pół godziny później Podbiał i Rudzki siedzieli w holu na parterze gmachu sądu przy alei Solidarności.

– Jak się czujesz? – zapytał starszy, widząc grymas na jego twarzy.

– Może być. Ale nie mogłem sobie darować tej imprezy. – Ruchem głowy wskazał na wysoki sufit. – Gnojek popamięta do końca życia.

– Pewnie Walukiewicz i tak będzie apelował.

– Niech apeluje, kurwa. Jeszcze wierzę w polskie sądy.

Jacyś przechodzący obok nich ludzie aż się obejrzeli. Ale Rudzki chyba miał to gdzieś. Nie było wątpliwości, że ostatnie wydarzenia mocno go zmieniły.

– To co? Wracamy do Ożoga i Wiśniak? – zapytał po krótkiej chwili.

– Jasne – odparł Kostek.

W kilku zdaniach, jakby siedział na odprawie, opowiedział Andrzejowi o tym, co wydarzyło się przedwcześniej w supermarkecie budowlanym, czyli trzecim ataku nożownika. Tym razem jednak, na szczęście i mimo pozostawionego podpisu, ataku nieudany.

– Marczevska dostała ochronę? – chciał wiedzieć Rudzki.

– Tak. Kontra załatwił kilku chłopaków z rejonowej. I tak nie znaleźliby żadnego skradzionego roweru, więc przynajmniej się do czegoś przydadzą.

– I co mężuś na to, że kto chciał sprzątnąć jego jeszcze żonę, a tak naprawdę wybawić go z finansowych kłopotów? Bo ma je, co? Dobrze myślisz?

– Dobrze myślisz. Ale mężuś, cóż. Przejął się.

– W to nie wątpię. Chcę wiedzieć, co ty myślisz.

Kostek spojrział w bok. Do sądu wciąż przychodzili nowi ludzie: pozwani i powódki, poszkodowani i oskarżeni, a może tylko świadkowie w sprawach. Wszyscy oni przed bramką wykrywającą metale wykładali do plastikowych kuwet wszystkie rzeczy, na które mogłaby zareagować maszyna. Do wykrywania kłamstw służył wariograf, ale do tego, by podłączyć do niego Marczevskiego, daleka droga. Procedury, a tych po ostatnich przeżyciach Kostek postanowił się teraz mocno trzymać, pozwolenia, nakazy.

– Nie wiem – przyznał. – Musimy teraz zebrać wszystko do kupy, uporządkować jak trzeba i jeszcze raz się wszystkiemu przyjrzeć. Niedawno bałem się, że sprawę umorzą, ale po zabójstwie Wiśniak już raczej nie. A teraz jeszcze ta Marczevska i usiłowanie. Dałem do analizy chusteczkę z krwią Marczevskiego, żeby porównali ze śladami znalezionymi na jego żonie.

– Nie odpuszczasz mu?

– Nie. Mógł sam ją zaatakować, a mi wcisnąć bajkę o jakimś nawiedzonym mścicielu. Ciska. Nie licząc pisku wykrywacza metali. Może zareagował na jakąś starą plombę?

– Chcesz wiedzieć, czego ja się dowiedziałem? – zapytał po chwili Rudzki.

– Pewnie.

– Tylko bałeś się zapytać?

– Powiedzmy.

– I miałeś wyrzuty sumienia, że zgodziłeś się na to, żebym wyszedł wcześniej ze szpitala, na dodatek po cichu, ryzykując zębkiem od żony, i pomógł wam w sprawie?

– Powiedzmy.

Ech, pewnie wielce by się zdziwił Kamil Giedrowski, gdyby teraz wszedł do sądu i w komisarzu policji w wyjściowym mundurze rozpoznał człowieka, którego wziął za prawnika z kancelarii Kraszewskiego. A gdy się później okazało, że to jednak nie był nikt stamtąd, Giedrowski, pewnie, trawiony gorączką, usiłował sobie przypomnieć wszystko to, co powiedział o konkubinie swojego zmarłego ojca, która wysiadała go z mieszkania przy Górczewskiej. Przede wszystkim zachodził w głowę, kim był ów niepozorny i ubrany nie jak prawnik człowiek.

– Giedrowski? – zapytał Kostek.

– Oczywiście miał w tym swój interes, ale nie sądzę, żeby to był on. Nie tylko dlatego, że to było drugie morderstwo z serii.

– Pewnie jest obsrany, bo myśli, że to ty jesteś mordercą Wiśniak. Najpierw sprzątnął ją, a teraz zajmiesz się nim, żeby było czysto, tylko na razie przyszedłeś

grunt wybadać. Swoją drogą miałeś farta, że akurat czekał na papugę, no i gratuluje refleksu. – Podbiał z uznaniem pokiwał głową.

Co było dalej? Mecenas Janusz Krupa, współwłaściciel kancelarii Krupa i Wspólnicy, która zajmowała się sprawą Ożoga i Wiśniak, obejrzał dokładnie policyjną odznakę komisarza zaraz po tym, jak ten usłyszał subtelne „Kim pan jest, do cholery?”.

– Chętnie brał sprawy od ludzi niezbyt zamożnych – podjął Andrzej – czy wręcz biednych, z marginesu, którzy mieli szansę zmienić swój stan posiadania. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Pobierał za to bardzo wysoką prowizję, niespotykany gdzie indziej procent od tego, co ewentualnie dało mu się ugrać ze spadku. A oni się nie targowali.

– Lepszy duży procent od czegoś niż niewielki od zera – zauważył Kostek. – Prawda znana gwiazdom muzyki, które odpalają działkę radiowym prezenterom, żeby puszczali ich piosenki.

– Gdy jednak okazało się, że dwoje z klientów Krupy zostało zadźganych, pan mecenas poczuł, że coś jest nie tak. Nawet się nie dziwię, że tak ostro zareagował, kiedy wymieniał ich nazwiska. Trzeba było wykladać karty na stół, bo albo on dostałby zawału, albo ja wpierdol.

– Ale i tak go przycisnąłeś?

– Na ile starczyło mi sił. Mogło być przecież tak, że Ożóg i Wiśniak próbowali go oszwabić i nie zapłacić umówionej stawki. Wtedy uciekłyby się do bardziej radykalnych metod, bo pewnie i takie możliwości, i znajomości pan mecenas posiada.

– Wówczas raczej bytu miałyby nasza pierwsza hipoteza, że Ożóg został sprzątnięty, bo miał długi... – mruknął pod nosem Podbiał. – I co powiedział pan Krupa?

– Szczerze ubolewał nad losem klientów, a do tego przyznał, że w pewnym momencie sam zaczął się obawiać o życie swoje i swoich pracowników, a także bliskich. Rozważał nawet powiadomienie organów ścigania.

– No popatrz.

– Ale organa przyszły do niego i miał problem z głowy. Stosowny raport w tej sprawie przedstawię w swoim czasie.

– Stare przysłowie pszczoł mówi, że nie zarzyna się kury znoszącej złote jajka. A Ożóg i Wiśniak nie należeli do ludzi, którzy by się mocno rzucali. Wręcz przeciwnie, mówiąc delikatnie, nie za bardzo się orientowali. Tak czy siak, każda z kancelarii na tym zarobiła. Pieniądze, które Ożóg dostał od zięcia, Jacka Kędzierzawskiego, zapłacił zapewne awansem Krupie w nadziei, że to dobra inwestycja i że się kapitał zwróci. Z kolei Wiśniak nie miała oporów przed braniem chwilówek. W takich sprawach któraś za stron zawsze musi przegrać, a któraś wygrać, ale nigdy nie dotyczy to prawników. Oczywiście pod względem finansowym. Marmury na ścianie i palisandrowy parkieciek w gabinecie jakoś trzeba spłacić. Nie mówiąc już o Dwurniku na ścianie.

– U Krupy było raczej skromnie – ocenił Rudzki.

Cisza. Komuś przy bramkach upadły na posadzkę klucze.

– Morderca znał te sprawy – mówił dalej Podbiał. – Znał ich sygnatury, które początkowo wzięliśmy za adresy cytatów z Biblii. Chyba za dużo amerykańskich filmów oglądam. Nieważne. W każdym razie podpisał się nimi pod dwoma zabójstwami i trzecim, którego nie udało mu się dokonać.

Zapadła cisza. Kostek przykniął na chwilę oczy.

Gdyby wczoraj nie spotkał Marczewskich, a wiedział to, co powiedział mu przed chwilą Rudzki, pewnie pomyślałby, że to może wścibska sekretarka pracująca u mecenasa Krupy opowiedziała o wszystkim przy świątecznym stole. Dotyczyło to także kancelarii przeciwnych. Wysłuchał tego jakiś jej daleki kuzyn, który ma kuku na muniu, o czym się jednak głośno nie mówi, i postanowił zająć się sprawą.

Czy Marczewski mógł zabić Wiśniak i Ożoga? Choćby w ramach ćwiczeń przed właściwym uderzeniem? Na razie mieli go na oku, więc oboje małżonkowie byli w tej chwili pilnowani. Ale jeśli mówił prawdę, bo przecie to gdzieś tutaj musiał siedzieć z tamtym człowiekiem, którego potem zauważył w furgonetce na parkingu. Może nawet na tej samej ławie, co oni teraz? A może trzeba odprawić mundurowego i poczekać, aż wujek dobra rada przysiądzie się do niego, tak jak się przysiadł do nieszczęsnego przyszłego rozwodnika?

Przytomność wróciła mu wraz ze stukotem obcasów na kamiennej posadzce.

– Przepraszam, gdzie tu jest czytelnia akt sądowych? – zapytała jakaś kobieta.

62

Zbliżała się trzecia po południu, kiedy dotarli wreszcie do Pałacu Mostowskich. Od chwili kiedy zakończyła się rozprawa Zabielskiego, drogę od sądu można było spokojnie pokonać krokiem pielgrzyma, czyli na kłęczkach. I jeszcze wrócić. Na szczęście Kontra tym razem wiedział, co zatrzymało jego podwładnych. Czy nie zmarnowali aby tego czasu, to już inna sprawa...

Zabłąkany radiowy sygnał ogłosił piętnastą, kiedy dwaj oficerowie przekraczali próg sekretariatu podinspektora. Jego sekretarka już szykowała się do wyjścia.

– Jak jest? – zapytał swoim zwyczajem Kostek.

Odpowiedzią tym razem było wzruszenie ramion. W każdym innym przypadku byłoby to co najmniej dziwne, że po całym dniu pracy nie potrafiła sobie wyrobić zdania na temat aktualnego humoru szefa. Ale nie w policji. Nie w stołecznej.

– Cześć! – przywitał się Podbiał, co było ryzykowne chociażby z tego względu, że w środku mógł siedzieć komendant główny, a nawet minister spraw wewnętrznych.

– Wskakiwać – odpowiedział Kontra.

W gabinecie nie było jednak żadnych oficjeli, a prócz podinspektora siedziała tam tylko Kornelia. Wyglądała, jakby dopiero przed chwilą zakończyła dzień pracy w supermarkecie otwieranym przed szóstą rano. Z kolei Kontra miał podkrążone oczy i rumieniec, który pojawiał się na jego łysinie w sytuacjach stresowych.

Kostek wiedział dobrze, że tych dwoje ma za sobą cały dzień tłumaczeń po wydarzeniach, do których doszło wczoraj w jednym ze starych magazynów gdzieś między Elsnerowem a Utratą, na wschodnich rubieżach miasta. Najwyraźniej sprawa nadal była na tapecie.

– Mamy wreszcie te fotografie, które zrobili zatrzymanym kobietom, aby trzymać jej w szachu – poinformowała Kostka jego partnerka, by dodać: – Jola, ta moja koleżanka ze szkoły, która opowiedziała mi o wszystkim, też na nich jest.

– Oby to były wszystkie, bo internetowe łajzy tylko czekają na przeciek – dodał Podbiał.

Zdawał sobie sprawę, że także i przed nim jeszcze wiele tłumaczeń, przed różnymi ludźmi i na wielu szczeblach. Artykuł, który napisał i opublikował Tomasz Horn, dotyczył jedynie części problemu, za to stawiał wiele pytań. Szefowie dziennikarza najwyraźniej planowali rozciągnąć temat w czasie, jak to często bywa, napięcie stopniować. Mieć asa w rękawie na wypadek, gdyby ktoś próbował się migać od odpowiedzialności. Czy im się to uda i czy nie ugną się pod naciskiem, to już inna rzecz. Tak czy inaczej zapowiadał się ciekawy listopad. A po Wszystkich Świętych świętych już nie będzie.

– Mówcie, co udało wam się ustalić. – Kontra nie wieciez czemu zatarł dłonie.

– Dostęp do czytelni akt sądowych ma każdy – podjął Andrzej. – Trzeba tylko wypełnić odpowiedni wniosek, gdzie podaje się personalia, numer telefonu, no i sygnaturę akt sprawy. Dwa pierwsze można zmyślić, a numer po prostu wziąć z wokandy.

– Jeżeli to rzeczywiście ten człowiek, o którym mówił Marczewski – wtrącił Kostek – to wystarczyło, że znał nazwisko. Powoda, powódki, pozwanego albo pozwanej. Potem przeszedł się po sądzie i znalazł numer. Trochę to trwało, nałożyć się trzeba, bo gmaszysko wielkie, do tego łatwo się zgubić. Ale szansa jest. Potem numery spraw zostawiał przy zabitych. Ożóg miał je na kartce w czapce z daszkiem, którą dostał pod dworcem.

– No właśnie – przerwał mu Kontra. – Może się znali z zabójcą? Przecież nie bierze się takiego prezentu od nieznanego człowieka...

– Czapka była nówka sztuka, jeśli o to ci chodzi – wyjaśnił nadkomisarz. – Czasami hostessy nie takie gadzety rozdają w mieście albo na stacjach metra. Nie tylko przed kolejnymi wyborami. A czy mogli się znać? Możliwe. Przecież zabójca musiał wiedzieć, jak wygląda Kędzierzawski, skoro przebrał się za niego, by zaatakować w sklepie przy Marszałkowskiej. A okrągła blaszka, którą znaleźliśmy przy Ożogu, to nic innego jak numerek z szatni w sądzie.

– Szatniarz mściciel? – Kontra przejechał dłonią po łysinie, jakby chciał się upewnić, czy nic go w nią nie ugryzie; pewne było, że on takiej czapki by nie założył.

Podbiał wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? – rzekł półgębkiem. – Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobisz? Zabiłem i już. Należało się chujowi!

Podinspektor zamachał w powietrzu rękami, jakby chciał się opędzić od natrętnych owadów.

– Dobra, co dalej?

– Zabójca poznaje numer sprawy, wpisuje jakieś bzdury jako uzasadnienie, a sędzia czy prezes sądu, bo to ten wydaje zgodę, podpisuje, nawet tego nie czytając. Następnie nasz Archanioł Gabriel czyta akta, włos mu się jeży na głowie i postanawia wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę. Usłyszał głos Boga, znaczy swego szefa. Dla wielu to wystarczy, by sięgnąć po nóż. Nie trzeba być bojownikiem Państwa Islamskiego...

– Macie te papiery? – zapytał Kontra.

– Dzięki sygnaturom udało się to szybko ustalić, bo inaczej trzeba było po nazwiskach stron. Niestety, nie pozwolili ich zabrać. – Podbiał sięgnął po smartfona. – W akta sprawy Ożoga i Kędzierzawskiego zaglądanego dwukrotnie. Raz zrobił to sam Kędzierzawski, a potem niejaki Jan Bączyk.

– Zadzwoniliśmy na podany we wniosku numer telefonu, ale zgłosiła się jakaś babka – dorzucił Rudzki. – W akta sprawy Kamil Giedrowski versus Grażyna Wiśniak zaglądanego jeden raz. Zrobił to niejaki Stanisław Lachowicz...

– Którego numer telefonu i adres też jest trefny – dokończył cicho Kontra, by zaraz dodać ze złością: – Przecież powinni za każdym sprawdzać dowód osobisty, zanim komuś wydadzą takie ważne papiery!

– No i może teraz tak będzie – zgodził się Kostek. – System sądownictwa zmienia się przecież na naszych oczach. Oczywiście ten, kto poznał szczegóły pożycia małżeńskiego państwa Marczewskich, też nie istnieje. Dodam jeszcze, że we wszystkie akta zaglądanego we wrześniu.

– W takim razie co macie? – Kontra spojrział na zegarek.

– Charakter pisma w trzech przypadkach jest bardzo podobny... – stwierdził Rudzki.

– Co nam gówno daje – sarknął naczelnik. – Chociaż chyba jest sposób, aby wyprzedzić jego ruch i znaleźć kolejną ofiarę. Wiecie jaki? Przekopać się przez całe archiwum sądu, porównać pismo, wykonać setki, jeśli nie tysiące telefonów, które zweryfikowałyby tożsamość czytelników. Jeśli zaczniemy dziś, może uda nam się skończyć do świąt. Oczywiście mam na myśli Wielkanoc. A po tym, co się wczoraj stało, pewnie wielu ludzi widziałoby nas właśnie przy takiej robocie.

Powiedział to, o czym każdy z nich bał się nawet pomyśleć. I trudno było nie przyznać mu racji. Odpowiednie narzędzie, owszem było, ale nic więcej. A podinspektor Kwiatek skończy w najlepszym razie, *nomen omen*, na zielonej trawce.

– Może jednak należałoby spróbować jeszcze w sądzie? – zaproponował Rudzki.

– Andrzej wciąż wierzy w polskie sądy – powiedział Kostek z udawaną powagą.

Młodszy kolega nie zareagował na złośliwość. Wpatrywał się wyczekująco w przełożonego, aż ten dał znak, żeby mówić dalej.

– Wezmę wszystkie zdjęcia podejrzanego, które mamy, i po prostu popytam pracowników. Właściwie już mogliśmy to zrobić, ale pochłonęła nas praca w czytelnicy...

Jak polonistów w mundurach – skwitował Kostek, ale na szczęście tylko w myślach.

– Racja – mruknął Kontra. – Może ktoś go widział w którejś z tych stylizacji, może ktoś coś kojarzy. Kto wie, czy to nie jest pracownik sądu? Obecny albo były.

I podawałby fałszywe dane na papierze? – przeszło przez myśl Kostkowi. Ale chwilę później podziękował sam sobie, że nie zamienił tego w słowa, uświadomił sobie bowiem jedną rzecz: mimo że siedzi tu już wiele lat, to sam przecież nie zna, nawet z widzenia, wszystkich, którzy na co dzień pracują w Pałacu Mostowskich.

– Powiedźcie mi jeszcze, czy coś się udało ustalić po śladach z wczoraj? – zapytał Kontra.

– Klient czysty, nie ma go w żadnej bazie danych – odpowiedziała szybko Kornelia.

– A Cecot się odzywał?

– Na Gocławiu bez zmian – odparł tym razem Podbiał. – Podejrzanego, a nie muszę chyba dodawać, że nie nazywa się on ani Bączyk, ani Lachowicz, tylko Sebastian

Marecki, nie ma pod wskazanym adresem. Na fejsie też nieobecny, bo raczej nie ma dwunastu i piętnastu lat, a tylko takich dwóch Sebów znaleźliśmy. Reszta internetu na jego temat milczy, a w skarbowce jeszcze nie pytaliśmy. Na razie nie możemy więc stwierdzić, czy to pomyłka, czy może ma inną metę, gdzie się przeniósł na czas swojej boskiej misji. I chyba zaraz Marka wycofam, bo będzie nam potrzebny tutaj. Każda para rąk się przyda, jak już mówią na mieście.

– Czyli? – zapytał podinspektor.

– Robimy to, co zaplanowałem. I już powinniśmy być na miejscu. – Spojrzał na zegarek.

63

Podbiął zostawił radiowóz na Poznańskiej i szybkim krokiem podążył w stronę Alej Jerolimskich. Nie widział jeszcze demonstrujących, ale o ściany wysokich kamieni odbijały się miarowe uderzenia wielkiego orkiestrowego bębna.

Skręcił w prawo koło hotelu Polonia i kilka minut później znalazł się na środku wyłączonego z ruchu ronda. Jak niemal wszyscy rozglądał się dookoła w poszukiwaniu znajomych twarzy. Właśnie jakimś młodym ludziom udało się namierzyć, wydzwonić, dostrzec i wreszcie wpaść sobie w objęcia. Może przyjechali z daleka, może demonstracja to tylko część programu i, mimo zagrożenia, że będą gazować, pałować, wyłapywać i wywozić, początek miłego wieczoru?

On też się rozglądał.

– Jest – mruknął wreszcie, bo przecież ustawili się niemal z dokładnością co do metra.

Zdziwiłby się pewnie każdy, kto kilka godzin wcześniej wszedłby do jednego z pokoi w Pałacu Mostowskich. Ujrzałby podkomisarz Banaś malującą coś farbami (być może były to nawet szkolne farbki, których sama używała w szkole) na kawałku szarego kartonu. Na jej twarzy z łatwością można było wyczytać, co sobie teraz myśli. Jeszcze kilka tygodni temu nie było to tak oczywiste, a gdyby postawić ją przed wyborem, bez namysłu wybrałaby służbę. Z drugiej strony hasło MAMY DOŚĆ!, które namalowała, było uniwersalne i równie dobrze mogło służyć na innych demonstracjach, także policyjnych związków zawodowych, bo i takie się odbywały.

Trochę trudniej było ze zdobyciem kawałka patyka, do którego należało karton przymocować. Musiał być odpowiednio długi, żeby napis można było zobaczyć nawet z większej odległości. Ale i z tym jakoś sobie poradzili, podobnie jak z wyniesieniem całości z gmachu stołecznej.

Teraz Kornelia szła kilkanaście metrów przed nim, trzymając w rękach hasło. Widniało po obu stronach, aby łatwiej je było dostrzec. Gdy po Warszawie chodziły latem wycieczki, nie tylko zagraniczne, pilot albo szef eskapady bardzo często trzymał coś takiego nad głową, żeby mu się nikt czasem nie zapodział. Wciągnęłoby biedaka czy biedaczkę dzikie miasto.

Gdzieś niedaleko z głośników zabrzmiałby pierwsze takty przeboju Boba Marleya *No Woman, No Cry*, często puszczanego podczas protestów. Policjantka zaczęła nawet

podrygiwać jak pozostali w rytm muzyki, jednak obserwujący ją Podbiał był pewien, że ani na chwilę nie przestawała pracować: nie spuszczała z oczu obiektu.

64

Do końca nie była pewna. Po tym, co się stało, chyba nawet nie powinna wychodzić z domu. Ale przecież już tydzień temu umówiły się z przyjaciółkami, z którymi od wielu lat, bo jeszcze od czasów ogólniaka, trzymały się blisko, że tego dnia w końcu i one się wybiorą „na demo”. Zajęte w pracy, zajęte w domu, nie mogły jednak spokojnie patrzeć na to, co się dzieje. Historia działa się przecież na ich oczach.

Kiedy godzinę temu Ewa Marczevska wychodziła z domu na Kabatach, gdzie została jej synek ze swoją babcią (jej matką, dla jasności), czuła się dziwnie. W samochodzie zaparkowanym niedaleko jej klatki schodowej siedział policjant. Wiedziała o tym. Przynajmniej tutaj stanęli na wysokości zadania. Jak na ironię za chwilę od jego kolegi dostanie pałą albo gazem po oczach. Wtedy na pewno zabiorą jej tę ochronę. A może przeciwnie, jeszcze bardziej wzmocnią?

– Ale dzisiaj ludzi przyszło – powiedziała Hanka, kiedy wyszły ze stacji, przeszły przez placyk zwany „Patelnią” i wyszły schodami na Marszałkowską.

– Pewnie większość tylko wraca z pracy. – Justyna, druga z przyjaciółek, była jak zwykle sceptyczna. – Albo przyszli się pogapić.

Szybko wmieszały się w tłum, ten właściwy, nad którym już wznosiły się transparenty, a nawet kawałki kartonu z hasłami. Nikogo nie oburzały ani nie dziwiły wulgarne słowa. Na subtelności nikt tu nie miał ani ochoty, ani czasu. Odezwały się głosy w krzykaczkach, gdzieś po drugiej stronie ktoś zapamiętało walił w wielki bęben.

– Cieszę się, że tutaj z wami jestem, dziewczyny – powiedziała Marczevska do przyjaciółek, póki jeszcze mogła, póki cokolwiek słyszała, nie zdarła sobie gardła, a nie zamierzała go oszczędzać.

Tłum niezadowolonych – i to nie tylko młodych kobiet – gęstniał z minuty na minutę. Oczywiście ruch uliczny w newralgicznym punkcie stolicy został zamknięty, a tramwaje i autobusy już dawno skierowano na trasy objazdowe. W promieniu kilkuset metrów jedynie metro i pociągi na prostopadłej linii średnicowej jeździły normalnie.

Na razie jednak nikt chyba nie wiedział, czy demonstracja ruszy z ronda w jakimś konkretnym kierunku, czy wszystko odbędzie się tutaj. Jak zawsze z wiarą, z werwą i pazurem. Gdzieś dalej widać było niebieskie sygnalizatory na dachach radiowozów. Czy znów skończy się jak wcześniej, czy może jednak spuszczą z tonu, a to za sprawą afery, która się wczoraj rozpetała? To będzie wiadome dopiero wieczorem.

– Tam są moi znajomi! – zawołała w pewnej chwili Justyna, wskazując palcem na tę część zgromadzenia, za którą wyrastał nowy gmach rotundy. – Chodźmy do nich, poznam was.

I nie czekając na reakcję przyjaciółek, zaczęła się przepychać przez tłum. Hanka, nie pytając o nic, od razu podążyła jej śladem. Jednak gdy po kilku chwilach obejrzała się za siebie, nie dostrzegła już Ewy.

Byli na wysokości nowego wieżowca, który postawiono w miejscu zburzonego gmachu Uniwersалу. Pochód posuwał się powoli, ale nie o tempo tu przecież szło, ale o problem. Właśnie skandowano kolejne hasło, gdy Kostek poczuł vibracje komórki. Dzwonił jeden z wywiadowców, którzy pilnowali Grzegorza Marczewskiego. Wciąż nie było analizy porównawczej śladów.

– Panie nadkomisarzu, obiekt opuścił mieszkanie – zameldował.

– Nie spuszczać go z oczu.

Czyżby jednak żonkoś? – pomyślał.

Nie zdążył schować telefonu, gdy znów poczuł vibracje. Tym razem dzwonił Rudzki.

– Cześć, kochanie. Twoja córeczka jest bezpieczna – powiedział do aparatu.

Ale głos po drugiej stronie był poważny.

– Chyba go mam – powiedział po krótkiej pauzie.

Nadkomisarz przekręcił głowę i zakrył sobie drugie ucho, żeby lepiej słyszeć. Nie mógł teraz zejść z posterunku.

– No?

– Na jednym ze zdjęć, mimo kamuflażu, rozpoznał go portier z sądu. Pewnie kiedyś dziadek pracował u nas albo w czymś podobnym, ale nie chciał się przyznać, kiedy go o to zapytałem. Tak czy siak, mamy chyba zdjęcie podejrzanego sauté.

– Rozumiem, że to nie Sebastian Marecki z Gocławia.

– Nie. Zbigniew Kopa się nazywa. Był kiedyś ławnikiem, ale minister Zero go skasował jednym pociągnięciem wraz z wieloma innymi. Pamiętasz akcję?

– Jasne – skłamał Podbiał.

– Zaraz ci prześlę fotę, a potem biorę wolną ekipę i jadę z wizytą.

Kostek poczuł lekkie ukłucie. A potem pomyślał, że koledze się to należy, choćby za ten nóż w brzuchu.

– Jeśli spróbuje tutaj – rozważał półgłosem – i uda nam się go powstrzymać i przyskrzynieć, będzie po zabawie. Ale jeżeli jakimś cudem zwieje i wróci do domu, to będzie miał gorące powitanie. Uważaj na siebie, Andrzej.

– Załatwione. Kolejnej zębki od żony bym nie przeżył.

Rozłączyli się. Tak, jeśli za kilkadziesiąt minut Rudzki zadzwoni z dobrymi wiadomościami, akcję będzie można przerwać. A do tego czasu trzeba być blisko kobiety, którą szukany przez nich człowiek raz już próbować zabić. Jeśli dobrze poznał tok jego myślenia, to był ten moment: moment szczęścia. Ewa świętowała z przyjaciółkami, wolna, mimo że o tę wolność, zagrożoną przecież, szło demonstrującym.

Nadszedł obiecany SMS. Podbiał otworzył zdjęcie, które zdobył Andrzej. Z ekranu patrzył na niego facet w średnim wieku, niczym specjalnym się niewyróżniający. Żadnego szaleństwa w oczach, spojrzenia psychopaty, na którego widok ludzie schodziliby z drogi. Ot, sąsiad z góry. Podbiał nie mógł oprzeć się wrażeniu, że już widział kiedyś tę twarz. Oczywiście najbardziej prawdopodobnym miejscem był dworzec Warszawa Wschodnia. Wtedy zabójca mógł uderzyć jeszcze bez kamuflażu,

sztucznej brody ani okularów w grubej prawie czy z ciemnymi szklami. A może to była tylko siła sugestii...

Pochód zatrzymał się. Kostek w ostatniej chwili zdołał nie nadepnąć na piętę idącej przed nim dziewczyny w skórze nabitej ćwiekami. Spojrzał dalej. Ich karton z hasłem dziwnie się chwia. Tknięty złym przecuciem, runął do przodu, potrącając kilka osób.

– Prowokator! – usłyszał za sobą gniewny, kobiecy głos.

Po chwili przebił się przez wianuszek ludzi, w który przekształciła się ta część pochodu, i ujrzał Kornelię klęczącą na mokrym asfalcie. Ewa Marczewska przelewała jej się przez ręce...

– Ta pani zemdlła – powiedziała Banaś specjalnie głośniej.

Chwilę później do ulicznej piety dopadły jakieś dwie młode, ładne kobiety w czarnych połyskujących płaszczkach.

– Ewa! Co się stało? To nasza przyjaciółka – tłumaczyły gorączkowo jedna przez drugą.

Zamieszanie było coraz większe. Ale może i dobrze. Kostek przesunął się w bok i złowił spojrzenie Kornelii. Pokręciła głową. Nie, to nie to. Jeszcze nie...

Po chwili podszedł do niego jakiś młody mężczyzna. Trzymał patyk porzucony przez Kornelię. Karton z hasłem trochę się przekrzywił.

– Dzień dobry – przywitał się.

Chwilę trwało, zanim Kostek rozpoznał w nim osobnika, którego widział w tamtą sobotę na Lewickiej i którego wziął za absztyfikanta młodej. Potem tłumaczyła, że to tylko jej kolega z ogólniaka. Chyba nawet jakieś imię wymieniła. Patryk? Musiał wiedzieć, kim jest Kostek, a jednocześnie zakładać, że tamten wie, kim jest on.

Po chwili pojawił się Cecot. Podbiął wyciągnął telefon i pokazał im fotografię podejrzanego. Aspirant tylko skinął głową, ale cywila trzeba było przyuczyć.

– Jeśli go zobaczysz, po prostu krzycz. Ze wszystkich sił. I żadnego kozaczenia! Powstanie się skończyło. To bardzo niebezpieczny typ.

– Dobrze – powiedział Patryk.

Podbiął nie był pewien, czy dobrze robi, narażając chłopaka. Ale współczesnego odpowiednika ORMO jeszcze nikt nie wymyślił i pewnie na razie się to nie zmieni. Chyba żeby pogadać z Rycerzami Chrystusa.

Po raz kolejny namacał twardość pod pachą. Spojrzał jeszcze tam, gdzie upadła Ewa. Pewnie zemdlła od natłoku emocji. Powinna siedzieć w domu, pilnowana przez chłopaków z rewiru, ale co zrobić, jeśli psiapsiuły wołają...

Pochód szedł dalej. Hasło MAMY DOŚĆ! znów działało, choć mało kto zdawał sobie sprawę, jak bardzo. Po lewej stronie, na chodniku na północnej stronie Alej, stali gapie. Ale było tam też kilka policyjnych patroli. Podbiął zdawał sobie sprawę, że wejście mundurowych w tłum, akurat ten i akurat dzisiaj, mogłoby być odczytane nie tak, jak powinno. Do takiego rozwiązania można się było uciec jedynie w ostateczności, z nożem na gardle. W obu znaczeniach tych słów.

Robiło się coraz ciemniej, a Kostek czuł coraz większy niepokój. Oczywiście w każdej chwili mogli zwinąć Marczewską, ku zdziwieniu, oburzeniu, a może nawet protestach przyjaciółek. Niebezpieczeństwo zostałyby oddalone, ale tylko oddalone. Jednocześnie zakończyłoby się polowanie. Wróciliby z całą przynętą, ale bez zdobyczy.

A przecież czuł, że jest blisko. Że skurwiel spróbuje właśnie tutaj i właśnie teraz, a Rudzki nie zastanie nikogo. Bo przecież inaczej nie było zabawy, a on lubił jechać po bandzie. Do tego kara, wszak tamten miał się za kata i wykonawcę boskich wyroków, musiała zostać wymierzona dokładnie w chwili, kiedy skazany na nią człowiek już czuł się pewny, że wygrał, do tego najbardziej się cieszył: Ożóg z wyjazdu pociągami z Warszawy, niechby i do Ciechanowa, Grażyna Wiśniak z nowej kiecki, a Marczevska, za pierwszym razem, z zakupów w hipermarkecie budowlanym, kiedy szukała rzeczy do nowego mieszkania po wyprowadzce od męża. Teraz protestowała, ale jednocześnie wraz z przyjaciółkami cieszyła się z wolności.

– Niech będzie, że do palmy. I ani kroku dalej – mruknął pod nosem, co tak naprawdę było rozkazem wydanym samemu sobie; czasem tak robił i działało. – A jutro wymyślimy coś innego.

Za chwilę przekaże to Kornelii. Przez telefon albo osobiście. Na razie z głośników leciały kolejne piosenki, a z tysięcy gardeł kolejne hasła. Miejscami atmosfera stawała się wręcz piknikowa i można było nawet zapomnieć, o co naprawdę chodzi.

– Prowokator! – znów usłyszał za sobą ten sam głos, tym razem jednak wołanie nie mogło dotyczyć jego, bowiem szedł grzecznie jak pierwszoklasista na pochodzie pierwszomajowym.

Chwilę później już znał adresata. Jakiś facet w zielonej kurtce i z czarnym kapturem bluzy bez ceregieli przepychał się przez ciżbę ku przodowi. Ktoś potrącony przez niego rzucił przekleństwem. A jeśli to naprawdę prowokator?

– Spokojnie, co? – rzucił Kostek, mimo że tamten nawet go nie musnął.

Mężczyzna zwolnił kroku, obejrzał się. Kaptur odsłonił tylko fragment jego twarzy. Podbiał drgnął, a jego łokieć odruchowo ścisnął kaburę z pistoletem. Szybko spojrzał na tablicę z hasłem przed sobą. Wciąż tam była, pionowa, niemal nieruchoma. Przeniósł wzrok na tamtego w chwili, gdy intruz odwracał wzrok. Czy to była ta twarz? Nie był pewny.

Nadkomisarz poczuł nagle uderzenie gorąca. Serce załomotało o żebra. Tylko spokojnie.

– Zbyszek? – zawołał lekkim tonem, bo to mogło poskutkować.

Ale nie poskutkowało. Zdawał sobie sprawę, że wyciąganie odznaki w tym miejscu będzie odebrane tak samo, jak wejście w tłum patrolu. Na szczęście tamten, Zbigniew Kopa, a może jednak ktoś zupełnie inny, wybawił go z kłopotu: gwałtownie rzucił się w bok, w stronę południowej pierzei Alej Jerozolimskich.

– Stój! – krzyknął Podbiał i runął za tamtym przez wyłom między kolejnymi szeregami idących w pochodzie.

– Prowokatorzy! – usłyszał jeszcze za plecami ten sam co wcześniej skrzekliwy głos.

Teraz najważniejsze to nie stracić go z oczu. Łatwe to nie było, bo wystarczyło kilka chwil biegu, a oczy zaczęły mu łzawić od zimnego powietrza. Niestety zabójca poruszał

się w kierunku przeciwnym niż wszyscy, no i w o wiele szybszym tempie. W pewnej chwili jednak zniknął.

– Ja pierdołę! – Podbiał zatrzymał się, stanął na palcach, by spojrzeć ponad głowami idących; niewiele to dało.

Wtedy kątem oka dostrzegł zbliżającą się... ciężarówkę. Wiozła głośniki i to one, rozkręcone na full, spowodowały, że nie było słycać pracy silnika. Do tego jechała na światłach postojowych. Ciekawe, co na to drogowka.

Niewiele myśląc, Kostek wskoczył na platformę i uczepiwszy się burty, zaczął obserwować chodnik Alej w miejscu, gdzie, jak przypuszczał, mógł w tej chwili być ścigany.

– Proszę zejść! – zawołała dziewczyna, a ton nie pozostawiał wątpliwości, że może.

– Przepraszam, żona mi się gdzieś zapodziała – odpowiedział z niewinnym uśmiechem.

Jeszcze chwila, jeszcze jedna szansa i jedno spojrzenie.

Jest! Przygarbiona sylwetka w kapturze przemykała wzdłuż oświetlonej witryny apteki na rogu Kruczej, w stronę centrum. On? Chyba on, chociaż...

– Proszę już zejść.

Podbiał zeskoczył na asfalt, uśmiechnął się przepaszając do dziewczyny zbrojnej w jaskrawą kamizelkę, jakiś identyfikator, a przede wszystkim krótkofalówkę. Poza tym była drobna i niewysoka. Ciekawe, z iloma takimi miała już do czynienia.

Zagłębił się w żywy labirynt, starając się nikogo nie potrącić. Kiedy znalazł się wśród gapiów, którzy stali na chodniku, mógł trochę przyspieszyć. W momencie, gdy zza narożnej kamienicy wyłonił się wąski szczyt hotelu zwanego kiedyś Forum, podejrzany zniknął w przejściu podziemnym. Dopiero teraz Podbiał uświadomił sobie, jak wielkie ma tyły. O ile rondo ułatwiało życie kierowcom, o tyle podziemia służące pieszym dalece utrudniały mu teraz zadanie. Tamten człowiek mógł przecież za chwilę skrócić gdziekolwiek.

Kostek ledwo wyhamował przed mokrymi schodami. Pokonał je po dwa naraz i po chwili znalazł się w przejściu. Na szczęście było już po godzinach szczytu, a demonstranci na demonstracji. Spojrzał na wprost. Nic. Skręcił w prawo i podbiegł kawałek, widoczność ograniczała częściowo ściana dzieląca tę część korytarza. Znów nic. Wskoczył więc na schody prowadzące na przystanek tramwajowy. Dopiero kiedy się na nim znalazł, przypomniał sobie, że ruch został wstrzymany. Ścigany pewnie to wie, więc tym bardziej należało sprawdzić. Ale dalej nic. Tylko stracił kilka sekund...

Podbiał wrócił na dół, skręcił w prawo i znów chwilę biegł, żeby jak najszybciej móc sprawdzić północny korytarz pod Marszałkowską. Nie dawał mu jednak spokoju obraz zabójcy idącego sobie spokojnie, ale po drugiej stronie, równoległym przejściem. Tak, chyba trzeba się było przyzwyczajać do kolejnej porażki. A potem jak najszybciej wracać po Kornelię i Marczewską.

– Uważaj, kurwa, jako chodzisz!

Krzyk dobiegł z daleka, może z okolic wejścia na przystanki tramwajów jeżdżących z północy na południe. Kostek wyciągnął szyję i przyspieszył kroku. Po chwili ujrzał dziewczynę z czerwoną burzą włosów i makijażem ocierającym się o makabrę. Podnosiła jakieś pakunki.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Taaa, palant ślepy albo pijany – prychnęła, wykonując ruch głową w stronę Patelni.

Można była dopytywać, którego mianowicie palanta pani ma na myśli, ale Kostek miał już swojego faworyta. Znow poczuł znajomy ucisk w brzuchu. Ścigany przez niego człowiek, być może już nieświadomy tego, że ktoś nadal za nim idzie, kierował się do stacji metra Centrum. A metro działało normalnie!

Kostek znow podbiegł kilka kroków. Ale wtedy zabójca znow go zaskoczył: minął wejście do szklanego hangaru w kształcie połowy walca, minął ludzi od początku świata rozdających w tym miejscu ulotki i już piął się po schodach. Tym razem Podbiał dotrzymywał mu kroku, bo kiedy postawił stopę na pierwszym stopniu, tamten był na szczycie.

Był spokojny, a do tego nie czuł w ogóle zmęczenia. Kiedy jednak po chwili dostrzegł, że tamten kieruje się w stronę wejścia na stację Warszawa Śródmieście, znow odezwał się niepokój. Raz, że znow stacja, znow pociąg. Dwa: na takiej przestrzeni ciężko będzie o obserwację z dystansu, a zatem wóz albo przewóz.

Zabójca, wciąż zakapturzony, zbliżył się do kiosku, gdzie sprzedawali stare czasopisma.

– Pociąg Szybkiej Kolei Miejskiej ze stacji Otwock do stacji Pruszków wjedzie na tor przy peronie pierwszym – rozległo się w megafonach.

Podbiał w jednej chwili przypomniał sobie filmy, w których akcja przenosiła się do metra. Uciekający, zły czy dobry, nieważne, często wbiegał do pociągu w ostatniej sekundzie, dzięki czemu udawało mu się przechytryć pościg. A łapacze, dobrzy czy zli, nieważne, biegli po peronie i walili ze złością w szyby. No, chyba że gonił znow niezastąpiony Cruise. On biegłby pięknie, a potem dostałby się do środka, ewentualnie uczeplił końca pociągu.

Ale tu, na Śródmieściu, było jeszcze lepiej: można było wyprysnąć z jakiegoś kąta, choćby tego przy kiosku, wskoczyć w ostatniej chwili do pociągu, a następnie wyskoczyć z niego po drugiej stronie, bowiem drzwi otwierały się na przestrzał. Że też specjaliści z Hollywood jeszcze nie wypróbowali tego patentu i nie nakręcili sceny w Warszawie!

Teraz jednak miało być, jeszcze ten jeden raz, bez kamer i spektakularnych ucieczek.

– Koniec zabawy, Kopa – powiedział Podbiał, stanąwszy tuż za tamtym. – Jesteś zatrzymany pod zarzutem dokonania dwóch zabójstw i próby usiłowania trzeciego.

Zabójca nie odwracał się. Zresztą może i dobrze.

– Łapy. Tylko powoli i spokojnie. – Nadkomisarz wyjął z kieszeni kajdanki, zatrzymanych miał bowiem w zwyczaju skuwać z tyłu, odkąd jeden, skuty inaczej, przysnął mu podczas wyprowadzania z sądu, jeszcze podczas pracy w Olsztynie.

Mając w pamięci tamtą i kilka innych przygód, Kostek zrobił krok do tyłu. Sekundę później miejsce, gdzie stał, z dużą prędkością przeciął nóż. Nie napotkawszy na opór, gest zaburzył jednak równowagę całego ciała: Kopa zachwiał się i runął na podłogę peronu. Wtedy Kostek celnym kopnięciem wytrącił mu z ręki broń. Teraz wystarczyło przygnieść go kolanem i zapiąć biżuterię. Jednak policjant tego nie zrobił. A chwilę później było już za późno: mężczyzna zerwał się z ziemi, jak sfaulowany napastnik na widok sędziego wskazującego jedenastkę, i rzucił się do przodu, wprost na tory.

Reflektory nadjeżdżającego pociągu oświetliły jego twarz, stężała z wysiłku, a może od gniewu.

– Boże! – krzyknęła jakaś kobieta, pewnie kioskarka.

Obojętny nie mógł też pozostać maszynista. Rozległ się ostrzegawczy dźwięk syreny, a zaraz po niej drugi, wyższy. Potem elektryczny wtoczył się na peron, prawdopodobnie bezkrawowo. Podbiał miotał się na wszystkie strony, usiłując dostrzec cokolwiek przez podwójne, w dodatku wciąż przesuwające się okna. W pewnym momencie pochylił się i podniósł z ziemi nóż.

Wreszcie otworzyły się drzwi. I jak w filmie, który jeszcze nie powstał, wskoczył do środka, w dwóch susach pokonał szerokość wagonu i wybiegł na skrajny peron. Zdawał sobie sprawę, że w tym momencie zabójca może robić to samo, ale w drugą stronę.

Ale było inaczej. Kopa uciekał w kierunku peronów dworca Centralnego. Ale kulał, widać ucieczka na tory nie zakończyła się stuprocentowym sukcesem.

– Stój!

Ścigany po raz kolejny zniknął Podbiałowi z oczu. Miał znów przewagę, ale to Tommy Lee Jones był w pełni sprawny. Korytarze łączące oba dworce też nie stanowiły nie wiadomo jakiego labiryntu. Jednak mimo to czuł, że nie może zlekceważyć przeciwnika. Przypieszył kroku.

Gdy po chwili wybiegł na drugi peron Centralnej, nie zobaczył Zbigniewa Kopy. Nie było go też na pozostałych. Coś tu się nie zgadzało. Mimo to zawołał:

– Zbychu, kończmy zabawę!

W odpowiedzi coś stuknęło, ale z drugiej strony, u wylotu tunelu. Czyżby? Kiedyś rzeczy martwe były tylko złośliwe, dziś współpracowały z policją. Podbiał wyjął broń z kabury i zbliżył się ku ciemnej czeluści. Zeskoczył z platformy peronu i wszedł do tunelu. Nadeptnięty kamyk, a może kawałek betonu, zachrząścił pod podeszwą buta. Kostek poczuł charakterystyczną woń, która pamiętał z czasów pierwszych wizyt w tym mieście.

– Kopa!

Odpowiedział mu odgłos kroków. W pewnej chwili na tle bladego światła jednej z lamp w murze tunelu Podbiał dostrzegł ludzką postać.

– Mam cię na muszce! – skłamał, a po chwili po raz pierwszy usłyszał głos człowieka, którym zajmował się od kilku tygodni:

– Ja byłem tylko wykonawcą, narzędziem w rękach Stwórcy. Bo tylko jego wyroki są ważne, nie sądów, rozumiesz? Wiesz, gdzie będziesz siedział w dniu Sądu Ostatecznego? Bo ja wiem. I nie zmienią tego żadne wyroki ziemskich sądów! – wyrzucił z siebie jednym tchem, nieco charkotliwie, ale wyraźnie, a do tego z jakimś przejmującym dostojeństwem.

– Być może – rzekł na to Kostek. – Ale na razie muszę cię doprowadzić przed ten sąd. Może ostatni raz, kto wie. Nie ma innej opcji. Dlatego dawaj tu do mnie, chłopie, i nie rób już żadnych głupstw, a może zapomnę o historii sprzed kiosku z gazetami – kolejne kłamstwo z łatwością przeszło przez gardło.

Z głębi tunelu dobiegł nosowy pomruk. Od strony Wschodniej zbliżał się pociąg.

– No chodź już – ponaglał Podbiał. – Tu nie jest zbyt bezpiecznie.

Na szarych ścianach tunelu już zaczynały się kłaść świetlne refleksy. Wtem rozległ się furkot, kopnięty kamyk z tłucznią na trwogę zadzwonił o szynę. Kopa uciekał.

– Zatrzymaj się! – krzyknął znów Podbiał i złożył się do strzału.

Już wiedział, co zamierza tamten. To miała być powtórka ze Śródmieścia. Ale co innego podmiejski, a co innego pendolino, które miało już na sumieniu wiele istnień ludzkich. Chwilę później ujrzał postać w białej smudze reflektorów umieszczonych na dziobie ogromnego stwora.

67

Bateria, którą kupiła Kornelia Banaś, naprawdę przypominała pistolet. Wyjęta z pudełka, leżała teraz na stoliku w salonie mieszkania przy Rudnickiego, obok otwartej butelki czerwonego wina, dwóch kieliszków i talerza z kilkoma rodzajami sera. Wszystko to Kornelia zakupiła w ramach podziękowań. Jeszcze kilka dni temu była wdzięczna za to, że Kostek pojechał z nią do jej mieszkania na Lewickiej. Ale wtedy nie wypili. Potem powodów do podziękowań zaczęło przybywać. Do przeprosin zresztą też.

– Przyznaj się, nie od razu wiedziałas, że jako sygnalista będziesz lojalnie działać na dwa fronty – powiedział Kostek, napełniwszy kieliszki rubinowym płynem.

– Nic nie powiem bez obecności mojego adwokata – odparła Kornelia.

Stuknęli się kieliszkami, wypili trochę wina.

– „Młode wino spijaj ostrożnie, w młodym winie czai się zdrada...” – przypomniał mu się stary przebój Martynty Jakubowicz.

Dziewczyna spojrzała na niego znad krawędzi kieliszka. Chyba o tę zdradę szło.

– Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło – powiedział, po czym sięgnął po kawałek pleśniowego sera.

Za oknami było już ciemno, z głośników leciał spokojny jazz. Idealne dekoracje wymarzonej randki i pewnie każdy, kto spojrzałby na nich z boku, pewnie by się nie domyślił, że są tylko kolegami z pracy. W dodatku takiej. Oczywiście także i w robocie, a nawet na służbie zdarzało się, że w pewnym momencie ktoś na kogoś spojrzał inaczej niż wcześniej. Kto wie, może nawet w prewencji, podczas kolejnego kotła, posterunkowy podał rękę posterunkowej, która upadła, a „potem razem w bibliotece, i w stołówce, i w kolejce...”, jak pisała przed laty Osiecka w swoich Okularnikach. Choć to może kiepski przykład.

– Szkoda, że nie byłeś z nami do końca – powiedziała w pewnym momencie Kornelia. – Na rondzie De Gaulle’a dwie dziewczyny gołe od pasa w górę machały flarami, stojąc na dachach samochodów!

– Taaa, to na pewno przekona wszystkich niezdecydowanych – rzekł na to Podbiał.

– Ale że co? – Zmarszczyła czoło.

– Ale że nic.

Znów cisza.

– W sumie to chyba współczuję temu Kopie – podjął po chwili Kostek. – Facet przez tyle lat ofiarnie pracował jako ławnik i nagle ciach: koniec pieśni. Współpracownicy opowiadali, że był niezwykle sumienny, ale radykalny. Gdyby wydawał wyrok

w pojedynkę, ciężko byłoby o rozwód. I może na twoim miejscu, Kornelia, siedziałaby teraz pewna naburmuszona aktorka.

– Kto wie? Jak to mówią, sądy sądami, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie.

– A pewnie wszystko wzięło się z tego, że Zbigniew Kopa sam dostał kiedyś po dupie. Co jeszcze? Nie wiemy jeszcze, skąd biegłość w posługiwaniu się nożem, w dodatku w takim kontekście. Kopa z zawodu był kierowcą ciężarówek, ostatnio na zaległym urlopie. Tyle.

– Zastanawia mnie tylko, jak mu się udało wprowadzić w błąd pracowników czytelnicy akt sądowych. Przecież sam pracował w sądzie.

– A ty znasz wszystkich, którzy pracują na Nowolipki 2? – zapytał Kostek.

Chyba wciąż mi nie ufa – pomyślała ze smutkiem Kornelia.

– Chciałabym – podjęła po chwili – żeby ta bateria została u ciebie. Na pamiątkę i w ramach przeprosin.

– Ale przecież miała być do twojej kuchni... – Podbiał wyglądał na zakłopotanego.

– Tutaj będzie lepiej pasować – oceniła. – Może od razu zamontujesz?

– Nigdy tego nie robiłem, ale warto spróbować. Cholera wie, co będzie na emeryturze.

Ponad kwadrans później cała kuchnia w mieszkaniu nadkomisarza Konstantego Podbiała na warszawskich Bielanach była zalana wodą, podobnie jak on sam i Kornelia. Coś najwyraźniej poszło nie tak. Nie po raz pierwszy okazało się, że rodzice popełnili błąd, wysyłając dziecko do liceum, zamiast do zawodówki, gdzie miałoby szansę zdobyć szanowany zawód, choćby hydraulika właśnie. Sprawą najpewniej będzie się musiał zająć specjalista i to może nawet dopiero w przyszłym tygodniu.

– Co za piękna katastrofa – powiedział Podbiał, nalawszy do kieliszków resztę wina z butelki, po czym zdjął z siebie przemoczony podkoszulek.

Chwilę wcześniej Kornelia Banaś z tego samego powodu pozbyła się džinsów, pozostając w samych majteczkach i bluzeczce. Trzymając ścierkę w rękę, bezradnie przyglądała się kuchni.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

– Mam nadzieję, że nie zalałem sąsiadów. Tego by jeszcze, kurwa, brakowało... – Podbiał aż złapał się za głowę.

– Otworzę.

Po chwili, nie bacząc, że jest nie do końca ubrana, Kornelia przekręciła klucz w drzwiach.

– Pani doktor? – zdziwiła się, ujrawszy gościa.

Teresa Mokrzyńska ogarnęła jednym spojrzeniem półnągą, bosą, w dodatku tu i tam mokrą policjantkę. Westchnęła, uśmiechnęła się krótko.

– Chyba przyszedł nie w porę – powiedziała, po czym odwróciła się i ruszyła w dół po schodach.

Gdy chwilę później Banaś wróciła, Kostek wciąż stał na środku do kuchni i rozglądał się po niej bezradnie.

– Kto to był? – zapytał.

– Może później ci powiem.

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Pogodnie i słonecznie](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Przeważnie deszczowo](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Niebezpiecznie mgliście](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)